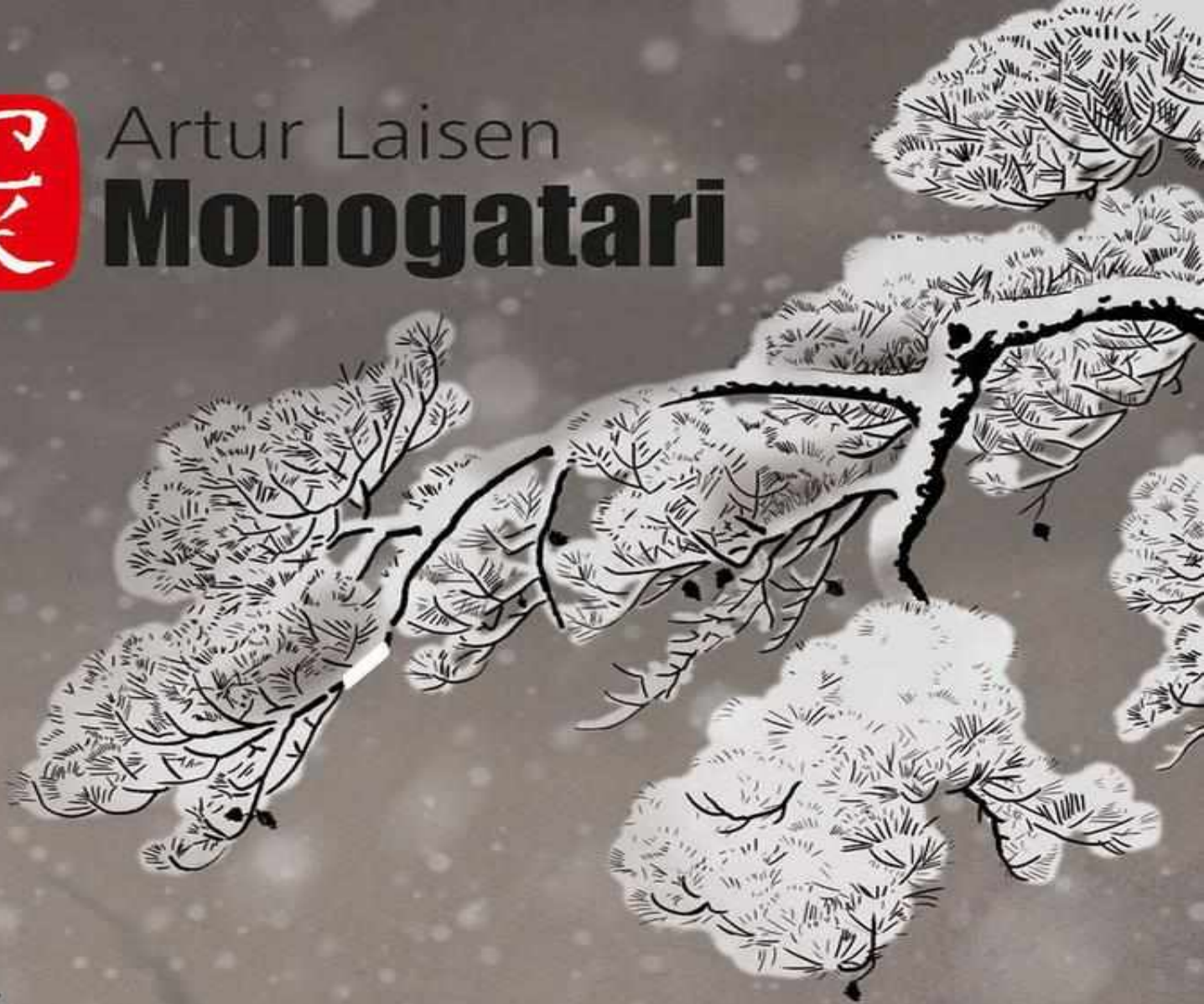




Artur Laisen  
**Monogatari**



Artur Laisen

# CK Monogatari

---

GENIUS CREATIONS

Bydgoszcz 2015

---

Copyright © Artur Laisen  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2015 r.

druk: ISBN 978-83-7995-022-5

epub: ISBN 978-83-7995-023-2

mobi: ISBN 978-83-7995-024-9

Redakcja: dr Małgorzata Berend

Korekta: dr Małgorzata Berend

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Paweł Dobkowski

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Skład wersji elektronicznej: INPINGO SA [www.inpingo.pl](http://www.inpingo.pl)

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka dostępna w księgarni: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszelkie postacie, instytucje, miejsca oraz zdarzenia zawarte w tekście mają naturę czysto fikcyjną, zaś ewentualne podobieństwa są niezamierzone i czysto przypadkowe. Nieuzasadnione zwłaszcza i zupełnie pozbawione sensu jest wyszukiwanie analogii pomiędzy fikcyjnym przedsiębiorstwem Nagita-KZDM

i jego równie fikcyjnym zarządem a jakąkolwiek realnie istniejącą kielecką firmą.

W tekście wykorzystano fragmenty bajki „Szelmostwa Lisa Witalisa” Jana Brzechwy oraz tekstów piosenek „Waiting for the Miracle” Leonarda Cohena i „Prime Time” The Alan Parsons Project. Wypowiedź Sho Kyubimoriego na temat kultury japońskiej i spontaniczności z rozdziału 6 stanowi parafrazę opinii Alexa Kerra, zawartej w studium *Psy i demony. Ciemne strony Japonii*. Perypetie Yuki w II biurze projektowym opisane w rozdziale 7 zostały z kolei w znacznej mierze zainspirowane historią bohaterki książki *Z pokorą i unizieniem* autorstwa Amélie Nothomb.

# Spis treści

## Prolog

1. Kielecki spleen
2. Okienko nr 6
3. KZDM
4. Sho Kyubimori
5. Risy i ludzie
6. Katarzyna
7. Yuki w kraju demonów
8. Koszmar
9. *Yūrei*
10. Yuki Yamada
11. *Waiting for the Miracle*
12. Centrum Biznesu
13. Pokój 707
14. Risi pakt
15. Londyn
16. Pojedynek na ośnieżonym dachu
17. *Yakuza*
18. Monochromatyczny fatalizm
19. *Yuki No Monogatari*
20. Dorotka

21. Kot
22. Czarny lexus, biały śnieg
23. Piotra i Yuki dialogi cmentarne
24. *Dōngzhi*
25. Krzyk pustki
26. Sato Mizuno
27. *Prime Time*
28. Przebudzenie z yakuzą
29. Powrót do KZDM
30. Witaj i żegnaj
31. Zatrzymać chwilę

O Autorze

*Pamięci mojego Ojca,  
kielczanina z dziada  
pradziada*

*A więc mieszkałem w tym domu już od ośmiu lat! Na początku było nas troje: ja, żona i kot. Najpierw opuściła mnie żona, potem kot, a teraz sam będę musiał odejść.*

Haruki Murakami „Koniec świata. Hard-Boiled Wonderland”



# Prolog

Pan Toru z niesmakiem kontemplował widok za oknem. Tłum, w większości młodych ludzi, przelewał się po deptaku ze swą zwyczajową bezmyślnością. Monstrualny, obły, buzujący tęczą jaskrawych kolorów, na pozór tylko składał się z oddzielnych indywiduów. Tak naprawdę był jednym organizmem, poruszającym się niby to na oślepie, ale wiedziony jakimś robaczym, pierwotnym instynktem, bez ustanku wydającym odrażające, niezrozumiałe dla normalnego człowieka dźwięki.

Pan Toru już jako dziecko nie cierpiał tłumów. Czasem zastanawiał się, czy to ta niechęć właśnie nie zdecydowała o wyborze jego własnej drogi życiowej – szlachetnej i szorstkiej niczym egzystencja dawnego samuraja. Na tyle, na ile było to możliwe w tych pieskich czasach, rzecz jasna. Tak czy owak, wykonując swój zawód, częściej miał do czynienia z konkretnymi jednostkami niżli z tłumami i bardzo mu to odpowiadało.

Na środku ulicy ustawiono ogromniastą choinkę i obwieszono ją tandetnie różnorakimi świecidełkami. Nie do wiary, jak bardzo współczesna Japonia oddaliła się już od swych szlachetnych tradycji!

Pan Toru skrzywił się i odwrócił od okna. Wnętrze starbucka znajdującego się na czwartym piętrze domu towarowego pogrążone było w półmroku. Starbuck – cóż to w ogóle za miejsce na poważne spotkanie! A przecież nie dalej jak dziesięć minut drogi stąd, w Kabuki-cho, tradycyjnej tokijskiej dzielnicy czerwonych latarni, znajdowało się kilka odpowiednich, zaprzyjaźnionych lokali. Każdy z tamtejszych patronów przywitałby pana Toru z należyтым szacunkiem, znalazł odizolowany, zaciszny kącik do omawiania interesów i dopilnował, by nikt, kurwa, nie przeszkadzał. No, ale to Nakayama wybrał miejsce spotkania. Ponoć

spieszyło mu się, a tu miał akurat po drodze. Najpewniej też łącznik w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo łamie tradycyjną etykietę i poniża pana Toru. Cóż, od świadomego, starannie zaplanowanego afrontu bardziej upokarzający był tylko afront nieświadomy. Co za czasy!

Pan Toru westchnął i sięgnął po papierośnicę, następnie zaś po zapalniczkę. Leniwie zaciągnął się dymem. Kątem oka dostrzegł zmieszanie na twarzy chłopaka z obsługi sprzątającego pobliski stolik. No tak, lokal pewnie był dla niepalących. Pieprzona zachodnia moda.

Spojrzał na tamtego z ukosa; na szczęście wystarczyło. Chłopak pobladł, ukłonił się, pospiesznie wybąkał coś pod nosem i znikł mu z oczu. Dobrze, że choć niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Pan Toru wybrał miejsce w zwężającym się rogu pomieszczenia, przy oknie, i już na samym początku wypłoszył krótkim warknięciem parę nastolatków okupującą sąsiedni stolik, co zapewniło pewną namiastkę spokoju. Cóż, pozostawało mieć nadzieję, że Nakayama zaraz się pojawi i że wszystko zbytnio się nie przeciągnie.

Odszukał wzrokiem Młodego. No tak. Zamiast czujnie lustrując okolice, usiąść przy drzwiach i gorliwie czekać na ewentualne wezwanie *oyabuna*, gówniarz jak gdyby nigdy nic przysiadł się do dwóch ufarbowanych na blond licealistek. Cała trójka pograżyła się w wesołym trajkotaniu. Nawet do siebie pasowali, dwa puste żółte łby i jeden rudy, równie pusty. No i w ogóle, odpowiedni moment na podryw w trójkącie.

Dawno już kazałby gówniarzowi zabierać się w cholere, ale to przekłete *giri!* Sam Otsuichi poprosił Toru, by ten zaopiekował się jego siostrzeńcem. „Trochę narwany i głupi. Wiesz, jaka jest ta dzisiejsza młodzież”, powiedział Szef, przyjaźnie poklepując go po ramieniu, „No, ale przy tobie, Toru-kun, na pewno się wyrobi. Uważaj na niego, proszę”. No i pan Toru, rzecz jasna, nie mógł odmówić. Innymi słowy, dał się udupić.

Ta, wyrobi się, myślał obserwując z politowaniem młodzieńca w skórzanej kurtce, z postawionymi na sztorc rudymi kudłami. Akurat. Tacy jak on nadawali się tylko do tego, by gnać nocą na motorze po Tokio z prędkością 200 kilometrów na godzinę – i to specjalnie ze zdjętym tłumikiem. Żeby pokazać, kurwa, jacy są ważni. Jednym słowem, zajęcie w sam raz dla Młodego. Może w końcu litościwa karma rozpląszczyłaby go na jakimś znaku drogowym. Przynajmniej przydałby się na narządy.

Pan Toru spojrzął na zegarek – Nakayama spóźniał się już całe pięć minut. To będzie bardzo kiepski wieczór, uznał, znów zaciągając się papierosem.

Wreszcie w drzwiach pojawiła się wysoka sylwetka w garniturze. Nakayama przez długą chwilę rozglądał się wokół zdeorientowany, aż w końcu zniecierpliwiony pan Toru, dziwiąc się samemu sobie, litościwie pomachał mu ręką. Tamten także odmachał panu Toru z entuzjazmem i ruszył w stronę stolika.

– Witam, Toru-san – oznajmił pogodnie nowo przybyły, usadawiając się hałaśliwie naprzeciwko. – Długo musiałeś czekać?

– Nie. Niedługo. – Pan Toru spojrzął na niego ponuro.

– Świetnie, świetnie – rozpromienił się Nakayama. – Przejdźmy do rzeczy.

Z kim ja muszę się zadawać, jak równy z równym? – Pan Toru kontemplował z pogardą gładko wygoloną twarz Nakayamy, jego ulizane włosy i drogi, nieskazitelnie lśniący garnitur. To ma być człowiek Organizacji? Zwykły, kurwa, *salariman*. Biurokrata.

– Sprawa jest delikatna – łącznik sięgnął do czarnej skórzanej teczki, którą przyniósł ze sobą – i pilna.

Pan Toru wzruszył ramionami. I jedno i drugie było raczej oczywiste w kontekście tego niespodziewanego spotkania.

– Najpóźniej jutro przed południem będziesz musiał wsiąść w samolot, Toru-san. Wyjeżdżałeś już z różnymi misjami za granicę, prawda? Hong-Kong, Singapur, Los Angeles... Ostatnio nawet Amsterdam, zdaje się?

– Ta... – Pan Toru nie uznał za stosowne wchodzić w szczegóły. – Gdzie tym razem?

– Porando – odrzekł Nakayama z namaszczaniem. – Wiesz, gdzie to jest?

– Ta... – Pan Toru wydmuchał dym, niemal wprost w twarz interlokutora. Nakayama zakasłał. – Europa Wschodnia. Zresztą, jakie to ma dla mnie znaczenie, gdzie to dokładnie jest, kurwa. – Roześmiał się. – Ważne, żeby pilot wiedział.

Przez chwilę grzebał w otchłaniach pamięci – War... Wara-shawa, tak?

– Zgadza się – mruknął łącznik niepewnie. – To znaczy, tak się nazywa stolica. Ty będziesz musiał jednak wynająć na lotnisku samochód i udać się trochę dalej... Tylko trochę, to w końcu nieduży kraj.

– No, to super – burknął pan Toru. – Co właściwie będę musiał zrobić?

– Chodzi o pewnego hm... – Nakayama jakby się zawahał – człowieka...

– Co ty nie powiesz? – warknął pan Toru pobłaźliwie. – Zawsze chyba chodzi o jakiegoś człowieka, czyż nie? Tacy już są, kurwa, ludzie. Tworzą problemy.

– Hm... No tak, oczywiście – odparł gorliwie tamten. – To członek zarządu lokalnego oddziału dużego japońskiego *keiretsu*. Tutaj jest jego *dossier*... W sumie nie ma tego wiele, ale przynajmniej przyda ci się zdjęcie...

Pan Toru bez entuzjazmu przerzucił zawartość aktówki.

– Rzeczywiście nie ma tego wiele – skwitował. – To nie jest sprawa Organizacji, prawda? To zlecenie z zewnątrz?

– Domyślny jesteś, Toru-san – przytaknął Nakayama. – Rzeczywiście, to prośba od przyjaciół...

– Przyjaciół naszych przyjaciół, którzy poprosili swoich przyjaciół, u których mają dług wdzięczności lub na odwrót – dokończył pan Toru. – Dobra, wiem, jak to działa.

– Co nie znaczy, iż możemy to zlecenie zlekceważyć... – powiedział Nakayama z naciskiem.

– Wiesz chyba, Nakayama-san – pan Toru znów dmuchnął interlokutorowi w twarz dymem z papierosa – że nigdy w życiu jeszcze niczego nie zlekceważyłem. – Demonstracyjnie wyciągnął przed siebie obie ręce. – Widzisz? Niczego nie brakuje.

Hm... No tak. – Tamten zakasłał i pomachał ręką wokół twarzy. – Wybacz, Toru-san, ale czy mógłbyś zgasić papierosa? Mam alergię na dym...

Pan Toru popatrzył tamtemu prosto w oczy tak, że Nakayama odruchowo się odsunął. Powinienem teraz wyciągnąć gnata i rozwalić mu głowę, pomyślał z żalem. No nie, zganił się natychmiast w myślach. To byłoby w kiepskim stylu. Kurwa, sam za bardzo naoglądałem się tandetnych amerykańskich filmów. Powinienem raczej wyciągnąć nóż, przybić mu nim dłoń do blatu i wyjść spokojnie z lokalu, pogwizdując pod nosem.

Pan Toru westchnął rozmarzony, po czym zgasił papierosa o blat stołu. Świat się zmienił, pomyślał, i takim jak ja nie pozostaje nic innego, jak tylko ten fakt zaakceptować. No dobra, przynajmniej nie przedłużajmy tego niepotrzebnie.

– Co mam zrobić z tamtym gościem? – zapytał rzeczowo.

– Powstrzymać go – odparł szybko Nakayama, ocierając pot z czoła. – Jak mi powiedziano, należy powstrzymać go przed tym, co zamierza zrobić,

cokolwiek by to nie było, nim nastąpi noc przesilenia zimowego...

Pan Toru wybałuszył oczy. – No coś ty, Nakayama-san, wziąłeś się za pisanie poezji? – zarechotał.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale tak właśnie mi przekazano. Nic więcej nie powiem, bo sam nie wiem.

– Super – mruknął pan Toru. – Naprawdę, coraz bardziej mi się to podoba. Dobra, skupmy się na konkretach. Mam go kropnąć? – zapytał niemal z nadzieją. Nie lubił mokrej roboty, ale jeszcze bardziej nie lubił niepotrzebnych komplikacji.

– Tylko w ostateczności. Najlepiej sprowadź go do kraju w miarę możliwości w jednym kawałku, i po prostu przekaz dalej.

– Super. – Pan Toru potrząsnął głową i odruchowo sięgnął po kolejnego papierosa. Westchnął, przez moment obracał w ręku złotą papierośnicę, po czym z powrotem schował ją do kieszeni.

– To – Nakayama podał wizytówkę – namiary na twoje bilety lotnicze. Od ręki i bez problemu. Możesz wziąć ze sobą jednego człowieka do pomocy – nie chcemy niepotrzebnego zamieszania...

Pan Toru zerknął ponad głowę Nakayamy. Młody właśnie szeptał coś do ucha popiskującej z uciechy licealistce. A to się chłopak ucieszy, pomyślał z ironią, nie ma to jak wycieczka krajoznawcza. Może powinniśmy wziąć jeszcze te dwie farbowane cipy do towarzystwa, dla urozmaicenia misji urządzilibyśmy sobie małą orgietkę w tej całej Wara-shawie czy na innym europejskim zadupiu.

– Sugeruję też skorzystać z pomocy tłumacza. – Nakayama znów sięgnął do teczki. – Mam tu chyba odpowiednią kandydaturę. Proponuję w miarę szybko odwiedzić go osobiście i zabrać od razu ze sobą, tak na wszelki wypadek, żeby gdzieś nie nawiał. Biedak jeszcze nie wie, że z wami leci. Raczej nie zrobi tego z ochotą. Ale nie powinien odmówić.

– Tak. Profesorek, he? – Pan Toru uśmiechnął się krzywo, przeglądając kolejne *dossier*. – Hazard, zatuszowana sprawa o... No tak, rzeczywiście, nie powinien odmówić. – Wreszcie poczuł, że stąpa po dobrze znanym gruncie. – To już wszystko?

– Hm... – Nakayama wyraźnie się zawahał.

– Ta...? – burknął pan Toru zachęcająco.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, Toru-san. Twój cel...

– Ta? Były członek Organizacji? Mistrz nin-jitsu? Syn premiera Japonii z nieprawego łoża? – zakpił pan Toru. – No, wykrztuście wreszcie...

– Powiedziano mi, że... – Nakayama potrząsnął głową. – Sam nie wiem, co...

– Nakayama...

– To – łącznik wypuścił powietrze – *Kitsune*. Lub coś w tym rodzaju.

Pan Toru zamarł na moment w bezruchu, po czym znów wyjął papierośnicę.

– *Kitsune*? – zapytał spokojnie.

– Albo coś w tym rodzaju – dodał szybko Nakayama, jakby na pocieszenie.

Pan Toru zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Nie doceniłem go, pomyślał, taksując z niechętnym uznaniem oblicze rozmówcy. Cóż za wyrafinowana zniewaga! Sam to wymyślił? Nie, to raczej niemożliwe – zdecydował, wpatrując się w gęsty pot spływający po obliczu Nakayamy. Zgodnie z tradycją Toru powinien odesłać głowę bezczelnego posłańca. No, ale kto był w takim razie autorem tego zaskakującego kawału? Komu mógł się aż tak narazić?

– Wiem, co myślisz, Toru-san – wydukał szybko łącznik, jakby przeczuwając, że właśnie ważą się jego losy – ale to naprawdę żaden żart. Przekazuję jedynie szczegóły misji, najlepiej jak potrafię.

Pan Toru demonstracyjnie dmuchnął dymem prosto w oczy tamtemu, wpatrując się w niego uważnie. Tym razem, trzeba to przyznać, Nakayama nie drgnął nawet o milimetr. Nie kłamie, uznał pan Toru. Kurwa, tym razem to już naprawdę wdepnąłem w gówno.

– Nie wydaje mi się – wycedził powoli – żebym był jakimś szczególnym specjalistą od *kitsune*. Z pewnością dałoby się znaleźć kogoś znacznie bardziej kompetentnego w tym zakresie. Dajmy na to, w jakimś klasztorze buddyjskim. Albo w domu wariatów.

– Mówiłem, że sprawa jest delikatna. Wszyscy wierzą, że ty najlepiej sobie z tym poradzisz.

Pan Toru w zamyśleniu pokiwał głową.

– Nie zostawiono cię zupełnie bez pomocy – dodał Nakayama pocieszająco. – Tutaj są pewne notatki i instrukcje, które mogą okazać się pomocne. A tutaj – specjalnie zajrzałem po drodze do księgarni – interesujące studium autorstwa Kiyoshi Nozakięgo, będące kompilacją różnych starych źródeł. Będziesz mógł sobie poczytać... – Nakayama zająknął się, widząc groźne spojrzenie pana Toru – w samolocie...

– Naprawdę? Jakże miło z twojej strony – odrzekł pan Toru ze śmiertelną powagą. – Niewątpliwie okaże się pomocne.

– I jeszcze coś. – Tamten wyciągnął kolejną wizytówkę. – Były mnich z góry Koya. Czeka na miejscu, w Tokio. Również spotkaj się z nim przed wyjazdem. Przekaze ci rodzaj amuletu, który powinien cię ochronić przed hm... no, sam wiesz...

– Tak, tak – mruknął pan Toru z niewzruszoną rezygnacją, niemalże pogodzony już z losem. – Coś jeszcze, o czym powinienes mi powiedzieć?

– Już nic! – zawołał Nakayama z wyraźną ulgą. – Wszystko, czego potrzebujesz jest tutaj. – Położył teczkę na stole. – Powodzenia, Toru-san. Wierzmy, że jak zwykle nie zawiedziesz.



Pan Toru nie odprowadził go wzrokiem. Spokojnie wypalił papierosa do końca, po czym od niechcienia zaczął przeglądać teczkę.

Porando. No tak. A to chyba nazwa miasta, zapisana w romanji. Miejsce mojego ostatecznego upokorzenia, pomyślał z zadumą. Muszę się przynajmniej nauczyć przyzwycie je wymawiać. Ki... Kijo... Kiero... Kie-ru-ce?

1.

## Kielecki spleen

Gdy w końcu Piotr dotarł na miejsce, dawno zapadł już zmrok. Teren przed bramą cmentarza w Cedzynie całkiem opustoszał. Handlującym zniczami i innymi cmentarnymi akcesoriami nie chciało się najwyraźniej marznąć w oczekiwaniu na niepewnego klienta.

Piotr wysiadł z samochodu i wyjął z bagażnika zgrzewkę lampek, zakupioną przy którejś okazji w Makro. Nie żeby przywiązywał aż tak wielką wagę do zapalania zniczy, ale z natury był zapobiegliwy.

Szedł długą, prostą alejką wzdłuż zdyscyplinowanych szeregów grobowców. Nad głową huczał zimny wiatr, smutne, deszczowe niebo przypatrywało się wszystkiemu ze zwyczajną obojętnością. Nawet w lecie było tu ponuro.

Piotr z reguły lubił cmentarze, ale preferował te stare, bardziej tradycyjne i chaotyczne. Nierówne ścieżki z rzędami omszałych nagrobków, z napisami zatartymi przez czas i pogodę. Kilkudziesięcioletnie klony i kasztany, chroniące spokój zmarłych przed tym, co czaiło się na zewnątrz. Pozostałe kieleckie cmentarze miały w sobie właśnie to coś i Piotr często żałował, że to nie na którymś z nich pochowani zostali jego rodzice. Lubiał zwłaszcza cmentarz nad miejskim zalewem – często przebiegał tam rano, uprawiając jogging, zaś w nocy przypatrywał się z okien swego mieszkania zagadkowym ogniom zniczy po drugiej stronie tafli wody.

Kiedyś z lenistwa zaczął nawet rozważać egzotyczny pomysł, czy po prostu nie przeprowadzić rodziców w bardziej dogodne dla siebie miejsce, ale po krótkim wahaniu odrzucił go, nie dlatego nawet, że technicznie wydawał się trudny do zrealizowania. Chyba jednak nie chciałby, by byli zbyt blisko, by nadal przypatrywali się jego sterylnemu życiu, tak bardzo różniącemu się od ich własnego. Nie, lepiej, żeby zostali tutaj, pogrążeni w spokoju i błogiej nieświadomości.

Nieczęsto odwiedzał cmentarz w Cedzynie. Na pewno zbyt rzadko, jak na standardy ojca i matki, którzy za życia z kolei przynajmniej raz w miesiącu porządkowali groby dziadków i innych krewnych. Czasem zastanawiał się nawet, czy nie powinien odczuwać z tego powodu wyrzutów sumienia czy innego dyskomfortu. Tak czy owak jednak, nie odczuwał.

Zatrzymał się na moment, zdezorientowany, próbując odnaleźć właściwe miejsce. Jeszcze całkiem niedawno boczna alejka, w której znajdował się grób państwa Jaskulskich, była ostatnia. Dziś, stojąc tutaj, nie potrafił dostrzec końca cmentarza. Miasto martwych rozrastało się w zadziwiającym tempie, o wiele, zdawałoby się, szybciej niż położone kilka kilometrów dalej miasto żywych.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk za swoimi plecami. Szuranie kroków? Drgnął i powoli się odwrócił, tknięty podświadomym impulsem.

Droga za nim była całkiem pusta, dopiero dwieście metrów dalej, przy samej bramie dostrzegł jakiegoś staruszka. To z pewnością nie od niego pochodził ten dźwięk. Czemu w ogóle tak go zaalarmował? Było późno, ale obecność jakiegoś innego odwiedzającego nie byłaby przecież niczym niezwykłym.

Wtem, samym kątem oka, dostrzegł ruch pomiędzy grobami po lewej stronie alejki. Szybko podążył tam wzrokiem – i znów niczego nie

dostrzegł. Nie rozumiejąc czemu, poczuł, jak włos jeży mu się na karku. Czuć się nieswojo, spacerując samotnie po ciemnym cmentarzu? – pomyślał z rozbawieniem. Cholernie oklepane.

Wreszcie odnalazł właściwą alejkę i ruszył szybko przed siebie. Na grobach paliło się całkiem sporo zniczy, jak zwykle przed zbliżającym się Bożym Narodzeniem. Cóż, gdyby ktoś go pytał o zdanie, czas jak każdy inny.

Stanął nad grobem i przez chwilę wpatrywał się w wygrawerowane na marmurze litery. Ojciec zmarł we śnie, dokładnie siedem lat wcześniej, kiedy on sam przebywał w Londynie. Gdy matka obudziła się, zapewne był już zimny od dwóch czy trzech godzin. Zdażyła jeszcze wezwać pogotowie – dyspozytorka, z którą później rozmawiał, twierdziła, że miała zaskakująco pewny, spokojny głos. Kiedy pogotowie przybyło po dwudziestu minutach, drzwi były zamknięte i nikt nie odpowiadał. Po jakiejś godzinie policja w końcu wyważyła drzwi i znalazła dwa trupy. Matka leżała obok ojca na łóżku. Lekarz stwierdził dwa zawały. „Po prostu serce pękło jej z żalu” – stwierdziła cokolwiek sentymentalna ciotka Krystyna. Cóż, trzeba było w każdym razie przyznać, że ich serca były zgodnym rytmem. Piotr, chcąc nie chcąc, uznał, że był w tym jakiś dyskretny, zupełnie nie filmowy i nie literacki romantyzm. Nutka przeznaczenia – zadziwiająco nie spektakularna i łatwa do zignorowania, a jednak dająca twarde świadectwo istnienia rzeczy, w które on sam nigdy specjalnie nie wierzył.

Niezbyt zżyta, za to liczna rodzina (Jaskulscy mieszkali w Kielcach od dobrych paru pokoleń) – te wszystkie ciotki, wujkowie i kuzyni, z którymi nie mógł nigdy znaleźć wspólnego języka – tym razem sprawnie się wszystkim zajęli. Piotr przybył niemal na sam pogrzeb. Niechętnie wytrwał do końca stypy, po czym na dwa dni zamknął się w mieszkaniu rodziców,

porządkując zdjęcia i pamiątki. Czwartego dnia z samego ranka wsiadł do pociągu do Warszawy, by zdążyć na przedpołudniowy samolot do Londynu i na powrót pogрузić się w pracy.

Gdy wreszcie zakończył swą londyńską odyseję i znów znalazł się w rodzinnym mieście, częstotliwość jego odwiedzin na cmentarzu w zasadzie się nie zmieniła. Ot, przychodził dla przyzwoitości we Wszystkich Świętych i w rocznicę śmierci, choć często tak jak dziś, z kilkudniowym poślizgiem. Krewni, z którymi przez jakiś czas utrzymywał jeszcze sporadyczne kontakty, nieco mu to wypominali, zwłaszcza wtedy, gdy nie przejawiał ochoty, by zawozić ich na cmentarz swoim samochodem. Cóż, nawet gdy matka jeszcze żyła, ku jej wielkiemu żalowi, nie przejmował się specjalnie jej licznym rodzeństwem z jeszcze liczniejszą progeniturą. Po śmierci rodziców bez większych skrupułów stopniowo zarzucił nawet i te czysto okolicznościowe relacje. Po co w końcu miałyby się spotykać z ludźmi, z którymi w gruncie rzeczy nic go nie łączyło, i którzy zazwyczaj przypominali sobie o jego istnieniu dopiero wtedy, kiedy czegoś potrzebowali? Piotr racjonalnie wszystko skalkulował i uznał, że nie warto tracić czasu i benzyny, nawet, jak go przekonywała w miarę życzliwie nastawiona ciotka Krystyna, w imię pamięci matki.

Na grobie stało kilka wypalonych zniczy – pozostałości wizyty tamtych. Sprzątnął je do reklamówki, następnie pozapalał i poustawiał własne. Nigdy nie był specjalnie wierzący, ale z wyniesionego z czasów dzieciństwa rytualnego przyzwyczajenia zmówił krótką modlitwę.

Nie był też oczywiście pozbawionym ludzkich uczuć potworem, za jakiego zgodnie uznała go cała rodzina, gdy odmówił kolejnej gotówkowej pożyczki, jednak ciotka Krystyna myliła się, tłumacząc pozostałym, iż rzadko chodzi na cmentarz, bo „pamięć rodziców niesie w sercu”. Co za banał! Tak naprawdę, nie myślał o nich zbyt wiele. Jeżeli już, to nie jak

o realnych osobach, lecz jak o symbolu dzieciństwa, symbolu przeszłości, która zawieruszyła się gdzieś po drodze, straciła swą ciągłość, tak że czasem zastanawiał się nawet, czy to aby na pewno jego dzieciństwo i jego przeszłość.

I tak oto Andrzej i Anna Jaskulscy stopniowo stali się częścią wieku legend; odległej monotonii ery późnego Gierka, następnie zaś na pozór mrocznych, ale we wspomnieniach dziecka w dalszym ciągu przytulnych lat osiemdziesiątych. Czasu kolejek za chlebem i rezolutnie przemierzających polskie drogi syrenek i trabantów. Czasu, gdy pomimo nieustannych kryzysów i codziennych trudności ludzie nie byli chyba aż tak zagubieni i samotni. Gdy przyszłe wyegzekwowanie we własnym życiu różnego rodzaju sentymentalnych, sielskich banałów wydawało się oczywiste, a już na pewno bardziej realne niż zrobienie kariery menadżera i uzyskanie zarobków pozwalających na zakup 120-metrowego apartamentu (cokolwiek absurdalnego w swej zakurzonej przeważnie redundancji) oraz najnowszego modelu Lexusa (założone wrażenie dyskretnego snobizmu psuła zazwyczaj gruba warstwa brudu oblepiająca czarną karoserię, jako że Piotr rzadko znajdował czas, by udać się na myjnię).

Wyprostował się i jeszcze przez moment wpatrywał w nagrobek. To dziwne, zastanawiał się po raz setny, jak bardzo jego życie różniło się od życia rodziców. A gdzie geny? Gdzie wychowanie? Czy wystarczyło skwitować tę anomalię stwierdzeniem, iż po prostu czasy się zmieniły?

Szczerze powiedziawszy, sam Piotr w najmniejszym stopniu nie miał poczucia, że osiągnięty rezultat końcowy był wynikiem jakichkolwiek świadomych wyborów – on sam jedynie konsekwentnie realizował cele, które były do zrealizowania. Egzekwował w swym życiu to, co dało się wyegzekwować. Czy tak samo było z rodzicami?

Nagle poczuł, że włos znów jeży mu się na karku. Wrażenie obecności, czyjaś uwaga, zawieszona w chłodnym powietrzu, osaczająca go pobłażliwą ironią.

Uniósł wzrok, dziesięć metrów, dalej pomiędzy grobami, żółte ślepia zaświeciły w ciemności. Kot? Bezpański pies? Lśniące źrenice spoglądały na niego kpiąco, niedbale kontemplując wraz z nim całe jego życie, bezczelnie wyśmiewając się z jego egzystencjalnych dylematów...

– Co u... – szepnął Piotr.

Żółte ślepia zgasły, jakiś cień przemknął pomiędzy nagrobkami, machając bezczelnie puszystym ogonem. Dziwne wrażenie ustąpiło. Chyba raczej pies niż kot, skonstatował Piotr odruchowo.

Ruszył w drogę powrotną. Reklamówkę ze zużyтыми zniczami wyrzucił do kosza, znajdującego się w głównej alejce.

Brzęczyk „auld lang syne” złapał go w połowie drogi. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął srebrną, wszystko mającą nokię. Spojrzał na wyświetlacz i zdecydował się odebrać telefon.

– Tak, pani Sylwio?

– Przepraszam, że tak późno, panie dyrektorze, ale dopiero pół godziny temu dodzwoniłam się do Wieśki z logistyki... – usłyszał podekscytowany głos swej sekretarki. – Chyba miał pan rację. Żółtek jest na jutro umówiony z kimś z Warszawy, chyba z Amundsena.

– Kyubimori? – doprecyzował Piotr.

– No, toż mówię – szepnęła konfidencjonalnie pani Sylwia. – To nic pewnego, ale...

– Ozawa o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Pewnie wie, ale niekoniecznie oficjalnie, tak więc w razie czego będzie mógł taktownie udawać, że nie wie. Jak to z tymi żółtkami.

– Uhm – mruknął niechętnie. – A Chudzik?

– Chyba równie zielony, co pan – zagalopowała się pani Sylwia – o przepraszam, nie chciałam...

– Nie szkodzi – odparł sucho. – Wiadomo gdzie i o której?

– Tego Wieśka nie powiedziała. No, ale myślę, że po prostu u niego. A... sekretarka Chudzika pytała, czy pan będzie..

– I co jej pani powiedziała?

– Że wziął pan dwudniowy urlop.

– Dobrze. – Namyslał się przez krótką chwilę. – Jednak przyjdę jutro do biura. Dziękuję.

– Zawsze do usług, panie dyrektorze – odrzekła pani Sylwia jowialnie. – A też pojedzie pan na tę jutrzejszą galę do Centrum Biznesu?

– Zastanowię się jeszcze – westchnął Piotr. – W każdym razie pani nic nie wie, jakby kto pytał.

– Jasna sprawa. Do widzenia, panie dyrektorze.

– Do widzenia – odparł Piotr i rozłączył się.

Tuż przed samą bramą zatrzymał się raz jeszcze i odwrócił, kontemplując przez chwilę rozświetloną zniczami szarówkę. Uznał, że woli, kiedy jest tutaj zupełnie pusto, tak jak teraz.

Zmarszczył brwi; wydało mu się, że jeden ze zniczy oderwał się od grobu i wzbił się w powietrze, leniwie spacerując w poprzek alejki. Wędrujący płomień? Złudzenie optyczne? Wzruszył ramionami, przeszedł przez bramę i skierował się w stronę opustoszałego już parkingu.

Piotr Jaskulski, dyrektor finansowy KZDM-Nagita Kielce otworzył drzwi swej wypasionej, choć w obecnym stanie nieco abnegackiej zarazem bryki, zajął miejsce za kierownicą i ruszył do miasta. Prowadzenie zazwyczaj pomagało mu się odstresować. Z zasady jeździł szybko, ale bezpiecznie, niedbale kontemplując poczucie kontroli nad własnym



umysłem; żaden stres, żadne zdenerwowanie nie mogło mieć najmniejszego wpływu na jego reakcje i wyczucie drogi.

Tym razem jednak czarny lexus przemieszczał się powoli, klucząc pomiędzy monstrualnymi dziurami w nawierzchni, odsłoniętymi przez chwilową odwilż. Władze miasta poradziły sobie z tym problemem w typowo polski sposób – na najgorszych odcinkach ustawiono po prostu dwa znaki ”uwaga nierówna nawierzchnia” oraz „ograniczenie prędkości do 30 km/h”. Dzięki temu genialnemu rozwiązaniu uniknięto wydatków zarówno na remont nawierzchni, jak i na procesy sądowe z co bardziej pechowymi i idealistycznie nastawionymi kierowcami.

A kieleckie dziury naprawdę potrafiły zaskoczyć. Piotr przypomniał sobie potężną wyrwę na jednej z bocznych uliczek w samym mieście, znajdującą się niemal dokładnie naprzeciwko apteki, gdzie poprzedniego dnia robił zakupy. Nieźle zamaskowana przy samej krawędzi jezdni i, oczywiście, nijak nieoznakowana czaiła się na każdego, kto nie dostrzegł jej w porę. Wjechanie w nią z minimalną nawet prędkością groziło uszkodzeniami. Ciekawe, czy przed świętami postanowią coś z tym zrobić?

Pojechał prosto na pływalnię. Lubił kończyć dzień intensywną sesją na basenie. Wysilek fizyczny, podobnie jak prowadzenie samochodu, również dawał złudne poczucie kontroli – jeśli nie nad rzeczywistością, to przynajmniej nad własnym ciałem i umysłem, nad zmęczeniem i nudą, nad poczuciem, że w jego życiu nie ma już żadnych celów, a pozostały jedynie same środki i wystarczy jeden moment nieuwagi, jedna chwila nieopanowania, by sobie o tym przypomnieć.

Kilka kilometrów za miastem, w Nowinach, znajdował się luksusowy obiekt, ale on z lenistwa wolał jeździć na basen znajdujący się nieopodal jego mieszkania. Na pozór wieczór nie wydawał się najlepszą porą – basen był wtedy zapchany łysymi osiłkami. Na szczęście tamci większość czasu

i energii wkładali w rytualne umacnianie więzi grupowych: kurwowanie, rechoty i poszturchiwania. Jedynie od czasu do czasu któryś z nich leniwie wykonywał skok na główkę, rozchlapując wodę po połowie basenu, a nawet wykonywał kilka agresywnych (choć mało efektywnych) ruchów. W sumie Piotr mógł więc w miarę swobodnie poruszać się po swoim torze. Dziś jednak robił to dość niedbale, cały czas rozważając implikacje nowin, jakie usłyszał od pani Sylwii.

Członek zarządu o bliżej nieustalonych kompetencjach i uprawnieniach, podejmujący działania w sprawie kredytowania nowej inwestycji poza wiedzą dyrektora finansowego... Inwestycji, która, dodajmy, nie została jak dotąd przez nikogo oficjalnie ani choćby nieoficjalnie zaakceptowana. Nie chodziło tylko o to, że cała sprawa musiała być w oczywisty sposób niepokojąca dla samego dyrektora finansowego. Była po prostu... dziwna. W sumie tak jak i wszystko, co wiązało się z Kyubimorim. Sho jakoś nie pasował nawet do egzotycznego polsko-japońskiego zarządu firmy, który z mniejszym lub większym powodzeniem funkcjonował od paru lat.

Cóż, zapewne jutro on sam nie uniknie już mniejszej bądź większej konfrontacji. Piotr miał nadzieję, że rzecz jednak rozejdzie się po kościach, ale mogło się też okazać, że – na przykład – od dawna nie jest już dyrektorem finansowym, o czym, przez uprzejmość, nie poinformowano go, zakładając, że taktownie sam się w końcu domyśli. Takie rzeczy, jak słyszał, zdarzały się w japońskich firmach.

Nabrał powietrza i zanurkował, chcąc utopić cały spowijający go niepokój.

Do domu wrócił dopiero po dwudziestej. Zostawił samochód w hali garażowej i wjechał windą na ostatnie piętro. Czuł się kompletnie wypompowany.

Apartamentowiec, w którym mieszkał – jak szumnie ochrzcił czteropiętrowy budynek lokalny developer – na kieleckie warunki rzeczywiście trącił luksusem. Choćby z powodu windy. No a poza tym blok położony był nad miejskim zalewem, tuż nad plażą. Aż zastanawiające, jak inwestorowi udało się uzyskać zgodę na budowę, w dość efektowny sposób zakłócającą krajobraz. Piotr osobiście nigdy by jej nie udzielił. No, ale skoro apartamentowiec już powstał, pragmatycznie uznał, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby to właśnie jemu przypadła przyjemność zamieszkania w nim. Miejsce było zresztą położone o kilka minut drogi od szarego, betonowego wieżowca, w którym się wychował, co również w jakiś sposób uwarunkowało jego wybór.

Odkąd zbiornik wyczyszczono, postawiono latarnie i stworzono żwirową ścieżkę, rzeczywiście zrobiło się tu znośnie. Zalew stopniowo przestał być domeną wędkarzy i lokalnych pijaczków, a stał się całkiem modnym miejscem. W samym budynku pomimo stosunkowo wysokiej ceny mieszkania wykupiono błyskawicznie.

Otworzył drzwi przeciwwłamaniowe i wszedł do środka, zapalając światło w przedpokoju. Niedbale rzucił na podłogę biurową teczkę i torbę z resztą ekwipunku, ściągnął marynarkę i poluzował krawat. Przez chwilę kontemplował czterdziestometrową przestrzeń salonu przechodzącego w aneks kuchenny. O takiej rozpuście państwo Jaskulscy mogliby tylko pomarzyć. Rodzice całe życie składali fundusze na domek z ogródkiem, ale prawdopodobnie nie naskładaliby na niego, nawet gdyby przyszło im żyć dwadzieścia lat dłużej.

Wyjął z podwójnej lodówki (kolejny przerost formy nad zawartością) dwie gotowe kanapki, których nie zdążył zjeść rano, oraz butelkę becka. Opadł na fotel, położył nogi na stole i bez przekonania zabrał się do

konsumpcji. Od niechcienia wpatrywał się w ciemny ekran telewizora; po krótkiej chwili walki ze sobą uznał, że powinien taki pozostać.

Odstawił nadgryzioną kanapkę i sięgnął po piwo. To dziwne, ale nie czuł już zdenerwowania przed jutrzejszym dniem, chociaż dzień ten mógł przecież przesądzić o jego przyszłości w firmie. Czy sprawił to wysiłek na pływalni, czy też po prostu właśnie przekroczył jakiś punkt krytyczny, po którego drugiej stronie nie sposób już było przejmować się karierą w KZDM-Nagita? Nawet najbardziej pragmatycznym menadżerom trafiają się takie chwile. Był zaradny i miał szczęście; wcześniej czy później znajdzie sobie jakąś sensowną posadę. A jeśli nawet nie – tego wieczoru wydawało się to jakoś bez znaczenia.

„Bo ja jestem, proszę pana, na zakręcie”, z ironią przypomniał sobie słowa piosenki. Kto wie, może jednak lepiej byłoby od czasu do czasu znaleźć się „na zakręcie” niż – tak jak on – wieść życie zaplanowane co do sekundy.

Poczuł się jakoś samotnie. Oczywiście ciężko było to nazwać objawieniem. Nigdy nie miał tendencji, żeby uważać się nad sobą z tak prozaicznego powodu jak samotność. Była zbyt powszechna i zbyt banalna. W gruncie rzeczy to ona stanowiła statystyczną normę, nie zaś skromna idylla jego rodziców. Niektórzy mieli zresztą jeszcze gorzej. Taka pani Sylwia na przykład. Jej mąż pijak szczęśliwie zszedł już z tego świata, ale syn dzielnie kontynuował dzieło ojca. Piotr był pewien, iż pomimo okazjonalnego wylewania żalów w towarzystwie co bardziej zaufanych koleżanek (tutaj makiaweliczna zazwyczaj w innych sprawach pani Sylwia chyba przesadziła z tym zaufaniem, bo plotki o jej problemach błyskawicznie rozchodziły się po firmie) tak naprawdę nie ulegało wątpliwości, że jest w swoim nieszczęściu całkiem samotna. Albo Chudzik, główny księgowy i etatowy rywal Piotra jeszcze sprzed ery Kyubimoriego.

Facet był tak zaganiany, że do tej pory nie znalazł czasu, żeby rozwieść się z własną żoną, która wyprowadziła się od niego już ponad dwa lata temu; nie był już nawet w stanie choćby unieść wzroku i dostrzec swojego zagubienia. Albo sekretarka Mariola, półoficjalna kochanka Chudzika – z czasów kiedy ten miał jeszcze nerwy i głowę do kochanek – której mąż i dziecko zginęli w wypadku samochodowym. Większość pracowników KZDM-Nagita sądziła naiwnie, że kolejne biurowe romanse mają jej pomóc w karierze, ale Piotr był przekonany, iż w gruncie rzeczy chodziło tutaj jedynie o kamuflowanie samotności i ucieczkę od wspomnień. Czy kuzyn Piotra, Mariusz, którego po 15 latach małżeństwa własna żona wyrzuciła z domu teściów, twierdząc, że „nie stara się zapewnić jej wystarczającego komfortu życia” i który samotność musiał odkrywać, kompletnie nieprzygotowany i niekompetentny, w czterdziestym roku życia. Albo... Piotr mógłby podać setki takich przykładów.

W sumie jego przypadek nie był szczególnie dotkliwy. Gdyby miał więcej pychy, mógłby nawet uważać, iż jego własna samotność jest w jakiś sposób lepsza, czystsza, pozbawiona tych wszystkich życiowych komplikacji i uwikłań. Tych kłótni małżeńskich i pozamałżeńskich, zdrad, nawracających nałogów, zawistnych krewnych i wypadków losowych. Tych smutnych klątek, w których ludzie z takim upodobaniem zamykali siebie samych lub swych bliskich. Samotność Piotra była bardziej subtelna, neutralna, sterylna, wynikała nie tyle z konkretnych zdarzeń czy zaniechań, co – jak przypuszczał – z samej niemożności trwałego przejścia w inny, lepszy stan, w jakiś sposób wpisanej w niewzruszone prawa fizyki. Bez trudu mógł za to wyobrazić sobie przejście w stany o wiele gorsze. W sumie do swej samotności miał chyba stosunek podobny jak do alkoholu – starał się kontemplować ją w sposób ostrożny i świadomy. Zazwyczaj się udawało.

Mimo to, cholera, czuł się tak jakoś ... samotnie.

Sięgnął do szuflady komody i wyjął z niej zakurzony notes z telefonami. Robił w nim notatki już od czasu studiów. Ciekawe, czemu nigdy go nie wyrzucił? Czyżby w głębi duszy był sentymentalny?

Z analityczną pieczołowitością przebiegał kolejne stronicie. Numery telefonów; wizytówki dawnych, zapomnianych epok. Zebrała się ich całkiem spora kolekcja. Większość stanowiły oczywiście numery całkiem przypadkowe, jednokrotne, pragmatyczne, począwszy od numerów hydraulików, a na numerach partnerów biznesowych z różnych etapów kariery Piotra skończywszy. Ale były też i numery, które niosły ze sobą ciekawsze historie. Nieaktualny już pewnie numer komórki Leszka, niegdyś serdecznego kolegi z oddziału Banku Świętokrzyskiego. Prawdopodobnie nadal aktualny numer telefonu Marty, miłej, spokojnej i niebrzydkiej w zasadzie nauczycielki, poznanej na imieninach kolegi, do której nie zadzwonił, gdyż wydała mu się nudna i zwyczajna – zupełnie jakby on sam był w jakikolwiek sposób niezwykły! Potem żona kolegi robiła mu nawet wyrzuty z tego tytułu, uświadomiwszy przy okazji, jak bardzo Marta czekała na jego telefon. Numer telefonu...

Sześć- lub siedmiocyfrowe opowieści. Goście z innych światów. Numery obojętne, obrażone, dalekie, wrogie, oszalałe, wymarłe... Numery zlekceważone i porzucone, na widok których odczuwał wyrzuty sumienia.

Zatrzymał się na moment pod literą K. Zmarszczył brwi, wpatrując się w linijkę pieczołowicie zamazaną czarnym długopisem. Tak naprawdę, gdyby tylko zechciał, byłby w stanie odtworzyć go z pamięci. Jeśli zaś okazałby się nieaktualny, znalezienie nowego też nie nastęczyłoby aż tak wielkiego problemu. Potrząsnął głową, pamiętając, jak wiele wysiłku kosztowało go, by zamknąć tego dzina w butelce. Nie miał zamiaru rujnować swojej ciężkiej pracy.

Przerzucił kolejną kartkę. Tak, mruknął sam do siebie, zawsze znajdzie się choć jeden numer telefonu, pod który można od biedy zadzwonić w wieczór taki jak ten.

Wystukał na klawiaturze numer kolegi z liceum, z którym utrzymywał sporadyczne kontakty.

– Słucham? – Usłyszał w słuchawce zmęczony głos Mirka.

– Cześć – powiedział. – To ja. Piotr Jaskulski – dodał zapobiegawczo.

– O, witam pana prezesa. – Mirek jakby się ożywił. – Co słyhać w wielkim świecie?

– Dyrektora – sprostował cierpliwie Piotr. – Rozumiem, że masz na myśli KZDM-Nagitę? Jeszcze miesiąc temu powiedziałbym, że same nudy, ale wraz z przybyciem nowego Japońca do zarządu zrobiło się jakby bardziej rozrywkowo. Jak źle pójdzie, to stracę pracę.

– No, no, coś takiego. – Mirek był pod wrażeniem. – Ja to średnio raz na miesiąc boję się, że stracę pracę, a ostatnio nawet częściej, bo Gruby jest wkurwiony machlojkami byłego księgowego i wyżywa się na wszystkich dookoła. No, no, nie sądziłem, że ty też miewasz takie kłopoty. Jakbyś ją stracił w ciągu najbliższego tygodnia, to daj znać, u nas jest posada księgowego do wzięcia. Mogę zarekomendować cię Grubemu.

– Posada księgowego w domu handlowym „Lux”? Dzięki, pomyślę o tym – odrzekł gładko Piotr. – A co poza tym u ciebie?

– Poza czym? Przygotowaniami do świąt? – westchnął Mirek. Gdzieś w tle zabrzmiał nieco histeryczny głos Mikołaja sprzeciwiającego się pójściu do łóżka i stanowcza replika Eli. – Poza tym nic specjalnego – dokończył. – Oboje wciąż pracujemy tam, gdzie pracowaliśmy, i zarabiamy, ile zarabialiśmy. Niestety. Mieszkamy, gdzie mieszkaliśmy, na wypadek, gdybyś chciał nas odwiedzić. A... i Mikołajek nie może się zdecydować na wybór gimnazjum...

– Gimnazjum? – udał zdziwienie Piotr. – Jesteś pewien, że nie podstawówki?

– No – zaśmiał się tamten. – Nawet nie zauważysz, jak kiedyś twój telefon odbiorą nasze wnuki. No a co tam u ciebie? Wiatr nie wieje w tym twoim hotelu nad zalewem? Jakbyś się wreszcie ożenił, miałyby ci przynajmniej kto ścierać kurze...

– Dzięki, raz na miesiąc wynajmuję kobietę do sprzątnia.

– Kwestię pozostałych małżeńskich potrzeb również załatwiasz przez wynajem? – zareplikował Mirek. – Też raz na miesiąc czy częściej?

– Że też po całym dniu zapieprzania chce ci się jeszcze być złośliwym – skomentował Piotr z uznaniem.

– Wrodzony talent, no a poza tym... Przepraszam na moment – przerwał Mirek. – No nie, Mikołaj, mówiłem ci już przecież, że nie... – Słowa kolegi rozmyły się w domowym rozgardiaszu.

Piotr uśmiechnął się pod nosem. Czy zamieniłby się z tamtym na jego życie? Stwierdził, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

– No, przepraszam. – Po dłuższej chwili Mirek wrócił do telefonu. – Słuchaj, muszę kończyć, Ela mnie morduje paroma sprawami. Miałyby ochotę wpaść do nas pomiędzy świętami? Raczej będziemy w domu. No, chyba że ty się znowu wybierasz do jakiejś Austrii czy innej Szwajcarii na narty?

– Nie, też się nigdzie nie wybieram. Kto wie, może wpadnę.

– Dobra, to na razie, dzwoniemy się. Wesołych Świąt.

– Na razie. Wesołych Świąt.

Piotr odłożył słuchawkę i przez chwilę trwał w zamyśleniu.

Otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na taras, nabierając do płuc chłodnego, orzeźwiającego powietrza. Świeczki po drugiej stronie zalewu z trudem przebijały przez mgłę. Widok był ładny, ale...



Każdy widok musi się w końcu znudzić.

Od niechcienia przeniósł wzrok dalej, w stronę obiegającej zalew ścieżki i gęstego zagajnika, który porastał brzegi. Pojedynczy szczegół przykuł jego uwagę: jakieś światło wędrowało pomiędzy krzakami, rozświetlając otulone mgłą konary. Ktoś przedzierał się przez zagajnik z latarką? O tej porze? Ale nie, światło bardziej przypominało wędrującą w powietrzu pochodnię niż anemiczny blask latarki. Przypomniał sobie tamtą scenę na cmentarzu – znicz frunący leniwie w poprzek alejki. Kolejne złudzenie? Gra nadpobudliwej wyobraźni?

Ognik hipnotyzował go swymi na pozór przypadkowymi, a jednak w jakiś sposób dziwnie celowymi ruchami. I znów tak jak wtedy na cmentarzu poczuł, że czyjeś oczy przeszywają go na wskroś, jednym niehumanoidalnie przenikliwym, niebezpiecznym spojrzeniem ogarniając całe jego życie...

Z wysiłkiem zamrugał powiekami i potrząsnął głową. Tajemniczy ogień zniknął. Ha, naprawdę jeszcze tylko tego brakuje, żeby mi, najnormalniej w świecie, odpierdoliło, pomyślał z autoironią.

Ziewnął przeciągle i wrócił do mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi na balkon.

Szybko dopił piwo, przebrał się w piżamę, nastawił budzik na siódmą i prawie zaraz zasnął.

Choć zupełnie się tego nie spodziewał, przyśniły mu się demony.

2.

## Okienko nr 6

Przyśniły mu się demony. A zaczęło się całkiem standardowo. Siedział jak zwykle na swoim stanowisku w banku i myślał o dziewczynie, która pracowała na drugim krańcu sali. Tak bardzo zależało mu, by się do niej zbliżyć. Ale wbrew pozorom nie było to takie proste.

W prawdziwym życiu pewnie wystarczyłoby leniwie spojrzeć na zegarek, poprosić kolegę o zastępstwo, wstać z miejsca, przejść te dziesięć metrów i zapytać koleżankę, czy nie miałaby ochoty na lunch w pobliskim barze wietnamskim. Później już mogło się oczywiście ułożyć bardzo różnie, ale przynajmniej ten pierwszy krok był oczywisty.

We śnie było dokładnie na odwrót. Piotr wierzył, że gdzieś tam, na końcu sali, znajduje się dziewczyna jego marzeń i snów. Ba, był święcie przekonany, że kiedy tylko spotkają się twarzą w twarz, ona również rozpozna przeznaczenie i razem odnajdą drogę wyjścia z gnębiącego go od lat koszmaru; gdzieś w przestrzeni otworzy się rozświetlony korytarz, którym opuszczą widmowy bank, i wkroczą w obszar prawdziwego marzenia sennego, które – jak wielokrotnie słyszał – przydarzają się niekiedy nie tylko poetom, ale i zwykłym ludziom, oczywiście na miarę ich tęsknot i potrzeb.

Był pewien, że tak naprawdę potrzebuje tylko jednego spojrzenia, jednego uśmiechu, jednego słowa. Wszystko, czego musiał dokonać, to

tylko znaleźć się na drugim końcu sali i zwrócić uwagę jasnowłosej dziewczyny w szarym służbowym żakiecie.

I tu pojawiał się problem; rzeczywistość snu w niezrozumiały i pozbawiony jakiegokolwiek logiki sposób sabotowała jego dążenia. Zaczynało się od tego, że nie mógł stwierdzić, czy przerwa rzeczywiście się już zaczęła. Zegarek nagle zniknął: albo nie dało się skoncentrować na nim wzroku, albo jeśli w końcu się to udawało, na cyferblacie pojawiała się, dajmy na to, transmisja z sejmu. Więc – chcąc przechytryć wredny czasomierz – wyrabiał w sobie arbitralnie przekonanie, że pora już na pewno jest odpowiednia, albo po prostu olewał kwestię dyscypliny pracy i buntowniczo podnosił się z obrotowego krzesła. Wtedy jednak napadał go niespodziewany klient, a jeśli było trzeba, dwóch czy trzech naraz. Zadęrczali go debilnymi pytaniami, krzyczeli na niego, a w skrajnych przypadkach nawet szarpali za ubranie.

Czasem i to nie pomagało. Wtedy wzywał go dyrektor albo przychodziła matka i przypominała, że nie wziął śniadania. W krańcowych sytuacjach na bank napadali terroryści; a gdy biegł na ratunek jasnowłosej koleżance, nieoczekiwanie znajdował się w zupełnie odmiennej scenerii.

Tak blisko, a tak daleko! I nic, zupełnie nic nie można było na to poradzić! Jego szczęście, cały sens jego życia zależał od umiejętności przebycia tych głupich kilkunastu kroków, a on żadną miarą nie potrafił tego dokonać!

Z biegiem czasu było coraz bardziej dramatycznie, nie dość, że nie był w stanie podejść do stanowiska koleżanki, to – co gorsza – zaczęła w ogóle znikać mu z oczu! Niekiedy dowiadywał się po prostu, że poszła na urlop, ale innym razem z kolei jej zniknięcie było tajemnicze i niezrozumiałe, sugerujące atmosferę horrorów czy thrillerów. Opanowywała go wtedy romantyczna tęsknota i nieodparte pragnienie, by ruszyć z misją

poszukiwawczą, ale wtedy, rzecz jasna, do akcji znów wkraczali klienci, dyrektor lub terroryści. Najgorsze były jednak chwile, kiedy stwierdzał, że w żaden sposób nie potrafi odwrócić głowy i spojrzeć w bok. Tak więc postać kobiety powoli odpływała w zapomnienie; pozostawała tylko niejasna tęsknota, że oto zagubił coś bardzo ważnego.

Taki właśnie był najpopularniejszy scenariusz snu Piotra Jaskulskiego, monotonny i powtarzalny. Dlaczego nawet w cholernym śnie nie mógł liczyć na spełnienie? Gdzie ta oniryczna wolność i szczęśliwość, o której tyle pisali ci pieprzeni poeci? Czy gdzieś zostało zastrzeżone, że nie dotyczy ona ekonomistów?

Oczywiście przez większość czasu mniej lub bardziej niejasno zdawał sobie sprawę, że to tylko sen – w świadomości tej kryło się jednocześnie rozczarowanie i pocieszenie. We śnie ostatecznie, mimo wszystko, łatwiej było liczyć na cud. Może pewnego dnia uniesie się cudownie w powietrze i poszybujecie ponad kasami złotówkowymi i walutowymi ku okienku numer sześć i swej wybrance? Intuicja podpowiadała, że rzeczywistość na zewnątrz snu nie zna nawet i tej minimalnej nadziei. Że tam jasnowłosa koleżanka, okienko numer sześć i on sam nigdy już nie znajdą się we właściwej konfiguracji.

Tak więc tkwił od lat we własnym, statycznym śnie niczym w klatce, nie mając siły lub odwagi, by ją skruszyć, szczęśliwy, jeśli przypadkiem udało mu się przez moment uchwycić wzrokiem choć cień profilu jasnowłosej kobiety, coraz bardziej zapadając w bezsilność i rezygnację.

Tym razem też zaczęło się podobnie. Znów (po raz dziesiąty, setny, tysięczny?) siedział przy swoim stanowisku, tłumacząc klientowi zawilosci kredytu hipotecznego i ukradkiem zerkając na zegarek. Bez wielkiej nadziei spojrział przez ramię w lewo – senna rzeczywistość rozmywała się zaledwie

kilka kroków dalej, obecność jasnowłosej kobiety znów była tylko niejasnym przeczuciem.

Lecz wtedy zaszła zmiana. Kształty nagle jakby zaczęły się wyostrzać – jasnowłosa kobieta znów stała się widzialna. Był w stanie nawet dostrzec, że włosy miała upięte w tak zwaną pytkę.

Z wrażenia aż wstał z miejsca, odtrącając klienta niecierpliwym gestem. O dziwo, tamten od razu posłusznie rozwiął się w nieokreśloności. Hm... normalnie nie pomagała nawet seria z kałasznikowa. Piotr powoli wstał zza biurka, bojąc się spłoszyć scenę...

Wizja nadal nie znikwała.

– To przecież takie proste. – Zza pleców dobiegł go czyjś głos. – To tylko odległość w czasie i przestrzeni, odległość pomiędzy dwoma uderzeniami serca. Nie wiem, czemu wy, ludzie, zupełnie nie dajecie sobie z tym rady. I jakże mieć tu kontrolę nad życiem, skoro nie potraficie nawet okiełznać snów?

Nie obejrzał się, bojąc się, że jeśli spuści wzrok z jasnowłosej kobiety, to ona przypadnie już na zawsze. Postąpił ostrożnie krok w jej stronę, potem kolejny. Przestrzeń wokół niego zaczęła się konkretyzować; wydało mu się, że dostrzega cień uśmiechu na delikatnym profilu.

– Takie proste – powtórzył głos. Chyba należał do mężczyzny. – Jak widzisz, mogę pokazać ci drogę...

– Nie teraz – warknął Piotr. Chwilowo nie był zainteresowany wysłuchiwaniami metafizycznych wynurzeń swojej podświadomości; po prawdzie nie sądził też, by w tej akurat dziedzinie była w stanie stworzyć coś sensownego. Postąpił kolejny krok w stronę stanowiska nr 6. Siedząca przy nim postać uniosła głowę...

I cała scena rozmyła się, w momencie gdy ich spojrzenia miały się spotkać.

– ...jeśli tylko zechcę – dokończył niewidoczny rozmówca.

Piotr niechętnie obrócił się w jego stronę.

– Wiedziałem, że i tak nic z tego nie wyjdzie – westchnął zrezygnowany.

– Dlaczego? – roześmiał się tamten. – Zawsze zastanawiało mnie, czemu ludzie nie potrafią realizować swych pragnień. To takie proste – wystarczy tylko wybrać właściwą ścieżkę i konsekwentnie nią podążać!

Piotr przyjrzał się uważniej swemu interlokutorowi. Gdyby spróbować opisać go w języku jawy, stanowiłby zapewne raczej niespójną postać – ni to ludzką, ni to zwierzęcą (choć oba te aspekty istniały jakby obok siebie, nie łącząc się bynajmniej ze sobą), ni to... Hm... Piotr uznał, że na potrzeby snu może nazwać intruza demonem. Nie żeby tamten wzbudzał przerażenie czy odrazę – wręcz przeciwnie, był nawet w jakiś sposób... pociągający. Jeśli kogoś pociągają demony, rzecz jasna.

– Pewnie zgodzisz się mi pomóc w zamian za moją duszę czy coś takiego – stwierdził domyślnie Piotr. – Trochę oklepane, ale zawsze możemy ponegocjować.

Ostatecznie, pomyślał, jeśli nawet posiadam duszę, to chyba nie jest wiele warta. Co w końcu szkodzi spróbować?

Demon roześmiał się, jak to demon.

A potem nagle Piotr znalazł się w całkiem innym miejscu; przez chwilę wszystko spowijała mgła, ale potem wizja znów zaczęła się wyostrzać, aż wreszcie przywołane z pamięci kształty odnalazły swoje miejsce. To była łąka; gdzieś w pobliżu wiała się Nida, w której pływały pstrągi. Szedł za ojcem wąską, zarośniętą ścieżką. Środek upalnego lata; poniżej koron otaczających rzekę drzew tworzyły się głębokie, przytulne cienie.

Czas płynął powoli, leniwy i swobodny niczym nurt rzeki, niczym przyczajone pod korzeniami pstrągi. Powoli i bezboleśnie, tak jak tylko jest

to możliwe w mitycznej krainie dzieciństwa, z której istnienia zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy opuścimy ją na zawsze.

I tak jak to czasem bywa we śnie, Piotr był tym chłopcem, który z wysiłkiem niósł za ojcem sadzyk, ale był też niewidzialnym obserwatorem, stojącym gdzieś – choć niezupełnie – z boku.

Zatrzymali się w niewielkim zakolu. Ojciec z uśmiechem tłumaczył coś chłopcu. Piotr powoli wyciągnął przed siebie rękę. To możliwe – pomyślał, dotykając liścia szeleszczącego na wietrze – to naprawdę możliwe.

Daj mi ten liść, szepnął jakiś obcy głos wprost do jego ucha. Od niechcenia odwrócił się, na nowo przypominając sobie o obecności demona. Poczul ukłucie, to czas na powrót zaczął płynąć, szybko i boleśnie.

– Po co ci on? – zapytał ze zdziwieniem.

Demon uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Daj mi ten liść, daj mi tę łąkę, daj mi tę rzekę. I tak o nich nie pamiętasz. I tak nie są ci do niczego potrzebne. I tak nie lubiłeś swego dzieciństwa. Po co ci ono? Liczy się przyszłość. Daj mi je, a otworzę ci drogę, której nie dostrzegasz i wreszcie będziesz mógł podejść do okienka nr 6...

Piotr zawahał się. Demon niby gadał z sensem, a jego oferta zdawała się całkiem rozsądna, ale...

– Daj mi go!

Podał demonowi liść. I nagle łąka zawibrowała, zaniósła się krzykiem, a potem rozpadła się na pojedyncze cząstki; demon upychał je do czarnego, skrzącego się worka... Pstrągi w panice trzepotały ogonami i wyskakiwały z rzeki...

I wtedy Piotr zrozumiał. Nie – zawołał z przerażeniem – nie!

\* \* \*

Usiadł na łóżku, ciężko oddychając. Wokół było całkiem ciemno. Spojrzał na zegar, świecący na panelu magnetowidu. Dopiero dochodziła trzecia.

Dziwne, kiedy ostatnio przytrafił mu się podobny koszmar? Zazwyczaj nic mu się nie śniło, a jeżeli już, to nijakie nudne sny, pełne codziennej szarości. Ale ten koszmar był, można by rzec, w hi-fi i kolorze.

Wzruszył ramionami i z powrotem poszedł spać.



### 3.

## KZDM

Tym razem przebudzenie było całkiem standardowe, co nie znaczy, że do końca przyjemne.

Hm... Przebudzenie... Ten rytuał przejścia, krótki moment prawdy pomiędzy iluzoryczną rzeczywistością snu a w gruncie rzeczy nie mniej iluzoryczną rzeczywistością jawy. Mgnienie, gdy rzeczy nie zdążyły jeszcze naciągnąć swych uspokajających masek. Gdy nie wchłaniał go jeszcze świat doraźnych działań, te wszystkie akcje i reakcje, odwracające uwagę od tego, co naprawdę istotne. W takich chwilach mógłby przysiąc, że niemal czuje, jak walec przemijania powoli, lecz nieuchronnie, centymetr po centymetrze, rozjeżdża całe jego życie.

Nie, Piotr stanowczo nie lubił przebudzeń. Wolał codzienną rutynę cyfr, bilansów, sprawozdań i planów. Przynosiła ulgę.

Energicznie zerwał się z łóżka, wykonał krótką serię pompek i przysiadów i z umysłem szczęśliwie zaprzątniętym już bieżącymi problemami zaczął sobie przygotowywać śniadanie.

\* \* \*

Główne biuro firmy mieściło się na przedmieściach przy stosunkowo zacisznej, acz peryferyjnej i zaniedbanej ulicy Witosa. Przeniesiono je tu cztery lata wcześniej, wkrótce po ostatecznym przejęciu firmy przez Nagitę, która – cierpiąc podobnie jak wiele japońskich korporacji w owym czasie

na nadpłynność – postanowiła zainwestować na polskiej prowincji. Poprzednia centrala znajdowała się przy fabryce, ale oczywiście nowa sytuacja wymagała nowych porządków, no i większej przestrzeni biurowej.

Piotr pracował w spółce już od prawie dwóch lat, gdy nastąpił drugi, ostateczny, desant Azjatów. Spółka nie była wówczas w najlepszym stanie finansowym i nomenklaturowi, jak się jeszcze wówczas mówiło, główni udziałowcy, którzy i tak skutecznie drenowali firmę od czasów kontrowersyjnej prywatyzacji, bez większych oporów pozbyli się pakietu kontrolnego akcji. Większość kadry przyjęła zmianę z uzasadnionym, jak się okazało, przerażeniem, ale Piotr na czas dostrzegł swą szansę.

W KZDM pierwotnie zatrudniono go, jak to na prowincji, po trosze dzięki niewątpliwym kwalifikacjom (Akademia Ekonomiczna, staż w Anglii, doskonale referencje), a po trosze wskutek protekcji ówczesnego szefa Działu Kadr, dawnego kolegi jego ojca z liceum. W pionie finansowym i zarządzie spółki od początku „prywatyzacji” przeważała szeroko pojęta rodzina i znajomi właścicieli, reprezentująca jeszcze szersze (i zachodzące na siebie nawzajem) kompetencje oraz momentami egzotyczne raczej kwalifikacje. Być może uznano, iż dla odmiany warto zatrudnić potencjalnie profesjonalnego analityka. Na rzecz Piotra przemawiało również to, iż tutaj właśnie kilka lat wcześniej odbył praktykę.

Piotr ostro wziął się do pracy, ku pewnej niechęci kolegów z działu. Jego analizy nie cieszyły się w firmie popularnością, jako iż nie dość, że w wyraźny sposób pokazywały, że sprawy idą w złym kierunku, to jeszcze – co gorsza – przeważnie okazywały się trafne. Piotr wkrótce odkrył też, iż zarząd stanowił zadziwiający konglomerat osobistych interesów (w czym oczywiście nie było nic dziwnego, w końcu tak jest w każdej wystarczająco dużej firmie), które rzadko jednakże dawały się zogniskować na interesach KZDM jako całości. W sumie sprawy nie wyglądały zbyt różowo. Cóż

zresztą można było powiedzieć w sytuacji, gdy sam prezes spółki na zebraniu zarządu stwierdzał z ponurą miną, iż głównym celem na najbliższe lata powinno być „utrzymanie się na rynku”?

Co ciekawe, największym wrogiem Piotra od początku okazał się najbardziej sensowny członek dotychczasowego managementu, główny księgowy, Chudzik. Być może tamten uznał, iż dwaj kompetentni pracownicy w pionie finansowym to o jednego za dużo. Albo po prostu kierował się osobistą niechęcią – fakt, że już kilka lat wcześniej podczas praktyk nie przypadli sobie do gustu.

Tak czy owak, wszystko pogrążyło się w ogólnym marazmie. Piotr zaczął nawet zastanawiać się, czy nie warto samemu odejść z firmy, zanim zostanie zwolniony wskutek intryg któregoś z kolegów. W tym właśnie momencie na scenę wkroczyli Japończycy.

W chwili ich przybycia część kadry kierowniczej od razu się ewakuowała, większość pozostałych natomiast wyszła z założenia, że skoro i tak pewnie zostaną wyautowani przy okazji reorganizacji, to po co się przemęczać i przestała robić cokolwiek.

Skośnooka inwazja rozpoczęła się od serii nieporozumień. Na pierwsze spotkanie z Ozawą dotychczasowy prezes spóźnił się o kwadrans i nawet nie raczył w tym dostrzec niczego niestosownego. Gdy zaszła potrzeba zabawiania Japończyków (a wypadło to akurat w „długi weekend”, gdy wszyscy pozałatwiali już sobie najprzeróżniejsze wyjazdy), zadanie to zwalono w ostatniej chwili na Piotra, ponieważ „jako jedyny dobrze znał język angielski” i „pracował wcześniej za granicą”.

Piotr wykorzystał szansę. Przedzwonił do Londynu, do znajomych, którzy mieli okazję osobiście pracować ze skośnookimi biznesmenami, po czym błyskawicznie przystąpił do działania. Wybrał w miarę porządnie wyglądającą knajpę, serwującą potrawy staropolskie, jak spod ziemi

wynalazł tłumacza, który naprędce zjapońszczył menu, przekupił obsługę, by nie czepiała się Japończyków o papierosy (lokal był dla niepalących).

Już na samym początku spotkania Piotr wyraził ubolewanie, iż jego czcigodnym gościom dotrzymywać musi towarzystwa menadżer tak niskiej rangi jak on sam i dał do zrozumienia, iż docenia zaszczyt, jaki spadł na jego głowę. Nie był nachalny – po prostu uprzejmy i cierpliwy. I cały czas zachowywał właściwy dystans – nawet wtedy, gdy pierwsze lody zdawały się już być przełamane.

Barwnie opowiedział przybyszom o potrawach, które jedli i o miejscowej kuchni w ogóle, z kamienną twarzą zmyślając kulinarne szczegóły, kiedy tylko czegoś nie wiedział. Potem z kolei przyszedł czas na opowieści o regionie. Piotr w duchu dziękował swoim nieżyjącym rodzicom, kielczanom od niepamiętnych pokoleń, iż w dzieciństwie przemocą niemal nakładli mu do głowy mnóstwo niepotrzebnych historii. Aż sam się zdziwił, z jaką skutecznością nagle wypłynęły z najgłębszych lochów pamięci – nigdy przecież nie przywiązywał do nich najmniejszej wagi. W przeciwieństwie do rodziców nie był w stanie wykrzesać z siebie choćby i krzty lokalnego patriotyzmu. Nawet w dzieciństwie nie cierpiał tej przeklętej prowincji, tego sennego miasta, tych monotonnych płaskich gór, jakby już wtedy przeczuwając, iż pomimo wszystkich rozpaczliwych prób ucieczki, to tutaj właśnie przyjdzie mu odsiadywać swoje dożywocie. A jednak teraz z jego ust płynęły barwne opowieści o czarownicach z Łysej Góry, o pielgrzymie zaklętym w solny słup, o majorze Piwniku „Ponurym”, który walczył tu z Niemcami, i o Antonim Hedzie „Szarym”, który rozbił więzienie UB, uwalniając żołnierzy AK (jak głosiły rodzinne legendy, w akcji uczestniczył brat dziadka Piotra).

Japończycy, jak to Japończycy, okazali tyleż entuzjastyczne, co, dzięki Bogu, powierzchowne zainteresowanie. Podczas całego spotkania nie padło

też ani jedno zdanie dotyczące KZDM. Ale Piotr wiedział już, że zarobił pierwsze punkty. Nie, oczywiście nie awansowano go na drugi dzień ani też nie zaczęto w jakiś ostentacyjny sposób faworyzować. Japończycy nie działali w ten sposób. Ale od tej pory, jeśli już musieli obdarzyć zaufaniem kogoś z miejscowych menadżerów, to menadżerem tym był przeważnie Piotr. I – w miarę jak dyskretnie i fachowo wywiązywał się z powierzonych misji – zakres zaufania powoli, lecz konsekwentnie się poszerzał. A Piotr nie był nachalny, nie żądał niczego w zamian, nie starał się otwarcie polepszyć swojej pozycji kosztem kolegów. Był po prostu cierpliwy.

Inni obrali rozmaite strategie na przetrwanie. Prezes zarządu z charakterystycznym dla byłego aparaczyka wdziękiem usiłował spoufalić się z Ozawą, przy lada okazji poklepując go po plecach. Młodszy agresywnie konkurowali ze sobą, na każdym kroku wykazując niekompetencję kolegów i własne przewagi. Piotr przyglądał się temu z boku, nie pozwalając, by na jego twarz wypłynął najlżejszy nawet ślad uśmiechu. Raz tylko, gdy go zapytano, gdzie widzi główny problem dotyczący skuteczności pracy działu, pozwolił sobie na komentarz, że brakuje tutaj chyba właściwego ducha pracy zespołowej.

Jego koledzy, widząc, że zdobywa nad nimi przewagę, zaczęli poddawać go ostracyzmowi jako kolaboranta. Na szczęście, ponieważ wykruszali się w tempie błyskawicznym, ostracyzm ten nie mógł być wystarczająco konsekwentny i skuteczny.

Pół roku później Piotra mianowano oficjalnie szefem działu kontrolingu. Oczywiście nie wszystko układało się tak, jak by chciał, ale nadal był cierpliwy. Czekał i robił swoje.

W końcu został dyrektorem finansowym i – obok Chudzika oraz dyrektora produkcyjnego, Stefanka – jednym z niewielu Polaków, którzy realnie mieli w firmie coś do powiedzenia. No i jedynym, który, w razie

potrzeby, był w stanie to powiedzieć względnie zrozumiałą japońszczyzną (intensywną naukę rozpoczął wkrótce po pamiętnym wieczorze w restauracji).

Rzecz jasna, naprawdę istotne decyzje zapadały tak czy inaczej w kraju kwitnącej wiśni, dokąd skośnooki zarząd udawał się z odpowiednią regularnością (czasem zabierano również i Piotra, pozwalając mu uczestniczyć w pomniejszych naradach i jak podejrzewał, pokazując go miejscowym bossom jako swoiste kuriozum), ale osiągnął chyba wszystko, co nie-Japończyk może osiągnąć w japońskiej firmie. Może nawet więcej, bo Ozawa zarządzał KZDM z nietypową dla swoich pobratymców elastycznością. Piotr podejrzewał, że tamten, jak na japońskiego prezesa korporacji przystało, musiał być rewolucyjnym nonkonformistą.

A firma prosperowała coraz lepiej. Dzięki wdrożonym przez Japończyków standardom i technologiom udało się znacząco polepszyć jakość produkowanych w KZDM komponentów. Z czasem poszerzono też asortyment. Nie do końca odzyskano, co prawda, utracone wcześniej rynki europejskie, ale za to dzięki wpływom macierzystego *keiretsu* Nagity otworzył się bardzo pojemny rynek japoński. Sytuacja z punktu widzenia Piotra przynajmniej wydawała się względnie prosta i stabilna, gdy do Kielc zawitał Sho Kyubimori...

Piotr w zamyśleniu zatrzymał samochód przed wjazdem. Szlaban podniósł się z należytą gorliwością i Lexus wjechał na tył biurowca. Trzypiętrowy budynek został odziedziczony po innej kieleckiej firmie, która została z kolei przejęta przez Skandynawów i przeniesiona do stolicy. Obiekt nie był piękny, ale i tak lepszy od dawnej okopconej rudery, położonej naprzeciwko fabryki. Oczywiście nawet i on nie do końca odpowiadał prestiżowi firmy. I tu właśnie pojawiała się kwestia budowy nowego centrum Nagity.

Piotr rozumiał znaczenie prestiżu, zwłaszcza dla Japończyków, niemniej jednak plany Kyubimoriego – na ile je znał – wydały mu się zdecydowanie przesadzone, a tempo, w jakim nabierały kształtów, nadzwyczaj ryzykowne. Nowa siedziba i owszem, czemu nie, ale po co od razu budować w Kielcach drugie Petronas Towers? No, ale kto pojmie Japończyków. W chwili gdy Piotr sądził, że rozumie już tę na pozór przewidywalną, zdyscyplinowaną, obwarowaną setkami (w końcu przecież wyuczalnych pomimo ich liczby) reguł mentalność, nagle przydarzało się coś, co zupełnie zbijało go z tropu.

Czymś takim było właśnie wejście Kyubimoriego do gry. Dlaczego tamten go tak intrygował i niepokoił? Piotr wciąż się nad tym głowił. Teoretycznie przecież nowy wiceprezes powinien być przystępniejszy niż pozostali, pracujący w KZDM, Japończycy. W większym stopniu zrozumiąły. Był spośród nich zdecydowanie najbardziej europejski. Wysoki, przystojny, wysportowany... Ile miał lat? Trochę ponad czterdziestkę? Pięćdziesiątkę? Nie sposób było to ustalić na pierwszy rzut oka.

Kyubimori posiadał też zadziwiający, jak na Japończyka, talent do języków. Angielskim mówił z akcentem znacznie lepszym od Piotra, co chyba trochę nawet go irytowało. Czyżby z jakichś względów uważał, iż w tej akurat dziedzinie to skośnoocy powinni mieć względem niego kompleksy? Tak czy inaczej, Kyubimori stanowił zaprzeczenie stereotypu ciężko adaptującego się do nowych warunków Japończyka.

Nie przywiązywał też zbyt wiele wagi do etykiety. Owszem, w obecności Ozawy czy pozostałych nie czynił nic, co mogłoby ją jawnie zakłócić, ale zachowywał się – na ile Piotr mógł to ocenić – z pewną... nonszalancją.

W towarzystwie Polaków sprawiał natomiast wrażenie całkowicie swobodnego, by nie rzec, wyluzowanego. Wzbudzał jednak respekt swymi nienagannymi manierami.

Piotr nie był w stanie racjonalnie wytłumaczyć sobie, czemu momentami czuje do Kyubimoriego niechęć. No bo przecież nie mogło chodzić o przewagi lingwistyczne tamtego (wiceprezes dobił go, gdy okazało się, iż w międzyczasie świetnie opanował polski). Ani o to, że wyczuwał w Japończyku jakąś... dwuznaczność? Bo chyba nie zakamuflowany fałsz? Z drugiej strony, inni byli przecież fałszywi w sposób jawny i bezustannie kopali pod nim dołki, szczerząc zęby w bezczelnych uśmiechach, a jakoś w końcu się do tego przyzwyczaił. A Kyubimoriemu w sumie trudno było zarzucić coś konkretnego.

Chyba tylko to, że miewał niecodzienne pomysły. No i jego pozycja w firmie była co najmniej niejasna. Wiceprezes o niesprecyzowanych kompetencjach. Oczywiście, być może niesprecyzowane były one tylko z punktu widzenia Piotra i polskiego managementu. Zdążył się już przyzwyczaić do tego, że były rzeczy, które Japończycy zachowywali tylko dla siebie i rozstrzygali we własnym gronie. Już dawno musiał ten fakt zaakceptować, bez względu na fakt, jak bardzo utrudniało mu to pracę jako dyrektorowi finansowemu. Zarządzanie Nagitą-KZDM było zagadkowym kompromisem, którego rozmaite niuanse wciąż zaskakiwały wszystkie strony niepisanego układu. Niemniej jednak Kyubimori i tutaj stanowił zupełnie nową jakość.

Mimo wszystko z początku wydawało się, że przynajmniej Piotr nie ma powodu do niepokoju. Owszem, słyszał plotki o jakichś dziwnych tarcjach wśród Japończyków, o nonszalanckim zachowaniu Kyubimoriego i braku reakcji ze strony Ozawy, ale do niego, rzecz jasna, nic oficjalnie nie dochodziło. Może wiceprezes był wysłannikiem konkurencyjnej frakcji macierzystego koncernu? Nie miał też pojęcia, czym tamten zajmuje się w KZDM, jako, było nie było, członek zarządu. Jednak jako że Kyubimori w zasadzie nie wtrącał się w jego działkę, rozsądnie postanowił się tym



zbyt nie interesować. Osobiście podejrzewał, że w kompetencjach Japończyka leżały jakieś bliżej niezidentyfikowane kwestie międzynarodowe.

Sprawy zaczęły się komplikować, gdy gruchnęła wieść, iż wiceprezes ma nadzorować budowę nowego centrum Nagity. I tu informacje znów były niejasne: nikt z Polaków nie posiadał pełnego obrazu całości, a Japończycy nie chcieli puścić farby. Może zresztą też sami wszystkiego nie wiedzieli? Centrum miało być w każdym razie monumentalne i europejskie, jeśli nie wręcz światowe. No i miało pochłonąć straszliwe pieniądze.

W końcu doszło do kilku bardziej konkretnych spotkań, Kyubimori zażyczył sobie analiz, które najwidoczniej potrzebne mu były do realizacji projektu. Gdy rzecz zaczęła się klarować, Piotr zgłosił swoje wątpliwości. Po pierwsze: jaki właściwie sens miało budowanie w Kielcach europejskiego czy też światowego centrum – czyżby Japonii groziło zatopienie i koncern zamierzał ewakuować się do Polski? Drugą wątpliwość stanowiły oczywiście koszty, jeżeli jak rozumiał, to głównie sama KZDM miała je pokryć, mogło to doprowadzić ją na skraj katastrofy.

Jego wątpliwości wysłuchano ze skupieniem, z powagą pokiwano głowami. Tylko jeden Kyubimori jakby uśmiechał się tajemniczo. I tyle.

Piotr zaparkował na tyłach budynku, na krańcu drugiego rzędu, obok służbowej toyoty Chudzika. Nawet tu panował ściśle określony porządek. Pierwszy, najkrótszy rząd, znajdujący się najbliżej budynku, dla Japończyków z zarządu (przy czym Ozawa parkował na miejscu położonym najdalej od bramy wjazdowej, w cieniu jedynej znajdującego się na podwórku drzewa – potem hierarchia była już ustalana w relacji do samochodu Ozawy), drugi dla Polaków z zarządu i Japończyków niższego szczebla i tak dalej... Najniżej w hierarchii stali ci, którzy z braku miejsca musieli parkować na zewnątrz bramy. W nieoficjalnej nomenklaturze firmy

żartowano nawet, iż w KZDM rozróżnia się menadżerów pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego rzędu oraz pracowników „pozarządowych”.

Czym groziło naruszenie tej hierarchii, przekonał się były szef działu IT, Marcin Kozłowski, który miał irytujący zwyczaj wciskania się swoim golfem w cień drzewka Ozawy, kiedy tamten wyjeżdżał na dłużej. W końcu czemu nie, skoro i tak stało puste? Zgodnie z japońskim zwyczajem informatyk został poddany z początku delikatnemu, potem – wobec braku efektów – nieuchronnie narastającemu ostracyzmowi. Marcin łykał szykany ze wzbierającą irytacją, oczywiście nie zdając sobie sprawy, iż wszystkiemu winna jest jego własna niefrasobliwość. Kiedy faceta nie wysłano razem z innymi na szkolenie w Bieszczady, Piotr spróbował dyskretnie wyjaśnić mu, w czym rzecz. Później przez dwa tygodnie pluł sobie w brodę za ten głupi przejaw altruizmu. Zdenerwowany szef IT, w przyпіływie urażonej lechickiej dumy, pobiegł do szefa kadr, Takagumiego, i – w swoim własnym mniemaniu – zaczął wyjaśniać sprawę („przecież te cholerne miejsca parkingowe nawet nie są zaznaczone”, „a w ogóle to przez tydzień i tak stało puste!”), na dodatek powołując się na Piotra. Efekt końcowy był taki, że szef kadr „stracił twarz”, informatyk sam pożegnał się z firmą, a Piotr musiał przez dłuższy czas przeproszać Takagumiego za zaistniałą sytuację.

Piotr wysiadł z samochodu i ruszył przez plac, obrzucając po drodze przeciągłym spojrzeniem czarne bmw Kyubimoriego (obok mercedesów ulubiona marka *yakuzy*, co dawało pretekst do różnych egzotycznych domysłów) i wkroczył do budynku. Przywitał się z portierem, od niechcenia sprawdził, czy wiceprezes ma zaawizowanych jakichś gości (nie miał, ale też o niczym nie musiało to świadczyć), po czym ruszył na drugie piętro, do swojego gabinetu.

– Witam – rzucił w drzwiach sekretariatu i od razu starannie je za sobą zamknął. – Coś nowego?

– Nie. – Pani Sylwia konspiracyjnie potrząsnęła głową. – Jak tylko czegoś się dowiem...

– Tak. – Piotr się uśmiechnął. – Oczywiście. Spróbuje mnie pani omówić z Ozawą?

Umówienie się na rozmowę z jowialnym i życzliwym prezesem dla kogoś o pozycji Piotra należało do przeciętnie skomplikowanych rytuałów, niemniej jednak też wymagało niezbędnej ilości czasu i wysiłków. Nie czekając więc, aż pani Sylwia zadzwoni do polskiej sekretarki japońskiej sekretarki Ozawy, aby rozpocząć stosowne procedury, Piotr przeszedł do swojego gabinetu, rozebrał się, rzucił płaszcz i szalik na wieszak, po czym oklapł na fotelu pod oknem, w zamyśleniu postukał palcami po blacie, wreszcie westchnął i z powrotem wstał.

– Trzeba działać – zdecydował.

Przechodząc z powrotem przez sekretariat, uśmiechnął się przelotnie do pani Sylwii, rozmawiającej właśnie przez telefon, i wyszedł na korytarz.

Gabinet Chudzika, bliźniaczo podobny do jego własnego, znajdował się na drugim końcu. Minął własny dział, potem otwarte drzwi księgowości – dziewczyny z pozorowanym entuzjazmem stukwały coś na komputerach – i stanął przed sekretariatem Chudzika. Przywołał na twarz umiarkowane fałszywy uśmiech i wszedł do środka.

– Witam, pani Mariolo – odezwał się uprzejmie do sekretarki Chudzika i ruszył w stronę kolejnych zamkniętych drzwi.

– Pan Marek zajęty – pisnęła z opóźnionym refleksem pani Mariola, wstając z miejsca. – Poleciał, żeby mu nikt...

Nim dokończyła standardową kwestię, Piotr szybko pociągnął za kolejną klamkę.

W gabinecie było ciemnowo. Zwalista sylwetka księgowego siedziała w skupieniu nad całą stertą rozrzuconych na biurku dokumentów. Jakby w letargu Chudzik obrócił się ku drzwiom – skupienie ustąpiło na jego twarzy wyraźnemu zmieszaniu.

– Cześć, Marek, nad czym tak siedzisz? – zagadnął wesoło Piotr, podchodząc do biurka.

Główny księgowy nerwowo zgarnął dokumenty.

– Nic ważnego – warknął odstręczająco. Jeden z dokumentów spadł mu w pośpiechu pod stół – szybko schylił się i sięgnął po niego ręką, by Piotr przypadkiem nie zdołał nic przeczytać. Scena niczym z opery mydlanej.

– Chciałem tylko zapytać, czy wybierasz się dziś do Centrum Biznesu. No wiesz – dodał Piotr, dostrzegając na twarzy tamtego kompletne niezrozumienie – firma roku województwa świętokrzyskiego.

– Aaa – burknął Chudzik, nawet jak na siebie nietowarzysko. – Nie mam czasu. Przepraszam, ale czy mógłbyś mnie zostawić samego? Jestem zajęty.

Piotr popatrzył na niego z ukosa. Pomimo wzajemnej wrogości, werbalnie raczej starali się – jak to w firmie – zachowywać pozory uprzejmości. Teraz Chudzik stał naprzeciwko niego z pięściami wspartymi na biurku, czujnie chroniąc stos dokumentów. Minę miał zaciętą – w jego oczach Piotr dostrzegł krótki błysk... nienawiści? Zaskoczony, aż cofnął się o pół kroku.

– Jak sobie życzysz. – Okręcił się na pięcie i wyszedł, zostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież.

Niedobrze, pomyślał wracając do swego gabinetu. Czyżby tamten był już tak pewny swego, że zrezygnował z *savoir-vivre*'u? No i nad czym siedział tak zapamiętale? Liczył coś dla Kyubimoriego?

– Ozawa przyjmie pana o dziesiątej! – oznajmiła triumfalnie pani Sylwia. – Sprawnie poszło!

– Rzeczywiście sprawnie – skwitował Piotr. – Dziękuję. Czy... Czy rzuciło się pani w oczy, żeby... – przez chwilę zastanawiał się, jak to ująć – żeby kontakty Chudzika z Kyubimorim stały się ostatnio... bardziej wzmożone.

Pani Sylwia popatrzyła na niego trochę dziwnie.

– No, od zeszłego tygodnia Chudzik ciągle u niego przesiaduje – mruknęła. – Myślałam, że sam pan zauważył. Tylko czy to takie dziwne? Parę tygodni temu z panem było podobnie. Już nawet zaczęli plotkować...

– Plotkować? – Piotr, nie rozumiejąc, uniósł brwi. – Kto?

– No, różni tacy. – Pani Sylwia wzruszyła ramionami. – Na przykład Michał Cedro z działu IT.

– Ale o czym?

– No, wie pan...

Piotr bezradnie uniósł brwi.

– No. – Pani Sylwia spuściła wzrok. – Wie pan, jak to gadają. Pan po trzydziestce i nieżonaty, zawsze dobrze ubrany i w ogóle. O żadnej kochance też nikt nigdy nie słyszał, a przecież wie się takie rzeczy. A ten Kyubimori też niczego sobie. Przystojny gość, chociaż żółty. A Cedro na dodatek to jeszcze ciągle opowiada, jacy to z tych Japońców zbrojeńcy. Wiedział pan, że nawet pedofilia nie jest u nich prawnie zakazana?

– Nie – odparł z powątpiewaniem Piotr – nie wiedziałem.

– No i te ich kreskówki, ta maga...

– Manga – poprawił odruchowo.

– No, właśnie. Same zbrojenia. Czytałam artykuł w *Tinie*. Więc jak pan zaczął tak do niego chodzić, to niektórzy oczywiście to skomentowali... Wie pan jak.

– Domyślam się – westchnął Piotr – ale – zauważył trzeźwo – ja przecież nie jestem gejem.

– Skoro tak pan mówi. – Pani Sylwia znów wzruszyła ramionami. – Nie żeby mi przeszkadzało, gdyby pan był. Jest w końcu postęp i w ogóle.

– Tak – mruknął Piotr. – Postęp i w ogóle. Będę u siebie. Proszę nie łączyć i nie wpuszczać, chyba że naprawdę coś ważnego.

Starannie zamknął za sobą drzwi, by pani Sylwia nie widziała, jak nerwowo chodzi po swoim ciasnym gabinecie, niczym udomowiony tygrys w przyciasnej klatce. Z zewnątrz musiało to wyglądać idiotycznie, ale jego uspokajało.

– No proszę – warknął przez zęby. – Międzynarodowy i międzyrasowy gejowski romans korporacyjny na polskiej prowincji. Można by o tym napisać książkę. Albo lepiej film nakręcić. Że też nikt jeszcze o tym nie pomyślał. Sukces gwarantowany.

Pokręcił głową. Jakże wielkie zasoby wyobraźni kryły się w świecie biurowym, gotowe ubarwić najnudniejszą nawet rzeczywistość!

Chociaż z drugiej strony... w tej serii spotkań sprzed trzech tygodni rzeczywiście było coś dziwnego. Teoretycznie dotyczyły kilku kluczowych analiz, jak również bieżącej oraz średnioterminowej kondycji finansowej firmy, ale większość czasu w ogóle nie rozmawiali o liczbach. O nowym centrum w sumie też chyba nie nazbyt wiele. Więc w takim razie o czym? Dobrze zapamiętał spojrzenie Kyubimoriego: uważne, badawcze i jakby... rozumiejące. Ozawa czy inni nigdy nie przypatrywali mu się z takim zainteresowaniem. Czy przypadkiem nie poczuł się przez to wyróżniony?

Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć szczegóły ostatniej rozmowy z wiceprezesem.

## Sho Kyubimori

Odbyła się mniej więcej trzy tygodnie wcześniej. Był późny wieczór, w budynku poza nimi nikt już nie został. Tego akurat dnia Piotrowi udało się wreszcie podsumować analizy, a Kyubimori też coś tam grzebał przedtem u siebie. Z początku przedyskutowali jakieś drobne kwestie, które wynikły po drodze, ale poszło im nadspodziewanie sprawnie. Nie wiedzieć kiedy rozmowa zesła ze spraw czysto służbowych. Trzeba to przyznać, z Kyubimorim zawsze dobrze się gawędziło. W jego towarzystwie po prostu można było poczuć się swobodnie.

Było późno, ale żadnemu z nich się nie spieszyło, no bo i niby dokąd? Wiceprezes zaproponował koniak. Rozmawiali o tym i owym, w sumie jednak o niczym. Ot, porównywali swoje międzynarodowe doświadczenia. Kyubimori opowiedział o pobycie w Stanach, w zabawny sposób komentując absurdy japońskiego i amerykańskiego życia korporacyjnego.

Wypili po kolejnej lampce. Atmosfera robiła się coraz luźniejsza. Piotr zawsze miał się na baczności w podobnych sytuacjach i nigdy nie ufał kolegom z pracy, gdy wyjmowali alkohol i ciągnęli go za język, jednak z Kyubimorim było inaczej. Tamten wydawał się naprawdę bezinteresowny, w jego oczach nie czaiły się zasadzki. Czy Japończyk po prostu lepiej maskował się od innych?

Nie, Piotr odniósł wrażenie, że dla tamtego firmowa rzeczywistość nie była bezlitosną walką o byt, ale dobrą zabawą, do której należy, co prawda,

podejść z odpowiednim zaangażowaniem, lecz bez przesadnej zawziętości. Zupełnie nie wyczuwało się w nim napięcia, które, mniej lub bardziej skryte, nieustannie wyzierało ze słów i gestów innych pracowników, w tym i samego Piotra. Ostatecznie każdy z nich walczył przeciw o pozycję, stanowisko, pieniądze czy też choćby względne bezpieczeństwo i święty spokój. U Japończyków dochodziła do tego jeszcze wieczna obawa przed utratą twarzy. Jeden Kyubimori zdawał się stanowić tutaj szczyry wyjątek, zupełnie jakby tak naprawdę był ponad tym wszystkim.

Oczywiście Piotr tak czy owak miał się na baczności, ale tamten nie próbował wyciągać od niego niczego, co mogłoby go postawić później w niekorzystnym świetle. Zresztą to Kyubimori sam więcej mówił. Piotr szybko zapomniał też, że rozmawia z Japończykiem – czuł się, jakby po prostu wymieniał doświadczenia z przypadkowym kolegą, dajmy na to, z Anglii. Czy też może raczej ze Szkocji, bo Anglicy rzadko się otwierali, a ze Szkotem można było nawet wypić butelkę wódki.

– Lubi pan swoje miasto? – zapytał w pewnym momencie wiceprezes, gdy już wyczerpali kosmopolityczne tematy.

– Kielce? – zdziwił się Piotr. – Czy ja wiem? – odparł w przypływie szczerości, bo w rozmowach z pozostałymi Japończykami starał się raczej lansować na lokalnego patriotę, wiernego ziemi i tradycji. – Tutaj się urodziłem i wychowałem, no i los ściągnął mnie tu z powrotem.

– A może nie los, lecz karma?

– Naprawdę wierzy pan w takie rzeczy, Kyubimori-sempai? – Wzruszył ramionami Piotr. – W takim razie moja karma musi być fatalna, skoro skazała mnie na tę dziurę.

Japończyk popatrzył na niego z zagadkowym błyskiem w oku.

– Czyżby? Naprawdę nie czuje się pan hm... związany ze swoim miastem?



– Proszę wybaczyć, ale brzmi to trochę dziwnie w ustach kogoś, kto – jak zrozumiałem – całe życie podróżuje? – wytknął delikatnie Piotr.

– Och, ze mną to zupełnie inna sprawa. – Kyubimori wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu. – Odkąd sięgam pamięcią, zawsze miałem w sobie coś z wiecznego włóczęgi. No a poza tym aż do tej pory nie odnalazłem miejsca, które spodobałoby mi się na tyle, bym mógł je nazwać domem. Kto wie, może odnajdę je właśnie tutaj?

Piotr spojrzał na rozmówcę z niedowierzaniem.

– Chyba nie ma tu nic szczególnego? Zwłaszcza w porównaniu z Nowym Jorkiem czy Tokio?

Wiceprezes zmrużył oczy.

– Nawet niepozorne miejsca mogą być na swój sposób szczególne. Może należy tylko spojrzeć na nie we właściwy sposób?

– Coś w rodzaju „Zen a sztuka patrzenia na prowincjonalne miasta”? – zakpił Piotr. – Nie kupuję tego, Kyubimori-sempai.

– A jednak odpowiednie patrzenie jest bardzo ważne. Kto wie, czy nie najważniejsze. Nie zauważył pan, że rzeczy stają się czymś innym, gdy przyjrzymy się im uważnie? Albo – dodał Japończyk z filuternym uśmiechem – przysłuchamy.

Piotr zamrugnął powiekami.

– Rozmawiamy po polsku – stwierdził z niedowierzaniem.

– O tak – zachichotał Kyubimori – i to od jakichś pięciu minut. Ciekawe, czemu wcześniej pan tego nie zauważył? Daje do myślenia, nieprawdaż?

Piotr popatrzył na Kyubimoriego, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. Polszczyzna wiceprezesa była niemal równie dobra jak jego angielski. No, może wyczuwało się w niej pewną sztywność, ale Piotr nie dałby głowy, czy przez telefon rozpoznałby, że rozmawia z obcokrajowcem.

Ze znanych mu Japończyków jedynie prezes Ozawa płynnie porozumiewał się po polsku, ale on spędził tutaj na różnych placówkach ponad dziesięć lat. No i – mimo wszystko – stanowił nietypowy przykład. Ozawa był zresztą wyjątkowo spolszczonym Japończykiem, jego syn studiował na UW i – o zgrozo! – miał narzeczoną Polkę. Kieleccy Japończycy generalnie w ogóle nie próbowali uczyć się narzecza tubylców. Z tymi, którzy czuli się wystarczająco komfortowo w mowie Szekspira, Piotr rozmawiał po angielsku, z pozostałymi, by niepotrzebnie nie stresować ich i nie narażać na utratę twarzy – w ich własnym języku. Z japońskim radził sobie zresztą coraz swobodniej. Kosztowało go to jednak cztery lata ciężkiej pracy.

Kyubimori przybył do miasta trzy miesiące wcześniej.

– Kiedy się pan nauczył? – zapytał Piotr, wciąż nie otrząsnąwszy się ze zdumienia.

– Och, zacząłem przed przyjazdem. – Tamten wzruszył ramionami. – Jeszcze w Nowym Jorku wynająłem polskiego korepetytora. Na miejscu kontynuowałem naukę. Ćwiczyłem dyskretnie na mieście.

– Czemu się pan nie ujawniał?

– Może chciałem podsłuchiwać podwładnych? – Kyubimori mrugnął łobuzersko. – A tak na poważnie – my, Japończycy, mamy obsesję doprowadzania wszystkiego do perfekcji. Po części wynika to z lęku przed utratą twarzy, po części z kultywowania tradycyjnych japońskich cnót: cierpliwości, wytrwałości, uporu i takich tam.

– Wielokrotnie sam pan podkreślał, że nie jest typowym Japończykiem – zauważył Piotr.

– Owszem, ale kiedy już coś robię, lubię to robić dobrze. Sam pan zresztą przyzna, że jąkanie się i przeinaczanie słów nie pasowałoby mi do image'u.

– Chyba rzeczywiście nie – mruknął Piotr. – Szybko to panu poszło, Kyubimori-sempai.

– Mam też oczywiście talent do języków. – Tamten dolał koniaku do obydwu kieliszków. – Może przejdziemy na ty, skoro już tak sobie pijemy i gawędzimy? To wasze „per pan” jest trochę męczące, choć gdzie mu tam oczywiście do naszych formuł grzecznościowych. Za którymi, jak można zauważyć, też specjalnie nie przepadam. A więc?

– Z przyjemnością – wybąkał Piotr.

– Kampai! – Kyubimori uniósł szklanekę. – Sho.

– Piotr.

– A więc, Piotrze, wracając do naszej rozmowy, czy skoro nie czujesz się tu do końca szczęśliwy, nie chciałbyś spróbować czegoś nowego? Na powrót stać się kosmopolitą? Znajomy z Nowego Jorku szuka dobrego analityka; robią sporo interesów w Europie Wschodniej, zwłaszcza w Polsce i w Czechach. Mam też przeczucie, że przypadlibyście sobie do gustu. Mógłbym cię zarekomendować.

Piotr zeszywniał.

– Cóż to, test na lojalność? – Spróbował wysilić się na w miarę rozluźniony ton. – Czy też po prostu chcesz się mnie pozbyć z KZDM?

– Może po prostu chcę cię uszczęśliwić? – Kyubimori spojrzał na niego niewinnie. – Bez obaw! To czysto prywatna rozmowa. Ot, gawędzimy sobie abstrakcyjnie o życiu... Nawet jeśli kierują mną jakieś ukryte motywy, załóżmy, czysto akademicko, że moja propozycja jest prawdziwa. A więc, Piotrze? Miałbyś ochotę się stąd wynieść? Wypłynąć na naprawdę szerokie wody?

– Może kiedyś. – Wzruszył ramionami Piotr. – Na razie mam jeszcze w KZDM kilka rzeczy do zrobienia.

– A więc – zmrużył oczy Japończyk – coś jednak cię tu trzyma. Coś, czego istnienia nawet sobie nie uświadamiasz.

Piotr ponownie wzruszył ramionami.

Japończyk przyglądał mu się w zamyśleniu.

– To miasto ma ogromny potencjał – stwierdził w końcu. – Wiem, że najtrudniej się czasem zauważa rzeczy na własnym podwórku, ale nie mogłeś nie dostrzec, jak wszystko tutaj przyspieszyło w ostatnich latach. Kielce przestają być sypialnią i przeczekałnią, a stają się, już wcale nie tak powoli, jak wy to mówicie, prężnym ośrodkiem. Nie wydaje ci się, że projekt nowego centrum Nagity doskonale wpisuje się w ten trend? Przydałby Kielcom jeszcze większego blasku...

– Jeśli w ogóle udałoby nam się je zbudować – odparł Piotr w kolejnym, niebezpiecznym przypiływie szczerości. Pomimo wieloletniego stażu w KZDM, wciąż – niestety – nie był w stanie całkowicie ich wyplenić. – Co, jeśli dobrze oceniam skalę przedsięwzięcia i podejrzenie enigmatyczny poziom zaangażowania centrali, wcale nie jest takie pewne. Niezależnie zaś od tego, jak załatwimy kwestie kredytowe, prawdopodobnie twoje centrum położy na łopatki cały nasz plan rozbudowy i restrukturyzacji. A już na pewno nie uda się dodać nowych linii produkcyjnych w przyszłym roku. Wiesz, jakie to dla nas ważne, właśnie teraz i tutaj. Jakie to nam może otworzyć perspektywy. Zdajesz sobie sprawę, jak wiele czasu Ozawa poświęcił, by przekonać centralę do całości projektu? Jeśli spóźnimy się choćby o kilka miesięcy, Meksyk może nas wyprzedzić.

– Są różne cele i różne hierarchie. – Kyubimori zmrużył oczy.

– Czy mogę być całkiem szczery? – spytał grzecznie Piotr.

– Oczywiście. – Kyubimori wygodnie oparł się o kanapę. – Ze mną zawsze możesz.

Piotr przełknął ślinę. A co mi tam, pomyślał.

– Plan restrukturyzacji to rozwój, nowy asortyment, nowe miejsca pracy, ale przede wszystkim szansa na to, by KZDM stała się prawdziwie światowym graczem. Cel jest oczywisty. A co jest celem nowego centrum Nagity? Ze strony kosztowej rzecz jest raczej bezsensowna, jak zwykle przy tego rodzaju inwestycjach. Oczywiście, zazwyczaj chodzi o image i o prestiż...

– Nawet kieleccy biznesmeni zawsze zdawali sobie sprawę, jak wielką rolę odgrywają image i prestiż – wtrącił Kyubimori. – Spójrz na siedziby kieleckich firm.

– Tak – zgodził się Piotr. – Czasem warto... się zmanifestować. To dlatego na początku lat dziewięćdziesiątych Porzeczką postawił centrum Probudu, a ostatnio Stawski wybudował nową siedzibę Dystrybutora z tym bezużytecznym lądowiskiem dla helikopterów...

– Siedziba Dystrybutora jest ładniejsza i bardziej harmonijna, ale to Probud robi większe wrażenie... Pomimo całej swojej hm... lekko ponurej tandetności, a może właśnie dzięki niej – wtrącił Kyubimori. – Przepraszam, architektura to jedno z moich hobby. Kontynuuj, Piotrze.

– Cóż, być może centrum Probudu wiernie odzwierciedla osobowość jego dawnego szefa. Z pewnością Porzeczką lubił robić wrażenie. Chyba miał nawet trochę manię wielkości, no a poza tym w tamtych czasach Probudowi wiodło się naprawdę świetnie. Stać ich było na tę ekstrawagancję. Dzisiejsi kieleccy biznesmeni podchodzą do wszystkiego bardziej pragmatycznie... Niektórzy w ogóle chyba nie czują potrzeby zaznaczania swojej pozycji w ten akurat sposób.

– Hm... czy trochę nie za bardzo sprowadzasz wszystko do zaznaczania pozycji?

– O to przecież chodzi: o zaznaczanie pozycji pojedynczego człowieka lub firmy. Czasem ma to zresztą uzasadnienie. Ale nie w naszym

przypadku. Jesteśmy zaledwie drobnym fragmentem konsorcjum, które ma swą główną siedzibę w Japonii. I to tam właśnie dzieją się rzeczy naprawdę istotne. Do nas nawet rzadko kiedy ktoś przyjeżdża z zagranicy. Być może przydałyby się nam nowe biura, ale – przynajmniej z tego, co słyszałem o tym mitycznym już projekcie – zakłada on stworzenie czegoś na monumentalną skalę. A taki obiekt do niczego nie jest nam w tej chwili potrzebny. I chyba nie będzie, jeśli jak najszybciej nie wdrożymy planu Ozawy. Najpierw zdobądźmy pozycję, a potem myślny o prestiżu.

Kyubimori nadal patrzył na niego w zadumie, ale nie wyglądał na obrażonego ani nawet zaskoczonego.

– Odpowiedź godna dyrektora finansowego – skwitował z uśmiechem. – Rozumiem twój punkt widzenia, ale może należy spojrzeć w inny sposób?

– W jaki? – Wzruszył ramionami Piotr. – Swoją drogą, czy ktokolwiek poza tobą w ogóle widział w całości ten projekt? Zaczyna nabierać już prawdziwie mitycznego wymiaru...

– Kto wie, może ty właśnie pierwszy dostąpisz tego zaszczytu – roześmiał się Japończyk. – Musisz jednak najpierw być odpowiednio przygotowany.

– Przygotowany? – Piotr wzruszył ramionami.

Kyubimori uśmiechnął się tajemniczo. Po raz kolejny wzniesli kieliszki. Piotr poczuł, że nieco kręci już mu się w głowie.

– Chyba nie próbujesz mnie upić, Sho? – Odstawił kieliszek. – Wszystkie informacje, które można ze mnie wyciągnąć i tak znajdują się w dostępnych ci raportach. Przecież we wszystkim orientujesz się lepiej ode mnie.

– Cóż – odparł lekko Japończyk – być może chcę od ciebie wyciągnąć rzeczy, których akurat tam nie ma. Ale chyba mi się to nie udało. Zdaje się, że masz twardą głowę.

– Odziedziczyłem po dziadku ze strony matki, chłopie spod Pińczowa. Chlał na potęgę, ale trzeba przyznać, nie zaniedbywał rodziny ani gospodarki. Miał przy tym zdrowie. Przeżyłby pewnie nas wszystkich, gdyby go nie rozjechał samochód, jak rowerem wracał na trzech promilach od kumpla...

Wiceprezes spojrział z rozbawieniem, jakby naprawdę mógł pojąć wszelkie niuanse związane z etosem chłopca z podkieleckiej wsi.

– Jesteś ciekawym człowiekiem, Piotrze – stwierdził.

– Ja? – Niemal się zakrztusił. Przymiotnik „ciekawym” byłby chyba ostatnim, jakiego użyłby do opisu własnej osoby. Owszem, był świadomy posiadanych przez siebie zalet – uważał się na przykład za człowieka generalnie solidnego, dyskretnego i odpowiedzialnego, no i, rzecz jasna, dobrze liczył. Ale żeby nazywać go od razu „ciekawym”?

– No właśnie – mruknął Kyubimori – większości ludziom łatwo jest schlebić. Tobie nie. Masz zaskakujący dystans do własnej osoby.

Piotr wzruszył ramionami.

– Szczerze powiedziawszy, chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Kyubimori otworzył drugą butelkę koniaku.

– Szybko uderza do głowy – zauważył Piotr, potrząsając kieliszkiem.

– Jutro sobota – odparł wiceprezes bez troski – a nawet gdyby był poniedziałek, przecież akurat my dwaj możemy sobie pozwolić na to, by spóźnić się do pracy.

– Ty na pewno, Sho – zgodził się Piotr.

– Nie bądź taki skromny, ty również, Piotrze. Ozawa nawet gdyby cię akurat potrzebował, udałby, że nie zauważa twojej nieobecności. A pozostali uznaliby, że wygodniej jest im w tym momencie cię nie potrzebować.

– Nie byłbym taki pewny. – Piotr ukradkiem ziewnął. Zaczynał robić się senny, ale jakoś dobrze mu się tu siedziało, pomimo że rozmowa stawała się coraz bardziej abstrakcyjna. – Przeceniasz moją pozycję. Jestem niezłym dyrektorem finansowym, ale jak po wielokroć straszył mnie mój były szef i jednocześnie poprzednik na tym stanowisku, nie ma ludzi niezastąpionych. Co ciekawe, kiedy go zwalniali, wyglądał na zaskoczonego.

– Nasza pozycja zależy nie tylko od naszej użyteczności, ale i od tego, kim tak naprawdę jesteśmy. Od naszej godności. Naszego prestiżu. Wewnętrznej siły.

Piotr, chcąc nie chcąc, parsknął śmiechem.

– Przepraszam – zreflektował się. Może i wyglądało to na przyjacielską pogawędkę przy koniaku, ale rozważniej było uważać, by nie urazić bądź co bądź japońskiego członka zarządu. – Chyba jednak trochę się upiłem – westchnął, obracając w dłoni kieliszkiem. – Wracając do rzeczy, jeszcze nigdy nie pracowałem w firmie, gdzie ktoś zwracałby uwagę na wewnętrzną siłę. Czasem o pozycji stanowi kompetencja i użyteczność. O wiele częściej różnego rodzaju nieformalne powiązania i układy. Ale wewnętrzna siła? W pracy u mojego kolegi jest trzech równorzędnych kierowników, przy czym jeden z nich, kompletnie zresztą niekompetentny i niedoświadczony, bezustannie wtrąca się w poczynania pozostałych dwóch, co tamci pokornie tolerują. Bardzo możliwe, iż jest to rezultat jego wewnętrznej siły. Ze swej strony dodam, że bycie siostrzeńcem właściciela firmy znacząco ułatwia wykazywanie się nią.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi, Piotrze – odrzekł łagodnie Kyubimori. – Naprawdę sądzisz, że to, *kim naprawdę jesteśmy* – nie mówię tu o naszych kwalifikacjach, znajomościach, pochodzeniu, pieniądzach i setce innych zewnętrznych uwarunkowań – nie ma znaczenia w relacji z ludźmi



i światem? Nie na jakiejś odległej, abstrakcyjnej, pozaświatowej płaszczyźnie, ale właśnie tu i teraz?

– Wybacz, Sho, ale temat chyba zaczyna mnie przerastać. Może i istnieje jakaś wewnętrzna siła, jak ty to mówisz, ale nie sądzę, by rozmawianie o niej akurat ze mną miało jakikolwiek sens.

– Czyżby? – Kyubimori nagle spoważniał. – Czemu więc rozmawiam teraz z tobą, a nie na przykład z Chudzikiem?

– Bo tamten, w przeciwieństwie do nas dwóch, woli wódkę od koniaku? – zaryzykował Piotr.

Japończyk popatrzył na niego spod oka i znów się uśmiechnął.

– Nienawidzicie się, prawda? Ty i on, od lat toczący epicką walkę o wpływy w KZDM. Liczycie swój czas od potyczki do potyczki, czekając cierpliwie, aż może kiedyś wreszcie uda się wam pozbyć rywala...

– Czyżbyś próbował nas rozgrywać przeciwko sobie? – uśmiechnął się chytrze Piotr. – Nie bardzo rozumiem, co w ten sposób miałbyś osiągnąć. I tak w porównaniu z tobą obaj znaczymy zbyt mało, by warto było zawracać sobie nami głowę. Gramy na zupełnie innych poziomach.

– Jak zwykle nie doceniasz swojej osoby. Ale nie, pytam z czystej ciekawości. Czasem lubię studiować relacje międzyludzkie...

– Rzeczywiście nie darzę Chudzika sympatią, zapewne z wzajemnością, ale nienawiść? To byłoby zbyt osobiste.

– I nie pozbyłbyś się go, gdybyś tylko miał taką okazję? – mrugnął Kyubimori.

– Czy to oferta? – znów zażartował Piotr. – Nie, owszem, pewnie, że gdybym tylko miał szansę zyskać nad nim przewagę, tobym ją wykorzystał, ale pozbywać się go? To świetny księgowy, zna firmę od podszewki, a w wielu sprawach orientuje się lepiej ode mnie.

– Rozsądne podejście – skwitował Japończyk. – Ale ciekawe, czy jest to twoje *tatema*e czy *honne*?

– O tym – ziewnął Piotr – nie przekonamy się podczas takiej rozmowy.

– Załóżmy więc, że mówisz szczerze. I załóżmy też, iż nastawienie Chudzika jest całkiem odmienne. Sądysz, że to on popełnia w takim przypadku błąd? Ludzie potrzebują czasem prostych impulsów, wyrazistych emocji, w tym również nienawiści, aby móc określić swoje miejsce w świecie...

– Obawiam się, że mam zbyt wiele spraw na głowie, by jeszcze na dodatek określać swoje miejsce w świecie. Poza tym, nie sądzę, żeby z tego określania mogło wynikać coś sensownego...

– Niesłusznie. Jedną z kluczowych umiejętności w życiu, z czego wy, Europejczycy, nie do końca zdajecie sobie sprawę, to świadomość, kim naprawdę jesteście i do czego zmierzamy. Kim więc jesteś, Piotrze, i ku czemu zmierzasz?

– Ja? – Podniósł kieliszek do oczu i patrzył przez chwilę na resztki bursztynowego płynu, przelewającego się na dnie. – Nie jestem nikim specjalnym i naprawdę nie sądzę, żebym dokądkolwiek zmierzał. Tak jak my wszyscy zresztą.

– Zrobiłeś, jak na miejscowe warunki, całkiem błyskotliwą karierę – zauważył Kyubimori. – Nie wszystkim się to udało. Niektórzy przez całe życie dają się bezwolnie popychać losowi, zadowolając się tym, co im przyniesie.

– Nie czuję się w niczym od nich lepszy, nawet jeśli chciałbym tak się czuć. – Piotr skrzywił się lekko. – Nie było w tym wszystkim żadnego celu ani planu. Kiedy pojawia się wyzwanie, można je przyjąć lub odrzucić. Po upadku można podnieść się albo leżeć dalej, stanąć w miejscu lub iść. Jestem z natury racjonalny, więc odruchowo dokonywałem wyborów, które

wydawały mi się bardziej racjonalne. Reszta to kwestia systematyczności. Przez całe życie reagowałem jedynie na to, co mi się przydarzało, w taki czy inny sposób. Nie podążałem świadomie w żadnym kierunku, no bo niby dokąd miałbym podążać? Czasem mam wątpliwości, czy istnieje zresztą jakikolwiek kierunek, w którym warto zmierzać. W życiu trudno jest znaleźć jakiś sens, więc w zastępstwie zapełniamy je naszymi ambicjami, działaniami i codzienną krzątaniną. Często mówi się, że ludzie popadają w pracoholizm i tracą przez to sens istnienia, ale osobiście uważam, że jest akurat odwrotnie. Uciekamy w pracę, w karierę, w walkę po to, żeby nie musieć żyć ze świadomością ogólnego bezsensu i niespełnienia. No a przy okazji, jeśli jesteśmy wystarczająco systematyczni i umiemy dobrze liczyć, zostajemy dyrektorami finansowymi. Taka właśnie jest moja teoria czy też raczej antyteoria życia. Choć nie twierdzę, że musi dotyczyć wszystkich. A jak jest z tobą, Sho? – Piotr sam nalał sobie koniaku do kieliszka. – Kim ty jesteś i do czego zmierzasz?

Kyubimori zmrużył oczy. Jego źrenice wydały się Piotrowi jakies naprężone, jakby...

Japończyk odstawił swój kieliszek.

– Oops – stwierdził. – Minęła północ. Czas chyba kończyć to nasze posiedzenie.

Piotr zamglonym wzrokiem spojrzął na zegarek – dochodziła pierwsza w nocy. Nieco chwiejnie wstał z miejsca.

– Dziękuję za koniak... Sho.

– To ja dziękuję za rozmowę, Piotrze – odparł wesoło tamten. – Brakuje mi ostatnio takich... szczerych konwersacji na poziomie.

## Risy i ludzie

To była trochę dziwna rozmowa, ale wydawało się, że nie miała poważniejszych następstw, wkrótce zresztą prawie o niej zapomniał. Teraz jednak na nowo zaczął się zastanawiać, co jeszcze mogło się kryć pod jej powierzchnią...

Spojrzał na zegarek. Do audiencji u Ozawy pozostało jeszcze prawie pół godziny.

Przez chwilę w zamyśleniu kontemlował widok z okna, zastanawiając się nad tym, co powiedział Kyubimoriemu o swoim stosunku do Kielc. Miasto, rzecz jasna, było dziurą, ale chodziło też o coś więcej.

Budynek znajdował się na niewielkiej skarpie, tak więc z drugiego piętra rozpościerał się w miarę reprezentacyjny widok na okolicę. Nie był specjalnie spektakularny, nawet w kategoriach Klerykowa – ot, brudnoszara płaszczyzna jezdni dwa i jednopiętrowe domki po jej drugiej stronie. Kikuty niewyciętych jeszcze drzew, oddzielające dwa osiedla, które w bardziej sprzyjającym świetle mogłyby od biedy zasłużyć na miano niewielkiego zagajnika. Położona na peryferiach ulica nie była zbyt uczęszczana; zwłaszcza o tej porze jedynie od czasu do czasu przejeżdżał zblakany samochód, rozchlapując pośniegowe błoto.

Nawet nie chodziło o to, że zaokienny krajobraz był jakoś specjalnie przygnębiający, nie na tym polegała jego hipnotyzująca moc. W swej doskonałej przeciętności i szarzyźnie wydawał się taki... prawdziwy.

Zawierał w sobie jakieś własne Piotrowe archetypy, sięgające dzieciństwa wspomnienia, tysiące monottonnych kumulujących się przez całe życie obrazów; sklepy, bloki, szare chodniki. Prawdę, od której nie dało się uciec.

Nie żeby nie próbował. Teoretycznie zawsze mógł przecież zamknąć oczy i przywołać na pomoc inne, ciekawsze obrazy; czerwone piętrusy majestatycznie sunące pod oknami londyńskiego biurowca, w którym w końcu przepracował ponad rok, tak więc pejzaż ten powinien był dobrze utrwalić się w jego wspomnieniach, kolorowe neony Ginzy, Himalaje widziane z samolotu, kairski bazar, place Salzburga. Było tego nawet więcej: miast, ulic, ogrodów i gór. A jednak wszystkie te mniej lub bardziej egzotyczne miejsca znikwały jak zdmuchnięte, kiedy tylko choć na moment wysiłkiem woli przestawał podtrzymywać je przy życiu. Zupełnie jakby jego umysł dobrze wiedział, że tak naprawdę realne jest tylko pośniegowe błoto, litościwie zakrywające dziurawą nawierzchnię szosy, i szare kartony bloków mieszkalnych. Piotr był pewien, że jeśli w chwili jego śmierci przed oczami w ogóle zechcą przewijać się jakiegokolwiek obrazy, to będą to właśnie swojskie kieleckie pejzaże: osiedlowe sklepy spożywcze, parkingi zapchane prehistorycznymi golfami i polonezami, zaniedbane blokowiska, no i nieśmiertelny, biało-czerwony komin elektrociepłowni, widoczny z każdego niemal miejsca w promieniu 30 kilometrów.

Nie chodziło o to, że raziły szczególną przyziemnością czy brzydotą. Owszem, na swój sposób był do nich przywiązany, jak by nie patrzeć, były to również krajobrazy udanego w sumie dzieciństwa. Powodem jego irytacji była raczej niezmienna monotonia: wszelkie przeobrażenia, remonty kamienic w centrum, nowo powstające centra handlowe i rozrywkowe były zabiegiem czysto powierzchniowym i nie dotykały tak naprawdę prawdziwej duszy miasta – jak to sobie wyobrażał – szarej i monotonnej. A monotoność Kielc stawała się w jego wyobraźni odbiciem

jego własnej monotonności, jego własnego życia, równie pustego i statycznego. I tak jak nowo powstające centra handlowe i remonty kamienic na głównym deptaku nie zdołały zakłócić szarości miasta – tak wszystkie wojaże Piotra, praca za granicą, wyjazdy służbowe, nie zakłóciły doskonalej bezbarwności jego życia. Zupełnie jakby – tak jak Kielcom – przeznaczono mu własną wewnętrzną pustynię i nic, co kiedykolwiek zrobił, nie mogło tego odmienić.

I tak jak miasto, tak samo i ta pustynia wcześniej czy później znów ściągała go ku sobie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Wstał z miejsca i ruszył na spotkanie z Ozawą.

Japończycy rezydowali na trzecim piętrze, za wyjątkiem Kyubimoriego, który – nie wiedzieć czemu – urządził swój gabinet na nieco zaniedbanym poddaszu, w miejscu dawnych pomieszczeń technicznych. Fakt, wszystko to wyglądało rzeczywiście mało imponująco, ale taka była kielecka biurowa rzeczywistość – wynajmowane przez kolejne firmy budynki lub ich segmenty, stare i zaniedbane, położone na obrzeżach miasta. Ciasne biura, prowizoryczne parkingi i brak klimatyzacji. Oczywiście w tej dziedzinie też wszystko powoli się zmieniało. W ostatnich czasach powstały dwa czy trzy nowe kompleksy, Piotr widział też plany kilku kolejnych – wiodące kieleckie firmy inwestowały w swój park biurowy. Być może KZDM również przydałaby się wystawniejsza siedziba – z pewnością jednak nie taka, która przy okazji doprowadzi ją do ruiny.

Kwatera Ozawy znajdowała się na samym końcu korytarza. Podchodząc, Piotr zauważył nowy element na drzwiach – tabliczkę nad nazwiskiem Ozawy. Przedstawiała jakiś symbol – heksagram? Niezdecydowanie pogładził placami wypukły kształt. Był przyjemny w dotyku. Poczul jakby...

Wzruszył ramionami, zapukał i wszedł do środka.

Wewnątrz również nastąpiły przemeblowania. Biurka obu sekretarek ustawiono przed drzwiami gabinetu prezesa, pozostawiając pomiędzy nimi wąskie stosunkowo wejście, niczym samurajską gwardię przyboczną. Trąciło to nieco Kurosawą.

– Pan prezes już czeka – oznajmiła markotnie pani Milenka, polska sekretarka. Sekretarka japońska, pani Nagiko, obdarzyła Piotra enigmatycznym uśmiechem. Gdy przechodził pomiędzy nimi, rzucił mu się w oczy jeszcze jeden szczegół: na skraju obu biurk ustawione były posążki raczej wrednie wyglądających indywiduów. Strażnicy – skonstatował z pewnym zdumieniem – widywał już takich na zdjęciu i w naturze przed buddyjskimi świątyniami.

Coraz bardziej skonfundowany zapukał i – usłyszawszy niewyraźne zaproszenie – wślizgnął się do środka.

Ozawa siedział nieco oklapły za swym wielkim i cokolwiek pretensjonalnym, pseudoantycznym biurkiem.

– Aaaa powitać, Piotru-kun – oznajmił pieszczotliwie na jego widok – wziąć krzesło, usiąść.

Piotr skłonił się uprzejmie i usiadł naprzeciwko prezesa. Czekał.

Ozawa zamilkł na dłuższą chwilę, wpatrzony gdzieś przed siebie.

Piotr czekał cierpliwie. W zasadzie najważniejszy komunikat już został wypowiedziany. Prezes przyjął go, jak na standardy firmy, bezzwłocznie, a więc nie mogło być mowy o ostracyzmie czy niełasce. Płynął z tego również chyba wniosek, że ewentualne akcje Kyubimoriego skierowane mniej lub bardziej bezpośrednio przeciw Piotrowi były akcjami Kyubimoriego, a nie Ozawy.

Prezes wreszcie wyprostował się i przekręcił w stronę Piotra.

– Herbaty, Piotru-kun? – zapytał. – Herbaty – zdecydował i wyburczał coś po japońsku do ustawionego na biurku mikrofonu. Po czym znów zamilkł.

Piotr czekał.

Japońska sekretarka przyniosła dwie filiżanki i ustawiła je na biurku. Ozawa wziął swoją i upił łyk z siorbnięciem. Piotr poszedł w jego ślady.

– Wszystko w porządku, Piotru-kun? – odezwał się ponownie prezes.

Piotr zbierał myśli. Jak tu, do ciężkiej cholery, wyciągnąć coś z Japończyka?

– Oczywiście, Ozawa-san. – Lekko się skłonił. – Niemniej jednak... istnieją pewne wątpliwości. Nie wiem, czy mógłbym się nimi podzielić z panem prezesem?

– Tak, tak. – Prezes przyzwalająco pokiwał głową. – Dobrze jest wyjaśniać wątpliwości.

– Ośmieliłem się pana niepokoić, ponieważ nie do końca rozumiem status projektu nowego centrum Nagity, nad którym pracuje pan wiceprezes Kyubimori...

– Nie lubić tego projektu, hę? – westchnął Ozawa domyślnie.

– Wciąż nie są dla mnie jasne wszystkie źródła finansowania projektu, a nawet jego hm... rozmiar. Wiadomo już jednak, że to KZDM sama będzie musiała pokryć większość kosztów. Co postawi pod znakiem zapytania realizację naszych planów rozbudowy fabryki. Kyubimori-san zachowuje się tak, jakby jego zamierzenia miały priorytet. Czy tak jest w istocie?

Ozawa znów westchnął. Jego milczenie – na ile Piotr był w stanie to ocenić – nie było jednak milczeniem potępiającym. Postanowił brnąć dalej.

– Ponadto – kontynuował – od jakiegoś czasu nie jestem na bieżąco informowany o postępach projektu Kyubimoriego-san. Nie wiem, czy sprawę tę ma monitorować mój dział, czy też będzie ona nadzorowana



bezpośrednio z Japonii? Nie chciałbym wkroczyć w niczyje kompetencje. Wybacz mi, proszę, moją ignorancję, Ozawa-san. – Pochylił się w pokornym ukłonie.

– Ech, nic do wybaczenia, Piotru-kun. Twoje wątpliwości są zrozumiałe...

– Ogólna narada zarządu z pewnością pozwoliłaby wszystkim zrozumieć istotę projektu...

Ozawa spojrział na niego z ukosa. Piotr poczuł ukłucie niepokoju. Czyżby znów za bardzo wyłożył kawę na ławę? Cholera, powinien był już dawno się nauczyć...

Tymczasem prezes wypuścił tylko ciężko powietrze.

– Nie było narady, he? – stwierdził ponuro. – Niedobrze, niedobrze...

– Czy sprawa jest monitorowana bezpośrednio przez Tokio i przekracza moje kompetencje? – kontynuował obcesowo Piotr, uznając, że w tym momencie nie ma już sensu bawić się w etykietę. Mleko i tak zostało rozlane.

Oblicze Ozawy stawało się coraz bardziej zagadkowe i nieczytelne, prezes nadal nie sprawiał jednak wrażenia zirytowanego pytaniami.

– Nie – odrzekł. – Tokio niczego już nie monitoruje.

Piotr popatrzył bezradnie.

– Tokio niczego już nie monitoruje? – powtórzył bezwiednie, nie starając się nawet ukryć zaskoczenia. Jak, do ciężkiej cholery, japońska centrala mogła nie monitorować czegoś tak dużego? Macierzyste firmy w Japonii zazwyczaj trzymały swoje zagraniczne oddziały na bardzo krótkiej smyczy.

Ozawa przyglądał mu się z tajemniczym wyrazem twarzy. Sprawiało to wrażenie, jakby chciał Piotrowi coś zakomunikować. Bez słów, bez

nazywania rzeczy po imieniu, za pomocą tej specyficznej formy telepatii, którą Japończycy wysysali z mlekiem matki.

Niestety, Piotr nie sądził, by on sam był w stanie kiedykolwiek ją opanować. Najwyraźniej trzeba było ją otrzymać w genach.

Tokio niczego nie monitoruje, powtórzył w myślach. Pozostawiło nas samym sobie? A więc kto w takim razie kontroluje sytuację? Kyubimori? W imieniu swoim własnym... czy też kogoś innego?

Kącki ust Ozawy lekko drgnęły, zupełnie jakby tamten naprawdę mógł słyszeć jego myśli. Na usta prezesa wypełził cień gorzkiego uśmiechu.

– Czasem sprawy nie układają się tak, jak byśmy pragnęli. I nie ma w tym naszej winy, Piotru-kun. Zrobiliśmy to, co do nas należało. Ale na pewne rzeczy nie można poradzić.

Kyubimori? – myślał gorączkowo Piotr. – Teraz to on rozdaje wszystkie karty? Ale dlaczego? Gdyby był człowiekiem obdarzonym najwyższą korporacyjną władzą, siedziałby przecież w Japonii, zamiast tłuć swój żółty tyłek po świecie... Poza tym... Kyubimori był zbyt młody. Zbyt światowy. Zupełnie nie pasował do japońskiego stereotypu szarej eminencji. A stereotyp był w kraju kwitnącej wiśni świętością.

– *Yakuza*? – szepnął niedosłyszalnie niemal dla siebie samego. Po prawdzie, choć wiele czytał o japońskiej mafii, nawet pośrednio nigdy się z nią nie zetknął. Teraz przez głowę przemknęły mu jednak krwawe sceny z kilku japońskich i amerykańskich filmów, z *Czarnym deszczem* na czele. A Kyubimori jeździł przecież bmw, jedną z ulubionych marek wyższych rangą *yakuza*. Może w istocie światowy biznesmen był rezydentem mafii?

Piotr był pewien, że Ozawa po prostu gniewnie zignoruje jego pytanie, ale prezes jedynie pokręcił rozbawiony głową.

– Nie, nie, Piotru-kun. Za dużo kiepskich filmów.

Niedostrzegalnie dla siebie samego Piotr odetchnął z ulgą. Cóż, w najgorszym razie go zwolnią, ale nie zakatrupią. Chociaż, zreflektował się, *yakuza* zazwyczaj działali dyskretnie i unikali niepotrzebnej przemocy, zwłaszcza w stosunku do nie-Japończyków...

– *Giri* – oznajmił zniecierpliwiona Ozawa. – Wiesz, co to *giri*?

Oczywiście, że wiedział. *Giri* – zobowiązanie. Jeden z fundamentów, na których zasadzało się japońskie społeczeństwo. Zobowiązanie dzieci względem rodziców, uczniów względem nauczycieli. Przysługa za przysługę, egzekwowana równie skrupulatnie, co bezlitośnie. O czyje *giri* chodziło w tym przypadku? Czyje i względem kogo?

Znów zapadło milczenie. Ozawa upił łyk z filiżanki. Piotr nie przerywał ciszy, nie chcąc spłoszyć prezesa. Tamten i tak już powiedział więcej, niż można było się spodziewać.

– Lubić risy, Piotru-kun? – odezwał się niespodziewanie Japończyk.

Piotr zastygł z filiżanką przy ustach.

– Risy? – powtórzył niepewnie. W myślach gorączkowo dokonywał przeglądu: Rysa na szkle, Risy w Tatrach, o co chodziło tamtemu? Ozawa na ogół całkiem poprawnie posługiwał się polszczyzną, ale niekiedy przydarzały mu się zagadkowe przejęzyczenia.

– Nie, nie – wymruczał Ozawa. – Risy. Rude risy. Z lasu.

Cholera, pomyślał Piotr. Choćbyś nie wiem jak długo z nimi pracował i tak zawsze zdołają cię zaskoczyć.

– Lisy? – próbował się upewnić. Ostatecznie mogło też chodzić o rydze. Też były w końcu rude. I z lasu. – Takie zwierzęta?

– Tak, tak. – Pokiwał głową Ozawa. – Zwierzęta. Ale nie do końca. Nie ufaj risom. Są podstępne.

– Pewnie tak – wybąkał Piotr. – Do głowy przyszedł mu Lis Witalis z bajeczki Brzechwy, którą matka czytała mu w dzieciństwie. Poza tym,

niestety, nic innego nie przychodziło do głowy. – Szczerze powiedziawszy, nigdy nie widziałem na oczy żywego lisa – dodał po namyśle.

– O, tego nie możesz być pewien – zaprotestował Ozawa. – Pamiętaj, że są podstępne. Popatrzył badawczo na zdezorientowanego Piotra. – Wy nie macie opowieści o risach. Nie wiesz, o czym mówię?

– Nie, Ozawa-san – odrzekł zgodnie Piotr.

– U nas dużo, dużo opowieści – wyjaśnił Japończyk. – Risy są podstępne. Zmieniają kształty. Hałasują. Podszywają się pod ludzi. Uwodzą mężczyzn. Zwodzą pobożnych mnichów na manowce. Psocą. Wabiają ludzi na pustkowiach tajemniczymi ogniami...

– Ogniami? – wzdrygnął się Piotr.

– Tak. Nie słyszałeś nigdy o risim ogniu? A wierz mi, robią jeszcze gorsze rzeczy. Nie tak niebezpieczne, co prawda, jak *tengu*, oni czy inne demony, ale zwodnicze. *Tengu* siedzieć w lesie na górze. Ty trzymać się z dala od jego terytorium, nic ci nie zrobi. A ris przyjdzie do ciebie, zakradnie się do twojego domostwa, będzie udawał kogoś bliskiego, kogoś, kogo zdaje ci się, że znasz tak dobrze...

Piotr przezornie milczał. Rozmowa przybrała wysoce niespodziewany obrót.

– Wszystko przez risy – kontynuował Ozawa. – Burzą porządek społeczny. Nie można im ufać. Ris pozostanie risem, choćby jego rodzina żyła wśród ludzi od dziesiątków pokoleń. Pomyślisz, że mam uprzedzenia, Piotru-kun?

– Nie – odrzekł gorliwie Piotr. – Skądże.

Spotykał się już wcześniej z różnymi uprzedzeniami – w zależności od sytuacji względem Żydów, Koptów, Murzynów, Polaków a nawet kielczan (Japończycy mieli z kolei swoich naturalizowanych

Koreańczyków), ale liso- czy też risofobia stanowiła dla niego kompletną nowość.

– Myślisz, że zwariowałem, Piotru-kun? – Ozawa uśmiechnął się domyślnie.

Jednak telepata, zdecydował Piotr, bez dwóch zdań.

– Nie martw się, Piotru-kun. – Prezes zachichotał. – Nie wierzysz w risy? A więc potraktuj je jako taką meta... metaforę. W Japonii znamy wiele opowieści o risach. Często pojawiają się w legendach. W baśniach. Jest na przykład opowieść z epoki Heian o tym, jak pewna risica, udając kobietę, uwiodła i oczarowała dostojnika. Przez kilka tygodni mieszkał w jej norze, myśląc, że to pałac, dasz wiarę?

– Nie – odparł szczerze Piotr. – Nie dam.

– No właśnie. – Pokiwał głową Ozawa. – Risy są mistrzami iluzji.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby lis mógł przekonująco udawać człowieka – zauważył uprzejmie Piotr.

– Tak by się zdawało – uśmiechnął się Ozawa chytrze. – Ale pomyśl, Piotru-kun, co to w końcu tak naprawdę znaczy być człowiekiem, a co być risem? Może granice są bardziej płynne, niż się zdaje? To jest właśnie to, z czym wy, ludzie zachodu, macie problemy. Płynność granic. Względność rzeczy. Albo tak, albo nie. Dobry albo zły. PiS albo Platforma. Tusk albo Kaczyński. Ris albo człowiek. Koniecznie chcecie rozstrzygać. To w pewnym sensie nawet urocze, takie hm... idealistyczne. Ale każde takie rozstrzygnięcie jest z gruntu fałszywe, zawęża możliwości. A risy nie rozstrzygają i dlatego mogą być, czym tylko zechcą. Są mistrzami iluzji. Nigdy nie dokonuj niepotrzebnych wyborów, Piotru-kun.

Jakże nieodgadnione głębie, dumiał Piotr, czają się w duszy japońskiego biznesmena. Mędrzec czy szaleniec? Masz rację, Ozawa-san, nie będę się starał tego rozstrzygnąć.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinieneś wiedzieć. – Japończyk popatrzył na niego z namysłem, jakby wahając się, czy mówić dalej. – Risy... są mistrzami... – tu Ozawa zamachał rękami, szukając właściwego słowa – przestrzeni.

– Przestrzeni? – zdziwił się Piotr.

– Tak, przestrzeni. Rozumieją przestrzeń lepiej niż zwykli śmiertelnicy. Zwłaszcza wy, ludzie zachodu. Jesteście tacy... – znów przez chwilę szukał właściwego słowa – tacy line... linearni. Opowiem ci pewną historię, Piotru-kun, zgoda?

– Oczywiście, panie prezesie.

– Otóż – Ozawa uniósł palec – był kiedyś... pewien hm... – Japończyk zawahał się – powiedzmy, iż był to możny *daimyo*, czyli taki jak to jest po polsku... feudał?

– Wiem, o co chodzi. Widziałem kilka filmów samurajskich.

– To dobrze. – Pokiwał z uznaniem głową Ozawa. – A więc był sobie *daimyo* o imieniu... Urabe. Ten prezes, to znaczy – poprawił się – *daimyo* posiadał syna, który w stosownym czasie miał odziedziczyć wszystkie jego... włości. Nazwijmy go... – Ozawa zastanawiał się przez chwilę – Goro. Wybacz, Piotru-kun, nie mam wprawy w opowiadaniu fikcyjnych historii, zwłaszcza tych dotyczących świetnej, feudalnej przeszłości mojego kraju. Niestety, jestem człowiekiem na wskroś współczesnym i niewiele we mnie znajdziesz z ducha samurajów.

– Ależ skąd! – zaprotestował Piotr grzecznie. – Jest pan dla mnie uosobieniem ducha samurajów. Opowieść zaś zapowiada się niezwykle interesująco.

Ozawa uśmiechnął z nietypową dla Japończyka ironią. – Nasz Goro, jak się powiedziało, był dziedzicem wielkiego *zaibatsu*

– Korporacji? – zdziwił się Piotr cokolwiek bezceremonialne, po czym natychmiast ugryzł się w język.

– Hm... tego. Znaczy się rodu – sprostował prezes z dobrotliwym uśmiechem, nie zwróciwszy nawet uwagi, że podwładny ośmielił się wejść mu w słowo. Po czym nieznacznie mrugnął lewym okiem. Piotr nie miał zielonego pojęcia, czy był to zamierzony gest, czy też jedynie tik.

– Nasz Goro był wspaniale zapowiadającym się, choć nieco... niezdyscyplinowanym młodzieńcem. Jego ojciec miał jednak nadzieję, iż jak to zwykle bywa, z czasem Goro ustatkuje się i stanie się godnym następcą. I rzeczywiście – Goro został posłany do Tokio na prestiżową... hm... na dwór szoguna, aby otrzymać stosowną edukację. Co więcej, jego ojciec zaaranżował ślub z córką jednego ze swych najważniejszych sojuszników, pana Ishidy. Wszystko zmierzało we właściwym kierunku, gdy nagle stała się rzecz zupełnie niesłychana. Goro spotkał dziewczynę i zakochał się... – Ozawa spojrzał na Piotra wyczekująco.

– Wbrew woli ojca – domyślił się Piotr. – I pewnie nie chciał pojąć za żonę tej, którą mu wybrano?

– Gdybyż jeszcze była to w miarę odpowiednia dziewczyna – westchnął Japończyk. – Urabe kochał syna i wiele zmieniło się od dawnych czasów. Ale Goro – tu Ozawa spuścił z zakłopotaniem wzrok – związał się z dziewczyną z niewidzialnej klasy...

– Z niewidzialnej klasy?

– *Burakumin* – wyjaśnił Ozawa, zniżając głos do szeptu.

– *Burakumin* – powtórzył odruchowo Piotr. Oczywiście czytał gdzieś o *burakumin*. Japońscy pariasi, potomkowie grabarzy skór, rzeźników i robotników cmentarnych. W dwudziestym pierwszym wieku niemal tak samo poza nawiasem społeczeństwa jak stulecia wcześniej.

– Rzecz jasna – ciągnął smutno Ozawa – Urabe nie mógł wyrazić zgody na ten związek. Może, gdyby udało się to hm... przeoczyć. Ale to nie takie proste. Dziewczyna początkowo zataiła prawdę przed Goro, on zaś z kolei ukrywał ją potem przed ojcem. Urabe, nawet gdy się już dowiedział, mógłby *udawać*, że nie wie. Ale wszystko odkrył również pan Ishida i przyszedł do Urabe z upomnieniem. Goro tymczasem popadł w wielką depresję, bo mocno pokochał tę dziewczynę. Nie chciał urazić ojca ani jej, jedynym wyjściem zdawało się więc samobójstwo...

– Hm... – mruknął Piotr.

– I wtedy – zawiesił głos Ozawa – pojawił się ris.

– Lis?

– Ris – przytaknął Ozawa. – Oczywiście, wcale nie wyglądał jak ris. Wyglądał jak pełnoprawny, szacowny członek japońskiego społeczeństwa. Ale drzemała w nim pradawna risia magia. Przyszedł do Goro i zaoferował swą pomoc. „Nic się nie martw, rób tylko, co każę. I pamiętaj, że jeśli się powiedzie, będziesz musiał spłacić swój dług”. Macie takie przysłowie – „tonący chwyta się... żyletki?”.

– Brzytwy – sprostował Piotr.

– Brzytwy. A Goro był zdesperowany. I przystał na propozycję risa. Gdy ojciec wezwał go oficjalnie do siebie, ten, zgodnie z radą risa, zaprzeczył, że jego narzeczona należy do *burakumin*. To samo powtórzył przed Ishidą i radą nadzor... dostojnikami na dworze ojca. I – tak jak kazał ris – zaprosił wszystkich do rodzinnej wioski Kimiko – tak miała na imię dziewczyna – kładąc na szali honor swój i ojca... – Ozawa pokiwał głową z zadumą.

– I co wydarzyło się dalej, Ozawa-san? – zapytał Piotr, który mimo wszystko zdążył się nieco zainteresować opowieścią.

– Ishida już zacierał ręce, spodziewając się jednej wielkiej kompromitacji, która osłabi pozycję Urabe i wzmocni jego własną.



Wcześniej wysłał do wioski swoich ludzi i wiedział, czego należy się spodziewać... Ale gdy wszyscy przybyli do miejsca urodzin Kimiko, ich oczom, zamiast biednej osady *burakumin*, ukazała się niewielka, acz zamożna wioska o świetnych, samurajskich tradycjach... Oczywiście, była to risia iluzja. Ale nie dało się jej zignorować. Wszyscy, chcąc nie chcąc, musieli udawać, że wierzą w to, co widzą, inaczej naraziliby się na śmieszność. To było prostsze rozwiązanie. I tak oto wioska *burakumin* przestała być wioską *burakumin* – ktoś bowiem zaprzeczyłby świadectwu tak znakomitych przedstawicieli społeczeństwa. Goro i Kimiko mogli się pobrać. Jedna iluzja zmieniła życie wielu ludzi. Rodzina Kimiko wahała się jeszcze, czy pojawić się na śrubie. „lepiej nie kusić losu – powtarzał jej ojciec – iluzja musi w końcu prysnąć. Niech wynajmą aktorów, tak jak to się robi w podobnych przypadkach...”.

– Aktorów? – Piotr po raz kolejny przerwał pryncypałowi.

– Tak, tak – wyjaśnił Ozawa niezrażony. – W Japonii, gdy rodzice któregoś z małżonków nie mogą się pojawić na śrubie albo jest to z jakichś względów niewskazane, wynajmuje się aktorów. Są nawet specjalne agencje – mniejsza o to. – Machnął ręką. – A więc rodzice Kimiko chcieli się wycofać, bojąc się, iż wskutek jakiejś gafy szczęście córki pryśnie. Ale ris rozwiął ich obawy. „Iluzja? – zaśmiał się – wszystko jest iluzją. Możecie być, kim tylko zechcecie, jeśli tylko w to uwierzycie. Aż tak bardzo przyzwyczailiście się do własnego poniżenia i nieszczęścia, iż trudno jest wam się z nim rozstać? Wszystko jest w waszych głowach. Umysł i wyobraźnia są silniejsze od tego, co niektórym wydaje się przeszłością, karmą czy też przeznaczeniem. Choć większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy, ich życie w każdej chwili może zostać odmienione. Każdy z nas jest w stanie po raz pierwszy w życiu wziąć do ręki łuk, naciągnąć cięciwę i nie celując trafić w sam środek tarczy, tak jakbyśmy to robili już tysiące

razy wcześniej. Może zresztą robiliśmy to – w naszych snach, w innych wcieleniach – czemu to nie miałyby się liczyć?” Hm... – chrząknął prezes – po prawdzie nie wiem, czy ris popadł aż w tak mistyczne tony, ale w każdym razie przekonał rodzinę Kimiko. A oni swym zachowaniem przekonali z kolei pozostałych. Śrub się udał, a Goro i Kimiko stworzyli zaskakująco udane małżeństwo...

– Więc chyba opowieść kończy się dobrze?

– Ha! To nie takie proste, Piotru-kun. Owszem, może z waszego zachodniego punktu widzenia. Romantyczny happy end, he? Ale co bardziej konserwatywny buddysta mógłby uznać, że ris niedopuszczalnie zaingerował w karmę, zmieniając przeznaczenie. Jeśli w końcu ludzie z wioski urodzili się w tym wcieleniu jako *burakumin*, to widocznie były ku temu powody, he? Tak, tak, Piotru-kun, nie musisz protestować, ja też uważam, że nie powinno się w ten sposób tłumaczyć niesprawiedliwości. Tyle że magiczna sztuczka też nie jest rozwiązaniem. Nie wolno budować niczego na kłamstwach, krętactwach, iluzji. Trzeba umieć znosić swój los. Ris, tak czy inaczej, był tylko oszustem. Poza tym – uśmiechnął się smutno Ozawa – bynajmniej nie bezinteresownym!

– Nie? – Piotr taktownie udał zdziwienie.

– Nie. Goro zaciągnął u risa *giri*, zobowiązanie. Nie, nie było żadnych cyrografów spisywanych krwią, jak w waszych legendach. Nie były potrzebne. Każdy Japończyk wie, co to *giri* – nawet w stosunku do risa. Mijały lata, tak jak się spodziewano, Goro ustatkował się i przejął schedę po ojcu. Wszystko rozwijało się świetnie. Interesy kwitły, Goro i Kimiko dochowali się dwóch synów i córki. Ris zniknął z oczu naszemu bohaterowi wkrótce po opisanych wydarzeniach i nie słychać było o nim żadnych wieści. Ale Goro wiedział, że kiedyś powróci. I że zażąda zapłaty. No i powrócił – piętnaście lat później... – Ozawa pokiwał w zadumie głową.

Zapadło milczenie.

– I to już koniec? – zapytał Piotr.

– Nie sądzę – odparł zafrasowany Ozawa. – Takie opowieści, niestety, można snuć bez końca.

– Ale czego zażądał ris? – spytał Piotr.

– Och, widzę, że cię jednak zainteresowałem – zachichotał dobrotliwie tamten. – Och, niczego sensacyjnego. Żadnej ofiary z córki czy czegoś w tym guście. „Twoje księstwo kwitnie, powiedział ris do Goro, masz wiele zamków i prowincji. Oddaj mi w zarządzanie najdalszą z nich. Dla ciebie nie ma ona aż takiego znaczenia, a ja muszę odnaleźć dla siebie nowe miejsce. Grunt pali mi się pod hm... kitą”. Oczywiście trochę koloryzuję, Piotru-kun. No, i tyle. – Ozawa rozłożył bezradnie ręce.

– Hm... – mruknął Piotr. – Teraz to już koniec opowieści?

– Cóż, dla Goro pewnie tak. Trzeba przyznać, że mogło się to skończyć gorzej – dodał Ozawa. – Wydaje się, że zdołał się wykpić stosunkowo małym kosztem. Wydaje się – bo któż naprawdę wie, czym jest cena, jaką przychodzi mu zapłacić? Oczywiście ris mógł zażądać czegoś innego. Czegoś, czego utrata wydawałaby się Goro znacznie boleśnieszka. Nigdy nie wiesz, czego spodziewać się po risie...

– Mam pytanie... – zaczął z wahaniem Piotr – ale...

– Śmiało, śmiało – odrzekł prezes jowialnie.

– Skąd właściwie wiadomo, że to w ogóle był... lis?

– Ach! – Ozawa popatrzył na niego pobłaźliwie. – Wierz mi, to był ris. Normalny, przyzwoity Japończyk przecież nigdy nie zachowałby się w ten sposób.

– No tak – wybąkał Piotr – rzeczywiście.

Przez chwilę spoglądał jeszcze niezdecydowanie na Ozawę.

– Nie – stwierdził tamten. – Nie usłyszysz ode mnie już nic więcej. A gdzie morał, zapytasz, Piotru-kun? Przykro mi, nie będzie morału. Nie takiego, jakiego oczekujecie wy, Europejczycy. Ale zastanów się nad tą opowieścią. No tak. – Prezes jeszcze raz westchnął. – To dobrze, że przyszedłeś, Piotru-kun.

Z twarzy Ozawy Piotr domyślił się, iż audyencja dobiegła końca. Wstał i skłonił się głęboko.

– Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój cenny czas, panie prezesie – wyrecytował. – Dokładnie rozważę pańskie słowa.

– Tak, tak. – Ozawa uprzejmie pokiwał głową.

W jego uśmiechu pojawiła się dobrotliwa kpina, jakby tamtego bawiło, że Piotr nie jest w stanie docenić tych wszystkich mądrości na temat risów, które mu tak hojnie wyjawiono.

Piotr jeszcze raz skłonił się i wycofał z gabinetu.

– Powodzenia, Piotru-kun – zawołał jeszcze za nim Ozawa. – I pamiętaj, na pewne sprawy nie możemy nic poradzić. Taka karma.

Piotr delikatnie zamknął za sobą drzwi. Polska sekretarka unikała jego wzroku, stukając coś zawzięcie na klawiaturze komputera, sekretarka japońska obdarzyła go enigmatycznym spojrzeniem.

– Do widzenia – powiedział bez przekonania i znalazł się na korytarzu.

Dlaczego jeśli już w jego nudnym życiu przydarzało się coś, co rozbijało monotonię, to od razu musiało ocierać się o absurd? W zamyśleniu ruszył z powrotem do siebie. Jaką naukę należało wyciągnąć z tej dziwacznej rozmowy? Przecież pod pokładami nonsensu musiał kryć się jakiś morał! Chyba.

I co to miało wspólnego z jego własną sytuacją i Kyubimorim? Czy Ozawa chciał zasugerować, że nowy członek zarządu był lisem czy też może raczej risem? Choćby i jedynie w sensie metaforycznym? I co zresztą

oznaczało bycie lisem w sensie metaforycznym? Czy opowieść prezesa należało brać dosłownie? Nie, to chyba byłoby zbyt fantastyczne, zbyt absurdalne. A skoro niedosłownie, to właściwie jak?

6.

## Katarzyna

Na schodach niemal zderzył się z Michałem Cedrą z działu IT.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – rzucił wesoło tamten.

– Dzień dobry, panie Michale. Czy to prawda, że snuje pan publiczne dywagacje na temat moich rzekomych inklinacji homoseksualnych? – zapytał Piotr znienacka, spoglądając mu prosto w oczy. A co tam, pomyślał, było już o risach, niech będzie o gejach.

Cedro wybałuszył oczy, jak ocenił Piotr bardziej ze zdziwienia niż zmieszania.

– Co? – wybąkał. – Nie... To pańska sekretarka ostatnio sugerowała, że... no... ale oczywiście ja, to znaczy my...

Piotr z rezygnacją machnął ręką, minął skonfundowanego informatyka i ruszył na dół. Bez komentarza, skwitował w myślach. Prowadzenie jakiegokolwiek śledztwa nie miało oczywiście sensu, choć gdyby miał postawić pieniądze, zaryzykowałby tezę, że to rzeczywiście pani Sylwia sama rozpuszczała plotkę, chcąc zweryfikować swe podejrzenia, a może po prostu dodać biurowemu życiu pikanterii. W zasadzie to trudno było nawet mieć do niej pretensje.

Stanął w drzwiach własnego gabinetu i nacisnął kłamkę.

Zastygł w bezruchu.

Poczuł, jak serce zaczyna bić szybszym rytmem.

Dlaczego?

Jakiś impuls w tle, drażący podświadomość? Obraz, dźwięk, uczucie, wspomnienie? Coś, co...

Stukot damskich obcasów na schodach? Przecież nie było w tym nic niezwykłego, co chwilę ktoś biegał po schodach tam i z powrotem i stukał obcasami. Dlaczego stukot akurat *tych* obcasów zwrócił jego uwagę? Przypadek czy przeznaczenie nakazało mu nagle odwrócić głowę?

Dostrzegł tylko szczupłą sylwetkę, znikającą za załomem ściany. Kręcone blond włosy – czy *naprawdę* zobaczył je w tym krótkim ułamku sekundy?

Jak zahipnotyzowany zawrócił ku schodom. Jego słuch gdzieś w tle znów wyłowił stukot obcasów pokonujących kolejną kondygnację. Opanowało go wrażenie *déjà vu*. Czy coś bardzo podobnego nie przyśniło mu się przypadkiem tej nocy? Czy to możliwe, że...?

Znów minął się z Michałem Cedrą, który tym razem schodził w dół. Tamten obejrzał się za nim zdziwiony i chyba nawet coś powiedział, ale Piotr słyszał go jak przez mgłę; cała jego świadomość była teraz bez reszty skoncentrowana na oddalającym się stukocie obcasów. Było w tym dźwięku coś zmysłowego, coś, co nieodparcie kojarzyło się z zadziornym, zalotnym uśmiechem, gładkością smukłych ud, rytmicznym falowaniem włosów...

Ocknął się przed drzwiami gabinetu Kyubimoriego. Co ja robię, pomyślał zdumiony, chyba zaczynam wariować. Okręcił się na pięcie; w tym samym momencie dobiegł go cichy śmiech i szmer rozmowy.

Pchnął drzwi i wszedł do środka, nawet nie zapukawszy.

Do gabinetu wiceprezesa prowadził niepozorny przedsiónek. Znajdowały się tu dwie zapełnione jakimiś szpargałami szafki i biurko, przy którym teoretycznie powinna siedzieć sekretarka Kyubimoriego.

I siedziała, co Piotra mocno zaskoczyło. Pani Małgorzata poszła na macierzyński miesiąc wcześniej i jakoś nie wyznaczono nikogo w zastępstwie. A jednak w tej chwili za biurkiem siedziała szczupła, niziutka i blada Japonka, którą Piotr widział po raz pierwszy w życiu. Wyglądała cokolwiek hm... widmowo. Patrzyła na niego z taką obojętnością, że przez moment gotów był zważyć we własne istnienie.

Nowa Japonka? Czemu wcześniej nie zwrócił na nią uwagi? Czyżby Kyubimori sprowadził ją na własną rękę bezpośrednio z ojczyzny?

Roztargniony, przeniósł wzrok na wiceprezesa, który stał w drzwiach gabinetu w zapraszającej pozie przed kobietą zwróconą plecami do Piotra. Kyubimori spoglądał na niego, a nie na swego gościa, wargi rozciągnęły mu się w lekkim uśmiechu, jakby nagłe i bezceremonialne wtargnięcie dyrektora finansowego ani go nie uraziło, ani nawet specjalnie nie zaskoczyło.

Kobieta odwróciła się i Piotr przestał zwracać uwagę na oboje Japończyków.

Elegancki zielonkawy żakiet i piaskowa chusta, charakterystycznie owinięta wokół szyi. Fryzura zdecydowanie krótsza niż wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, sześć lat wcześniej. Włosy ufarbowane na nieco ciemniejszy odcień.

Czas nie odjął jej nic z atrakcyjności, raczej dodał blasku.

Choć z drugiej strony, czy spoglądając teraz na nią, widział osobę, jaką obecnie była, czy też tą, którą zapamiętał i której obraz tak pieczołowicie od lat męczył w swej wyobraźni?

Na widok Piotra przez twarz kobiety przemknęła dezorientacja, która jednak błyskawicznie ustąpiła miejsca profesjonalnej samokontroli.

– O! – zawołała miękko. – Cóż za spotkanie!



– Wy się znacie? – wtrącił Kyubimori swobodnie. Po polsku, niemal zupełnie bez akcentu. Gdyby Piotr zwracał na niego uwagę, pewnie zaskoczyłaby go pobłażliwość w głosie Japończyka.

Uznał, że już najwyższy czas, by choć trochę odzyskać rezon.

– Owszem. – Starał się mówić luźnym tonem, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. – Pracowaliśmy kiedyś razem. Witaj, Katarzyno.

– Tak – podjęła gładko kobieta – w Banku Świętokrzyskim. Stara historia. Wylądowałeś w końcu w naszej poczciwej KZDM?

Piotr sztywno skinął głową.

– Jest nawet dyrektorem finansowym. – Pośpieszył z wyjaśnieniami Kyubimori. – A pani Katarzyna przybyła właśnie do nas z Warszawskiej Centrali Amundsen Banku. Cóż, dołączysz do nas na moment, Piotrze? Napijemy się herbaty prosto z kraju kwitnącej wiśni. Pani Katarzyna pewno zmęczona, a nam aż tak się nie pali.

– Doskonale mówi pan po polsku – powiedziała Katarzyna z nutą podziwu w głosie. – Długo już mieszka pan w naszym kraju?

– Pięć miesięcy. – Kyubimori wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu. Wystudiowanym, zamaszystym gestem zaprosił ich do środka. Piotr jak zahipnotyzowany podążył w ślad za Katarzyną, na moment zostali sami. Japończyk szeptem wydawał jeszcze jakieś polecenia sekretarce.

Katarzyna tymczasem z zadziwiającą skutecznością unikała wzroku Piotra, rozglądając się po ekstrawaganckim, obszernym pomieszczeniu, w jakie, na specjalne życzenie Kyubimoriego, przekształcono dawną nadbudówkę.

– Wow – oznajmiła. – Kto by się spodziewał, patrząc z zewnątrz na tę rudere.

Gabinet wiceprezesa rzeczywiście wyróżniał się na tle całego biura KZDM, podobno zresztą wykonano go według jego osobistego projektu.

Wszystkie ściany były całkowicie przeszklone, rolety odsunięte, tak że pomieszczenie tonęło w powodzi światła. Od strony południowej ocieniał je rząd prawie dwumetrowych bambusów posadzonych w drewnianych, podłużnych doniczkach. Meble rozmieszczono z przedziwną asymetrią, w której wyczuwało się jednak jakiś porządek – wydawało się, że nie ma tu w ogóle linii prostych, a jeśli już to na pewno linii równoległych czy też prostopadłych – przeważały łagodne łuki, zachodzące na siebie pod najdziwniejszymi kątami. Było w tym wszystkim coś nieodparcie atrakcyjnego, ale i niepokojącego.

Całość uzupełniało kilka bonsai oraz trzy rzeźby nowoczesne.

Piotr z fascynacją rozglądał się wokół, jakby dopiero teraz, oczami Katarzyny, dotarła do niego niezwykłość tego miejsca. Czemu wcześniej nie zwracał na to uwagi? Czy aż tak bardzo zagubił się w codziennej monotonii, że nie potrafił dostrzec niczego, co się z niej wyłamywało?

Wtem kątem oka zwrócił uwagę na jeszcze jeden szczegół: srebrne skrzydło na końcu gabinetu. Szybko odwrócił głowę, ale dostrzegł jedynie duży, elipsoidalny stół, otoczony rzędem krzeseł i biblioteczkę. Dziwne, przez chwilę miał wrażenie, że...

Potrząsnął głową i zerknął nieśmiało na Katarzynę.

Wciąż byli sami; w końcu kobieta, chcąc nie chcąc, również zwróciła się w jego stronę i oficjalnie uśmiechnęła.

– Pan dyrektor, no proszę. Zrobiłeś postęp od czasu, gdy siedzieliśmy przy sąsiednich okienkach. Zawsze wiedziałam, że ambitna z ciebie bestia, Piotrze.

– Nie tak jak z ciebie – zauważył uprzejmie. – Gdzie bywałeś przez cały ten czas?

– To tu, to tam... – odparła zalotnie – ale w tej chwili już od jakiegoś czasu w centrali Amundsena w W-wie. – Więc jednak wróciłeś na stare

śmiej? A ktoś mówił, że siedzisz w Londynie...

– Stara historia – skrzywił się Piotr. – Tak, wróciłem do Kielc. Nikt nie ucieknie od swego przeznaczenia – wygłosił banalnie, spoglądając jej w oczy.

Uśmiechnęła się pod nosem – jakby lekceważąco – i znów odwróciła wzrok.

– Ale tobie udało się wyrwać z tej dziury – dokończył. – Gratulacje...

– Och, wierz mi, że to wcale nie jest takie trudne. Wystarczy tylko chcieć...

Tylko chcieć, pomyślał ponuro. Tylko chcieć. Łatwo powiedzieć.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że Katarzynie udało się uciec. Zarówno od Kielc, jak i od niego. Dwie różne ucieczki czy tak naprawdę jedna i ta sama? Czy w głębi duszy identyfikowała go z tym miejscem, którego – jak wiedział – nie cierpiała bardziej nawet niż on sam. Czy teraz, gdy spoglądała na Piotra, widziała uosobienie codzienności, na którą nie chciała się zgodzić?

– No, jak tam? – Piotr drgnął, słysząc głos Kyubimoriego niemal tuż przy swoim uchu. Facet umiał się skradać, jakby rzeczywiście był lisem, a nie człowiekiem. – Wspominacie stare czasy?

– Nie ma zbytnio czego wspominać – gładko odrzekła Katarzyna. – Ot, pracowaliśmy razem prawie rok na szeregowych raczej stanowiskach. Na szczęście oboje mamy już to za sobą. Piękne biuro. – Obróciła się do Japończyka. – Takie oryginalne. Musi mi pan dać namiary na architekta wewnątrz.

– Dziękuję, sam projektowałem. – Kyubimori wyszczerzył lśniąco białą zęby. – Aranżowanie przestrzeni to moje hobby... No i w ogóle architektura.

Katarzyna wstała i leniwie przeszła kilka kroków.

– Dziwne. Nigdy jeszcze nie widziałam podobnego stylu. Na pozór chaotyczny, a jednak ma się wrażenie, że wszystko zaplanowano z żelazną konsekwencją. Że kryje się w tym wszystkim jakaś logika, której istnienie wyczuwa się od razu, ale którą trudno jest rozszyfrować...

– Może pani spróbuje? – Japończyk uśmiechnął się tajemniczo.

– To chyba ponad moje siły – westchnęła kobieta. – Nawet nie jestem w stanie tego opisać w jednym zdaniu...

– Chaos kontrolowany? – Kyubimori ironicznie uniósł brwi.

– Czy to wszystko nie jest czasem trochę niejapońskie? – Piotr uznał za stosowne wtrącić swoje trzy grosze. Katarzyna spojrzała na niego z roztargnieniem, Kyubimori z błyskiem w oku.

– Jak zwykle masz rację – odrzekł gładko. – Nawet bardzo niejapońskie. Czy wiecie – teatralnie ściszył głos – czego Japończycy boją się najbardziej na świecie?

Oboje potrząsnęli głowami i spojrzeli na wiceprezesa pytająco, jak para dzieci, którym czarodziej zdradza właśnie ekscytującą tajemnicę.

– Spontaniczności. Nieprzewidywalności. Cała japońska kultura jest wyrazem wojny ze spontanicznością. Próbą okiełznania tego, co powinno pozostać dzikie i nieujarzmione. Sztuka zaś – apoteozą schematów. Każda czynność – począwszy od parzenia herbaty, a na projektowaniu budynku skończywszy – jest podporządkowana określonej formie, *kata*. A kiedy *kata* zostanie już określone, nic nie jest w stanie go zmienić. Tak naprawdę jedynym zadaniem naszego systemu edukacyjnego jest zabicie w jednostce spontaniczności i indywidualizmu. Typowy Japończyk – bez względu na to, jak wysokie stanowisko w drabinie społecznej zajmuje – to jedynie niewolnik *wa* – świętego spokoju, czy też raczej świętej inercji...

– Pan taki nie jest – uśmiechnęła się Katarzyna.

– Wy też tacy nie jesteście. Mam na myśli Polaków. Nie boicie się spontaniczności i nieprzewidywalności. Tego, co przynosi wam życie. Potraficie łapać wiatr w żagle. Kiedy trzeba, umiecie wypowiedzieć posłuszeństwo planom i regułom. Dlatego właśnie tak dobrze czuję się w waszym kraju...

– Łapać wiatr w żagle... – zmrużyła oczy Katarzyna – myślę, że wiem, o co Panu...

– Sho – wtrącił uprzejmie Kyubimori. – Jeśli oczywiście nie macz nic przeciwko temu. Z Piotrem, jak widać, jesteśmy na ty i wy dwoje również jesteście na ty, a więc... czysta logika.

– Czysta logika – powtórzyła kobieta jak echo. Przez chwilę tamci dwoje na pozór od niechcienia spoglądali sobie w oczy...

– A więc zgoda – podsumowała wysłanniczka Amundsen Banku. – Łapać wiatr w żagle. Myślę, że wiem, o co ci chodzi... Sho. Spontaniczność... hm. Nie wiem jednak, czy nasz drogi Piotr też podziela ten pogląd. Jak pamiętam, zawsze był wielkim planistą...

– To cecha chyba akceptowalna u analityka finansowego? – Piotr starał się nadać swojemu głosowi lekki, ironiczny ton. Taki, jaki zawsze lubiła Katarzyna, i na jaki on sam nie był w stanie zdobyć się podczas ich poprzedniej rozmowy.

– Analizy finansowe to jedno, a życie co innego... – zauważyła kobieta.

– Cóż, trzeba przyznać, że Piotr rzeczywiście czasem jakby trochę boi się spontaniczności – dodał Kyubimori – i lubi, by wszystko od początku do końca toczyło się wyznaczonym torem. Może dlatego tak szybko znalazł wspólny język z moimi rodakami z zarządu? Kto wie, może powinien był się urodzić w Japonii, a ja w Polsce, tylko gdzieś tam na górze komuś się pomyliło...

– Hm... W każdym razie zaczynam teraz lepiej rozumieć, dlaczego to właśnie ty jesteś głównym orędownikiem budowy tego hm... zadziwiającego obiektu – posumowała wysłanniczka Amundsen Banku.

A więc to po to przyjechała, domyślił się Piotr. Na moment zeszywniał, kontemplując wszystkie możliwe implikacje obecnej sytuacji. Gest ten nie uszedł chyba uwagi ani Kyubimoriego, ani też Katarzyny. Trzeba było przyznać, miała ogromny dryg do odczytywania mowy ciała i śledzenia różnorodnych podskórnych niuansów. Być może dlatego zawsze była tak utalentowanym negocjatorem.

– Nie mówmy teraz o interesach. – Kyubimori lekceważąco machnął ręką. – Będzie na to jeszcze czas. My w Japonii rzadko od razu zmierzamy do celu...

Katarzyna zerknęła na Piotra z ukosa. Zapewne na początku nie zdawała sobie sprawy, że jego wejście, cóż, właściwie wtargnięcie do gabinetu, było dziełem przypadku i że nie był zaproszony do wzięcia udziału w rozmowie.

– Jak już jednak zauważyliśmy, nie jesteś typowym Japończykiem... – zgrabnie pomogła Kyubimoriemu zmienić temat.

– Zdecydowanie nie – wyszczerzył się tamten. – Rodacy są przeważnie zgorszeni moim zachowaniem. A ja sam, szczerze powiedziawszy, również o wiele lepiej czuję się tutaj niż w ojczyźnie. Nie byłem tam już zresztą od dobrych kilkunastu lat. No, ale usiądźcie, proszę. Zaraz nadciągnie herbata.

– Nie chciałbym przeszkadzać. – Piotr spojrzał wiceprezesowi w oczy, pozwalając jednocześnie, by jego głos zabrzmiał nieco ironicznie. – Jak rozumiem, macie ważne finansowe sprawy do omówienia – położył nacisk na słowo „finansowe”.

– Ależ oczywiście również jesteś zaproszony, Piotrze. – Japończyk nawet się nie zająknął. – Spotkanie wypadło dość nagle, ale zamierzałem

dzisiaj cię zawiadomić. Twoja sekretarka powiedziała mi jednak, że wzięłeś wolne...

Zgrabnie, pomyślał z niechęcią Piotr.

– Rzeczywiście miałem zamiar, ale w końcu uznałem, że zostało jeszcze parę spraw do uporządkowania...

– No tak – westchnął Kyubimori – te wszystkie twoje bilanse i analizy. Nawet nie chcę o tym słyszeć...

– Jest pan członkiem zarządu i nie interesują pana bilanse? – Katarzyna uniosła brwi.

– Tak, tak, wiem, że to dziwne. – Wiceprezes rozłożył bezradnie ramiona. – Nawet naganne. Ale ja wolę się zajmować ludźmi i wizjami. Na szczęście mając w zasięgu tak znakomitego dyrektora finansowego, mogę skoncentrować niemal całą moją uwagę na tym, co naprawdę lubię...

Do gabinetu bezszelestnie wsunęła się blada sekretarka, niosąc przed sobą tacę.

Zasiedli na skórzanej kanapie otaczającej łagodnym półkolem okrągły szklany stolik. Katarzyna zajęła miejsce pośrodku, obaj mężczyźni na rogach.

– Prawdziwa japońska sencha – oznajmił Kyubimori, gdy sekretarka postawiła przed nimi parujące filiżanki, po czym wycofała się, równie widmowo, jak się pojawiła. – Was, Polaków, trudno jednak jakoś do niej przekonać... Piotr na przykład wciąż słodzi ją z uporem godnym, doprawdy, lepszej sprawy...

– Potrafię sobie wyobrazić – roześmiała się Katarzyna – kiedy pracowaliśmy razem w Świętokrzyskim, zużywał przydział cukru dla całego oddziału.

Piotra uderzyła jakaś podskórna dziwność całej tej sytuacji – troje menadżerów (z czego jeden nieproszony) w oficjalnym bądź co bądź

kontekście, w firmie bardzo rygorystycznie przestrzegającej etykiety, rozprawia sobie przyjacielsko o słodzeniu herbaty. Ale było w tym coś jeszcze, coś, czego nie potrafił jednak sprecyzować. Coś równie niecodziennego, jak wcześniejsze tyrady Ozawy na temat risów.

Kyubimori uśmiechał się tajemniczo, Katarzyna spoglądała na Japończyka z nieskrywaną fascynacją, jakby momentami zupełnie zapominając o Piotrze, w którego obecności, do ciężkiej cholery, powinna przecież czuć się choć trochę niezręcznie!

A może nie, przemknęło mu niemal w tym samym momencie przez głowę, może jego obecność była w gruncie rzeczy naprawdę nieistotna? Minęło w końcu tyle czasu... Czy *jej* obecność była aż tak istotna dla niego?

Ukradkiem – tak jak niegdyś, na samym początku, gdy się poznali, muskał wzrokiem gładką skórę jej szyi, smukłe łydki wystające z pantofelków na obcasach... Czuł ten sam dreszcz spływający po plecach, po brzuchu, w dół lędźwi... Przez moment miał wrażenie, że jest to dopiero początek ich historii, że on sam jest młodszy o osiem lat, i że nic nie zostało jeszcze przesądzone... Czuł, jakby...

– Herbata jest rzeczywiście... interesująca – skomentowała Katarzyna.

– Ach ci *gaijini* – jęknął Kyubimori teatralnie. – Nie potrafią docenić tego, co dobre. Cóż, na to trzeba czasu. A tak przy okazji, skoro rozmawiamy o czasie – bardzo ci się śpieszy? – zapytał Kyubimori.

– Niespecjalnie – uśmiechnęła się kobieta filuternie. – Jesteś przecież potencjalnie bardzo ważnym klientem.

– Doskonale – skwitował wiceprezes. – Zanim zaczniemy rozmawiać na poważnie, chciałbym pokazać ci pewne miejsce i opowiedzieć o moich wizjach.

– Sądzisz, że łatwiej dam się zaczarować? – Katarzyna zmrużyła oczy.



– Och, czary są tutaj zupełnie zbędne. To bardzo dobra inwestycja, no a poza tym chyba nie wątpisz w wiarygodność i zdolności kredytowe Nagity?

Katarzyna spojrzała na Kyubimoriego z rozbawieniem.

– Nie, nie wątpię. Ale myślę, że odrobina czarów z twojej strony też nie zaszkodzi.

– Cóż, będę się starał. – Kyubimori uśmiechnął się tajemniczo. Przez moment jakby nad czymś się zastanawiał. – Mam pomysł – powiedział wreszcie. – Dzisiaj jest gala w centrum konferencyjnym. Otrzymamy tytuł firmy roku regionu świętokrzyskiego. Zechcesz mi towarzyszyć? Przy okazji pokażę teren, o którym rozmawialiśmy. To stamtąd całkiem niedaleko...

– Z przyjemnością – odparła Katarzyna. Niepewnie obejrzała się na Piotra.

– Ty też się oczywiście wybierasz, Piotrze? – zapytał Kyubimori.

Starczy już tego, zdecydował Piotr. Nie można wchodzić dwa razy w życiu do tego samego bagna. Chyba.

– Jeszcze nie wiem. – Wstał i zapiął poły marynarki. – Jak już mówiłem, wypadło mi trochę nagłej roboty. Gdybym był potrzebny...

– To na razie jeszcze bardzo ogólne rozmowy. – Kyubimori machnął lekceważąco ręką. – Ale oczywiście jak tylko wyłoni nam się coś konkretnego, wtajemniczę cię we wszystko...

– Jasne – odparł Piotr. – Miłego dnia, Katarzyno. Miło było znów cię spotkać.

– Ciebie również, Piotrze – odrzekła dyplomatycznie kobieta. – Do zobaczenia.

Stając w drzwiach, jeszcze raz obejrzał się za siebie. Przedziwna scena: Kyubimori i Katarzyna siedzieli naprzeciwko siebie, na pozór nie zwracając

na niego uwagi, a jednak czekając aż zniknie. Włosy Katarzyny jak zawsze chwyciły światło.

I znów, gdzieś w tle, niczym sygnał ostrzegawczy, niepokojące srebrne skrzywienie, które zniknęło, gdy tylko spróbował przenieść na nie wzrok.

Cicho zamknął za sobą drzwi, przeszedł w milczeniu obok widmowej sekretarki i wyszedł na korytarz. Stał w miejscu, oszołomiony nagłym półmrokiem, w którym się znalazł. Było w tym coś symbolicznego, jakby prawdziwe życie toczyło się w rozświetlonym gabinecie wiceprezesa, a on sam właśnie zszedł ze sceny, na której znalazł się jedynie na krótką chwilę. To Kyubimori i Katarzyna byli aktorami on zaś jedynie statystą.

Poczuł się głupio. Wdarł się nieproszony do cudzego gabinetu na spotkanie, które nie powinno go obchodzić. Co za dzień, pomyślał.

Sam nie zauważył, jak z powrotem znalazł się w swoim biurze.

– Bardzo proszę, żeby nikt mi nie przeszkadzał – poprosił sekretarkę. – Może sobie pani wcześniej zrobić dzisiaj wolne.

Zignorował ciekawskie spojrzenie pani Sylwii, zamknął drzwi i zaczął przechadzać się nerwowo wzdłuż ściany.

Wciąż miał przed oczami włosy Katarzyny, rozświetlone słońcem...

Cholera, czemu znowu mnie wzięło? – zaklął w duchu. Jakieś chemiczne uzależnienie?

Jedno nic nieznaczące spotkanie i z powrotem zaczął o niej myśleć?

A może po prostu nigdy nie przestał? Może przez te wszystkie lata, choćby nie wiedzieć jak bardzo sam starał się siebie oszukiwać, myśl o niej zawsze mu towarzyszyła?

A teraz Katarzyna na nowo pojawiła się w jego życiu. Nie, to chyba za dużo powiedziane. Co najwyżej pojawiła się na moment w życiu Kyubimoriego. Piotr rzeczywiście mógł być tutaj co najwyżej statystą.

Przypomniął sobie, jak kobieta patrzyła na wiceprezesa. Spod maski uprzejmego profesjonalizmu wyzierała fascynacja. W sumie czemu nie? Zawsze miała słabość do tego, co egzotyczne, a mieszanka egzotyczności i przystępności, przyprawiona światowym obyciem i rzeczywistą korporacyjną władzą musiała zrobić na niej piorunujące wrażenie. Tak, dobrze ją znał. Nie zdziwiłby się, gdyby pomiędzy tamtymi dwojgiem nawiązał się krótki romans – bo chyba żadne z nich nie byłoby zainteresowane czymś więcej.

Chociaż...

Oduść sobie wreszcie, warknął w myślach. W końcu, pomyślał z ironią, gdyby na miejscu Katarzyny miał do wyboru siebie i Kyubimoriego, też z pewnością zainteresowałby się Japończykiem.

Spokojnie. Nie tracić czasu na głupoty. Pomyśleć rozsądnie, to tylko mogło go uratować.

A więc – co dzisiejsze spotkanie oznaczało dla niego jako dyrektora finansowego? To dziwne, że nie został o niczym powiadomiony. Ale Ozawa prawdopodobnie też nie, co stanowiło jakąś pociechę.

Być może wykluczenie Piotra z planów Kyubimoriego oznaczało, iż dyrektor finansowy znalazł się na przysłowiowym aucie. Albo i nie, może wiceprezes chciał po prostu zrealizować wszystko samodzielnie? Jego dzisiejsze tłumaczenia miały pewien sens, sprawiało to wrażenie, jakby tamten rzeczywiście zamierzał go powiadomić. Chociaż – prowadzić negocjacje w kwestii finansowania najpoważniejszej inwestycji KZDM od 10 lat bez konsultacji z dyrektorem finansowym? Tak czy inaczej, Piotr instynktownie czuł, że coś tutaj jest nie tak.

Jaki był stosunek wiceprezesa do niego samego? W przypadku choćby takiego Chudzika nigdy, nawet gdy tamten ociekał słodyczą, Piotr nie miał cienia wątpliwości. Główny księgowy był jego wrogiem i chciał się go

pozbyć z firmy. Ozawa był mu życzliwy, pozostali Japończycy życzliwie-neutralni (co oczywiście nie znaczyło, że w razie potrzeby nie przyłączyliby się natychmiast do kampanii ostracyzmu skierowanej przeciw jego osobie). A Kyubimori?

Piotr zawsze odnosił wrażenie, iż członek zarządu o niesprecyzowanych kompetencjach w jakiś szczególny sposób się z nim liczy, szuka kontaktu. Choćby ta rozmowa sprzed trzech tygodni. Zainteresowanie tamtego wydawało się szczere, ale może światowy Japończyk osiągnął po prostu poziom makiawelizmu przewyższający dotychczasowych, prowincjonalnych oponentów Piotra?

– Niech to szlag – mruknął. – To wszystko jest bez sensu.

Usiadł znużony za biurkiem i potarł dłońmi skronie. Zamknął oczy.

Pod jego powiekami na powrót wyświetlił się gabinet Kyubimoriego. Lecz tym razem to nie włosy Katarzyny zajęły pierwszy plan. Nie, nie wiedzieć czemu na ekranie jego wyobraźni znów pojawiło się niepokojące, srebrne skrzywienie.

## Yuki w kraju demonów

To nie jest zwykły kraj, dumiała Yuki. To nie są zwykli ludzie.

Zewsząd osaczyły ją twarze demonów – martwe, obojętne bądź też, dla odmiany, wykrzywione wściekłością. Ot, choćby i teraz – trzy postacie siedziały obok niej, monotonnie kolebiąc się w rytm turkotania pociągu. Ich podobieństwo do ludzi było czysto powierzchowne. Starsza kobieta z dłońmi zaciśniętymi na siatce. Czterdziestoletni mężczyzna wiercący się niespokojnie bez celu. Badyłowaty, niezgrabny wyrostek gapiący się przez okno. Stary Demon, Kapryśny Demon i Przygłupi Demon, nazwała ich w myślach. Czemu nikt nie przeglądał książki ani czasopisma? To takie nienaturalne! Starsza kobieta powinna czytać coś z klasyki, mężczyzna – dziennik z najnowszymi sprawozdaniami finansowymi, a wyrostek z wypiekami na twarzy pochłaniać erotyczną mangę hentai! Ale nie, cała trójka pogrążona była w nieludzkim letargu. We wszechogarniającej obojętności względem świata i innych ludzi. Zero prawdziwej empatii albo choćby próby jej zamarkowania. Zombie. Ludzie pożarci od wewnątrz przez demony. Może niezbyt rozgarnięte i groźne, ale jednak demony.

W sumie, współpasażerowie Yuki nie byli jeszcze tacy najgorsi. Dreszcz przebiegł ją na samo wspomnienie czwórki młodzieńców, którzy jakiś czas temu, drąc się niemiłosiernie, przedzierali się przez pociąg. Po drodze zaglądali do przedziałów, jakby kogoś szukali... Na krótką chwilę wzrok Yuki i dwudziestoletniego może chłopaka w kolorowym szaliku spotkały

się. Brr... do tej pory nie mogła się otrząsnąć. Te oczy...Ten uśmiech... Wulgarność emanująca z każdego artykułowanego przez tamtego dźwięku. Czowała, że ten chłopak mógłby, ot tak, po prostu, z marszu, zabić drugiego człowieka, choćby dlatego, że tamten miałby na przykład szalik w innym kolorze niż on sam.

W ojczyźnie widywała, rzecz jasna, przy różnych okazjach szeregowych *yakuza* i – co ciekawe – wzbudzali w niej mniejszą obawę. Wbrew popularnym w Japonii i na zachodzie filmom bardzo racjonalnie i z umiarem dozowali przemoc. Przemoc w jej ojczystym kraju była zresztą zrytualizowana, tak jak i wszystko, i zasadniczo należała do sfery kultury. Miało to swoje plusy i minusy. Z jednej strony bywała, co tu dużo ukrywać, dotkliwa dla tych, których bezpośrednio dotykała, z drugiej strony jednakże rzadko kiedy przeradzała się w niekontrolowane orgie zła, o jakich opowiadały telewizyjne doniesienia ze świata.

Tak, rodzime zło – o ile można je tak w ogóle określić – było spokojne i przewidywalne. Nawet członkowie band motocyklowych, pędzący nocą przez Tokio, czy inni młodzi buntownicy, w istocie jednak należeli do cywilizacji. Poszanowanie dla tak czy inaczej sprecyzowanych norm społecznych prędzej czy później przebijało spod cieniutkiej warstewki pozorowanego chaosu.

Tutaj było inaczej. Tych młodzieńców w kolorowych szalikach nie powstrzymałyby żadne bariery. Za ich oczami nie kryła się żadne reguły, jedynie czyste, irracjonalne szaleństwo. Demony! Demony, które dla niepoznaki przybrały ludzką postać!

Co ciekawe, współpasażerowie Yuki nie wydawali się zbyt przejęci czy choćby nawet zdziwieni hałaśliwością i wulgarnością tamtych – widocznie takie zachowania stanowiły tutaj normalkę. Prawdziwa kraina demonów!

Można by pomyśleć, że Japończyka, a już zwłaszcza kogoś, kto wychował się w wiosce Oda, nie powinny szokować takie rzeczy. W końcu różnorodność i mnogość jej ojczystych demonów mogła przyprawić o zawrót głowy. Dzięki anime, horrorom i innym popkulturowym szalom tradycyjna demonologia japońska zaczęła nawet ostatnio robić karierę w światowym show-biznesie. Kto jak kto, ale akurat Yuki powinna być oswojona z ponadnaturalnymi mocami.

No tak, ale rodzime demony nie biegały jednak po ulicach, udając ludzi. W każdym razie nie tłumami. Poza tym one również były na swój sposób przewidywalne i cywilizowane, jak i cały naród japoński. Aby stać się ich ofiarą, trzeba było samemu się o to prosić albo też mieć wyjątkowego pecha.

A może po prostu źle oceniała tych ludzi, zastanawiała się, obserwując spod oka współpasażerów. Może to kwestia zwykłego szoku kulturowego i jej nieumiejętności interpretowania zachowań niejapońskich?

Po krótkiej chwili odrzuciła jednak tę teorię. W końcu nie była to jej pierwsza styczność ze światem Zachodu, a wcześniej nie zaobserwowała nic podobnego. W szkole miała trzech nauczycieli *gaijinów*, z pomocą których (a wbrew japońskiemu systemowi oświaty) nie najgorzej opanowała język angielski. Owszem, Mark, Sally i Joy pod wieloma względami różnili się od Japończyków, ale z całą pewnością nie byli zombie ani demonami. Poza tym jeszcze w liceum Yuki mieszkała przez miesiąc w Danii w ramach programu wymiany uczniów. Wówczas była przygotowana na jakąś niepojętą egzotykę, po to tylko, by stwierdzić, że Europa znacznie mniej różni się od Japonii, niż się jej zdawało. Takie same czyste uliczki, tacy sami uprzejmi ludzie. Może tylko bardziej naturalni, wyluzowani, serdeczni, otwarci. Co prawda, nie mówili po japońsku, ale to akurat nie stanowiło problemu dla Yuki. Polubiła kulturę Zachodu – czy też

te jej okruchy, które świadomie wylawiała z informacyjnego chaosu, odwiedzając biblioteki, sklepy muzyczne i pokazy filmów.

Lecz tutaj... Tutaj wszystko było inne. To miejsce nie miało wiele wspólnego z tamtą kulturalną i cywilizowaną Europą, której obraz stworzyła w swym umyśle, czytając klasykę i oglądając niszowe filmy. Porando. Polska. Kraina demonów. Teraz zaczynała rozumieć, dlaczego Mamoru Oshii wybrał ten właśnie kraj, aby nakręcić swój *Avalon*.

I dlaczego wybrał go Sho Kyubimori.

Wyjrzała przez okno. Szyba była nieszczelna i wiało chłodem, ale to akurat jej nie przeszkadzało. W przeciwieństwie do obskurnej, poplamionej podłogi i kwaśnego zapachu brudu bijącego od oparcia kanapy. Czy te wagony w ogóle kiedykolwiek czyszczone?

Za oknem przesuwiał się nieco monotony, pagórkowaty krajobraz. Po drodze z Warszawy przejeżdżali tylko przez jedno miasto, małe zresztą i obskurne. Z okien pociągu wreszcie mogła na własne oczy podziwiać blokowiska z wielkiej płyty, o których czytała na studiach.

Sama Warszawa, z tego, co zdążyła się jej przyjrzeć najpierw z okien taksówki, a potem pociągu, też nie była zbyt imponująca. Ot, kilka nowocześniejszych budynków w centrum, poza tym wszechogarniająca szarżyzna i błoto. Postsowiecki wieżowiec, o którym czytała kiedyś w podręczniku architektury – w sumie nie taki brzydki, jak można by się było spodziewać. Gdzie mu tam było do absurdów nowoczesnej architektury japońskiej z ostatnich pięćdziesięciu lat! Cóż, jak już przekonała się o tym niejednokrotnie, jej ziomkowie, jako najbardziej konsekwentny naród na świecie, nawet brzydotę potrafili doprowadzić do perfekcji. Fakt, że mogliby się od nich uczyć nawet budowniczowie socrealizmu napawał ją z jednej strony dumą, z drugiej – przerażeniem.



Tak więc sam Pałac Kultury i Nauki nie wydał jej się jakoś specjalnie odpychający. Tylko plac wokół pozostawiany jakimiś absurdalnymi budami... Z kolei dworzec kolejowy – zupełna tragedia. W zderzeniu z jego brudem i siermiężnością zatęskniła nagle za sterylnym dworcem w Kyoto, który może i pasował do otoczenia jak pięść do oka, ale, cholera, przynajmniej był czysty.

W ogóle stolica nie była zbyt rozległą aglomeracją. Kiedy już pociąg ruszył, po zaledwie dziesięciu minutach znaleźli się w jakimś polu. W sumie Warszawa była raczej nijaka. Ani nowoczesna, ani zabytkowa. Ani ładna, ani brzydka. Jakaś taka szara i przygaszona, rzeczywiście zupełnie jak w *Avalonie* Mamoru Oshii. I tyle.

Cóż, nie przyjechała tu na zwiedzanie. Gdyby sama mogła wyznaczyć sobie cel podróży, poleciałaby raczej oglądać nowoczesną architekturę w Hong-Kongu lub Dubaju. Albo dzieła Gaudiego w Barcelonie. Mając jakikolwiek wybór, z pewnością nie przybyłaby do tego ponurego kraju, nawiedzonego przez równie ponure, mrukliwe demony. Niestety, po raz kolejny w jej życiu, ktoś inny wybierał ścieżki, po których przyszło jej kroczyć.

Przez chwilę rekapitulowała w myślach ciąg zdarzeń, który na pozór całkiem nieoczekiwanie przywiódł ją do tego miejsca. Czy jednak aby na pewno nieoczekiwanie, zastanawiała się od niechcenia. Rzeczywistość nieustannie tka wokół nas swój wzór; to, że nie potrafimy przewidzieć nagle pojawiających się splotów, świadczy jedynie o tym, jak bardzo zaślepieni jesteśmy naszym *tu i teraz*, naszymi bezużytecznymi namiętnościami. Zdarzenia mają swą żelazną logikę, tak jak nasza karma i wystarczająco uważne spojrzenie dostrzeże ją bez trudu.

Yuki była w mniejszym stopniu fatalistką niż większość jej rodaków, teraz musiała jednak przyznać, że wszystkie jej dotychczasowe plany

okazały się w gruncie rzeczy daremne. Życie na koniec znowu zmusiło ją do podążania śladem przeznaczenia, którego zawsze pragnęła uniknąć. A już łudziła się, że na dobre udało jej się wymigać! Cóż, niestety, były rzeczy, które należało odłożyć raz na zawsze, historie, które domagały się zakończenia, ścieżki, które musiały zostać przebyte, nim wkroczy się na nową drogę. Kto jak kto, ale ona powinna była zdawać sobie z tego sprawę.

Oczywiście zawsze istnieje jakiś zwrot akcji, jakaś kulminacja. W tym konkretnym przypadku moment ten nastąpił, kiedy to pan Watanabe rzucił się na nią w piątkowy wieczór, zniecierpliwiony nieskutecznością swoich dotychczasowych zabiegów.

Czy gdyby nie ten nieszczęsny incydent, udałoby się uniknąć obecnej sytuacji? Chyba raczej nie. W jej życiu już od jakiegoś czasu można było dostrzec wyraźne wzory zamknięcia. Staż w Kansai Architecture od samego początku zmierzał donikąd. Przez te dwa miesiące nie udało jej się nawet otrzeć o najdrobniejsze choćby i najbardziej mechaniczne prace przy projektowaniu. To już nawet Chiro, jej średnio zdolny kolega ze studiów, równocześnie z nią zatrudniony w firmie, dostąpił w tym samym czasie zaszczytu kopiowania pewnych elementów projektu pana Kano, jednego z głównych architektów!

Yuki natomiast spędzała czas głównie na parzeniu herbaty i sprzątanii biura. Jej pech polegał na tym, iż była jedyną kobietą zatrudnioną w całym II biurze projektowym. Oczywiście, w Kansai Architecture pracowało kilka sekretarek i podobna liczba Office Ladies, ale wszystkie stacjonowały na niższej kondygnacji, gdzie mieścił się zarząd, administracja oraz I biuro projektowe i gdzie przyjmowano klientów. Tak więc to wyłącznie na Yuki spadły wszelkie obowiązki, które tradycyjnie uznawano za kobiece. Najpierw musiała zatem dźwigać ciężki czajnik do zbiornika z wrzątkiem, który znajdował się – a jakże – na niższej kondygnacji. Następnie trzeba

było zaparzyć herbatę i z właściwym nastawieniem zaserwować ją wszystkim pozostałym 28 pracownikom II biura projektowego, co zajmowało w najlepszym razie godzinę. I tak po parę razy dziennie. Na dodatek szef Yuki, pan Kanazawa, upierał się, iż sprzątanie biura również mieści się w tradycyjnych kobiecych obowiązkach. Argumentacja, że wieczorem i tak przecież przychodzi sprzątaczką, została zbyta przez niego pobłażliwym uniesieniem brwi. Szczerze powiedziawszy, po całym tym sprzątanu i parzeniu Yuki nie miała już czasu ani siły na nic innego. Szefowie II biura projektowego rozumieli to zresztą doskonale i nie zwracali jej już głowy żadnymi sprawami związanymi z projektowaniem.

Yuki nie byłaby sobą, gdyby nie podjęła pewnych działań, mających na celu poprawę swego losu. Co prawda, dawno już się nauczyła, iż szanse na poprawienie losu maleją wprost proporcjonalnie do wkładanych przez nią wysiłków. Jeśli już jej los się kiedykolwiek poprawiał, wynikało to zazwyczaj ze splotu przypadkowych okoliczności. Teraz jednak, w przypływie rozpaczy Yuki dotarła do samego dyrektora personalnego z uprzejmym zapytaniem, jaki jest sens zatrudniania absolwentki wydziału architektury Uniwersytetu Tokijskiego do parzenia herbaty? Tamten zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł dyplomatycznie, iż dokładnie taki sam sens, jak zatrudnianie każdej innej kobiety. Yuki uznała, iż kontynuowanie dyskusji nie ma sensu.

Rzecz jasna, stosunek firm japońskich do kobiet w ostatnich latach rzeczywiście zaczął się zmieniać, ale szefowie Kansai Architekture pozostawali pod tym względem zagorzałymi tradycjonalistami. Tradycjonalistą był zwłaszcza prezes firmy, pan Watanabe, którego stosunek do pracownic miał charakter zdecydowanie feudalny. Początkowo swych awansów względem Yuki nie uznał nawet za stosowne okraścić jakimikolwiek, najbardziej zdawkowymi nawet obietnicami, wychodząc

zapewne z założenia, iż to, czego żąda, należy mu się niejako z czapy. Szczerze był też zdziwiony jej odmową. Nie tak jednak zdziwiony jak koleżanki Yuki z niższej kondygnacji, wzmiankowane sekretarki oraz Office Ladies, które nie mogły pojąć, czemu dziewczyna nie docenia zaszczytu, który na nią spadł.

Z czasem zaloty prezesa, najwyraźniej tylko podnieconego jej odmową, stawały się coraz bardziej natarczywe. „Sama jesteś sobie winna – tłumaczyła jej względnie życzliwa sekretarka Akiko – przespałby się z tobą raz czy dwa, toby się po prostu znudził i dał ci spokój. A tak widzisz – tylko go rozochociłaś”. Trzeba to przyznać, chyba rzeczywiście skutecznie. Pan Watanabe zaczął przysyłać prezenty, które odsyłała raczej mechanicznie, a w końcu – o zgrozo! – składać obietnice dotyczące jej kariery – co prawda, mętne i ogólne, ale zawsze. Przez moment Yuki nawet zastanawiała się, czy nie opłacałoby się jej spełnić pragnień pana Watanabe w zamian za dopuszczenie do jakiegoś projektu, ale doszła do wniosku, iż nawet gdyby druga strona złożyła jakieś obietnice, nigdy nie doszłoby do ich spełnienia, oznaczałoby to bowiem utratę twarzy przez prezesa.

Gdy nie poskutkowały i zaliczkowe prezenty, pan Watanabe wreszcie stracił cierpliwość i postanowił zastawić pułapkę. Okazja nadarzyła się w zeszły piątek przy okazji niewielkiego przyjęcia, którym II biuro świętowało zakończenie ważnego projektu. Po imprezie, gdy wszyscy się już ulotnili, pan Kanazawa uparł się, by Yuki została jeszcze chwilę i posprzątała jego biuro. W trakcie rzeczonoego sprzątnięcia pojawił się sam prezes i niezwłocznie przystąpił do czynu. Co ciekawe, prawie sześćdziesięcioletni pan Watanabe wykazał się znakomitą tężyzną fizyczną, będącą zapewne rezultatem wieloletniego uprawiania judo.

Może i mimo wszystko dałoby się wybrnąć z tej sytuacji bez uciekania się do ostateczności, jednak gdy Yuki poczuła na swej twarzy cuchnący

sake oddech prezesa, coś w niej pękło. Przesunęła się w bok, wykonując ręką odpowiedni gest za plecami mężczyzny, po czym złamała obietnicę, którą złożyła sama sobie dziesięć lat wcześniej.

Zawsze należy widzieć rzeczywistość wyraźnie i nie uciekać przed faktami, nawet jeśli nam się nie podobają – to podstawowa zasada, jeśli zamierza się cokolwiek odpowiednio *otworzyć* lub *zamknąć*. Tak więc Yuki przyjęła spokojnie do wiadomości, że rozdział jej życia związany z Kansai Architecture właśnie dobiegł końca. Szybko spakowała swe rzeczy, uporządkowała biurko i ruszyła ku wyjściu, obojętnie mijając pana Watanabe, który zapamiętałe kopulował tymczasem z deską kreślarską. Wydawał się niezmordowany; Yuki pomyślała od niechcienia, że byłoby miło, gdyby dotrwał w tym stanie do rana, do przyjścia pierwszych pracowników.

Wróciła do wynajętej kawalerki, analizując sytuację. Oto jej plan spalił właśnie na panewce. Czy od początku skazana była na porażkę? Na pozór wydawało się, że niekoniecznie – mogła przecież wybrać inną firmę (w tym momencie, niestety, trudno by się jej było wytłumaczyć z przerwanego stażu – jakikolwiek inny pracodawca patrzyłby na nią z podejrzliwością), mogła walczyć, próbować. Przecież nawet w Japonii kobiety osiągały niekiedy sukces, jeśli tylko wykazały się właściwą determinacją, no i, rzecz jasna, los podarował im odpowiednią dozę szczęścia. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej jednak, że los jak zwykle nie będzie niestety niczego jej ułatwiał.

Sytuacja była zdecydowanie nie za wesola: pieniądze kończyły się powoli, lecz nieubłaganie, a po śmierci ciotki Makoto nie pozostał jej nikt, do kogo mogłaby się zwrócić z prośbą o pomoc.

Czy byłaby gotowa powrócić do Ody, ukorzyć się przed rodziną i zaakceptować los, jaki jej wyznaczili? Kurczę, już chyba wolałaby zostać

narkomanką lub prostytutką. Albo jedno i drugie.

Chociaż... w zasadzie istniała jeszcze inna droga, droga, wiodąca dokładnie w przeciwną stronę niż Oda. Ścieżka, którą podobno kiedyś obrał jej mityczny ojciec. To byłoby oczywiście nierozsądne – wiedziała, że dziadek i starszyzna tolerują jej ucieczkę tak długo, dopóki Yuki nie używa umiejętności będących własnością klanu. Potraktowałiby to jako wypowiedzenie wojny, nawet gdyby zachowała względny umiar w szafowaniu odziedziczonymi zdolnościami. Ona zresztą nie chciała niczym szafować, ani tym bardziej uczestniczyć w walce o moc i władzę. Do ciężkiej cholery, pragnęła tylko zostać architektem i projektować ekologiczne wieżowce!

Teoretycznie zawsze dało się wymyślić jakieś wyjścia awaryjne, jakieś plany ratunkowe. Teraz jednak potrzebowała rozwiązań doraźnych. Życie zamykało się wokół niej, odcinając wszelkie drogi ucieczki; była jak dzikie zwierzę wściekle wymykające się obławie, jak lis kluczący, by zmylić myśliwych – ale przecież tylko do czasu.

Z braku innych pomysłów oddała się przynoszącej pewną ulgę, choć generalnie nic niezmiennącej, medytacji.

W dwa dni później na progu jej mieszkania stanął kuzyn Sato...

Yuki westchnęła i wyjrzała przez okno. Krajobraz nieco się zmienił. Pociąg wjechał w mroczny las. Wyglądało to całkiem dziko. Kiedy jedziesz *shinkansenem* przez Japonię, z okien widzisz zazwyczaj jedno niekończące się miasto i nigdy nie opuszczasz jego granic. Tak, oczywiście są Japońskie Alpy i jest gdzieś tam Hokkaido ze swoimi parkami narodowymi, a nawet, podobno, jest gdzieś w Kansai tajemnicza dolina, gdzie wciąż zdarzają się niewyjaśnione zniknięcia wędrowców, ale... Nie zobaczysz tych miejsc z okien ekspresowego pociągu łączącego starą i nową stolicę. Nie tak jak tutaj.

Spojrzała na zegarek. W zasadzie już dawno powinna być u celu. Po drodze jednak pociąg z niewiadomych względów zatrzymał się w szczerym polu na ponad dwadzieścia minut. Żaden z konduktorów nie mówił ani słowa po angielsku, tak więc niczego nie zdołała się dowiedzieć...

Wyszła na korytarz. Był prawie pusty – w jego przeciwległej części przycupnęła tylko stara kobiecina z siatkami. Szyby odbijały wnętrze pociągu. Z pewnym obrzydzeniem Yuki ubrała rękawiczki i ujęła lepiący się od brudu uchwyt okna. Z ogromnym wysiłkiem pociągnęła go w dół – nienaoliwiona prowadnica stawiała zażarty opór, zacinając się co i rusz, ale w końcu Yuki udało się ją pokonać. Na wszystkich bogów Japonii, myślała, ciężko dysząc, czy to możliwe, że znalazła się w miejscu, gdzie nawet służby kolejowe nie doglądają powierzonego im mienia?

Z ulgą wysunęła twarz na zewnątrz, wystawiając ją na orzeźwiające podmuchy chłodu. Chyba trochę się oziębiło.

Mroczny las wciąż przewijał się naprzeciw pociągu. Był taki... ponury, tajemniczy, zaniedbany. Kusił i odstraszał. Czy żyły w nim jakieś zwierzęta, demony, duchy? Zaczął padać śnieg – wielkie białe płatki osiadały na jej twarzy i roztopiały się powoli. To dobry znak, pomyślała, wzór powitania.

Nagle wyprysnęli spomiędzy drzew; po prawej stronie zamajaczyła łąka, a w tle absurdalny komin, po lewej kilka pasm wieżowców położonych na wzgórzach. Czy to było ponaddwustutysięczne miasto? Nie wyglądało to zbyt monumentalnie, a jednak poczuła narastające podniecenie. Już na pierwszy rzut oka widziała, że to nie było zwyczajne miasto. Tu rządziły inne reguły. Przestrzeń nie była przejrzysta; kryły się wśród niej różne pułapki, możliwości, jakich nie napotkasz w uładowym, okiełznanym Tokio.

Przez moment czuła się niczym bohaterka jakiejś baśni, wyruszająca nieznanemu naprzeciw. Może coś z filmów Miyazakiego?

Szybko wróciła do przedziału.

– Ki-ru-ce? – upewniała się, zwracając się ku współpasażerom. – Is this Ki-ru-ce?

Kobieta zignorowała ją, chłopak popatrzył na nią jak na idiotkę i uśmiechnął się pod nosem, mężczyzna bezmyślnie zmarszczył brwi.

– Ki-ru-ce? – powtórzyła, pokazując palcem za okno.

Mężczyzna odburknął coś niezrozumiale w swoim języku. Yuki wzruszyła bezradnie ramionami.

– Kielce, Kielce, coś tam, coś tam – odburknął mężczyzna i na powrót pogрузzył się w swym demonicznym letargu. Yuki szybko ubrała płaszcz i sięgnęła po walizkę. Ku jej zaskoczeniu mężczyzna ruszył się, by jej pomóc. Aż ją замуrowało! Uprzejmy demon! Owszem, wiedziała, że w Europie role kobiet i mężczyzn są często odwrócone, ale nie spodziewała się takiej kurtuazji akurat po mrukliwym demonie...

Wypadła na korytarz i ruszyła ku wyjściu. Pociąg wjechał tymczasem na stację i powoli się zatrzymał...

Ledwo Yuki wysiadła, natychmiast uderzyły w nią podmuchy przenikliwego, lodowatego wiatru. Rozejrzała się lęklonie wokół. Skąd nagle wziął się ten przeklęty wiatr? Nie miał żadnego racjonalnego uzasadnienia. Wiało, jakby co najmniej znajdowała się na szczycie Yari-gatake, a nie na płaskiej i otoczonej budynkami przestrzeni dworca. Doprawdy, trudno było nie potraktować tego jako złego omenu! Jeszcze przed wyjazdem złożyła sobie przyrzeczenie, jakby na przekór misji, której się podjęła, że tak długo, jak tylko się da, pozostanie niewrażliwa na wszelkie potencjalne przejawy nadprzyrodzonej mocy. Pomimo dziwnych kolei jej życia do tej pory Yuki udało się generalnie zachować dystans do wszelakiego rodzaju przesądów, co nie było bynajmniej łatwe w zabobonnym społeczeństwie japońskim. Ba, nawet jej edukacja w Odzie



nie zdołała do końca skruszyć pieczołowicie kultywowanej niewiary! Wszystko wskazywało na to, że tym razem jednak wystawiono ją na prawdziwą próbę!

Ktoś ją potrącił, gruba kobieta przepchnęła się obok, mamrocząc słowa, które – jak domyśliła się Yuki – wyrażały ogólną dezaprobatę pod jej adresem. Dziewczyna bezwiednie przesunęła się, robiąc przejście; obok niej ludzie tłoczyli się, wchodząc do pociągu. Przez chwilę stała jak sparaliżowana; miała ochotę wsiąść z powrotem albo w jakiś cudowny sposób teleportować się do Tokio albo chociaż do Warszawy, na dworzec lotniczy...

Nasze przeznaczenie zapisano w gwiazdach i nie sposób przed nim uciec; jeśli los ściągnął ją do tego niepokojącego miejsca, przyjmie jego wyrok z godnością.

Ruszyła ku wyjściu z peronu.

## 8.

# Koszmar

– A jak jest z tobą, Sho? – Piotr sam nalał sobie koniaku do kieliszka. – Kim ty jesteś i do czego zmierzasz?

Kyubimori zmrużył oczy. Jego źrenice wydały się nagle Piotrowi jakieś naprężone, jakby...

*Szkło kieliszka przyjemnie rozciąga czas, barwi przestrzeń. Skośnooka sylwetka po drugiej stronie stolika uśmiecha się chytrze. Ozawa? Kyubimori? Toshiro Mifune? Ucieleśnienie tajemnic orientu?*

*Czas faluje w rytmie resztek bursztynowego płynu, przelewającego się po dnie kieliszka. Inny sen? Inne miejsce? Tajemnicza postać przechyla się w jego stronę.*

*I wtedy Piotr nagle widzi ją wyraźnie.*

*– Chodź za mną – mówi ris. – Coś ci pokażę.*

*Więc idą; idą pośród przestrzeni, która nagle przestaje być znajoma. Piotr ze zdziwieniem patrzy, jak kąty i linie znienacka ujawniają swe niepokojące tajemnice; wstrząsa nim dreszcz.*

*– To jakieś złudzenie, prawda? – pyta, z trudem skrywając przerażenie.*

*– Czyżby? – Ris uśmiecha się kpiąco, jak to ris. – A może złudzeniem jest raczej to, co staracie się widzieć na co dzień?*

*Odwieczny dylemat ludzkiej percepcji! A jednak przestrzeń gdzieś w głębi duszy pozostaje dzika. W krytycznym momencie wyszczerzy swe kły i skoczy do gardła!*

*Piotr mruży oczy, próbując analizować kształty, które na przemian to wyostrajają się, to rozmywają.*

*– I tak radzisz sobie całkiem nieźle – stwierdza ris z uznaniem. – Niełatwo zbić cię z tropu. Niełatwo cię olśnić.*

*Piotr wzrusza ramionami.*

*– I niełatwo tobą manipulować – dodaje tamten. – Nie to, co z Chudzikiem! Tak prosto było zamknąć go w nienawiści! Zrobiłby teraz wszystko, byleby tylko jednym z końcowych efektów było pozbycie się ciebie z firmy!*

*– Czemu mi to mówisz? – Piotr od niechcienia gładzi palcami zadziwiającą linię, wiodącą w głąb pomieszczenia... – Czemu mnie ostrzegasz?*

*– I tak nie będziesz nic pamiętał – uspokaja tamten. – Poza tym risy nie są milczącymi, zaciętymi spiskowcami; lubią zabawę, rywalizację i przekomarzenia.*

*– Hm... – Piotr grzecznie nie komentuje.*

*– Przejdźmy jeszcze kawałek – proponuje uprzejmie jego rozmówca. – Miałem ci przecież coś pokazać.*

*W milczeniu idą więc dalej; Piotr stopniowo oswaja się z otaczającym labiryntem; w końcu, tak jak wszędzie, tu też obowiązują pewne reguły.*

*Zatrzymują się przed okrągłym stołem nakrytym płótnem. Jakies kształty wybrzuszą się pod szarą, ciężką materią, skrząc srebrem, skrząc potęgą...*

*– Oto mój projekt! – oznajmia z dumą ris, odgarniając płótno.*

*Na stole stoi... trójwymiarowa mapa? Makieta? Rzeźba? Srebrzy się, chwytając księżycowe światło, światło duchów i demonów...*

*Piotr wybałusza oczy, starając się ogarnąć całą wizję, rozeznac się w labiryncie wieżyc, barw i kątów. I, o dziwo, powoli zaczyna rozpoznawać miejsce.*

*Ris czeka, na jego twarzy pojawia się niemal niezauważalne napięcie.*

*Piotr ogarnia już niemal całość obrazu, narasta w nim nieodparte uczucie niechęci, z odrazą cofa się od stołu. Choć nie ma pojęcia dlaczego, jego dłonie odruchowo zaciskają się w pięści...*

*– Tak sądziłem – wzdycha tamten z melancholią. – Ale wolałem na wszelki wypadek się upewnić. Wyczułbyś to. Wyczułbyś, nawet gdybym pokazał ci uładzony, linearny projekt. I wystąpiłbyś przeciwko mnie, nie wiedząc nawet, czemu to robisz. Należysz do tych nielicznych ludzi, którzy nie zaakceptują pewnych rzeczy, bez względu na to, jak bardzo byliby mamieni. Cóż, obawiam się, że nie pozostawiasz mi wyboru...*

*Piotr cofa się, nie spuszczając wzroku z postaci swojego – teraz wie już to na pewno – przeciwnika.*

*Ris odslania kły w nieludzkim uśmiechu...*

*– Ale ty też masz jakąś słabość, prawda? Może odpowiedź nie jest tak prosta jak w przypadku Chudzika, ale z pewnością istnieje. Może nie jest nią żądza władzy, chciwość czy nienawiść, ale coś jest nią z pewnością. Co skrywasz w swych snach, Piotrze? Jaka jest twoja cena?*

*Szkło kieliszka przyjemnie rozciąga czas, barwi przestrzeń. Czas faluje w rytmie resztek bursztynowego płynu, przelewa się po dnie naczynia...*

Kyubimori odstawia swój kieliszek.

– Oops. Minęła północ. Czas chyba kończyć to nasze posiedzenie.

## 9.

### *Yūrei*

Obudził się i wzdrygnął, w panice rozglądając się wokół. Wrażenie, które pozostawił sen, było przejmujące; dopiero po dłuższej chwili zdołał rozpoznać i na nowo oswoić otaczającą przestrzeń. Z ulgą wyjrzał przez okno na szarą płaszczyznę ulicy i kikuty drzew po drugiej stronie; tym razem znajomy widok przyniósł ulgę.

Na zewnątrz robiło się już ciemno – wystraszony spojrzął na zegarek. Punkt piętnasta – teraz zmierzchało bardzo szybko. Ale i tak przespał dobrych parę godzin. W dość niewygodnej na dodatek pozycji. Dziwne. Czemu pani Sylwia go nie obudziła? Ach tak, sam przecież zasugerował jej, żeby wyszła wcześniej.

Wstał i przeciągnął się, chcąc odegnać ostatnie opary koszmaru. Dziwne, bardzo dziwne. O czym właściwie śnił? Znów nie potrafił sobie przypomnieć. Z pewnością jednak o czymś ważnym i niepokojącym. Czymś, co wiązało się z Kyubimorim. Sen nie był może nazbyt realistyczny, w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale za to taki... przemożny.

Westchnął i podszedł do okna. Niepokój nie ustępował. Pośród znajomych kształtów czaiła się obcość. Czy wystarczyło jedynie rozsądnie wytłumaczyć sobie, że jest zaledwie produktem jego wyobraźni?

Gala rozpoczynała się o 17.00. Czy powinien tam iść? Instykt samozachowawczy podpowiadał, że należy trzymać się z dala od Katarzyny. Choć z drugiej strony, trzymał się od niej z daleka przez

ostatnich osiem lat i wcale go to nie wyleczyło. Może więc właśnie należało pójść i stawić czoła żyjącej kobiecie, po to, by raz na zawsze rozprawić się z tęsknotami za kobietą, którą stworzył w wyobraźni? To wydawało się sensowne. Z pozoru – podświadomie, rzecz jasna, liczyłby na coś zupełnie innego. Roiłby sobie, że tym razem wreszcie będzie inaczej...

Tak naprawdę w ogóle nie należało zawracać sobie w tej chwili głowy Katarzyną, lecz raczej skoncentrować się na Kyubimorim. On był prawdziwym problemem, a nie mirażem, który pojawiał się i znikał. Czy chciał się z nim dziś spotkać? Doprowadzić do konfrontacji?

Uśmiechnął się kpiąco pod nosem. Tak czy siak, pójdzie. I jakkolwiek sobie potem wytłumaczy swoje postępowanie, to Katarzyna przyciągnie go niczym magnes. Grawitacyjna czarna dziura koloru blond.

Z rezygnacją narzucił płaszcz, zabrał teczkę i opuścił gabinet. Do rozpoczęcia gali pozostały dwie godziny. Trzeba było jeszcze wrócić do domu, zjeść coś, wziąć prysznic i się przebrać.

Wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Wokół było całkiem pusto. Normalnie o tej porze w KZDM wrzała jeszcze praca, ale dziś ze względu na galę wszyscy dostali wolne. No i w dodatku za dwa dni wigilia. Ozawa wielkodusznie tolerował zwyczajowe polskie przedświąteczne rozluźnienie dyscypliny. W granicach rozsądku, rzecz jasna.

Skierował się w stronę schodów. Dalej żywej duszy, nawet sprzątaczkę. Półmrok korytarza. Zamknięte drzwi. Cisza. Zaskoczony stanął w miejscu i rozejrzał się wokół. Milczący, ciemny korytarz wydał mu się nagle jakiś taki... nieznajomy. Jak to powiedział Kyubimori? „Rzeczy stają się czymś innym, gdy przyjrzymy się im uważnie”. A więc stanął całkiem nieruchomo, wstrzymał oddech i przez moment przyglądał się – korytarzowi, KZDM, swemu życiu.

Nie doznał niespodziewanego olśnienia. Ale jednak... Miał wrażenie, że dostrzega jakieś... przebłyski. Wokół nadal czaiła się obcość. Była w tej obcości zapowiedź niebezpieczeństwa, kontynuacji koszmaru, ale była też i nadzieja.

Jeszcze raz pomyślał o swoim dziwnym śnie. I zdał sobie sprawę, że tamten koszmar nie był wcale pierwszy. We fragmentach powróciły do niego ułamki zszłonocnych wizji, a potem jeszcze wcześniejsze. Bank i spotkanie z demonem, pstrągi wpychane do czarnego worka...

Srebrne skrzywienie na krańcu gabinetu Kyubimoriego.

Drgnął i znów ruszył ku schodom. Zszedł na dół, w stronę wyjścia na parking, ale już rodziła się w nim decyzja.

Skrystalizowała się ostatecznie, gdy dostrzegł sylwetkę portiera z drugiej zmiany, przycupniętą przed telewizorem. Powoli, jakby dla rozgrzewki przed tym, co miało nastąpić, zaczął się skradać. Tamten usłyszał go, gdy Piotr był już tylko kilka kroków za jego plecami. Przestraszony drgnął i odwrócił się.

– O Jezu – jęknął. – Przestraszyłeś mnie. Postanowiłeś zostać ninja czy jak?

Piotr nie odpowiedział, przyglądając się mu badawczo.

Tamten nieopatrznie zinterpretował jego gest.

– No co ty, Pietrucha – zająknął się przestraszony – nawet kropelki. Przecież wiesz, jak bardzo wdzięczny jestem, że załatwiłeś mi tę robotę i nigdy bym nie...

– Czy ktoś został jeszcze w budynku? – Wszedł mu w słowo.

Znał już odpowiedź. Zresztą tamten, zgodnie z zaleceniami zdrowego rozsądku i wyraźnymi instrukcjami Piotra, nie pozwoliłby sobie na tak familiarne zachowanie w obecności potencjalnych świadków.



– Nie – odparł Romek Klich. – Sprzątaczkę też dostały wcześniej wychodne, wszystko się dziś poprzesuwało... Myślałem, że idziesz do Centrum Biznesu?

Piotr nadal w zamyśleniu spoglądał w twarz swego dawnego kumpla z podwórka. Przez moment próbował sobie przypomnieć erę, gdy obaj współzawodniczyli we wspinaniu się na drzewa w dzielnicy Sady. Romek był przeważnie o włos lepszy. Ale to Piotr zaszedł dalej we wspinaniu się po drabinie społecznej. Na pozór trudno było sobie wyobrazić dwie bardziej odmienne drogi życiowe.

Romek zakończył edukację na etapie rozmaitych szkół policealnych. Co ciekawe, wcale nie był głupi czy leniwy. Może nie posiadał takiego drygu do cyfr jak Piotr czy też innego wybitnego talentu, ale bez wątpienia mógłby się sprawdzić w wielu profesjach, o niebo ambitniejszych niż obecne zajęcie. Z całą pewnością przerastał o dwie klasy współczesnych absolwentów kieleckich uczelni, którzy na rozmowach kwalifikacyjnych (Piotr nieopatrznie wprosił się na kilka z nich, gdy przyjmowali nowych pracowników do księgowości) zazwyczaj nie byli w stanie podać tematu swojej pracy magisterskiej.

Czego zabrakło w krytycznym momencie Romkowi? Pędu do kariery, chciwości, koncentracji, żądz współzawodnictwa? Ale znowuż – czy Piotr sam obdarzony był tymi wszystkimi cnotami jako maturzysta, gdy jak się później okazało, ważyła się jego droga życiowa? Czy o wszystkim nie zadecydowało przypadkiem środowisko (rodzice Romka byli porządnymi ludźmi, ale nigdy nie łamali sobie głowy przyszłością syna, podczas gdy przyszłość Piotra była bezustannym przedmiotem troski Andrzeja i Anny Jaskulskich). Albo – co gorsza – przypadek?

Jak wyglądałaby jego własna sytuacja, gdyby kompletnie zniechęconego prześladowaniami zakompleksionej nauczycielki nie wysłano go w szóstej

klasie na korepetycje z matmy, które odkryły w nim niespodziewane talenty? Gdyby wybrał inny kierunek i inną uczelnię (swego czasu myślał też o jakiejś egzotycznej filologii, zafascynowany matematycznymi formułami ukrytymi w języku)? Gdyby nie zdecydował się wyjechać do Anglii? Nie poszedł na praktykę do KZDM?

A tymczasem Romek chciał po prostu żyć sobie spokojnie, po swojemu, z dala od niezdrowych ambicji i wyścigów szczurów, które jakoś nigdy go nie podniecały, w razie kłopotów ratowany z opresji przez troskliwe państwo. No i zbyt późno się zorientował, że epoka właśnie się zmienia; że stary ustrój, tak zaskakująco życzliwy dla niedociekliwych i niesprawiających kłopotów, sprawiedliwie odpłacający tolerancją za tolerancję, odchodzi właśnie w niebyt, a w tym nowym takie pogodne asekuranctwo nie będzie już możliwe. Fakt – miał też zaskakującego pecha. Wypadek matki nie pozwolił mu ukończyć ważnego kursu. Złamana noga stanęła na przeszkodzie, gdy już prawie zdobył funkcję kierowcy wpływowego biznesmena.

Na samym początku Romek obijał się na zmianę po różnych fuchach i urzędzie pracy, uznając, że jakoś to będzie. I rzeczywiście, przez jakiś czas było, ale potem znowu przestawało. Wreszcie na dłużej udało mu się zatrzymać posadę magazyniera w niedużej hurtowni i nastąpiła mała stabilizacja. Przez parę lat mógł przynosić do domu te kilkaset złotych. A w domu czekali coraz bardziej schorowani rodzice, alkoholizujący się brat, jego bezradna żona i dwóch bratanków, którymi ktoś musiał się zajmować. Kilkaset złotych rozpływało się błyskawicznie.

Własnej rodziny Romek nie założył, no bo w sumie nie miał ani gdzie, ani kiedy, ani zwłaszcza za co. No i z czasem nie miał też i z kim. Na początku nie chciał się wiązać na stałe z żadną ze swoich (przeważnie wakacyjnych) dziewczyn, a potem – w miarę jak przybywało mu lat, wagi

i łysiny, ale nie pieniędzy i perspektyw – żadna z dziewczyn nie chciała już wiązać się z nim.

W krytycznym momencie hurtownia zbankrutowała i nieoczekiwanie stracił pracę. Znowu tułał się po urzędach, przekonując się, że – o dziwo – jego sytuacja stała się jeszcze bardziej beznadziejna. Przekonał się również, że pomimo najlepszych chęci, nie jest w stanie zarobić na życie jako przedstawiciel handlowy czy domokrażca. Wreszcie po kolejnych dwóch latach bezsensownej szamotaniny z rzeczywistością zatrudnił się jako stróż nocny w jednym ze składów.

Nic dziwnego, że i on zaczął pić coraz więcej. W przeciwieństwie do brata starał się to jednak robić w sposób dyskretny i względnie odpowiedzialny. Zwłaszcza zaś nie robił tego nigdy przy bratankach, którzy mieli już jeden fatalny model do naśladowania. I nie przy matce, która potrzebowała jakiejś podpory. Ale kiedyś robić to musiał. Pił więc w pracy, gdzie paradoksalnie i tak nie było przecież nic do roboty. Pech chciał, że pewnej nocy, kompletnie pijanego, przydybał go kierownik składu i nie wchodząc w szczegóły, wywalił z hukiem.

Spółdzielnia znowu groziła eksmisją, elektrownia chciała odcinać prąd, a matce brakowało pieniędzy na leki. Brat od dwóch tygodni siedział w areszcie za kradzież i próbę pobicia policjanta, które nastąpiły po którejś z libacji, bratowa bezradnie załamywała ręce i czekała na cud.

I wtedy właśnie w sukurs przyszedł Piotr, przypadkowo spotkawszy kolegę na podwórku, z którego tamten nie ruszył się przez trzydzieści pięć lat swego życia, a Piotr ostatecznie też zdołał uciec tylko o kilka przecznic dalej.

Był to pierwszy i ostatni raz, gdy Piotr załatwił pracę znajomemu, w dodatku nie do końca przekonany, czy protegowany podoła obowiązkowi. Ale Romek podołał. Pracował w KZDM jako nocny portier już prawie od

roku i nikt się na niego nie skarżył. Jeśli nawet dalej pił, to przynajmniej nie tutaj. Piotr mógł odetchnąć z ulgą. Jakiś czas temu przestał też patrzeć koledze na ręce – ot, czasem, gdy nikt tego nie widział, zatrzymywał się na krótką, kumpelską pogawędkę, mającą na celu chyba nie tyle nawet podtrzymanie więzi z dzieciństwa, co raczej próbę przywrócenia, choć na moment, zapomnianych epok, gdy wszystkie drogi zdawały się jeszcze otwarte.

A może fakt, że jego kolega z dzieciństwa miał jeszcze bardziej nieudane życie niż on sam, przynosił mu podświadomą, wredną ulgę? Choć z drugiej strony, czy można w ogóle było obiektywnie ocenić, czyje życie było bardziej nieudane? W dziedzinie relacji międzyludzkich Romek był przynajmniej podporą dla swoich rodziców, bratowej i bratanków. Piotr opiekował się jedynie stumetrowym apartamentem, czarnym lexusem oraz dwoma kaktusami.

Oczywiście przy innych pozostawali na stopie oficjalnej. Nie chodziło bynajmniej o to, że Piotr wstydził się kolegi z dzieciństwa. Po prostu pragmatycznie uznał, że im mniej osób wiedziało o tej relacji, tym lepiej będzie dla obydwu z nich.

– Idę – odparł w zamyśleniu Piotr. – Tylko trochę później. Kyubimoriego dawno wywiało?

– O, już koło trzynastej. Raju, był z takim super-blond-lachoniem. Ta dupcia w zielonej spódnicy... Klasa! Skąd się biorą takie laski? – westchnął Romek nostalgicznie.

– Z Kielc – odrzekł Piotr zrezygnowany. – Konkretnie z Barwinka, jakbyś chciał wiedzieć. O której Kyubimori zwykle się tutaj zjawia? I kiedy wychodzi?

– O, czasem to w ogóle nie wychodzi. Na mojej zmianie już parę razy nocował w swoim gabinecie. A zjawia się i znika w sposób

nieprzewidywalny. Jak duch. Inne żółtki zapierdalają jak w zegarku, nawet sam prezes dla przykładu przychodzi na ósmą i wychodzi o 17.00, ale Kyubimori robi, co mu się żywnie podoba.

– Ma ciekawy gabinet – zauważył od niechcienia Piotr. – Byłeś tam kiedyś na obchodzie?

– Gdzie tam – zaśmiał się Romek. – Nikt tam nie łązi. Jakiś czas temu Kyubimori wydał stanowcze zalecenie, by nikt się tam nie pałętał i skonfiskował nam klucz. Ta nowa sekretarka, wiesz, ta dziwna, sama zajmuje się sprzątaniami.

– Więc nie masz klucza do jego gabinetu. – Piotr z trudem ukrył rozczarowanie.

– No nie – wybąkał Romek – chociaż...

Przez chwilę spoglądali na siebie taksująco w oczy, tak jak prawie trzydzieści lat wcześniej, gdy podpuszczali się nawzajem do jakiegoś wygłupu.

– Chociaż... – podjął Piotr.

– Jest jeszcze rezerwowo – wydukał niechętnie Romek. – No, wiesz, musi być. Na wypadek zdarzeń losowych. Żółtkowi o tym nie powiedzieliśmy, bo i tak by nie zrozumiał, że takie przepisy i tylko by wyniknęła niepotrzebna chryja...

– Możesz mi go pożyczyć... na jakąś godzinę? – uśmiechnął się Piotr niewinnie.

– Jezu! – jęknął Romek. – A ty co, nin-jitsu przemysłowe uprawiasz?

– Powiedzmy, że coś tam zostawiłem przez nieuwagę. Kyubimori i tak się teraz nie pojawi, bo jak sam widziałeś, jest zajęty czym innym. To jak, dajesz?

Romek westchnął w poczuciu ogólnego dyskomfortu, ale oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie może sobie raczej pozwolić na odmowę.

– Daję, daję – mruknął zrezygnowany. – Tylko błagam cię, uważaj, bo skończy się jeszcze na tym, że jakby co, to do ciebie i tak nikt się oczywiście nie przyczepi, a mnie wypierdola.

– Spoko – zażartował Piotr. – Też jestem z Sadów, pamiętasz? Wiem, jak się włamywać.

– Jasne. – Z ponurą miną Romek wręczył mu klucz. – Uważaj, bo Kyubimori to bystrzak, jeszcze coś przestawisz i..

– Dobra, dobra. Sekretarka Kyubimoriego też wyszła? – upewnił się na wszelki wypadek.

– Taa... Jakąś godzinę temu przepłynęła obok mnie niczym duch. Jak zwykle zresztą. Wiesz, że ona nawet nie odwraca głowy, gdy jej mówię do widzenia? Kolejny dziwoląg...

– Masz komórkę? Puścisz mi sygnał, jakby się jednak ktoś przyplątał.

– Jasne.

Piotr zostawił na portierni płaszcz i teczkę, po czym zawrócił ku schodom. Jak uskrzydłony pędził po stopniach. Opanowało go miłe uczucie podniecenia i beztroski, by nie rzec – bezkarności, którego nie pamiętał od czasów dzieciństwa.

Niemal na jednym oddechu wbiegł na poddasze. Zatrzymał się na moment, zdyszany. Od niechcienia wyjrzał przez okno klatki schodowej – właśnie zaczynał padać puszysty śnieg. Wielkie, białe płatki wirowały w świetle latarni, nadając zaniedbanemu podwórku zaskakująco baśniowego charakteru. Kiedy pada taki śnieg, pomyślał Piotr cokolwiek poetycko, wszystko może się zdarzyć.

Stanął przed drzwiami gabinetu Kyubimoriego. I nagle całe podniecenie jakby z niego opadło. Co ja tu właściwie robię, pomyślał, wgapiając się w masywne, ciemne odrzwia, które zdawały się spoglądać na niego z nieskrywaną pogardą. Chyba mnie już do reszty popierdoliło.

Westchnął, odwrócił się i z powrotem markotnie ruszył ku schodom.

Gdzieś w oddali zaryczał pociąg. Dobrze pamiętał ten dźwięk z dzieciństwa. Często słyszał go późnym wieczorem w swym pokoiku w M-4 rodziców. Tory były oddalone od ich bloku o jakieś dwa kilometry, ale w nocnej ciszy syrena pociągu rozchodziła się na całe miasto. Zrywał się wtedy na wpół uspiony z łóżka i przytulał czoło do okna. Z wysokości dziesiątego piętra wpatrywał się w obcy, nocny świat, próbował wyłowić ruch niewidocznego pociągu. Nie dało się go dostrzec – tory zasłonięte były przez kolejne plany bloków i drzew, ale on nigdy się nie poddawał. Wycie pociągu nęciło mirażami czegoś dalekiego, niespodziewanego, ekscytującego...

Cóż się ze mną dziś dzieje, pomyślał zdziwiony, gdy wspomnienie z dzieciństwa powróciło ze zdwojoną mocą. Ale było w tym wyciu pociągu też coś nowego, świeżego, dopiero nadchodzącego, coś, co sprawiło, że znów poczuł przyjemne podniecenie, którego nie potrafił sobie racjonalnie wytłumaczyć. Coś, co magicznym mostem połączyło zapomnianą krainę dzieciństwa z równie, a może nawet bardziej jeszcze mityczną krainą spełnienia. W niezrozumiały sposób daleki dźwięk syreny i obraz wirujących płatków śniegu zlały się w jedno przyjemne wrażenie, które dodało otuchy i pewności siebie.

Po raz drugi stanął przed ciemnymi drzwiami. Spojrzał na trzymany w ręku klucz. Rozsądek podpowiadał, że włamywanie się tutaj tak czy inaczej nie miało sensu, no bo co w końcu miałby właściwie odnaleźć w gabinecie Kyubimoriego? Ale intuicja uparcie popychała go do środka.

Włożył klucz do zamka i powoli przekręcił. Wciąż miał niesamowite wrażenie, jakby coś naprawdę próbowało go zniechęcić. Zamek cicho szcęknął. Pchnął drzwi – otwarły się, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, nawet najmniejszego skrzypienia.

Cicho wślizgnął się do środka i zamknął drzwi za sobą. Na moment otoczyła go nieprzyjemna, śliska ciemność. Wzdrygnął się i przeszedł dalej. Pchnął kolejne lekko uchylone drzwi, prowadzące z przedsionka do gabinetu. Miał wrażenie, jakby coś zimnego przepłynęło w powietrzu niemal tuż obok jego twarzy. Poczł nagłą chęć ucieczki.

Teraz to ci już naprawdę odbija, westchnął w duchu. Postąpił kolejny krok do przodu.

Dzięki światłu latarni wpadającemu przez przeszklone ściany było tutaj znacznie jaśniej niż w przedsionku. Przez chwilę wahał się, czy zapalać światło.

A co mi tam, pomyślał, namacując kontakt. Raczej nie zapowiadało się, żeby Kyubimori czy ktokolwiek inny miał się teraz pojawić się w budynku. Poza tym... jakoś nie chciał przebywać tu po ciemku.

Wszystko wydawało się dokładnie takie, jak kilka godzin wcześniej – oczyma wyobraźni zobaczył Kyubimoriego i Katarzynę siedzących obok siebie na sofie. Na stoliku stała nawet filiżanka z niedopitą kawą. Ciekawe, gdzie teraz byli tamci dwoje? Wskoczyli coś zjeść na miasto czy poszli do mieszkania Kyubimoriego? Piotra dopadła perwersyjna wizja nagiego, szczupłego ciała Katarzyny, wijącego się wokół wysportowanej sylwetki Japończyka...

– Kretyn – skomentował sam siebie Piotr i uważnie rozejrzał się wokół. Po co właściwie tu przyszedł? Ach tak, tamto srebrne skrzynie...

Katem oka dostrzegł dziwny ruch po swojej lewej stronie i nim zdołał się obejrzeć, ogarnął go...

Chłód. Najpierw przyszedł chłód, a zaraz potem niespodziewana iluminacja.

Stał na środku pustego gabinetu, sparaliżowany, z szeroko otwartymi oczami.



*Wiatr wiejący na podkieleckim cmentarzu. Zwiędłe kwiaty. Notatnik z martwymi telefonami. Obojętne twarze, mijane w pośpiechu na korytarzu. Pustka, pustka, pustka. Chłód. Wszystkie złudzenia, którymi próbował się przed nim osłonić.*

To było trochę jak tamte niepokojące przebudzenia, których doświadczał nad ranem, tylko o wiele bardziej intensywne, zwielokrotnione, rozciągnięte w czasie. Moment nagłego otrzeźwienia, przejścia pomiędzy dwiema iluzorycznymi rzeczywistościami. Kiedy przez krótkie mgnienie widział całą pustkę swego życia.

Podobnie było i teraz. Tyle tylko, że uspokajające maski znikły na dobre i wcale nie zamierzały powrócić. Wciąż widział wszystko wyraźnie, w przerażającym olśnieniu.

Mijały sekundy, może minuty. Stał sparaliżowany, nie będąc w stanie choćby mrugnąć. Lęk niczym kwas trawił wnętrzności.

Cisza wokół gęstniała. Tylko jedna jedyna myśl była w stanie rozchodzić się w tej próżni. Kim jesteś? – pogardliwe, suche pytanie. I szybka, odruchowa odpowiedź, tak jak pytanie pozbawiona smaku, barwy i dźwięku: nikim. Niczym.

Mijały sekundy, minuty, godziny? Przed jego oczami przewijała się przeszłość. Twarze, wydarzenia i miejsca zlały się na kształt stromej skały, a on sam zsunął się z niej i spadał ku niewidocznemu dnu przepaści. Resztkami rozpaczy usiłował złapać się choć jednego wspomnienia, które mogłoby powstrzymać upadek. Ale nie odnalazł niczego. Były tylko drogi, które prowadziły donikąd, zapomniane marzenia, plany, z których żadnego nie udało się zrealizować. Przeszłość, której nie dało się posklejać z przyszłością. Rzędy cyfr, zmierzające ku zeru.

Pustka, pustka, pustka. Jakby jeden poryw zimnego wiatru zdmuchnął cały sens, jaki był w stanie nadać swoim działaniom, wszelkie możliwe

uzasadnienia upływających dni i nocy.

*Otwarte drzwi lodówki, samotna puszka piwa i plastry zeschniętej wędliny. Zakurzone biurko, pośniegowe błoto na zaniedbanej uliczce. Cmentarz zapomnianych numerów telefonów w sfatygowanym notesie. Rzędy cyfr. Pustka, pustka, pustka. Minuty, godziny, lata?*

Postąpił krok do przodu; chłód nieubłaganie prowadził go ku uchylonemu oknu. Otworzył je szerzej i wspiął się na parapet. Spojrzał na ulicę. Pośniegowe błoto zniknęło pod białym, puszystym dywanem. Gdyby tak otulić się nim szczelnie, być może dałoby się zapomnieć o tej paralizującej pustce... Świat wokół zaczął się rozmazywać... Gdyby tak zanurkować wprost w...

Wir śnieżnych płatków nagłym podmuchem wytrącił go z transu.

– Nie tak szybko. – Usłyszał niemal przy swym uchu. – Pomyliłeś drogę?

Piotr ze zdumieniem spojrzał na przyprószony bielą beton chodnika. Czy rzeczywiście właśnie zbierał się do skoku na główkę?

– To chyba nie jest odpowiednie wyjście? – powtórzył głos. Słyszał go bardzo niewyraźnie, jakby pochodził ze ściszonego radia. Należał do kobiety. W jakim języku wypowiedziano słowa?

– Rzeczywiście niezbyt odpowiednie – wyszeptał zdrętwiałymi wargami. Po polsku? Angielsku? Japońsku?

Ktoś lekko chwycił go za ramię i na powrót strącił do wnętrza gabinetu. Próbował niezdarnie się obrócić i momentalnie stracił równowagę. Rozmazane kształty tańczyły wokół niego ogłupiały taniec; jakaś równie niewyraźna sylwetka podtrzymała go i uchroniła przed upadkiem.

– Co jest grane? – szepnął przerażony.

Coś złego działo się z jego zmysłami. Jakby nagle przestały porządkować otaczającą go rzeczywistość. A może to rzeczywistość sama

z siebie przestała być uporządkowana?

– *Kochi*. – Znów usłyszał głos przy swoim uchu. – „Tędy”. Poczuł ulgę. Ktoś delikatnie pociągnął go za ramię. – Uważaj, nie...

Nagła, oślepiająca ciemność ucięła ostrzeżenie. Zupełnie zdezorientowany dał się jej pochłonąć, daremnie usiłując przypomnieć sobie, kim jest.

Światło się zapaliło, rozświetlając pokój o rozmiarach 9 mat *tatami*. Lekko chwiejąc się na nogach, opadł na poduszkę i postawił piwo na stoliku, nieco je rozchlapując.

Zmarszczył brwi i przez moment z niechęcią kontemplował płamę.

– Kobieto! – warknął. – Chodź tutaj!

Uniósł puszkę piwa *asahi* i przyjrzał mu się z narastającym zdziwieniem. Piwo *asahi*? Poduszka? Coś tutaj nie pasowało...

Światło znów przygasło i zaraz na powrót się zapaliło. Odłożył na stół butelkę wyborowej i przeniósł zamglony wzrok na drobną postać, która stanęła właśnie w drzwiach kuchni. Z satysfakcją dostrzegł strach narastający na jej obliczu. Stęknął i poluzował krawat.

– Pościeraj to! – wydał polecenie, wskazując rozlaną wódkę.

Kobieta postąpiła krok w jego stronę... i się zatrzymała.

– Co jest? – Popatrzył zaskoczony.

Tamta przez chwilę się wahała. Przez jej oblicze przelewała się burza uczuć. Niektóre z nich widział tam po raz pierwszy.

– Nie – oznajmiła w końcu i zadarła bezczelnie podbródek. – Sam pościeraj, jak rozlałeś.

Aż zatkało go z niedowierzania. A potem zaskoczenie powoli zaczęło przelewać się we wściekłość. Ale było w tym też zamaskowane zadowolenie, nadzieja, że oto nadciągające minuty pozwolą wreszcie oderwać się od całej tej frustracji, która narastała w nim już od rana.

Powoli dźwignął się z krzesła.

– Co powiedziałaś, kurwo?! – wycharczał. W pracy nigdy nie mógłby sobie pozwolić na przeklinanie. Większość kolegów znała go jako kulturalnego i wrażliwego człowieka.

– To, co słyszałeś. – Głos kobiety lekko tylko drżał. – Już nigdy nie będziesz mną pomiatać. Ani ty, ani nikt inny.

– Taa? – Wyprostował się. Co ona sobie wyobrażała? Na co liczyła? Był pijany, ale nie aż tak, by mogła drwić z niego bezkarnie.

Kobieta cofnęła się i stanęła w drzwiach dziwnie pociemniałego pomieszczenia. Liczyła na to, że ukryje się przed nim w swoim kuchennym królestwie? Na jej ustach pojawił się niepokojący uśmiech, uśmiech, którego nie znał i który sprawił, że przez plecy przebiegł mu dreszcz.

– No chodź – szepnęła prowokująco.

Wściekłość przelała się przez niego niczym fala *tsunami*. Ruszył w stronę kobiety, w stronę mroku, lekko się tylko zataczając. Zaciśnął pięści.

Zatrzymał się w pół kroku. Rozluźnione dłonie opadły wzdłuż tułowia.

– Co ja, do cholery, wyprawiam? – szepnął zdziwiony. Popatrzył zamglonym wzrokiem wokół. – To przecież nie jestem ja. To nie jest moje życie. Nie mój gniew.

Kształty wokół zamigotały. Gdzieś z oddali dobiegło czyjeś smutne, zawiedzione wycie.

– Dobrze! – Znajomy głos znów rozległ się tuż przy jego uchu. – Gdybyś przyjął rolę, jaką narzuciła ci w tym spektaklu, nie byłabym w stanie wydostać cię z pułapki...

– Co tutaj się dzieje, do ciężkiej cholery! – jęknął Piotr. Wszystko nadal wirowało. Zachwiał się i opadł na kolana, bezsilnie przecierając oczy. Znów poczuł narastający chłód.

– *Yúgata-ni naru-to samuku narimasu* – rozległy się spokojne, dźwięczne słowa. – Ale nie aż tak zimno. Pokaż się!

Kompletnie zdezorientowany uniósł głowę. Przestrzeń wokół jakby zaczęła nabierać znajomych kształtów. Znow był w gabinecie Kyubimoriego. Chyba.

– Pokaż się! – Ten sam kobiecy głos. Cichy, ale twardy jak stal.

Piotr spojrział przed siebie. Jego wzrok wciąż zachowywał się co najmniej dziwnie, na przemian to wyostrowając, to rozmazując, jakby nie potrafił sam zdecydować, którą rzeczywistość powinien pokazać.

Dwie nierealne postacie stanęły naprzeciwko siebie na środku gabinetu. Dalekowschodnia królowa śniegu, o długich, czarnych włosach, otulona wirem białych płatków, i upiorna, mglista sylwetka wisząca w powietrzu. Czy właśnie zapadł w sen, czy też dopiero teraz się obudził?

– On jest mój! Zemsta jest moja! – zaskrzeczała ta mglista. – Wreszcie ukoję mój smutek!

– Nie. – Królowa śniegu bez entuzjazmu potrząsnęła głową. – Niczego już nie ukoisz. Sorry. Przepadło. Za późno.

Piotr wciąż próbował skoncentrować wzrok. Mglisty upiór zaczął powoli się materializować się w coś na kształt sekretarki Kyubimoriego.

– Oni wszyscy są tacy sami! – jęknął żałośnie. – Najpierw mój ojciec, potem mąż. – Pijacy, hazardziści i dziwkarze! Dręczyli mnie przez całe życie! Skurwysyn Jiro! Kiedyś pobił mnie przy dzieciach, bo nie zapakowałam mu prezerwatyw na firmową wycieczkę do Bangkoku! Cały czas obiecywał, że wszystko się zmieni! A ja wierzyłam, nawet wtedy, kiedy wylądowałam w szpitalu ze złamaną szczęką, a on przyszedł z kwiatami błagać mnie o przebaczenie. A potem, jakby nigdy nic był gotów...

– Przykro mi – powiedziała długowłosa Japonka. W jej chłodnym głosie kryło się enigmatyczne pocieszenie. – Teraz jednak nic już na to nie poradzisz.

– Wreszcie się zemszczę! – zawołała demoniczna sekretarka jakby z mniejszym przekonaniem. – Odbiorę rewanż za wszystkie poniżenia!

– Nic z tego. Nie znalazłaś w sobie dość sił, by za życia przeciwstawić się prześladowcom, a teraz to już nie ma znaczenia – cierpliwie wyjaśniła długowłosa Japonka. – Nie rozumiesz? To co zostało stracone, jest już stracone na zawsze. Kropka. Nie można niczego odzyskać, przeżyć na nowo. Życie to droga, która biegnie w jedną stronę. Niczego nie da się naprawić.

– Kyubimori-sama podarował mi dusze wszystkich, którzy ośmieliliby się tu wejść pod jego nieobecność! – zaprotestował upiór rozpaczliwie.

Piotr z ogromnym trudem nadążał za tą surrealistyczną konwersacją. Na szczęście, o czym przekonał się już niejednokrotnie, japoński w wydaniu kobiecym był o wiele wyraźniejszy i bardziej zrozumiały niż w wykonaniu mężczyzn. Czasem nawet, szczerze powiedziawszy, wydawał mu się zupełnie innym językiem.

– Zastanów się, to tylko kolejny mężczyzna, który wykorzystuje cię do własnych celów – stwierdziła druga kobieta. – Nie znajdziesz tutaj żadnej zemsty ani ukojenia, będziesz jedynie torturować w nieskończoność samą siebie.

Sekretarka upiór wyraźnie oklapła. Piotr poczuł, że w zasadzie, to nawet jest mu jej żal.

– Nie! – zawyła w ostatnim napadzie buntu. – Ciebie też zabiorę, skoro wchodzisz mi w drogę!

Sekretarka na powrót rozmazała się w półprzeźroczystą mgiełkę i poszybowała ku królowej śniegu. Ta zapraszająco wyciągnęła przed siebie

ręce.

– Jestem zimniejsza od ciebie – szepnęła, jakby ze współczuciem. – Nie zabierzesz mi tego, czego nie posiadam.

Przez krótką chwilę obie demoniczne sylwetki obejmowały się z zaskakującą czułością.

– Nie musisz tu zostawać – szepnęła wreszcie czarnowłosa Japonka. – Otworzę ci wyjście na zewnątrz...

Coś zawirowało, coś rozbłysło. Piotr poczuł, że znów zaczyna odpływać w jakieś dalekie miejsce, ciemne i spokojne ...

– Haro? – Ktoś delikatnie trącił go w ramię. Otworzył oczy i z wysiłkiem usiadł na podłodze. Zdezorientowane zmysły wreszcie zdołały się dostroić do otaczającej rzeczywistości i do siebie nawzajem.

– Czy mówi pan po angielsku? – Usłyszał nieśmiałe pytanie.

– Owszem – stęknął z wysiłkiem. – I po japońsku trochę też. Ale po angielsku będzie łatwiej.

Uniósł głowę. Czy to ta właśnie kobieta jeszcze przed chwilą skojarzyła mu się z Królową Śniegu? Teraz wyglądała całkiem zwyczajnie.

Wysoka jak na Japonkę, czy też może raczej jak na jego wyobrażenie Japonki. Długie czarne włosy – tylko ten jeden element zdawał się teraz w jakikolwiek sposób magiczny. Całkiem zwyczajne džinsy i szara, puchowa kurtka. Miła twarz, choć jakby pozbawiona emocji. Na oko studentka lub świeżo po studiach, choć przy Azjatkach nigdy nie było się pewnym – starzały się o wiele wolniej i o wiele lepiej niż Europejki. Nawet ładna, jeśli oczywiście ktoś akurat lubi skośnookie brunetki.

– Kim ona była? – Z pewną obawą potoczył spojrzeniem wokół, po demonicznej sekretarce nie został jednak najmniejszy nawet ślad.

– *Yūrei*, „żeńskim duchem” – wyjaśniła Japonka. Po angielsku mówiła z lekkim akcentem, ale bez wahania i prawie bezbłędnie. – Bezbronna,

wrażliwa dusza, krzywdzona za życia i po śmierci...

– Nie taka znowu bezbronna – zauważył z przekąsem Piotr. – Pod jej wpływem omal nie wyskoczyłem przez okno... Pod jej wpływem? – upewnił się z nagłym ukłuciem niepokoju. – Wydawało mi się, że wreszcie zaczynam działać racjonalnie, postrzegać życie takim, jakie jest naprawdę...

Japonka skrzywiła się ironicznie.

– Może tak właśnie było w istocie? Życie większości z nas jest zdumiewająco bezsensowne, jeśli tylko przyjrzeć mu się uważniej, więc chyba lepiej tego nie robić? No, już dobrze – dodała, widząc narastającą panikę na jego twarzy. – Powiedzmy, że przejęła pana nadprzyrodzonym chłodem. Zaraziła własnym żalem...

– Skąd się w ogóle tutaj wzięła? – analizował Piotr. Sytuacja, w jakiej się znalazł była może i surrealistyczna, ale tym bardziej należało podejść do wszystkiego logicznie, dokładnie wszystko zbadać, aby wysnuć jakieś wnioski – I co z nią pani zrobiła?

Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę z wyraźnym wahaniem, jakby zastanawiała się, czy w ogóle warto kontynuować rozmowę.

– Przypuszczam, że Sho Kyubimori wywabił trawioną żalem *yūrei* z pośredniego świata, obiecując zemstę za krzywdy doznane na ziemskim padole, i osadził tutaj, by pilnowała jego gabinetu. Pokazałam duchowi drogę „na zewnątrz”. Któż wie, co się tam znajduje? – Wzruszyła ramionami. – Nie będzie mu tam gorzej niż tutaj. Chyba – dodała ambiwalentnie.

– Był straszny – wzdrygnął się Piotr – ale też i w jakiś sposób śmieszny. Wzbudzał też litość...

– Takie właśnie są *yūrei*. Jeśli wierzyć tradycyjnym opowieściom, specjalnie nikt się nad nimi jednakowoż nie lituje. Jak i nad wszystkimi



kobietami zresztą. W dodatku działania *yūrei* rzadko kończą się sukcesem. Odtrącane za życia i po śmierci – westchnęła. – Cóż, cieszy mnie, iż posiada pan ludzkie uczucia. I że nie był pan zdolny do uderzenia kobiety pięścią. Co zresztą tylko wyszło panu na zdrowie. Na pańskim miejscu jednak na wszelki wypadek przeprowadziłabym rachunek sumienia – w oczach Japonki zabłyśły złośliwe ogniki – czy w swoim własnym życiu nie stworzył pan albo nie jest na najlepszej drodze do stworzenia własnej *yūrei*?

Przez chwilę Piotr myślał o nauczycielce Marcie, do której nigdy nie zadzwonił, mimo iż wiedział, że czeka na jego telefon. Jak wiele trzeba, by obudzić w kimś mściwego ducha?

– Po co Kyubimori umieścił tu tego... demona? – zapytał na głos.

– *Yūrei* – sprostowała tamta. – Żeby chroniła gabinet przed intruzami.

– Takimi jak ja? Czy takimi jak... pani?

– Chyba raczej takimi jak ja. – Dziewczyna obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. – Nie wygląda pan na kogoś przeciwko komu trzeba by się uciekać do tak radykalnych środków. W sumie jednak na coś się pan przydał – dzięki panu zostałam ostrzeżona. A tak w ogóle to kim pan jest?

– Jest pani bardzo bezpośrednia jak na Japonkę – zauważył Piotr bez wielkiej nadziei, że uda mu się ją zbić z tropu.

– Zwykle mi się tak robi wraz z przejściem na angielski – westchnęła, jakby przepraszająco. – Poza tym naoglądałam się mnóstwa zachodnich filmów. No więc, kim pan jest?

– Cóż, zdaje się, że tak czy inaczej, jesteśmy sojusznikami? – zastanawiał się Piotr. – Chyba. Piotr Jaskulski, dyrektor finansowy KZDM-Nagita.

– Czy w Polsce to normalne, że dyrektorzy finansowi włamują się do gabinetów członków zarządu? – upewniła się Japonka. – Bo chyba nie był

pan tu zaproszony? Inaczej *yūrei* by pana nie zaatakowała?

– Nie, to nie jest normalne – odparł sucho Piotr. – Powiedzmy, że pomiędzy mną i Kyubimorim-san są rzeczy, które trzeba wyjaśnić. Dziwne rzeczy. To, co się tu wydarzyło, jeszcze bardziej mnie w tym utwierdza. A pani? Coś mi podpowiada, że to też nie była zapowiedziana wizyta.

– Jestem Yuki... Yamada. – Japonka schyliła głowę w zaskakująco pokornym i głębokim ukłonie, który widział dziesiątki razy na japońskich filmach, niemal zamiatając podłogę włosami. – Nie, ja również chciałam zrobić niespodziankę Kyubimoriemu-san. Powiedzmy, że pomiędzy mną a nim również są sprawy, które wymagają wyjaśnienia... Hm... Zdumiewająco spokojnie przyjął pan tą *yūrei* ...

– Chyba rzeczywiście. – Piotr wzruszył ramionami. – Cóż, największy błąd, jaki może popełnić analityk, to podchodzić do rzeczywistości w sposób normatywny, życzeniowy. To zawsze owocuje tragedią. Też wolałbym, żeby dziś nie spotkało mnie to, co spotkało. A to tylko kolejne z całej serii dziwnych zdarzeń. Jeśli chcę działać efektywnie, muszę zacząć od zaakceptowania faktów. – Rozłożył ręce. – I od przyjęcia jakiś wstępnych założeń. Założymy więc, że jesteśmy sojusznikami?

Kobieta spoważniała i przez moment spoglądała mu w oczy. Co w nich dostrzegła?

– Przysłano mnie tu, bym powstrzymała Kyubimoriego – oznajmiła w końcu.

– Ja również chcę go powstrzymać. – Piotr sam zdziwił się, skąd wzięło się przekonanie, z jakim wypowiedział te słowa. – Kimkolwiek naprawdę jest i cokolwiek zamierza.

## Yuki Yamada

– Nie boi się pani, że Kyubimori pozostawiał tu jeszcze jakieś nadprzyrodzone pułapki? – Piotr z niepokojem obserwował, jak Japonka buszuje w kredensie wiceprezesa. On sam czuł się raczej nieswojo, siedząc na kanapie pośrodku gabinetu.

– Kto wie? – Japonka odwróciła się i uśmiechnęła złowrogo. – Tak przy okazji, odczuł pan może zniechęcający wzór na drzwiach?

– Zniechęcający? Hm... – zastanowił się Piotr. – Tak, chyba tak... Odczułem.

– Ma pan silną wolę, skoro nie dał mu się pan, no właśnie, zniechęcić. Pułapka z *yūrei*, jak widać, choć najbardziej drastyczna, nie była jedyną. Co do reszty, to wkrótce rozejrzemy się na spokojnie. Teraz jednak muszę się napić porządnej herbaty, zanim cokolwiek przedsięwzięmę. Jestem zmęczona po całej tej podróży i konfrontacji z *yūrei*... Jak rozumiem, zdążymy jeszcze złapać Kyubimoriego-san na tej gali...

– Tak – mruknął Piotr, choć po tym, co spotkało go w ciągu ostatniej godziny, raczej nie chciał pozostawiać na dłużej Katarzyny w towarzystwie – jakby na to nie patrzeć – czarownika i manipulatora. Jakie były plany Kyubimoriego względem dziewczyny? Czy były związane tylko ze skłonieniem jej do udzielenia jakiegoś wyjątkowo nierozsądnego kredytu, czy też sięgały dalej? Przez moment wyobrażał sobie siebie w roli wybawcy przedstawicielki Amundsen Banku. Hm... gdyby pognał tam

teraz ze swoimi rewelacjami, Katarzyna najprawdopodobniej uznałaby go za kompletnego wariata. Nie, należało ratować ją ze szponów Kyubimoriego w sposób bardziej przemyślany.

Jakie były z kolei plany Kyubimoriego względem samego Piotra? I czy pojawienie się Katarzyny było przypadkowe, czy też Kyubimori wiedział o relacjach, jakie ich łączyły i pragnął to wykorzystać?

– Proszę. – Yuki Yamada postawiła przed nim parującą filiżankę. – Panu też się przyda.

Wziął filiżankę do ręki i niezdecydowanie obracał nią w dłoniach. Japonka usadziła się tymczasem wygodnie po drugiej stronie sofy i z wyraźną lubością wciągnęła w nozdrza zapach herbaty. Wciąż obserwował ją spod oka. Kim była Yuki Yamada: szansą czy zagrożeniem?

– Jeden z moich ulubionych gatunków – skontatowała Japonka. – Najwyraźniej ja i Kyubimori-san mamy podobny gust. No dobra, niech pan coś powie o swoich sprawach z Kyubimorim, to spróbujemy to wszystko jakoś rozgryźć.

– A potem pani opowie mi o sobie? – Piotr złożył kontrpropozycję.

– Potem. W granicach możliwości. No więc?

Wzruszył ramionami. To, co miał do powiedzenia, tak czy inaczej, nie było wielką tajemnicą, a Japonka, jakby na to nie patrzeć, uratowała go przed *yūrei*. Cóż, pomyślał, przekonajmy się, co z tego wyniknie.

W miarę zwięźle nakreślił swoją sytuację w KZDM i to, jak zmieniło ją pojawienie się Kyubimoriego. Opowiedział też o niecodziennych zdarzeniach, które miały miejsce na przestrzeni ostatnich tygodni. I o snach, których do końca nie mógł sobie przypomnieć. Po chwili wahania wspomniał również, że przedstawicielka banku, z którą wiceprezes miał udać się na galę była jego eks-znajomą.

– Eks-znajomą, hę? – Yuki Yamada mrugnęła zagadkowo.

Po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Wygląda na to – Japonka nie drążyła tematu – że Kyubimori-san zagiął na pana parol. Z jakiś względów uznał pana zapewne za zagrożenie dla swych zamierzeń.

– Fakt, że otwarcie sprzeciwiałem się jego planom – przyznał Piotr – ale nie rozumiem, dlaczego miałyby tracić czas na oplatanie mnie całą siecią intryg. Jestem tylko dyrektorem finansowym, a on członkiem zarządu o zagadkowych wręcz umocowaniach. Podejrzewam, że gdyby tylko zechciał, mógłby bez problemu wymusić na zarządzie odwołanie mnie za stanowiska.

– Och – zaprotestowała Yuki Yamada – prawdziwych problemów nie da się rozwiązać w tak prosty sposób...

– Czyżby? – mruknął z powątpiewaniem Piotr. – Proszę mi wierzyć, że zwolnienie człowieka z pracy to niezwykle skuteczny sposób na pozbycie się problemów z nim związanych.

Japonka potrząsnęła głową.

– Nie zawsze. Jest też sfera głębszych znaczeń – stwierdziła enigmatycznie. – Ludzie są ważni, choć czasem nie zdają sobie z tego sprawy. Słowa, które wypowiadają, gesty, które czynią, nawet te najdrobniejsze.

Jezu, dlaczego oni wszyscy muszą od razu popadać w mistyczne tony? – jęknął w duchu Piotr. Kto jak kto, ale członkowie tak kolektywistycznej społeczności jak Japończycy, powinni najlepiej zdawać sobie sprawę, jak bardzo nieistotny jest pojedynczy człowiek.

– To zabawne – powiedział na głos. – Kyubimori w rozmowie ze mną też kiedyś powiedział coś podobnego.

– Naprawdę? – Cień przebiegł przez twarz Japonki. – Cóż, na pewnym etapie naszego życia pobieraliśmy nauki u tych samych nauczycieli.

Jest nawet całkiem ładna, stwierdził Piotr, patrząc jak z powrotem pochyla się nad swą herbatą. Tylko taka... pochmurna. Nawet kiedy się uśmiecha.

Pochmurna – tak, to słowo zdecydowanie najlepiej opisywało Yuki Yamadę.

– Jak rozumiem – odezwała się znowu tamta – władza Kyubimoriego w KZDM nie jest absolutna?

– Chyba nie – zgodził się Piotr. – Wiele poszłak za tym przemawia. Mianowała go centrala, ale nie we wszystkim może na nią liczyć. To ciekawe, że sam musi szukać środków sfinansowania nowego centrum Nagity, zamiast po prostu zwrócić się o pomoc do Tokio. Podejrzewam, że miejscowy zarząd traktuje go jak zło konieczne. W każdym razie wydaje się, że prezes Ozawa jest po drugiej stronie barykady. Odbyłem z nim zresztą dzisiaj dość kuriozalną rozmowę... Tak przy okazji, co sądzi pani o lisach? – zapytał znienacka.

Twarz Japonki wyraźnie się ożywiła.

– Lisach? – zapytała z niepokojącym błyskiem w oczach.

– Lisach – potwierdził z powagą, nie spuszczać z niej wzroku.

– Przykro mi, ale obawiam się, że jest jeszcze za wcześnie na poważną rozmowę o lisach – oznajmiła stanowczo. – To prezes Ozawa panu o nich wspominał?

– Owszem. Rzekłbym nawet, że lisy stanowił centralny punkt jego wystąpienia.

– A co konkretnie mówił?

– Odniosłem wrażenie, że jest do nich nieco uprzedzony. – Spojrzał z ukosa na swą rozmówczynię. – Hm... to chyba dość jednostronna wymiana informacji...

Yuki milczała dłuższą chwilę.

– Powiem panu wszystko, co mogę powiedzieć – złożyła w końcu deklarację. – I co będzie pan w stanie zrozumieć. Nie chcę kłamać, a więcej nie mogę obiecać.

Przez moment znów spoglądali na siebie spode łba. Jak szybko, pomyślał Piotr, człowiek jest w stanie przyzwycząić się do najbardziej nawet absurdalnej sytuacji.

– Cóż – skrzywił się wreszcie z rezygnacją – dobre i to.

Najlepiej jak tylko potrafił zreferował treść rozmowy z Ozawą i utkwiał w Yuki Yamadzie wyczekujące spojrzenie.

– Aha – powiedziała Japonka. – To by nawet pasowało. Nie orientuję się zbyt dobrze w wewnętrznych powiązaniach w *keiretsu* Nagity, ale – z tego, co wiem – prezes Yashitaka – prawdopodobnie Goro z opowieści pańskiego szefa – rzeczywiście miał chyba tajemniczy dług wdzięczności względem Kyubimoriego-sana. I gdy tamten się o niego upomniał, rzucił mu na pożarcie daleką filię Nagity, czyli Nagitę-KZDM. Potrafię sobie wyobrazić, że mogło się to nie spodobać wielu jego współpracownikom i partnerom... Podejrzewam, że to oni właśnie z kolei powiadomili o poczynaniach Kyubimoriego... tych, którzy mnie wysłali.

– Pewnie nie zechce mi pani zdradzić, kim są pani mocodawcy? – zapytał uprzejmie Piotr.

– Proszę mi wierzyć, nie ma to dla pana znaczenia. To, co jest pomiędzy Kyubimorim-san, tymi, którzy mnie wysłali, i... mną, w żaden sposób nie dotyczy ani pana, ani pańskiej firmy, ani nawet samego *keiretsu*. Są to sprawy absolutnie... pozabiznesowe. Wracając jednak do rzeczy, nie sądzę, by poza Yashitaką Kyubimori miał wielu sojuszników w *keiretsu* czy też samej Nagicie. Poza, oczywiście, ludźmi, których udało mu się w ten czy inny sposób zmanipulować...

– Tak... – mruknął Piotr. Pomyślał o dziwacznym zachowaniu Chudzika i jego konszachtach z wiceprezesem. – Manipulacje... Jest w tym dobry, prawda?

– Owszem. Ale nawet jego możliwości są ograniczone. Nie sędzę, żeby udało mu się zmanipulować tych, którzy wiedzą, kim jest i mają się na baczności. Tak jak pański prezes czy szefowie Nagity w Tokio.

– A kim jest?

Japonka zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

– Kim jest? – powtórzyła z dziwnym wyrazem twarzy. – Zależy dla kogo. Dla mnie? Dla pana? Dla Yashitaki? Dla tych, którzy mnie wysłali? Kim jest dla siebie samego?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Jest kimś, kogo bardzo trudno jest ująć w słowa. A także kimś, kto nie przestrzega ogólnie przyjętych reguł. To dla nas, Japończyków, szczególnie godne potępienia.

– A u nas, Polaków, całkiem popularne.

– Kto wie, może dlatego właśnie wybrał ten kraj?

– No właśnie. Po co Kyubimoriemu w ogóle Nagita-KZDM? Jak rozumiem, nie jest typem pospolitego karierowicza? Zamierza użyć KZDM jako trampoliny, by zdobyć większe wpływy w *keiretsu*?

– Kyubimori-san nie jest kimś, kogo mogłyby zainteresować pieniądze i władza dla nich samych. A już zwłaszcza biznes i wyścig szczurów. Z tego, co o nim wiem, nie sędzę, żeby w ogóle specjalnie obchodziło go *keiretsu* i to, co się w nim dzieje. Budowanie długofalowej kariery w jednym miejscu jest zupełnie nie w jego stylu. Zupełnie też nie mam pojęcia, na co mu wasze przedsiębiorstwo. Coś tu nie pasuje.

– A dobrze go pani zna?

Cienie na twarzy Japonki na moment pogłębiły się jeszcze bardziej.



– Nigdy nie spotkałam go osobiście – odparła sucho – ale wiele mi o nim opowiadano.

– Wracając do rzeczy, na przekór temu, co pani sugeruje, Kyubimori wykazywał od początku dużą aktywność w KZDM, niczym prawdziwy menadżer, którego – jak rozumiem – tylko udaje. Chociaż po zastanowieniu muszę przyznać, że większość jego działań od samego początku zogniskowana była na budowie nowego centrum Nagity...

– No właśnie. – Oczy Yuki zabłysnęły. – Centrum. Może to ono właśnie jest tutaj najistotniejsze? A pan – jak rozumiem – najmocniej sprzeciwiał się jego budowie. To też tłumaczyłoby, dlaczego uznał pana za przeciwnika.

– Nie do końca – mruknął Piotr. – Moja pozycja jest zbyt słaba, by na dłuższą metę blokować usiłowania członka zarządu. Niemniej jednak, chyba rzeczywiście to centrum jest kluczem.

– Czy zna pan jakieś szczegóły?

– Wstępne prognozy finansowe, wskazujące na ogromny...

– Miałam na myśli raczej szczegóły architektoniczne – przerwała mu Yuki.

– Architektoniczne? – zdumiał się Piotr. „Architektura to moje hobby” – przypomniał sobie słowa wiceprezesa. – Hm... To ciekawe – stwierdził – ale nigdy nie widziałem żadnych planów ani wizualizacji. Choć prawdopodobnie istnieją i Kyubimori ma je w swoim posiadaniu. Czy to aż tak istotne?

– Tak – odrzekła krótko Japonka. Dopiła swą herbatę i wstała, uważnie rozglądając się po pomieszczeniu, jakby spodziewała się nagle zobaczyć coś, czego nie zauważyła wcześniej.

– Jak dotąd nie powiedziała mi pani nic o sobie.

– Słucham? – Spojrzała na niego roztargnionym wzrokiem.

– Rozumiem, że podobnie jak Kyubimori ma pani swoje tajemnice, ale coś muszę wiedzieć – oznajmił grzecznie.

Na jej twarzy pojawiło się zniecierpliwienie.

– No dobra – westchnęła. – Nazywam się Yuki Yamada, już to panu mówiłam. Na północy Honsiu, w Tohoku, znajduje się wioska Oda, bardziej odcięta od świata niż wskazywałoby na to jej położenie geograficzne. Tam właśnie się urodziłam. Pochodzę z rodu, w którym z pokolenia na pokolenie jest przekazywana pewna specyficzna wiedza... i umiejętności. Dawno temu człowiek, którego zna pan jako Sho Kyubimori podstępnie wyłudził od nas część tej... spuścizny. Ludzie z Ody obawiają się, że może chcieć jej użyć przeciwko nim, bądź w innym złym celu. Dlatego wysłali mnie, bym zorientowała się, co planuje, i go powstrzymała.

– Interesujące – odparł Piotr. – Co to za wiedza i umiejętności? Sztuka wykorzystywania mściwych duchów? Magia?

– Nie wierzę w magię – burknęła Japonka. – I nie cierpię tego słowa.

Interesujące, pomyślał Piotr. Pogromczyni gniewnych duchów, która nie wierzy w magię. W zadumie przyjrzał się Yuki Yamadzie, podczas gdy ta, zupełnie nie zwracając na niego uwagi, lustrowała każdy metr kwadratowy pomieszczenia. Bijąca od Japonki koncentracja w niepokojący sposób zdawała się sugerować, że dziewczyna wie, co robi. Cóż, wolałby chyba, żeby okazała się wariatką.

– Dla was, ludzi zachodu – odezwała się zniecierpliwiona Yuki – magia to coś nadzwyczajnego, ponadnaturalnego, kojarzącego się z ciemnymi mocami lub horrorami klasy B. W istocie wiele rzeczy, zjawisk czy umiejętności, które uznaliby pan za magiczne wynika jedynie z poszerzonej percepcji... czy też może raczej skupionego i hm... selektywnego postrzegania rzeczywistości. Nadawania w naszej wyobraźni kształtów temu, co zwykle lękamy się zauważać. Nazywanie i opisywanie czegokolwiek przy pomocy

naszych ograniczonych zmysłów nigdy nie jest do końca adekwatne, ale w jakimś sensie pomaga nam panować nad rzeczywistością. Magia to tylko dyscyplina postrzegania. W tym, co dziś zrobiłam, nie było nic więcej... ani nic mniej.

– Tak – mruknął sceptycznie Piotr. – Jasne.

Dlaczego on sam przyjął wszystko tak spokojnie? W końcu, jakby na to nie patrzeć, w ciągu ostatnich godzin runął cały jego poukładany świat. Czy nie za łatwo przyszło mu pogodzenie się z tym? Czy był to efekt jego elastyczności czy też desperacji? A może po prostu żaden „jego świat” nie istniał już od bardzo dawna, a on sam był jedynie bezwolnym trybikiem w maszynie codzienności, pyłkiem unoszonym bezwolnie prądami wydarzeń? Może tak naprawdę nie miał już nic do stracenia ani do zyskania i gotów był beznamiętnie przyjąć każdą aberrację rzeczywistości?

– Myślę, że Kyubimori-san ukrył gdzieś tu plany swego centrum... – Yuki odwróciła głowę.

– Gdzie? – zapytał Piotr, z powątpiewaniem rozglądając się po pomieszczeniu. I nagle przypomniał sobie, dlaczego w ogóle tu przyszedł: srebrne skrzydło na krańcach pomieszczenia. Czemu wyleciało mu to z głowy?

Podążył za spojrzeniem Yuki. Pomieszczenie, pomijając niecodzienną aranżację, wyglądało całkiem normalnie... Zrezygnowany odwrócił wzrok. I wtedy przez krótki moment, samym kątem oka...

– Ciekawe – skomentowała Japonka. – Jest pan całkiem spostrzegawczy jak na... amatora.

– Tam coś jest?

– Oczywiście. Tam, gdzie nie patrzymy, zawsze coś jest. Z założenia. Proszę złapać mnie za rękę – poleciała.

Z wahaniem chwycił podaną mu dłoń. Była gładka, sucha i chłodna.

– Co teraz?

– Krok do przodu.

Postąpili krok do przodu, potem jeszcze jeden, a potem następny... Na pozór wciąż szli po tej samej drewnianej podłodze, dokonując bardzo drobnego w końcu przemieszczenia w przestrzeni, ale Piotr miał wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem gabinet zmienia się, staje się coraz to innym gabinetem. Nie potrafili powiedzieć, skąd brało się to odczucie – wszystkie ściany i meble niby wciąż pozostawały w tym samym miejscu, a jednak...

Na swojej dłoni czuł zaciśniętą dłoń Yuki Yamady o zadziwiająco zimnym, lecz przyjemnym dotyku. Szedł niczym zahipnotyzowany przed siebie, dając się prowadzić enigmatycznej przybyszce z kraju kwitnącej wiśni. Opanowało go nagle rozluźnienie, magiczne uczucie unoszenia się na powierzchni czystego chłodnego jeziora...

– Już – oznajmiła jego towarzyszka. – Tutaj.

Znajdowali się prawie w samym rogu pomieszczenia. Coś wisiało w powietrzu naprzeciwko, niemal na wyciągnięcie ręki, skrzyło się srebrem, pojawiało i znikało, jakby zawieszone w jakiś innym wymiarze, oddzielone półprzezroczystą kotarą, poruszane niewidzialnym wiatrem...

– Proszę się nie ruszać – Japonka wciąż nie wypuszczała jego dłoni – i spróbować wyostrzyć wzrok... To, co się wydaje dalekie, jest tak naprawdę całkiem bliskie.

– Wyostrzyć wzrok – zachnął się Piotr. – Niby jak?

Po czym, całkiem niespodziewanie dla siebie samego, wyostrzył wzrok.

Najpierw zmaterializował się przed nim sam środek – dziwna plątanina srebrzystych metalowych kształtów. Upłynęła długa chwila, nim zdał sobie sprawę, że spogląda na model centrum Nagity.

– O cholera! – wystękał.

– Robi wrażenie, prawda? – Po raz pierwszy głos Japonki zdradzał głębsze emocje. Podziw, fascynację, strach?

Wizja przed nimi coraz bardziej nabierała barw i kształtów. Oprócz srebra dostrzegał teraz czerń, czerwień i błękit. Strzeliste wieże i elipsoidalne kopuły. Ściany ze szkła, stali i...

– Niezłe – wyszeptała Yuki. – Naprawdę niezłe. I dające się wykonać przy pomocy standardowych technologii i elementów. Cudowna ekstrawagancja stanowiąca idealną niemal antytezę tradycyjnej japońskiej estetyki i architektury. Trochę przypomina niektóre projekty z Dubaju. Ale jest chyba tutaj coś jeszcze... Ostrożnie...

Nagle uderzenie blasku i uczucie spadania w dół. Wrzasnął i kurczowo ścisnął Japonkę za rękę.

– Spokojnie, to tylko iluzja – wyjaśniła Yuki Yamada, ale jakby bez przekonania.

Unosili się w powietrzu, ponad projektem, ponad miastem. Było jasno, tak jasno, że musiał zmrużyć oczy. Centrum Nagity nadal gdzieś tam było, w dole, srebrzyste cienie i szkice, nałożone na trójwymiarową wizję prawdziwego miasta, iluzoryczne i rozmywające się w powodzi blasku. Oni sami wisieli gdzieś ponad miejscem, w którym miał powstać kompleks Kyubimoriego.

Nie, oczywiście nie mogli *naprawdę* stać sto metrów nad ziemią w punkcie, w którym zaplanowano szczyt wieży wieńczącej przyszłe centrum. Nagle, ni z tego ni owego, otoczył ich słoneczny, letni dzień, a przecież Piotr pamiętał, że w rzeczywistości zapadła już zimowa noc, nie czuł też na sobie podmuchów wiatru, a sam krajobraz był jakby statyczny. To tylko wizja, to tylko wizja, powtarzał sobie dla uspokojenia.

A jednak cały czas bał się, że spadnie.

– To tylko wizja? – jęknął niepewnie. – Magia?

– Tak – odparła figlarnie Yuki. – Tak długo, jak o tym pamiętamy.

Przełknął ślinę, starając się nie poddać kolejnemu atakowi paniki.

– To Ki-ru-ce? Kielce? – zapytała Japonka.

– Tak – odparł z zaskoczeniem. – Kielce.

Wokół roztaczało się miasto; na pierwszym planie można było dostrzec Centrum Biznesu i nowy kampus uniwersytetu, nieco dalej supermarkety i północne osiedla – labirynt socjalistycznych twierdz z wielkiej płyty, wzniesionych na wzgórzu, po to chyba tylko, by z oddali szpeciły krajobraz.

Jeszcze dalej, w dolinie, znajdowało się centrum miasta, zaś po jego przeciwnej stronie kolejne wzniesienia, Telegraf i Karczówka. A na kolejnym, szerszym planie, łagodne doliny i dalsze pasma Gór Świętokrzyskich.

Tu, na swym północno-wschodnim skraju miasto kończyło się nagle i bez ostrzeżenia. Dalej były Wichrowe Wzgórza – położone na wyjątkowo nieurodzajnej glebie pracownicze ogródki działkowe, gdzie, dawno temu, jego rodzice bezskutecznie próbowali go zagonić do prac ogrodniczych, i pobliski Masłów, szczyjący się jedynym w okolicy lotniskiem i mszą odprawioną przez papieża w 1992 r. Wreszcie, zupełnie w tle, pasmo Masłowskie, a dalej w głąb i na wschód – Łysogóry.

W drugą stronę panorama była mniej imponująca, za betonową ścianą północnych osiedli wyrastały wzgórza Dąbrowy. Teren na zachodzie robił się bardziej płaski, hen w oddali wyrastała z niego tylko biała wieża kościoła w Chełmcach.

Dziwne, pomyślał Piotr, nie zdawałem sobie sprawy, że widok tutaj jest tak... rozległy.

Co było w nim tak poruszającego? Przecież widywał już ciekawsze. Neony londyńskiego city, odbite w Tamizie. Himalaje z lotu ptaka.

Krajobraz widziany ze szczytu góry Fuji.

– W tym miejscu – usłyszał zaaferowany szept Japonki – jest coś niezwykłego.

Niezwykłego? W Kielcach. Potrzęsnał z niedowierzaniem głową.

Spróbował zmienić pozycję, niepewny, czy nadal znajduje się w gabinecie Kyubimoriego, czy też naprawdę wisi w powietrzu. Napotkał wzrok Japonki; tknięty niewytłumaczalnym impulsem wyobraził sobie, że spogląda na zupełnie obcy, egzotyczny krajobraz; powiedzmy wiejska okolica w północnym Honsiu czy też na Hokkaido. A może zupełnie gdzie indziej, w miejscu, którego nie potrafił nawet ulokować na mapie swej wyobraźni?

Wzgórza i doliny, soczyste łąki i ciemne lasy, skrywające nieznanne sekrety. Czerwone dachy domostw, gdzieś tam szare wstążki dróg, tysiące ludzi wiodących swą niepojętą egzystencję. Przepływające energie...

– Jak tutaj pięknie – wyszeptał ze zdziwieniem.

Poczuł wokół siebie delikatny ruch; wizja z powrotem osunęła się gdzieś w dół. Znów stał ponad wirującym modelem centrum Nagity, pamiętając o tym, co widział wcześniej.

Wpatrywał się w niego z napięciem. Projekt Kyubimoriego pomimo całej swej ulotności stawał się w jego umyśle coraz bardziej konkretny i namacalny. Ściągał swym ciężarem.

– Nie podoba mi się – stwierdził niespodziewanie dla siebie. – Coś z nim jest nie tak.

Oczy Yuki Yamady niemal doskonale odbijały srebrne skrzywienie. Dreszcz, równie zimny jak dotyk dłoni Japonki, przebiegł mu w dół kręgosłupa. Oswobodził rękę i cofnął się o krok.

– Wyczuwa pan coś – szepnęła Yuki. – Nie rozumie pan tych kształtów, ale coś wyczuwa.

– Nie podoba mi się ten projekt – powtórzył Piotr z uporem, którego sam nie potrafił sobie wytłumaczyć. – Nie chcę, żeby to centrum zostało zbudowane.

– Jeśli mi pan pomoże, nie będzie – odparła Japonka, jakby na przekór fascynacji, z jaką wpatrywała się w lśniącą makietę.

– Czyżby? – spytał zimno Piotr.

Yuki odwróciła twarz i uśmiechnęła się z ironią. Srebro w jej oczach zgasło.

– Podziwiam ten projekt i kunszt jego twórcy. Rozumiem go trochę lepiej od pana. I dlatego też zdaję sobie sprawę, że nie może zostać urzeczywistniony.

Piotr z powrotem przeniósł wzrok na model, na próżno usiłując się skupić i nazwać wątpliwości, które go drażyły.

– Dlaczego – wyszeptał. Dlaczego... – Potrząsnął bezradnie głową.

– W kształtach i przestrzeni drzemie straszliwa siła – wyjaśniła spokojnie Yuki Yamada. – To, jak definiujemy kształty i jak aranżujemy przestrzeń, nigdy nie jest obojętne. Wszystko, co nas otacza, zawsze ma jakieś znaczenie, choć czasem jest ono głęboko zakamuflowane. W gruncie rzeczy we wszechświecie jest bardzo niewiele nieznaczących elementów. Wy, ludzie zachodu, jakoś zupełnie sobie tego nie uświadamiacie. Albo zapomnieliście, bo kiedyś było inaczej. W waszej średniowiecznej architekturze, zwłaszcza w gotyku, można jeszcze znaleźć tę świadomość. W tym, co nas otacza: w ziemi, w górach, w domach, czai się mnóstwo ukrytych znaczeń. I wielką mocą rozporządza ten, kto potrafi je dostrzec i zaprząć w swą służbę. Tak jak Sho Kyubimori.



– Mówi pani o czymś takim jak feng shui? – wybąkał niezdecydowanie Piotr.

– Och, proszę mi wierzyć, istnieją sztuki o wiele bardziej tajemne i niebezpieczne niż feng shui. O wiele bardziej *naturalne*. Feng shui to próba zaklęcia w kilka usłużnych regulek tego, czego zakląć się nie da. Próba podporządkowania sił, które nie mogą być w prosty sposób podporządkowane. Nie, feng shui daje zbyt proste odpowiedzi. Sztuka, którą posiadał Sho Kyubimori jest znacznie bardziej skomplikowana... i ulotna.

– Sztuka? Ma pani na myśli... magię?

– Znów ta magia! Mówiłam już, że nie cierpię tego słowa – skrzywiła się Yuki. – Jest takie... europejskie. Sugeruje nienaturalność, cudowność. Nazwijmy to po prostu sztuką... twórczego kształtowania przestrzeni. Sztuką hm... poszukiwania kompletności. Dopasowywania właściwych znaczeń w otaczającym nas świecie. Odnajdywania właściwych dróg. Najkrótszych tras pomiędzy tym, co jest, a tym, co chcielibyśmy, by było. Odkrywania właściwych końców i początków. *Akemasu-shimemasu*. Otworzyć i zamknąć. Te dwa słowa najlepiej oddają umiejętność, którą posiadał kiedyś Kyubimori.

– Pani również ją posiadała?

Japonka uśmiechnęła się jakby smutno.

– Obawiam się, że nie w takim stopniu. Ale tak, owszem, jak już mówiłam, ja i Sho Kyubimori mieliśmy na pewnym etapie naszego życia tych samych nauczycieli.

Piotr przeniósł wzrok z twarzy Japonki na migoczący model i z powrotem, szczerze żałując, że nie może zbyć metaforycznej tyrady Yuki wzruszeniem ramion.

– Czym jest ten projekt? – zapytał cicho.

– Zakłębem? Kondensatorem mocy? Znaczeniem, którego nie potrafimy nazwać? Są kształty, które wysysają energię z całej okolicy, ogniskują ją w sobie, dają władzę i potęgę...

– Władzę nad czym? – zapytał Piotr z niedowierzaniem.

– Nad tym miastem i duszami jego mieszkańców? W Kielcach i okolicy jest coś... niezwykłego, jakaś moc, energia, której nie potrafię opisać. Mam dziwne przeczucie, że wszystko układa się w jakiś znajomy wzór. Hm... – Japonka znów wzruszyła ramionami. – Jestem tu jeszcze zbyt krótko. Mam za mało danych. Muszę się dopiero nauczyć dostrzegać to, co ujrział Kyubimori. Stańc na ziemi, gdzie ma zostać wzniesiona ta budowla. To wszystko jest skomplikowane. Ale, tak czy inaczej, nie sądcę, żeby intencje, jakie kierują Kyubimori-sanem, były specjalnie szlachetne. Obojętnie czy przyjmujemy zachodni czy japoński punkt widzenia. Jak już mówiłam, przysłano mnie tu po to, by go powstrzymać... I to jeszcze dzisiaj.

– Dzisiaj? – Piotr uniósł brwi ze zdziwienia.

– Tak. – Yuki od niechcienia spojrziała na zegarek. – Chodźmy. Niestety, nie mamy teraz czasu na kontemplowanie modelu. Jedźmy na tę całą galę. Wspomniał pan, że Kyubimori będzie w towarzystwie pańskiej znajomej?

– Tak – mruknął niechętnie Piotr. – Katarzyna Konecka, przedstawiciel Amundsen Banku. Kyubimori chce w nim częściowo kredytować projekt...

– To ciekawe – zmarszczyła brwi Japonka – że ten wieczór spędza akurat w jej towarzystwie... Chodźmy. – Pociągnęła Piotra w stronę drzwi.

– Cóż jest nadzwyczajnego w tym akurat wieczorze? – Gdy Piotr powtórnie obejrzał się za siebie, nie dostrzegł już modelu. Pomieszczenie znów wyglądało równie zwyczajnie jak pół godziny wcześniej.

– Nie wie pan? Przesilenie zimowe. Najdłuższa noc w roku. Poza tym...

– Tak? – zapytał od niechcienia, na powrót próbując wyłowić wzrokiem srebrne skrzywienie.

– To również dzień jego urodzin – oznajmiła Yuki Yamada nieco chrapliwie.

Sięgnęła po pozostawioną na stole filiżankę i dopiła resztę herbaty.

– Ma pan tu samochód?

– Uhm – mruknął Piotr. – Na parkingu z tyłu budynku.

Wyszli z gabinetu Kyubimoriego na korytarz. Piotr skonstatował, jak bardzo zmienił się jego świat przez ostatnie dwie godziny.

– Jak w ogóle pani tu weszła? – zapytał, przypominając sobie o Romku.

– Portier panią wpuścił?

– Nie zauważył mnie.

Coś w jej twarzy sprawiło, że Piotr postanowił nie kontynuować wątku.

– Przesilenie zimowe, hm? Dziwny wieczór – westchnął Piotr ponuro.

– Dopiero się zaczyna – uśmiechnęła się Yuki Yamada złowieszczo.

## *Waiting for the Miracle*

Na widok towarzyszącej Piotrowi Japonki Romek zgodnie z przewidywaniami wytrzeszczył oczy.

– Do widzenia... – wybąkał zdezorientowany, wgapiając się w Piotra pytająco. Ten tylko enigmatycznie potrząsnął głową. Ciekawe, w jaki sposób Yuki Yamadzie udało się prześlizgnąć. Chociaż w sumie, na tle wydarzeń ostatnich dwóch godzin fakt ten nie był jakoś szczególnie niepokojący.

– To służbowy samochód? – zapytała Japonka, gdy zatrzymali się przed czarnym lexusem.

– Nie, mój własny – odparł Piotr, lekko zawstydzony. – Mogłem otrzymać służbową toyotę, ale akurat bardzo spodobał mi się ten model, więc go sobie kupiłem...

– To głupie – stwierdziła Yuki.

– Chyba tak – przyznał ze skruchą. – Dostałem duży rabat, no i firma też dołożyła co nieco ujęta, że zdecydowałem się na japoński samochód, a nie na przykład audi czy bmw.

– Lubi pan rzeczy bardziej od ludzi? – spytała jego rozmówczyni raczej obojętnie. – Typ pracoholika-gadźeciarza, co?

– Rzeczywiście jest pani bardzo bezpośrednia jak na Japonkę. – Piotr wyjął z bagażnika szczotkę i zaczął odśnieżać samochód. Trzeba przyznać,

że pięknie napadało. Śnieg był miękki i puszysty; leciutko szybował w powietrzu.

Wsiadli do samochodu. Yuki wrzuciła na tylne siedzenie niedużą torbę, którą w międzyczasie skądś wyczarowała.

– Nie wiem, czy jestem typem pracoholika – powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Fakt, że dużo czasu poświęcam pracy, ale na co innego miałbym go poświęcać? Czytuję też książki, czasem spotykam się ze znajomymi. Jak mam wolne, jeżdżę w góry na narty. Wydaje mi się, że ludzie nie tyle stają się samotni, bo są pracoholikami, ale odwrotnie, uciekają w pracoholizm przed samotnością.

– Hm... – mruknęła Yuki.

Piotr włączył wycieraczki i ogrzewanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinni jednak od razu pognać na poszukiwanie Katarzyny w szponach Kyubimoriego. Po krótkim namyśle uznał, że chyba jednak nie ma to sensu. Intuicja podpowiadała mu też, że to spotkanie po latach nie mogło być przypadkowe; jeśli to Kyubimori je wyreżyserował, to tego wieczoru wcześniej czy później i tak dojdzie do konfrontacji. Należało więc postępować ostrożnie i dobrze się do niej przygotować...

Spojrzał spod oka na Yuki Yamadę – wyglądała na raczej sfatygowaną.

– Zajrzyjmy na moment do mnie – zaproponował. – Będzie pani miała okazję się odświeżyć i może coś szybko przekąsić.

– Nie jestem głodna – odparła Yuki. – Ale bardzo chętnie wezmę prysznic i się przebiorę.

Wyjechali z parkingu na ulicę i skręcili w prawo. Wycieraczki miarowo zgarniały śnieg z przedniej szyby.

– To daleko? – zapytała Yuki.

– Nie – westchnął Piotr. – Tutaj nigdzie nie jest daleko.

– Nigdy nie można być pewnym – odrzekła tajemniczo Japonka. – Z przestrzenią, jak sam pan zauważył, dzieją się czasem dziwne rzeczy.

Biel szczęśliwie zasłoniła całą brzydotę peryferyjnej uliczki. A i sama uliczka pod osłoną ciemności odmieniła swoje oblicze, stała się zupełnie innym miejscem. Cały świat wyglądał teraz jakby inaczej. Emanował jakąś ulotną niezwykłością, której źródła Piotr wciąż nie był w stanie uchwycić. Znów powróciło tamto wrażenie nadziei i oczekiwania, gdy wahając się, stał pod drzwiami Kyubimoriego. To zastanawiające, pomyślał Piotr, jak szybko wszystko może się zmienić.

– Dawno pani przyleciała do Polski? Jak się pani dostała do Kielc? – zapytał tonem konwersacyjnym.

– Sześć godzin temu, pociągiem.

– Hm... – Piotr zerknął na pogrążoną w półmroku twarz Japonki. – Prawie dwadzieścia godzin w drodze. Nie wygląda pani na specjalnie zmęczoną. Ja po locie do Tokio czuję się zawsze jak zombie.

– Kwestia koncentracji i odpowiedniego nastawienia – wyjaśniła Yuki. – Poza tym, sencha Kyubimoriego-sana postawiła mnie na nogi. To szczególna mieszanka.

– No tak.

Piotr wyjechał na Zagnańską i skręcił w lewo.

– O co chodziło z tym przesileniem zimowym? Na serio ma to jakieś znaczenie czy tylko robiła sobie pani żarty?

– Ja nigdy nie żartuję, jeszcze pan nie zauważył? Nie leży to w mojej naturze. Oczywiście, że ma to ogromne znaczenie. Nie uderzyło pana, iż w tę właśnie noc, przy sprzyjających okolicznościach, rzeczy stają się odrobinę... inne? W różnych kulturach przesileniu zimowemu przypisuje się rozmaite role. Przeważnie czci się odrodzenie słońca, czy też, symbolicznie, siłę światła, które od tej pory z każdym dniem znów będą

stawać się coraz silniejsze. Choć z drugiej strony, ta noc to przecież szczyt potęgi sił ciemności. Ale na przykład w Chinach festiwal Dōngzhi to przede wszystkim czas, kiedy rozproszone rodziny na powrót się zbierają... – Na twarzy Japonki pojawił się ironiczny grymas.

Minęli market Obi i skręcili w Jesionową, okrążając kielecki zalew.

– A jakie dokładnie znaczenie ma w takim razie przesilenie zimowe dla pani i Kyubimoriego?

Japonka przez chwilę zwlekała z odpowiedzią, najwyraźniej zastanawiając się, jak ją ocenzurować.

– Powiedziałam już, to data jego urodzin. A także...

– Tak?

Kolejny skręt w lewo.

– Noc podmiany. Noc lisiej magii. Czas, gdy jest możliwe znacznie więcej niż zwykle...

– No proszę – mruknął Piotr. – Super.

Znów zapadło milczenie.

Wjechali w boczną uliczkę. Piotr sięgnął po pilota od bramy hali parkingowej.

– Już jesteśmy na miejscu? – zdziwiła się Yuki.

– No właśnie – westchnął Piotr. – Mówiłem, że to niedaleko.

– Przy tych odległościach równie dobrze mógłby się pan obyć bez samochodu. Zdrowiej by było i dla pana, i dla środowiska naturalnego.

\* \* \*

Piotr zaczesał mokre włosy, opatulił się szlafrokiem i ostrożnie uchylił drzwi. Jakoś nie chciał, by Japonka oglądała go w domowym neglizżu. Na szczęście Yuki Yamada wciąż okupywała drugą łazienkę, znajdującą się

naprzeciwko holu. Szum lejącej się wody tworzył interesujący kontrapunkt dla śpiewu Leonarda Cohena.

*Baby, I've been waiting...  
I've been waiting night and day.  
I didn't see the time...  
and I waited half my life away.*

Cicho nucąc pod nosem, przemknął do sypialni, gdzie mieściła się również garderoba. Szybko nałożył bieliznę, następnie sięgnął do szafy po świeżą koszulę i krawat. Całości dopełnił wieczorowy garnitur z jedwabnym połyskiem, na który wydał trzy tysiące złotych; jak na kieleckie warunki powinien w zupełności wystarczyć. Przypomniał sobie inny biznesowy raut, sprzed lat, na który wybrali się służbowo z Katarzyną. Stanęli nieco onieśmieleni w kącie, obserwując ludzi, do których pozycji – z różnych względów – aspirowali. Piotr lustrował ich z pewną niechęcią, Katarzyna pożerała wzrokiem.

Czy gdyby był wtedy tym, kim teraz, gdyby wyrósł przed nią w takim oto właśnie garniturze, potraktowałaby go poważniej? Cóż, podejrzewał, że pomimo wyraźnej słabości, jaką przejawiała w stosunku do zadbanych mężczyzn z klasą i pozycją, jemu samemu nie pomogłoby nawet, gdyby został prezesem Merrill-Lynch.

*There were lots of invitations,  
and I know you sent me some...  
but I was waiting...  
for the miracle, for the miracle to come...*

Zawiązał krawat i przeszedł do salonu. Sięgnął po kubek z kawą, która w międzyczasie zdążyła trochę przestygnąć. Usiadł na fotelu i przymknął



oczy, pozwalając ukołysać się rytmowi muzyki.

*Nothing left to do  
when you know that you've been taken.*

*Nothing left to do  
when you're begging for a crumb*

*Nothing left to do  
when you've got to go on waiting  
waiting for the miracle to come.*

Ciekawe czemu, zastanawiał się, niektóre osoby przemykają przez nasze życie niezauważone, a innych wciąż nie potrafimy wyrzucić z pamięci, chociaż, na zdrowy rozum, powinno być zupełnie odwrotnie.

No i skąd ta cała niekompatybilność? Dlaczego Katarzyna nawet przez te kilka miesięcy, gdy byli – przynajmniej w pewnym sensie – razem, nie traktowała go naprawdę poważnie, podczas gdy on sam nawet po latach nie był w stanie otrząsnąć się spod jej uroku? Załóżmy, że o wszystkim rzeczywiście decyduje chemia, feromony czy też nawet te, jak im tam, immunotypy. No więc, jeśli jego immunotypy wariowały na punkcie Katarzyny, to dlaczego nie działało to i w drugą stronę?

Za grosz nie było w tym sensu. No dobra, odrzućmy w takim razie deterministyczne koncepcje natury ludzkiej i powróćmy na grunt bardziej tradycyjny. Skoro on czuł, że Katarzyna została stworzona dla niego, a ona wręcz przeciwnie, to prawdopodobnie jedno z nich miało kłopoty z percepcją. Tylko które? Czy gdyby przyjąć, że Katarzyna, to mógłby liczyć na to, że kiedyś jej postrzeganie osoby Piotra się zmieni, że zauważy go takim, jakim chciałby, żeby go widziała? A jeśli to on z kolei postrzegał złudzenia, to czy były to złudzenia względem Katarzyny czy też własnej osoby?

*I dreamed about you, baby.  
It was just the other night.  
Most of you was naked  
Ah but some of you was light.  
The sands of time were falling  
from your fingers and your thumb,  
and you were waiting  
for the miracle, for the miracle to come.*

No tak, ale to było wtedy, prawie osiem lat wcześniej. Jeśli przyjąć, że ludzie się zmieniają, to zarówno on, jak i Katarzyna byli teraz zupełnie innymi osobami. Ich relacja nie musiała wpadać z powrotem w stare koleiny. On, nowy Piotr Jaskulski, powinien poznać tę nową Katarzynę Konecką i na nowo zdefiniować ich relację. Dlaczego jednak tak trudno było oderwać się od przeszłości? Zboczyć ze starych, wydeptanych ścieżek, którymi od lat krążyły myśli i uczucia?

*Ah baby, let's get married,  
we've been alone too long.  
Let's be alone together.  
Let's see if we're that strong.  
Yeah let's do something crazy,  
something absolutely wrong  
while we're waiting  
for the miracle, for the miracle to come.*

– Cóż to za ckliwe teksty? Ten Kanadyjczyk? Jak mu tam, Cohen?

Drgnął, zaskoczony i otworzył oczy. Yuki Yamada, o której istnieniu zdążył już tymczasem zapomnieć, pojawiła się w drzwiach salonu. Miała

mokre włosy, ale ubrana była chyba mniej więcej w to samo, co przedtem. Cóż, trudno oczywiście było oczekiwać, że przywiezie ze sobą strój na wszelkie okazje, a już zwłaszcza na biznesowe rauty.

– Tak, Leonard Cohen – odparł niechętnie. – Nie lubi go pani? Fakt, dobrze się słucha dopiero po przekroczeniu trzydziestego piątego roku życia. Trzeba do tego dojrzeć. Wymaga odpowiednich proporcji romantyzmu i cynizmu.

– Albo nawet przejrzeć. – Yuki wydeła wargi. – Myślę, że mam całkiem dojrzały gust. Lubię jazz. Muzykę klasyczną. Ale Cohen jest dla mnie zanadto sentymentalny. Starzejący się facet, w nieskończoność rozpamiętujący te same rozterki, zamiast odnaleźć dla siebie nową drogę. To muzyka dla ludzi, którzy nie potrafią się zmieniać.

– Hm... – Piotr popatrzył na nią spode łba.

*When you've fallen on the highway  
and you're lying in the rain,  
and they ask you how you're doing  
of course you'll say you can't complain --  
If you're squeezed for information,  
that's when you've got to play it dumb:  
You just say you're out there waiting  
for the miracle, for the miracle to come.*

– Sam pan słyszy. – Wzruszyła ramionami. – Straszne cierpiętnictwo. Ale to muzyka pewnie w sam raz dla kogoś tak jak pan skoncentrowanego na sobie.

– Dlaczego uważa pani, że jestem skoncentrowany na sobie? – zapytał urażony.

– Widać to po panu. – Znów wzruszyła ramionami. – I po pańskim gadzeciarskim mieszkaniu. To miejsce kogoś, kto celebruje siebie i własną samotność. I nie przewiduje, że mógłby kiedyś opuścić swą skorupę.

– Skąd ta pewność?

– Sposób, w jaki aranżuje pan przestrzeń. Na pozór całkiem chaotyczny, ale podporządkowany ego. Nigdy nie był pan żonaty, prawda? Nie ma pan dzieci?

– Nie – warknął Piotr. – Nie byłem.

– Założę się, że nawet dłużej nigdy pan z nikim nie mieszkał. W Japonii uznaliby pana za typa aspołecznego. Podobnie zresztą jak Kyubimoriego.

– A pani? Skoro już zadajemy sobie impertynenckie pytania, ma pani męża i dzieci? Albo chociaż narzeczonego?

– Męża i dzieci? – skrzywiła się Yuki. – Tak, oczywiście, zgodnie z zasadami przyjętymi w naszym społeczeństwie, powinnam. Bez względu na wszelkie inne plany. Ale szczerze powiedziawszy, nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiałam. Nie żebym była jakoś specjalnie przeciwna instytucji rodziny, ale sama nie otrzymałam dobrych wzorców w tym zakresie. W gruncie rzeczy nie otrzymałam żadnych wzorców. Poza tym moje życie zwykle toczyło się wokół zupełnie innych spraw. Zresztą mam wystarczająco dużo problemów z własną osobą, żeby jeszcze mieszać w to innych. Problemów o charakterze hm... obiektywnym, na które jestem niejako skazana.

– Cóż – przyznał Piotr. – Jest w tym pewien sens.

– Przepraszam, jeśli byłam niegrzeczna. – Yuki niespodziewanie złagodniała. – Po prostu od czasu do czasu miewam takie wybuchy mówienia tego, co myślę. Tym gwałtowniejsze, im dłużej wszystko muszę tłamsić w sobie. Staram się, by przebiegały w sposób względnie kontrolowany. Na pana akurat padło. Przepraszam.

- Nie szkodzi. – Piotr spojrział na zegarek – Na pewno nic pani nie zje?
- Nie. Jedźmy już.

## Centrum Biznesu

Przed hotelem i pobliskimi budynkami panował prawdziwie przedświąteczny nastrój blichtru i komercji. Trzeba przyznać, że i pod tym względem Kielce już dawno przestały być prowincją. Na placu obok zespołu biurowców co i rusz wystrzeliwały ku niebu choinki (w tym kilka naprawdę sporych rozmiarów); budynki zaś poobwieszano lampkami i innymi stosownymi atrybutami.

Ze względu na tłok zaparkowali na zewnątrz kompleksu. Wysiedli i wciągnęli w płuca świeże, zimne powietrze. Śnieg padał coraz mocniej.

– To właśnie tutaj. – Piotr wskazał na ciemną sylwetkę hotelu.

– Hm... – Yuki obrzuciła krytycznym spojrzeniem grupkę biurowców, usiłujących wesoło migotać lampkami. – Jak rozumiem, to takie wasze miejscowe Shinjuku? Albo Manhattan?

Piotr wzruszył ramionami.

– O ile w ogóle jakieś miejsce w Kielcach mogłoby aspirować do tej roli. W samym centrum dominuje stara, niska zabudowa. Te kamieniczki po odnowieniu prezentują się nawet całkiem fajnie. No i parę lat temu zrobili taki placzyk z fontanną. Nawet urokliwe. Wszelkiego rodzaju instytucje są natomiast dość chaotycznie porozrzucane po całym mieście. Centra handlowe i co nowsze biurowce także. A tutaj... Cóż... Najpierw wybudowano obecne Centrum Biznesu, potem z wielkim mozołem budynki

uniwersytetu, jeszcze później ten oto park biurowy, no i kolejny kompleks...

– I Kyubimori też chce postawić centrum Nagity w pobliżu...

– Mniej więcej tam. Na szczycie wzgórza. No, może trochę dalej.

– Hm. Dokładnie na tle tego wszystkiego, w najwyższym punkcie.

Warto byłoby dokładniej przyjrzeć się za dnia, ale już na pierwszy rzut oka widać, że kompleks Nagity będzie dominować...

– Hm... Architektonicznie?

– Pod każdym względem – odrzekła tajemniczo Japonka.

Piotr spojrział na zegarek.

– Chodźmy, już się zaczęło.

Minęli bramę i ruszyli w stronę hotelu. Wciąż prószył śnieg. Pomimo nieprzyjemnej aury wokół było bardzo tłoczno. Lawirowali pomiędzy samochodami, które zakorkowały wjazd. Kolorowe lampki rozbłyskiwały na tle ciemnej ściany hotelu.

Piotr na moment przystanął, dając się zahipnotyzować grze światła i bieli. Kątem oka złapał zamyślony profil Japonki. Nagle opanowało go intensywne wrażenie obcości. Stał przed największym kieleckim hotelem, lecz... czy aby na pewno? Równie dobrze mógłby się znajdować w Tokio, Londynie, Nowym Jorku... Na krótkie mgnienie całe to miejsce: światła, ludzie, budynki, utraciło swą znajomą aurę, stało się obce, jeszcze – lub już – niezdefiniowane przez jego umysł i wyobraźnię, surowe, niedopowiedziane...

A potem, równie szybko jak się pojawiło, wrażenie nieokreśloności zniknęło. Znowu znajdował się przed starym, pocziwym Centrum Biznesu, mikroskopijnym kieleckim Manhattanem, który odwiedzał już tyle razy przedtem.

Co zobaczył w tym krótkim przeblysku? Czy tak właśnie postrzegał wszystko przybysz, dajmy na to, Yuki Yamada? Czyżby ze swej natury miejsce – jakiegokolwiek miejsce – było aż tak bardzo nieuchwytnie, a dopiero to jego postrzeganie nadawało mu właściwe kształty? A może...

Ale jedno dziwne odczucie pozostało, w zasadzie cały czas rosło w nim od czasu, gdy zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Kyubimoriego. Przekonanie, że oto naruszone zostały pewne reguły, że może wydarzyć się coś niezwykłego, coś, co wcześniej nie było możliwe.

Weszli przez szklane obrotowe drzwi do środka, minęli hol i zagłębili się w labiryncie jasnych korytarzy. Nawet światło, pomyślał Piotr, świeci dzisiaj jakoś inaczej.

Nagle odniósł wrażenie pustki. Pustki, która pojawiła się w miejsce czyjejś obecności. Obrócił szybko głowę – wokół nie było nawet śladu Yuki Yamady. Przez chwilę stał pośrodku korytarza. Obok przemknęła w pośpiechu pokojówka, jakaś starsza para obdarzyła go przelotnym spojrzeniem.

Gdzie zniknęła Japonka? A może nigdy nie istniała? Może była tylko snem, który przyśnił mu się w tę najdłuższą w roku noc? Sam nie wiedział dlaczego, ale ta wersja wydała mu się teraz najbardziej prawdopodobna.

Opuścił korytarz, by znaleźć się w kolejnym przestronnym holu. Zostawił płaszcz w szatni i skierował ku głównej sali bankietowej, gdzie odbywała się uroczystość. Od niechcienia pokazał ochroniarzowi zaproszenie, wsłuchując się w donośny głos konferansjera dobiegający zza podwójnych drzwi. „Nagita”, „pan prezes Kyubimori” wydało mu się, że rozpoznaje pojedyncze słowa.

*Right on time*, pomyślał.

– Proszę bardzo – powtórzył ochroniarz. Drzwi otworzyły się zapraszająco.



Przez chwilę czaił się na samym skraju sali, za plecami fotoreportera lokalnej gazety. Pomieszczenie było wypełnione luźno ustawionymi stolikami. Ze zmrużonymi oczami starał się zlokalizować znajome sylwetki. W pierwszym rzędzie, na samym skraju, obok miejscowych notabli, dostrzegł Ozawę, Takagumiego i kilku innych.

Dotarł w odpowiednim momencie. Światowy, ubrany w czarny smoking Sho Kyubimori właśnie odbierał statuetkę z rąk wąsatego i nienagannie lechckiego w swym szarym garniturze prezydenta Kielc. Japończyk uprzejmie zignorował tłumacza i z uśmiechem powiedział coś do notabla. Na twarzy prezydenta odmalowało się lekkie zaskoczenie – reakcja na jakość polszczyzny Kyubimoriego czy na jego słowa?

Dlaczego właśnie on, a nie Ozawa? Piotr zmarszczył brwi i zniecierpliwionym gestem odegnał od siebie hostessę, który koniecznie chciała odprowadzić go na miejsce.

Z odległości pięćdziesięciu metrów obserwował, jak Japończyk podchodzi do mikrofonu.

– Panie prezydencie, szanowni państwo! Bardzo się cieszę, iż to mnie właśnie przypadł w udziale zaszczyt odebrania nagrody w imieniu naszej firmy...

Mikrofon nieco zniekształcił głos Kyubimoriego, ale, paradoksalnie, stał się on przez to bardziej jeszcze swojski, zwyczajny. Zaskoczenie rozlało się po sali. Japończycy mówiący swobodnie w obcym języku byli sporą rzadkością. Demonstrujący jego znajomość publicznie – ewenementem na skalę europejską. Nawet ci, którzy, jak prezes Ozawa, porozumiewali się naprawdę swobodnie w narzeczu tubylców, w sytuacjach oficjalnych zgodnie z niepisanym kodem skośnookich biznesmenów i tak polegali na tłumaczach, z niewzruszoną godnością cedząc powoli słowa w języku Toshiro Mifune.

– To dla mnie niezwykła chwila. Choć przybyłem do waszego miasta zaledwie kilka miesięcy temu, od razu wiedziałem, że stanie się ono dla mnie miejscem szczególnym... Prawdę mówiąc, czuję się tak, jakbym mieszkał tu od zawsze!

Uważne, ponure i milczące twarze Japończyków odcinały się na tle zaintrygowanej i nagradzającej Kyubimoriego życzliwym aplauzem sali. No tak, przemowa w języku polskim była policzkiem wymierzonym w ich stronę, nawet jeśli samo w sobie nie było to celem wiceprezesa. Ozawa wpatrywał się w Kyubimoriego ze skupionym wyrazem twarzy, pozostali skośnoocy z pogardliwą obojętnością słuchali pochylonego nad nimi tłumacza.

– Zapytacie państwo, cóż szczególnego w – jak mogliby powiedzieć niektórzy – prowincjonalnej mieścinie może widzieć ktoś, kto bywał w największych metropoliach świata? W Tokio, Singapurze, Kuala Lumpur, Nowym Jorku? Ktoś, kto pracował na Wall Street? Przechadzał się nocą wśród neonów Ginzy? Widział na własne oczy, jak powstają Petronas Towers? Czy nie jest to z jego strony jedynie pusta kurtuazja? Przecież nawet jak na polskie warunki Kielce nie wydają się szczególnie ważnym miastem. Są miejsca nieporównywalnie bardziej przyciągające uwagę turystów czy inwestorów: Warszawa, Kraków, Poznań, Wrocław, Gdańsk, Łódź. Fakt, Kielce są może i ładniej położone niż wiele z tych miast, w malowniczej dolinie pośród wzgórz, pól i lasów, które zdają się tutaj niemal na wyciągnięcie ręki. Fakt, jest tu trochę interesujących zabytków i rezerwatów przyrody: Klasztor na Karczówce, Katedra, Kadzielnia... Jest parę sympatycznych pieszych szlaków pośród pagórków i łąk – Japończyk zrobił krótką pauzę, figlarnie rozglądając się po widowni – jeśli ktoś akurat lubi piesze szlaki...

Powinieneś jeszcze wspomnieć o dębie Bartku i jaskini Raj, pomyślał z przekąsem Piotr.

– Lecz znowuż – podjął Kyubimori – sceptyk mógłby zauważyć, że gdzieś tym miejscowym zabytkom do powiedzmy nawet krakowskiej czy gdańskiej starówki. Nie wspominając już o bardziej światowych i emanujących prawdziwą historią miejscach, jak Paryż czy Kyoto. A z kolei czy wędrówka pasmem Masłowskim może równać się z trekkiem dookoła Sanktuarium Annapurny? Albo choćby tylko z trasą przez Orlą Perć? Czemu więc ktoś, kto zwiedził prawie wszystko, co warte jest na tym świecie zwiedzenia, miałby zachwycać się Kielcami?

Kolejna pauza. Widownia ucichła lekko skonsternowana, ale widać też było jej rosnące zaciekawienie.

– A jednak. – Japończyk uśmiechnął się tajemniczo. – Jest w tym miejscu coś szczególnego. Dyskretny urok, łatwy do przeoczenia dla ludzi kierujących się jedynie uprzedzeniami i schematami. Na szczęście jestem przedstawicielem narodu, który, podobnie jak Polacy, doskonale zdaje sobie sprawę, iż prawdziwa wielkość leży często w tym, co na pozór wydaje się małe, a piękno to przede wszystkim kwestia harmonii i właściwych proporcji, które trudno niekiedy ująć w słowa czy matematyczną formułę. Prawdziwe piękno ma w sobie coś z... magii. Taką właśnie magię po latach tułania się po świecie odnalazłem w waszym mieście...

Dało się usłyszeć z początku nieśmiało, potem narastające oklaski.

– Ale współczesne Kielce – głos Kyubimoriego jakby stwardniał, stał się bardziej dźwięczny i stanowczy – to oczywiście nie tylko harmonia i piękno natury. To także – a może przede wszystkim, nawet jeżeli wielu nie zdążyło tego jeszcze zauważyć – prężny ośrodek kultury i przedsiębiorczości. Siedziba firm, które rozpoczęły już międzynarodową ekspansję. Miejsce,

które zaczyna się wyraźnie zaznaczać na mapie nie tylko krajowego, ale i europejskiego biznesu...

Hm, pomyślał Piotr. Rzeczywiście sporo się tutaj zmienia, ale czy aby trochę nie przesadzasz?

– Wiem – westchnął Kyubimori – być może mówię trochę na wyrost. Lecz tylko trochę. Wasze... nasze miasto jest jedyne w swoim rodzaju. Przepelnione energią swoich mieszkańców, ich entuzjazmem, chęcią działania. Wystarczy popatrzeć, jak wielki skok do przodu wykonały Kielce w porównaniu z innymi, na pozór podobnymi ośrodkami, jak chociażby Radom (znowu dało się słyszeć oklaski; na obliczach tych, którzy pamiętali jeszcze PRL-owskie antagonizmy, wzmianka o Radomiu wywołała ironiczne uśmiechy). Ta ziemia, jeśli mogę się tak wyrazić, wręcz pulsuje energią! Energią wciąż na poły uśpioną, na poły dziką i nieujarzmioną, która jednak tylko czeka, by nadać jej właściwy kierunek! Drzemie tu ogromny, choć w większości niewykorzystany jeszcze potencjał... Wystarczy tylko uwierzyć, że Kielce mogą być naprawdę wielkie... i staną się wielkie.

Kyubimori znów przerwał, z szelmowskim uśmiechem wpatrując się w coraz bardziej zaaferowane oblicza słuchaczy. Piotrowi wydało się, że spojrzenie tamtego prześlizgnęło się również po nim. Czy było to tylko złudzenie, czy rzeczywiście złowił błysk w oczach Kyubimoriego?

– Szanowni państwo – ciągnął wiceprezes – cieszę się, że korporacja, którą mam zaszczyt reprezentować, już prawie 10 lat temu dostrzegła ten potencjał, zdecydowała się podjąć ryzyko i zainwestować w Kielcach. Czas pokazał, jak dalekowzrocza była to decyzja. Dziś Nagita-KZDM stanowi nie tylko ważne ogniwo w łańcuchu globalnego koncernu, ale również – w skali lokalnej – jeden z elementów napędowych rozwoju miasta.

Nadszedł czas, aby wykonać kolejny krok. Pragnęlibyśmy w jeszcze większym stopniu wpisać się w fale przemian, jakie ogarniają Kielce...

Znów aplauz, zaintrygowane miny biznesmenów i notabli. Ich uwaga skupiona na słowach Kyubimoriego w stopniu o wiele większym, niż zazwyczaj się to dzieje na podobnych rautach. Sylwetka wiceprezesa promieniowała... Pewnością siebie? Charyzmą? Czymś, co bardzo trudno jest ubrać w słowa czy wytłumaczyć matematyczną formułą?

Nagle, Piotr kątem oka dostrzegł charakterystyczny pukiel blond włosów pośrodku pierwszego rzędu. Katarzyna siedziała samotnie obok dwóch pustych krzeseł. Nie odrywała spojrzenia od Kyubimoriego. Na blacie stolika stał niedopity drink z cytrynką. Wyglądała światowo i romantycznie, dokładnie tak, jak zawsze widywał ją w swych snach na jawie. Poczul, jak zagarnia go znajoma fala...

– To wszystko, o czym również mówił wcześniej pan prezydent – tu Kyubimori z wdziękiem skłonił się w stronę lechickiego notabla – sukcesy kieleckich firm, powstanie Uniwersytetu Jana Kochanowskiego – to tylko zwiastuny przyszłej wielkości Kielc. Nadal jednak – Kyubimori zawiesił głos – brakuje tu czegoś niezwykle istotnego...

Było coś niecodziennego w tym, jak publiczność pożerała ekstrawagancką przemowę Kyubimoriego, jak zdziwienie niemal natychmiast przeradzało się w fascynację.

– Wszystkie wielkie miasta – kontynuował wiceprezes – mają swój symbol, swoją ikonę. Wiecie, drodzy państwo, o czym mówię: wieża Eiffla w Paryżu, Empire State Building w Nowym Jorku, La Sagrada Familia w Barcelonie. Petronas Towers w Kuala Lumpur. Wieża telewizyjna w Tokio. Pałac Kultury w Warszawie... (śmiech). Kielcom, nowym Kielcom, Kielcom XXI wieku brakuje właśnie takiego symbolu. Czegoś, co Anglicy i Amerykanie określają terminem „landmark”.

Znów nastąpiła pauza. Kyubimori zatoczył chytrym spojrzeniem wokół. Napięcie rosło.

– Tak, słusznie się państwo domyślacie. My właśnie chcemy zaproponować stworzenie takiego „landmarku” dla naszego miasta...

Kolejna pauza, tym razem znacznie dłuższa. Sala znów zamarła w oczekiwaniu. Piotr przysięgłby, że na wszystkich tych zazwyczaj znudzonych, cynicznych, rutynowo kalkulujących twarzach dostrzega autentyczne podekscytowanie, radosną niepewność dzieci rozpakowujących prezenty pod choinką.

– Już wkrótce – ogłosił Kyubimori uroczyście – przystąpimy do realizacji wielkiego przedsięwzięcia budowlano-architektonicznego – Europejskiego Centrum Nagity. Nie mogę jeszcze zdradzić Państwu szczegółów inwestycji, ale zapewniam, że przekroczy ona najśmielsze oczekiwania. Kompleks ten stanie w szranki z największymi realizowanymi obecnie inwestycjami budowlanymi, takimi jak Sky Towers we Wrocławiu czy nowe plany zagospodarowania centrum Warszawy. Mamy nadzieję, że nasze centrum stanie się ikoną Kielc (znów oklaski). Centrum będzie, oczywiście, przede wszystkim mieściło europejską centralę naszego koncernu, ale chcemy też, by kompleks miał charakter prawdziwie wielofunkcyjny, by nie rzecz holistyczny, by z jego powstania odniosła korzyść cała lokalna społeczność. Już teraz zapraszamy do współpracy wszystkich, którzy pragnęliby się przyłączyć do naszej wizji. Niech Centrum Nagity stanie się naszym wspólnym wkładem w przyszłość Kielc. – Kyubimori jeszcze raz potoczył spojrzeniem wokół. – I to byłoby na razie na tyle. Dziękuję serdecznie państwu za uwagę. Wesołych Świąt i wszelkiej pomyślności w Nowym Roku!

Pośród owacji i zaaferowanych spojrzeń Kyubimori zszedł z podestu, znikając Piotrowi z oczu. Tak skończyła się oficjalna część uroczystości –

tłum notabli ruszył hurmem do bufetu, na bieżąco komentując zapowiedzi Kyubimoriego. Piotr przepchnął się poprzez chwilowy chaos w przód sali. Gdy dotarł na miejsce, przy stoliku nie było już jednak śladu po Katarzynie ani Sho.

– Piotru-kun!

Obrócił się i dostrzegł Ozawę pośród polsko-japońskiej grupki pogrążonej w luźnej dyskusji. W rękach trzymał statuetkę, najwyraźniej dostarczoną mu przez Kyubimoriego, ale samego wiceprezesa nie było w pobliżu. Ozawa opędził się taktownie od dwóch szefów firm developerskich, oddał statuetkę Takagumiemu, który przejął ją w głębokim pokłonie, niczym wasal biorący na przechowanie miecz swego feudała, po czym dostojnie podszedł do Piotra.

– Jednak przyszedłeś, Piotru-kun. – Myślałem już, że cię nie będzie.

– Tak. – Piotr pochylił głowę w ukłonie. – Przepraszam za spóźnienie.

– Nic się nie stało. – Japończyk nagle zmarszczył brwi, przyglądając mu się jakby podejrzliwie. – Trochę dziwnie wyglądasz. – Wzrok Ozawy przesunął się gdzieś za plecy Piotra. – Może... pamiętasz, co ci dziś mówiłem o kotach?

– O kotach? – Wybałuszył oczy Piotr. – Chyba o... lisach?

– Ach tak, faktycznie. – Ozawa wyraźnie się rozluźnił. – To prawda. Powiem ci zatem jeszcze jedno; jeśli chcesz zdemaskować risa podszywającego się pod człowieka, patrz na jego cień. Tak przynajmniej głoszą stare legendy. Wybacz, Piotru-kun, zdawało mi się, że coś jest nie tak z twoim cieniem...

Piotr przez chwilę kontemplował wypowiedź prezesa. Tamten żartował, czy też mówił poważnie?

– Tak – roześmiał się Ozawa. – Pewnie przesadzam. My, Japończycy, jesteśmy strasznie przesądni. No, ale musisz mi wybaczyć. Czasem

człowiek sam nie wie już, co myśleć. Zwłaszcza w taką noc...

– To prawda – przytaknął Piotr. W taką noc? – zanotował w myślach. Czyżby Ozawa też przejął się nocą podmiany? Ciekawe, jak zareagowałby, gdyby Piotr opowiedział mu, co wydarzyło się w gabinecie Kyubimoriego...

Nagle kątem oka znów pochwycił gdzieś błysk jasnych włosów... Drgnął i podążył wzrokiem w bok, łamiąc zasady etykiety.

Kolejne złudzenie.

– Piotru-kun?

– Tak? Przepraszam, panie prezesie. – Na powrót odwrócił się do Japończyka. – Jestem dziś niedopuszczalnie rozkojarzony. Przepraszam.

– Piotru-kun – w głosie Ozawy nie było reprimendy, jedynie troska – dzisiejsza noc może się okazać bardzo... męcząca. Wiem, jak ciężko ostatnio pracowałeś. Wracaj do domu i wyśpij się porządnie.

Piotr spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Są chwile, w których najlepiej powstrzymać się od działania – westchnął Ozawa – które możemy tylko przeczekać.

Piotr grzecznie potrząsnął głową.

– Ale... – wybąkał niezdecydowanie – ja...

– Odwieczny problem, hę? – melancholijnie stwierdził Ozawa. – Zrozumienie zawsze przychodzi zbyt późno, by mogło nam się na cokolwiek przydać. Poza kontemplowaniem marności naszych działań, rzecz jasna. Cóż, Piotru-kun, od karmy widać nie uciekniesz. – Z pewnym wahaniem Ozawa wyciągnął dłoń i poklepał go po ramieniu. – Uważaj na siebie.

– Dziękuję, panie prezesie. – Piotr jeszcze raz nisko się uklonił. – Dziękuję za wszystko.



Nagle wydało mu się, że gdzieś spośród gwaru wypełniającego salę dobiega go lekki, perlisty śmiech...

– Piotru-kun – dodał jeszcze niespodziewanie Ozawa – pamiętaj, że pewnych rzeczy nie da się odnaleźć na tym świecie. Lepiej ich więc nie szukać.

Prezes odwrócił się i pozwolił się dopaść hordzie miejscowych biznesmenów. Dwie czy trzy osoby taksująco, drapieźnie spoglądały w stronę Piotra.

Jeszcze raz rozejrzał się po sali; pukiel jasnych włosów zamajaczył w drzwiach, by w ułamek sekundy później zniknąć po drugiej stronie.

Podążył ich śladem, niczym Alicja w pogoni za białym królikiem.

## Pokój 707

W holu również panował tłok i rozgardiasz; przez chwilę Piotr niepewnie rozglądał się wokół. Ktoś, zdaje się dziennikarz lokalnego radia, podszedł do niego i dopytywał się o Kyubimoriego, ale wydawane przez tamtego dźwięki dochodziły do Piotra jak przez mgłę. Słuch odpłynął w zupełnie inny wymiar, koncentrując się wyławianiu pośród otaczającego gwaru tego jednego, jedyne go głosu...

Kilkanaście kroków przed sobą dostrzegł kobietę w zielonym żakiecie. Stała odwrócona do niego plecami, pogrążona w ożywionej rozmowie. Kok złotych włosów wesoło podrygiwał w rytm jej śmiechu...

Niemal odepchnął od siebie dziennikarza i szybko podszedł do kobiety. Jej rozmówca, starszy elegancki mężczyzna w smokingu, podniósł przestraszone spojrzenie. Co takiego ujrzał w jego oczach?

– Katarzyna – złapał ją za ramię – gdzie Kyubimori? Musisz uważać, jesteś w nie...

Urwał w pół słowa, wpatrując się w nieznajomą, zmieszaną twarz.

*Uspokój się* – wydało mu się, że słyszy cichy szept, dobiegający gdzieś zza pleców.

Uspokój się, pomyślał, opanowując wzburzenie.

– Przepraszam – wybełkotał, okręcił się na pięcie i ruszył dalej, niemal roztrącając otaczające go zewsząd kieleckie elity.

Co się z nim działo? Miał wrażenie, że tak jak wtedy, w biurze Kyubimoriego, rzeczywistość wokół rozmywa się, staje się niepokojąco płynna, ustępuje miejsca czemuś bardziej elastycznemu i niepokojącemu. Zacisnął kurczowo powieki i policzył do dziesięciu, starając się odzyskać równowagę umysłu.

Gdy znów je otworzył, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, była Katarzyna. Stała samotnie obok wejścia do windy, zwrócona do niego profilem. Na jej ustach drgał lekki uśmiech.

Chciał ją zawołać, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Winda zatrzymała się i Katarzyna weszła do środka. Drzwi zasunęły się z powrotem i winda ruszyła.

Wbiegł na schody, wijące się kwadratową, przestronną klatką wokół wind. Czternaście pięter, pomyślał przelotnie. Czternaście lub piętnaście, ale hotel nie zajmował wszystkich. Kończył się na dziesiątym?

Na pierwszym piętrze nieomal zderzył się z facetem z obsługi, który wylazł na niego zza rogu. W ostatniej chwili zdążył zrobić unik, ale tamten, przestraszony, i tak zatoczył się na ścianę, wypuszczając z rąk tacę z naczyniami. Odprowadziła go litania bezradnych przekleństw.

Gdzieś w połowie drugiego piętra usłyszał, jak drzwi otwierają się na trzecim; jeszcze bardziej przyspieszył, błogosławiąc w myślach poranne joggingi.

Kilkanaście sekund później wypadł na hotelowy korytarz i w panice rozejrzał się wokół. Było pusto. Nie słyszał, by drzwi się zamykały; ktoś dosiadł się do Katarzyny czy też zjechał drugą windą na dół?

Podjął bieg w górę, wiedząc już, że nie zdąży. Znów usłyszał, jak winda zatrzymuje się gdzieś – na szóstym, siódmym piętrze? Zacisnął zęby i kurczowo łapiąc się poręczy, spróbował biec jeszcze szybciej. To wszystko jakiś koszmar, pomyślał.

Spokojnie, powiedział wewnętrzny głos, zwolnij!

Zziajany stanął na korytarzu szóstego piętra. Niezdecydowany przeszedł kilka kroków, uspokajając oddech. Sześćset dwa, sześćset cztery... Zza drzwi dobiegł go czyjś głos. Przyłożył ucho do drzwi; jakiś mężczyzna awanturował się przez telefon.

Cholera, westchnął w duchu, co się z tobą dzieje.

Gdzieś w oddali, jakby w innym wymiarze; skrzypienie otwieranych drzwi. Kobięcy głos...

Zawrócił i kilkoma susami pokonał kolejne piętro. I znów bliźniaczo podobny korytarz; cisza, pustka. Niezdecydowany mijał kolejne drzwi. Siedemset dwa, siedemset trzy, siedemset...

Głośny chichot...

Z bijącym sercem stanął przed drzwiami pokoju siedemset siedem. Wciągnął głęboko powietrze. Niezdecydowanie wyciągnął rękę, cofnął ją, znowu wyciągnął...

*Spokojnie, powtórzyl tajemniczy głos, opanuj emocje!*

Zapukał do drzwi.

Otworzyły się w dwie sekundy później – nie za szybko, ale i bez ociągania, z perfekcyjnym wyczuciem dramaturgii.

– Witaj znowu, Piotrze – oznajmił wesoło Sho Kyubimori. – Trochę się spóźniłeś...

Wszedł do środka, niemal potrącając Japończyka, i szybkim spojrzeniem zlustrował hotelowy pokój.

– Gdzie Katarzyna? – zapytał.

– No właśnie, trafiłeś w sedno. – Kyubimori zamknął drzwi. Chyba bardziej jeszcze niż zwykle emanował pewnością siebie. – Gdzie jest Katarzyna? Zwróciłeś uwagę, że to najbardziej dramatyczne pytanie twojej egzystencji? Jedyne pytanie będące w stanie na moment oddalić monotonię

codzienności? Zadawałeś je sobie nawet wtedy, gdy wydawało się, że zupełnie zniknęła z twego życia.

– Co z nią zrobiłeś?!

– Uspokój się, Piotrze. – Kyubimori wykrzywił pobłaźliwie wargi. – To nie ta konwencja. – To nie ja stoję pomiędzy tobą a Katarzyną. W istocie pragnę ci jedynie pomóc. – Kyubimori przeszedł obok wzburzonego Piotra i skierował się w stronę znajdującego się przy ścianie barku.

– Może kieliszek koniaku?

*Spokojnie!*

– Sprowadziłeś Katarzynę ze względu na mnie, prawda? – Piotr zacisnął pięści.

– W zasadzie tak. – Japończyk otworzył barek i zaczął nalewać koniak do kieliszków. – Chociaż, oczywiście, niezależnie od tego skorzystalibyśmy pewnie z usług Amundsen Banku...

– Co zamierzasz?

– Powiedziałem już. Chcę ci tylko pomóc. – Kyubimori uśmiechnął się życzliwie.

– Kim ty właściwie jesteś, do ciężkiej cholery? Byłem w twoim gabinecie i... – Tu wzburzony Piotr urwał, nie do końca bowiem wiedział, jak opisać to, co zdarzyło przed dwiema godzinami.

– Byłeś w moim gabinecie? – Kyubimori zastygł z kieliszkiem w ręku. – I... i nic ci się nie stało?

Piotr nie odpowiedział, nie zdejmując z Japończyka ponurego spojrzenia.

Kyubimori powoli odstawił kieliszek. W jego oczach pojawiła się czujność. I dziwny błysk, który sprawił, że ciarki przeszły Piotrowi po plecach. Błysk przywodzący na myśl ślepiec drapieżnika, przyczajonego w ciemności.

– Coś dziwnie dziś wyglądasz, Piotrze – warknął wiceprezes, postępując płynnym ruchem dwa kroki w bok. – Co skrywasz w swym cieniu?

– Sho Kyubimori, jak mniemam? – Piotr niemal podskoczył w górę, słysząc znajomy głos tuż obok swego ucha.

Yuki Yamada w niepojęty sposób zmaterializowała się za jego plecami.

Odruchowo obejrzał się na drzwi – nadal były zamknięte.

– Nieźle – mruknął Kyubimori po japońsku. – Jesteś z Ody? Dziwne, że ci tradycjoniści przysłali kobietę...

Yuki przesunęła się nieco w bok, stając naprzeciwko Kyubimoriego.

– Nie wiesz, kim jestem? – odparła cicho Yuki Yamada. – Nie domyślasz się, dlaczego właśnie mnie przysłali?

Kyubimori zmrużył oczy...

Drzwi do pokoju otwarły się z trzaskiem i do środka wtargnęło dwóch mężczyzn. Krzyczeli coś po japońsku, wymachując bronią.

Kyubimori na ich widok zmarszczył tylko brwi i uczynił niedbały gest ręką.

Piotr zeszywniał, oczekując manifestacji jakichś nadprzyrodzonych mocy.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło; napastnicy nie skamieniali, nie zmienili się w wiewiórki ani też nie uderzył w nich piorun. Jak w zwolnionym tempie Piotr widział zdziwioną twarz Kyubimoriego i lufę pistoletu z tłumikiem, wycelowaną w wiceprezesa. Zapalczywe, spanikowane spojrzenie młodego Japończyka w skórzanej kurtce. Jego partner krzyknął coś ostrzegawczo. Próbował go powstrzymać?

Yuki odruchowo podbiła rękę napastnika w górę; rozległo się ciche stuknięcie, gdy wystrzelony pocisk uderzył w ścianę. Dziewczyna uwiesiła się ramienia tamtego; oboje zaczęli się szarpać. Drugi z napastników, mężczyzna w garniturze, odepchnął oboje na bok i ruszył w stronę Kyubimoriego.

Wiceprezes złapał mocno Piotra za rękę i niczym w tańcu zakręcił nim wokół swojej osi, samemu również się obracając. Piotr dostrzegł jeszcze kątem oka, jak młodszy z Japończyków wali Yuki po głowie rękojęcią broni, zaś starszy celuje do nich ze swego rewolweru, znów krzycząc coś ostrzegawczo.

A potem, przy kolejnym obrocie, tamci zniknęli.

## Risi pakt

Piotr rozgląda się wokół.

– Gdzie oni zniknęli?

– Zniknęli? – Kyubimori uśmiecha się chytrze. – Oni?

– Ale przecież... To inny pokój! Ale jak...

– Jesteśmy w pokoju 905 zamiast 707. Suma cyfr się zgadza – wyjaśnia Japończyk z pobłażaniem.

Piotr potrząsa głową. Choć wydaje się to niewiarygodne, najwyraźniej kulminacja dziwności nie została jeszcze osiągnięta. Kątem oka dostrzega mrowienie na krańcach wizji. Rzeczywistość czai się, by radośnie zapląsać w rytm czarów Kyubimoriego.

*Noc podmiiany. Noc lisiej magii. Czas, gdy więcej jest możliwe...* Tak powiedziała...

– Yuki! – przypomina sobie nagle Piotr. – Co się stało z...

– Yuki? – krzywi się Japończyk. – Tak ma na imię tamta dziewczyna? Ale czy przypadkiem nie zapomniałeś właściwego imienia?

– Katarzyna – wzdycha Piotr. Nie, nie zapomniał. Każda komórka jego ciała pyta o Katarzynę. Ale przed oczami wciąż ma zdziwioną twarz Yuki Yamady, uderzonej w głowę kolbą pistoletu.

– Tamta dziewczyna obiecała mi pomoc... – mówi niezdecydowanie.

– W czym? W walce ze mną? Na twoim miejscu nie przejmowałbym się nią zbytnio. Ona po prostu chce cię wykorzystać do swoich celów. „A ty?”



– już widzę w twoich oczach to pytanie. I owszem, ja również. Ale przy okazji proponuję korzystną transakcję. Coś, czego nikt inny nie będzie ci w stanie zaoferować.

Gdzieś na krawędzi wizji rzeczywistość znów faluje niebezpiecznie. Piotr szybko obraca się, chcąc przyłapać ją na gorącym uczynku. Z nieufnością mierzy wzrokiem na pozór solidną, białą ścianę z reprodukcją Moneta pośrodku. Zdejmuje go lęk, że jeśli nie będzie czujnie pilnował otaczających kształtów, wszystko całkiem wymknie się spod kontroli.

– Posłuchaj! – ciągnie Kyubimori, ignorując jego panikę. – Nie mamy wiele czasu. Starszyzna z Ody zrobi wszystko, żeby mi przeszkodzić. Wiedzą, co zamierzam. A nie tylko oni, jak widać, deptają mi po piętach. Tych zadziwiająco dobrze przygotowanych *yakuza* nasłali pewnie ludzie Kato. Byli odporni na moją... hm... sztukę, musieli więc mieć przy sobie jakieś... zabezpieczenia. Całe szczęście, że chwilowo jedni weszli drugim w paradę, ale nawet ja nie mogę być pewnym, co jeszcze zdarzy się tej nocy. Mam potężnych wrogów. A więc do rzeczy.

Znów mierzą się wzrokiem. Rozszerzone źrenice Kyubimoriego spoglądają na Piotra z niecierpliwą, zwierzęcą mądrością. Patrząc w nie, jest w stanie uwierzyć, że rzeczywiście, cokolwiek tamten mu obieca, jest w stanie to spełnić.

Opowieść Ozawy. Para zakochanych i wioska *burakumin*.

– Do rzeczy. – Piotr słyszy własny, zdumiewająco spokojny głos.

– Dobrze. Możesz mieć to, czego pragniesz i pożadasz. W zamian oddasz mi to, czego nienawidzisz i od czego chciałbyś uciec. To chyba opłacalna wymiana?

– Katarzyna...

– Tak, Katarzyna. I jeszcze coś więcej. Ucieczka od życia, od którego sam nie potrafiłeś uciec. I od tego miasta. Otworzę drzwi do świata twych

marzeń.

– A ja zostawię ci KZDM. Czemu to akurat mnie jednego aż tak bardzo chcesz się pozbyć?

– Bo ty jeden spróbowałeś mi się przeciwstawić? – Kyubimori wzrusza ramionami. – Z braku lepszej alternatywy nawet tacy jak ty są niekiedy w stanie utrudnić życie takim jak ja. A więc dam ci tę alternatywę. A ty, zanim odejdiesz, oddasz mi w zamian coś jeszcze...

Piotr daremnie próbuje oderwać wzrok od coraz bardziej niecierpliwych i coraz bardziej zwierzęcych źrenic Japończyka. Czuje, że gdzieś za jego plecami, rozzuchwalone kształty zrzucają znajome maski. Tak jak kilka godzin wcześniej, podczas konfrontacji z *yūrei*, zmysły znów przestają nadążać.

– Co?

– Przecież wiesz...

Oblicze Kyubimoriego staje się nieostre. Piotr konstatuje, że coś niepokojącego dzieje się z ogniskową jego wzroku.

– Kielce? Ale... przecież. One nie należą do mnie.

Rozmazana twarz Kyubimoriego przybiera w wyobraźni Piotra upiorne kształty, niczym maska demona z opery *Noh*.

– Czyżby? Więc może ty w takim razie należysz do nich? Daj mi zatem swoje wspomnienia, swoje tęsknoty. Swoje dzieciństwo. Szum wiatru poruszającego liście nad rzeką, w której pływają pstrągi. Daj mi topolę rosnącą przed twoim blokiem. Dziury w niereperowanej nawierzchni. Daj mi je. Na cóż ci one?

– A tobie?

Maska szczyrzy kły. Gniew? Risi uśmiech?

– Moja kontrola nad tym miejscem nigdy nie będzie zadawalająca, jeśli go nie oswoję, nie zrozumiem, nie utworzę z nim jedności. Pozostanę tylko

przybyszem. Oddaj mi to, co cię z nim wiąże. To, co nie pozwala ci uciec.

– Sądzisz, że jest tego aż tak wiele? – Piotr uśmiecha się ironicznie. – Obyś się nie rozczarował.

– Więcej niż u pozostałych. No, może poza paroma maniakami, ale oni się nie liczą. Wiesz, co to takiego zakorzenie? Większość ludów jest przywiązana do swej małej ojczyzny, do miejsca, gdzie spoczywają kości przodków. Także my, Japończycy, wciąż wracamy do rodzinnych stron, by składać ofiary naszym przodkom i lokalnym bogom. Wy się zmieniliście, zaczynacie wędrować jak Amerykanie. Zwłaszcza tutaj, w tym mieście, wszyscy podświadomie marzycie, by uciec. Ale w twoich żyłach, w twoich wspomnieniach jest dość zakorzenia, by posłużyło moim celom. Więc mi je oddaj.

– Jeśli nawet – odpowiada z wysiłkiem Piotr – to cóż otrzymam w zamian? Tylko iluzje. Obudzę się w jakiejś zimnej norze i...

– Iluzje? – przerywa mu tamten. – A skąd pewność, że twoje obecne życie nie jest w większym stopniu iluzją? Iluzją, w którą tak nieudolnie zresztą dałeś się zaplątać. Pomyśl! Czyż całe nasze życie nie polega właśnie na tym, że co chwilę tworzymy i odrzucamy kolejne złudzenia? Możesz to robić świadomie albo bezmyślnie, tak jak do tej pory. Wybrać własną drogę lub podążać szlakami wytyczonymi przez innych.

– Ale...

– Wczorajsza iluzja może być jutrzejszym faktem. Nasz świat został zbudowany na iluzjach. Spójrz! Tam stoisz *ty w przyszłości*. Popatrz jego oczami! Czy całe twoje wcześniejsze życie i nasza rozmowa nie wydaje ci się iluzją? Możesz tam się znaleźć!

Wzrok na krótką chwilę się wyostrza. Poprzez postać risa Piotr dostrzega siebie i Katarzynę. Idą, trzymając się za ręce, a potem... Czuje znajome ukłucie rozlewające się z serca w dół brzucha...

– Mamy mało czasu, decyduj – warczy ris.

– Co... – Znów słyszy własny głos Piotr. – Co muszę zrobić?

– Krok do przodu, krok w bok... – mruczy tamten. I Piotr podąża za jego zwodniczym syrenim głosem, z każdym krokiem coraz bardziej oddalając się od granic normalności.

– Co mam zrobić? – powtarza.

– Wyciągnij rękę...

Piotr nadal się waha, choć pokusa staje się coraz silniejsza. – Nie wiem, czy powinienem ci zaufać – stwierdza z powątpiewaniem. – Jesteś w końcu... risem.

– Jestem japońskim risem – przypomina z przekąsem tamten, kimkolwiek lub też czymkolwiek jest w istocie.

Piotr nie wie już, jak go nazywać. W którym momencie przestał być Sho Kyubimorim?

– Wiem, co to honor – oświadcza ris. – Dostaniesz to, co ci obiecałem. Katarzynę i ucieczkę z tego miejsca. Sam zadecyduj, czy tego rzeczywiście pragniesz.

Krok do przodu, krok w bok... Kształty ulegają zupełnej deformacji. Bezpańskie kolory pływają wokół...

Piotr wyciąga rękę. Trójkątne zęby zaciskają się na jego przedramieniu. Piotr syczy z bólu, ale nie cofa ręki.

– Powtarzaj za mną – mamrocze ris, nie wypuszczając przedramienia Piotra ze swej szczęki.

– Oddaję ci to miejsce...

– Oddaję ci to miejsce...

– Oddaję ci groby mych przodków...

– Oddaję ci groby mych przodków...

– Oddaję ci duchy tego, co było...

– Oddaję ci duchy tego, co było... – powtarza bez przekonania Piotr.

Krew spływa mu po ręce.

– Oddaję ci mój czas i przestrzeń...

– Wiesz, to naprawdę idiotyczne – komentuje Piotr.

– Nie analizuj – warczy ris – powtarzaj...

– Oddaję ci mój czas i przestrzeń...

– Oddaję ci cienie moich kroków...

– Oddaję ci cienie mojego dzieciństwa...

Rzeczywistość znów nabiera postaci, którą Piotr jest w stanie ująć w słowa. Kyubimori uśmiecha się i wznosi kieliszek. Piotr pociera ranę na przedramieniu, po czym spogląda podejrzliwie na białe, lśniące zęby Japończyka.

– Gdzie jest Katarzyna? – pyta zniecierpliwiony.

– Już pokazuję ci drogę. – Kyubimori odstawia kieliszek. – Patrz...

Kyubimori puszcza do niego oko, robi wystudiowany, magiczny gest i otwiera drzwi do...

Katarzyna!

## Londyn

Katarzyna odwraca się i obdarza go zaintrygowanym spojrzeniem. Piotr wie, że w tej chwili tamta nie widzi już tylko kolegi z sąsiedniego okienka. Dostrzega kogoś, kto do tej pory sam tak do końca nie wierzył we własne istnienie. Lecz teraz, dzięki Katarzynie, wszystko zostaje ostatecznie usankcjonowane. Rzeczywistość ulega redefiniowaniu; Piotr z zaciekawieniem spogląda w oczy kobiety, chłonąc błękit tęczy. Chłonąc swój własny obraz.

Pokój hotelowy. Daleko od domu. Kielce? Warszawa? Jasnowłosa kobieta w zielonym żakiecie. Dyskretne światło lampki.

– Dawno się nie widzieliśmy – szepcze kobieta. Jej dłoń gładzi rękaw błyszczącego, wieczorowego garnituru. Piotr przytula ją do siebie, zanurza twarz we włosy, wciąga w nozdrza woń perfum.

Tak, odpowiada w myślach, to prawda. Dawno.

Bierze się do rzeczy trochę za szybko, za agresywnie, bez finezji, ale Katarzyna nie protestuje, gdy jej ubranie partiami ląduje na podłodze. Opisuje dłońmi ciało kobiety; karmi swą szorstkość jej gładkością. Metodycznie obejmuje dłońmi jej piersi, wyraźnie odcinające się od szczupłej sylwetki. Zaciska na wąskiej talii i przenosi w dół, ku pośladkom. Katarzyna próbuje coś powiedzieć; Piotr zamyka dłonią jej usta, gładzi palcami uszmiłkowane wargi. Jeszcze raz, zamiast gry wstępnej,

z analityczną precyzją definiuje kształt jej ciała; potem przypiera ją do ściany.

I znów; trochę za szybko, za agresywnie, bez finezji.

– Sorki – mówi potem w przypiływie refleksji, gdy leżą obok siebie w szerokim hotelowym łóżku; ich ciała nie stykają się.

– Coś ty – chichocze Katarzyna. – Było nawet ciekawie. No, może trochę za bardzo filmowo. Ale dziko. To takie niepodobne do ciebie. Kiedyś...

Fakt, kiedyś było inaczej. Fakt. Bardziej... niezdarnie, delikatnie. Czule?

Kiedyś... Ale właściwie kiedy? Obrazy tańczą w chaotycznym korowodzie; wspomnienia mieszają się z marzeniami. Co było wtedy, a co teraz? Co jeszcze się wydarzy?

Leżą obok siebie i rozmawiają. Katarzyna wyciąga papierosa. Piotr zasadniczo nie lubi palących kobiet, ale naga blondynka wygląda całkiem seksownie, zaciągając się camelem.

– Więc wracasz do Londynu? – pyta w końcu kobieta, gdy wyczerpują już wszelkie możliwe tematy.

– Tak – odpowiada, czując, że słowo staje się faktem. Wraca do Londynu; to przecież oczywiste. Dlaczego w końcu miałby swą przyszłość wiązać z innym miejscem?

I nagle; niespodziewanie dla samego siebie: – Jedź ze mną.

– Do Londynu? – zdziwienie kobiety. Błysk błękitnych oczu.

– Tak. Nigdy o tym nie myślałaś? Warszawa jest lepsza od Kielc, ale to przecież w dalszym ciągu prowincja...

– Londyn to na upartego też prowincja w porównaniu do Nowego Jorku czy Hong-Kongu – zauważa leniwie tamta. – Można tak bez końca przenosić się z miejsca na miejsce.

– Czy nie o tym właśnie marzyłaś? Londyn to dobry punkt zaczepienia. Pomogę ci coś załatwić na początek, a potem z pewnością sama sobie poradzisz.

– No nie wiem. – Katarzyna marszczy czoło. Zastanawia się nad czymś intensywnie.

– Pomyśl. – Piotr odwraca twarz i uśmiecha się pod nosem. – W dzień będziemy robić wielką kasę i uczyć Angoli profesjonalizmu, potem kolacja w Soho, a wieczorem podziwianie panoramy Londynu z okna mojego mieszkania...

– Ze sto pięćdziesiątego trzeciego piętra? – pyta figlarnie Katarzyna.

– Tylko z dziesiątego, niestety. Ale na Londyn w zupełności wystarczy. Tak wiem, marna ta panorama. To nie Nowy Jork, Hong-Kong czy Tokio. Zawsze jednak od czegoś trzeba zacząć.

Kobieta nie odpowiada. Mruży oczy, wpatrując się gdzieś przed siebie.

\* \* \*

Inny czas, inne miejsce? Wspomnienie czy sen o przyszłości?

Piotr stoi na balkonie dwupokojowego mieszkania w Bermondsey, wsłuchując się w zamierający wielkowiejski szum. Southwark nie jest, rzecz jasna, specjalnie elegancką dzielnicą, ale nowo wybudowany, strzeżony kompleks, w którym firma wynajęła mu mieszkanie, to całkiem inna historia. No i, w przeciwieństwie do choćby takiego Dulwich, bliźniutko City.

Dzwonek do drzwi; Piotr uśmiecha się pod nosem i rusza do przedpokoju.

– Wolisz drinka czy piwo? – pyta, sadzając Katarzynę na fotelu w salonie.



– Nie zapytasz, jak poszło? – rozpoczyna zaczepnie kobieta. – Pewnie już rozmawiałeś z Jasonem? Drinka!

– Zapytam, jak ci się tam spodobało. – Sięga do barku i rozpoczyna przygotowania.

– Powinno być nieźle. – Katarzyna z trudem stara się ukryć błysk w oczach. – To nie to, co twój Merrill Lynch, ale od czegoś w końcu trzeba zacząć. Wiesz, że zawsze pracowałam w takim czy innym banku. Nie sądziłam, że masz tu aż takie kontakty.

– Nie przeceniaj ich – mruczy skromnie Piotr. – O’Shannon to mój dobry znajomy, ale nasza rosnąca reputacja na wyspach też robi swoje. No i, nie wątpię, że zrobiłaś świetnie wrażenie. Zawsze byłaś w tym dobra.

– To prawda – śmieje się Katarzyna. – Dajże już wreszcie tego drinka!

Tym razem kochają się długo i powoli. Potem, gdy Katarzyna już śpi, Piotr w samym szlafroku jeszcze raz wychodzi na balkon. Wdycha w płuca nocne powietrze, jak gdyby trochę świeższe i mniej zakurzone niż za dnia. Spogląda w dal, na światła aut rozmazane na wciąż ruchliwej pomimo późnej pory ulicy.

To zaskakujące, myśli, jak szybko niezwykle staje się codziennym. Jak niezauważalne stają się marzenia, które udało nam się spełnić.

Choć z drugiej strony, czy jakiegokolwiek marzenie może zostać naprawdę spełnione?

Przez chwilę przypomina sobie tamten sen. Sen o dziewczynie z okienka nr 6, którą chciał zaprosić na lunch. To dziwne, że wciąż powraca. Być może znów przyśni mu się tej nocy, gdy będzie leżał przytulony do smukłego ciała Katarzyny. Czy tamta dziewczyna naprawdę jest Katarzyną, nawet jeśli ma jej twarz?

Choć czy nieobecność może mieć twarz?

Coraz bardziej zamglonym wzrokiem spogląda w londyński mrok. Czy ten właśnie wieczór stanowi ukoronowanie wszystkiego, do czego dążył przez te wszystkie lata? W jakimś sensie kres jego drogi?

– *Is this my top of the world?* – szepcze, ziewając w ciemność.

Przez chwilę próbuje sobie wyobrazić, że jego życie potoczyło się inaczej, że spogląda w pusty, szary mrok kieleckiego osiedla. Ale jakoś mu się nie udaje. Czy aż tak bardzo oddalił się już od tamtej codzienności?

Ziewa jeszcze raz i zmęczony wraca do mieszkania, by położyć się obok wiercącej się na łóżku Katarzyny.

\* \* \*

Sobota. Szał wyprzedaży na Oxford Street. Jak zwykle: kolorowy tłum, różnojęzyczny gwar. I oni sami, nienatrętnie eleganccy, ostentacyjnie niebrytyjscy, na luzie. Kwintesencja nowego kosmopolityzmu. Sama elita najeźdźców, królowie barbarzyńców, którzy podbili Londyn.

Kolejny dom towarowy; cicha, lecz stanowcza reprimenda dla angielskiej sprzedawczynie z wyraźnym robotniczym akcentem, która na dźwięk mowy najeźdźców próbuje zachowywać się nieuprzejmie; miła pogawędka z inną ekspedientką, rodem z Zabrze. Solidarność barbarzyńców.

Jakiś czas później drogi bar nad Tamizą. Schodzą się całą ferajną na umówione spotkanie, siadają przy oknie, racząc się guinnessem oraz – dla zabawy – tyskim. Siatki z zakupami leżą rzucone niedbale pod stołem, alkohol powoli uderza do głowy.

Piotr zamyślony spogląda w brudną toń rzeki, od niechcienia podążając za coraz bardziej postmodernistyczną konwersacją. Odwieczny temat, czyli Polska vs. Anglia.

– Mówię ci, że Angole zupełnie nie umieją liczyć, no wiesz, w pamięci  
– deliberyje Ewa, „princess of VAT”, jak nazywają ją z respektem autochtoni.

– No, bez jaj – protestuje Marcin. – Rozumiem trochę zdrowego szowinizmu nie zaszkodzi, ale nie przesadzaj...

– No serio – upiera się księżniczka. – Od razu sięgają po kalkulatory. Moja kuzynka pracuje w magazynie. Szef kazał policzyć pudła, wiesz takie w rzędach, siedem rzędów po osiem, cztery albo pięć w pionie, wzięła i od razu podała mu wynik. Sprawdzał z kalkulatorem przez pół godziny, patrzył na nią jak na kosmitkę i drapał się po głowie...

– Jeśli nawet – zauważa Marcin – to co z tego? Właśnie po to przecież wymyślono kalkulatory...

Przez kilka kolejnych minut dyskusja zatacza coraz szersze kręgi od miejscowych dentystów (temat zgrany od wielu lat – na szczęście, przynajmniej w Londynie, można już bez problemu znaleźć polskiego stomatologa) aż po higienę w brytyjskich zakładach mięsnych. Piotr czuje narastającą senność.

– Ale przynajmniej nie ma tutaj błota. – Marcin, niezrażony, broni Wielkiej Brytanii. – Na święta byłem u rodziców. Tuż obok siebie przy wyjeździe na Warszawę położone są Real i Praktiker. Żeby przejść z jednego do drugiego, trzeba włożyć w błoto, bo nikt nie wymyślił, żeby zrobić chodnik. Zapaćkałem sobie najlepsze półbuty. A widzieliście kiedyś, kurna, błoto w mieście w Anglii? – pyta dramatycznie.

– No i Angielki są brzydkie. – Budzi się nagle Waldek, najbardziej wypity z nich wszystkich. – Brzydkie jak noc... I zupełnie o sobie nie dbają. Gdyby nie te wszystkie imigrantki...

– Polki! – zgodnie przerywają mu Katarzyna, Baśka i Ewa.

– No tak, tak – skwapliwie zgadza się Waldek. – Gdyby nie Polki, w ogóle nie warto byłoby tutaj siedzieć.

– Za to Anglicy są całkiem przystojni – dodaje od niechcienia Katarzyna.

Piotr czuje znajome ukłucie w sercu. Powoli unosi wzrok.

– Na przykład Brian Welsh? – pyta lekkim tonem, na poły żartobliwie, na poły zaczepnie.

– Na przykład – odpowiada Katarzyna, nie spuszczać wzroku. Jej oczy skrzę się – na poły żartobliwie, na poły zaczepnie. Testują? Jego, ją samą, ich oboje?

Piotr uśmiecha się enigmatycznie i spuszcza wzrok, zawieszając go z powrotem na prawie pełnym kuflu. Przez chwilę powraca myślami do bankietu sprzed tygodnia. Kontempluje w myślach obraz flirtującej, roześmianej Katarzyny i zapatrzonego w nią Briana. Jakie uczucia naprawdę w nim wywołuje? Czy chciałby wymazać tę niepokojącą scenę z pamięci, czy też wręcz przeciwnie, rozpamiętywać ją, przeobrazić w pełniejszą i jeszcze bardziej drażniącą wizję?

– A zauważyliście, że w Polsce, no może poza większymi miastami, po dwudziestej drugiej nie sposób znaleźć otwartej restauracji? – dywaguje Marcin.

– Nie tylko w Polsce akurat – odpowiada Baśka. – W Norymberdze na przykład nie byłam w stanie kupić chleba po dziewiętnastej.

– Kiedy ty znów byłaś w Norymberdze? – zaciekawia się Katarzyna. – I po co, do cholery?

– W zeszłym tygodniu z Ernstem. Nie uwierzycie...

Piotr coraz bardziej pograża się w zamyśleniu, odrywa od *tu i teraz*. A może właśnie wręcz przeciwnie, zagłębia w *tutaj i teraz*? Być może *tu i teraz* skrywa w sobie jakieś niewidoczne na pierwszy rzut oka tajemnice? Piotr próbuje poczuć smak przepływającej chwili, zatrzymać ją w biegu.

I nie udaje mu się to.

\* \* \*

Jesienne popołudnie. Piotr wraca z pracy na piechotę. Jakoś nie ma dziś ochoty schodzić w głąb klaustrofobicznych czeluści metra. Pogoda względnie dopisuje; nie pada, słońce co i rusz prześwituje przez chmury.

Wciąż wraca myślami do ostatniej kłótni z Katarzyną. W głębi duszy chciałby dojść do jakiejś rozumnej, choćby i smutnej konkluzji, która jednak posunęłaby sprawy naprzód, w tę czy inną stronę, ale zamiast tego jedynie wciąż na nowo odgrywa te same emocje. Od jak dawna?

Niespodziewanie dopada go przerażająca myśl, że oto cofnął się w czasie, że znów toczą z Katarzyną zamierzchłe manewry miłosno-towarzysko-zawodowe w trójkącie. Tyle tylko, że w roli trzeciego boku trójkąta Leszek Strząbala zastąpiony zastał przez Briana Welsha. W sumie, jakby się uprzeć, to nawet obaj są do siebie trochę podobni. Nie, kręci głową Piotr, teraz jest przecież inaczej. Teraz...

Czy aby na pewno? I jak potoczyły się losy tamtego pierwszego trójkąta? Katarzyna w końcu uciekła od nich obu do Warszawy. Leszek z kolei przeniósł się do Poznania wkrótce potem, jak przestali być przyjaciółmi. Czy romans z Katarzyną miał dla niego równie duże znaczenie jak dla Piotra, czy też wszystko było tylko incydentem, o którym wkrótce zapomniał? Piotr nigdy się tego nie dowiedział. Tamci dwoje na dobre, zdawałoby się, zniknęli z jego życia.

W tamtym czasie niekiedy zastanawiał się, czy los jednak nie zetknął Katarzyny i Leszka ze sobą, gdzieś poza zasięgiem jego wzroku, w tym innym, lepszym, a już na pewno ciekawszym życiu, jakie oboje wiedli z dala od Kielc. Przeszywał go wtedy dreszcz zazdrości. Zazdrości o Katarzynę czy raczej o to, że tamtym dwojgu udało się uciec? Rozpocząć

coś nowego, skutecznie zmienić swój status, podczas gdy on sam na długie miesiące utknął w tym samym miejscu. Jak co dzień rano pędził na ósmą do Banku Świętokrzyskiego, zasiadał na swoim stanowisku i wpatrywał się w okienko naprzeciwko, które zajmowała teraz stażystka.

Parę miesięcy później on też w końcu uciekł, i to dalej niż tamci dwoje. Choć nie wiadomo, czy rzeczywiście, bo czasem wciąż nachodziła go niepokojąca myśl, że nadal tkwi wpatrzony nieruchomo w miejsce, gdzie onegdaj siedziała Katarzyna, *tamta* dawna Katarzyna, łudząc się, że kiedyś znów się zjawi.

W jakimś sensie oczywiście wróciła, po latach, w momencie, kiedy się tego zupełnie już nie spodziewał. Wszystko ułożyło się jak we śnie – Piotr, Katarzyna i Londyn. Czy teraz wszystko znów miało cofnąć się do punktu wyjścia?

Piotr przechodzi na drugą stronę Tamizy i zagłębia w Southwarku. Stąd ma już całkiem blisko do domu. Do domu... Czy mieszkanie w Bermondsey rzeczywiście stało się jego domem? Czy jest nim Londyn? Przemierza ulice tego miasta już tyle lat, ale nadal prześladowuje go nieuchwytnie wrażenie obcości.

Latarnie, podwórka, sklepy. Nawet jego mieszkanie. Wie, że nigdy nie będzie czuł się tu tak swojsko jak w M-4 rodziców w wieżowcu w kieleckiej dzielnicy Sady. Nawet nie chodzi o to, że znalazł się w obcym kraju, do Krakowa też nie zdołał się do końca przyzwyczaić, chociaż studiował tam przecież pięć lat. Nie wiedzieć czemu jednak, tylko kielecka przestrzeń była do końca... oswojona, otulała go poczuciem ciągłości, stabilności...

Cholera, myśli z ironią, chyba nie zaczniesz tęsknić teraz za tą dziurą, po tym jak wreszcie udało ci się na dobre z niej wyrwać?

– Piotrek?! – Słyszy niespodziewanie.

Unosi głowę i rozgląda się wokół. Po przeciwnej stronie ulicy stoi brodaty mężczyzna w brudnym kombinezonie i zajadle macha do niego ręką.

Piotr zastyga w niezdecydowaniu. Wybity z rytmu, traci orientację w czasoprzestrzeni, nie dość, że nie kojarzy tamtego, to jeszcze na dodatek przestaje być pewien, kim jest on sam i co robi akurat w tym miejscu.

Mężczyzna przechodzi ulicę i podchodzi różnym krokiem.

– No, Pietrucha, nie poznajesz? Mariusz Bilski. Chodziliśmy razem na sanki.

– Mariusz? – Po długiej chwili cokolwiek niezręcznego wgapienia się wreszcie udaje mu się rozpoznać kolegę z podwórka.

\* \* \*

Lądują w pobliskim pubie. O tej porze jest tu akurat pustawo, w spokoju mogą więc porozmawiać przy stoliku w kącie, popijając najtańsze z oferowanych piw.

– Więc remontujecie domy? – pyta roztargnionym tonem Piotr. – Na długo przyjechałeś?

Wciąż jest trochę zaskoczony wylewnością kolegi, którego nie widział od dobrych dwudziestu lat. On sam pewnie by nawet nie rozpoznał Mariusza na ulicy w Kielcach, a co dopiero w Londynie. A nawet jakby rozpoznał, nie przyszłoby mu chyba do głowy, by go wołać.

– Trzy miesiące już tu jestem – wzdycha Mariusz. – No i w przyszłym tygodniu wracam. Niektóre chłopaki z ekipy ponad rok siedzą, ale to nie dla mnie. To zabawa dla młodziaków... Może kiedyś jeszcze raz przyjadę, ale póki co ciągnie człowieka do domu...

– Rodzina? – pyta Piotr.

– No. – Mariusz wyjmując z portfela pomięte zdjęcie. Piotr kontempluje je przez chwilę, udając życzliwe zainteresowanie.

– A ty, Pietrucha, jak tam? – pyta Mariusz. – Chajtnąłeś się? Masz dzieci.

Piotr kręci głową.

– No stary, młody już nie jesteś – zauważa przytomnie kolega z podwórka.

Piotr wzrusza ramionami.

– Jakoś się nie złożyło... Mam przyjaciółkę – dodaje, żeby coś odpowiedzieć – ale nie podjęliśmy jeszcze żadnych decyzji.

– No tak, pewnie praca, kariera, podróże? Brak czasu? – Mariusz postanawia popisać się domyślnością. – Sam się w końcu przekonasz, chłopie, że... A zresztą, co ci będę gadał. Mieszkasz tu na stałe? Pracujesz w City?

– Tak – zdawkowo odpowiada Piotr. – Finanse.

– No, no. – Mariusz z uznaniem potakuje głową. – Daleko zaszedłeś. No, ale ja sam szkół może nie pokończyłem, ale też sobie nie krzywduję. Mam dom w Zagnańsku, nie najgorszą brykę... A ta twoja dziewczyna – przypomina sobie nagle – tutejsza?

– Nie – uśmiecha się pod nosem Piotr – też z Kielc.

– No i dobrze. Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny... – Mariusz pogwizduje słowa piosenki, która nawet za czasów ich dzieciństwa była już stara. – Swoją drogą te Angielki są ohydne – powtarza obowiązujący stereotyp. – No, chyba że te, no wiesz, Murzyny – na jego twarzy pojawia się wyraz rozmarzenia.

Zamawiają drugie piwo. Piotr chce znów postawić, ale tym razem Mariusz upiera się, by zapłacić.

– Fifty-fifty. – Uśmiecha się z godnością.



Piotr nie jest w stanie stwierdzić, jakie właściwie emocje budzi w nim to niespodziewane spotkanie, ale nie chce mu się wstawać z miejsca.

– Kurna – stwierdza sentencjonalnie Mariusz – minęło kupę czasu.

– Tak. – Piotr marszczy brwi. Kiedy właściwie widzieli się po raz ostatni? W ósmej klasie podstawówki? Ile epok oddziela ich od tamtej chwili? Ile razy każdy z nich stawał się kimś zupełnie innym? Czy też może w gruncie rzeczy obaj pozostali tymi samymi ludźmi, co wtedy, tylko przybrali inne maski?

Która z tych myśli jest bardziej niepokojąca?

Piotr sięga pamięcią wstecz, w czasy dzieciństwa, ale wspomnienia pierzchają w popłochu. Spowija je dziwna, przeźroczysta mgła. Niby przed oczami jego wyobraźni przewijają się jakieś obrazy, ale są jakieś martwe, oddalone, spowite lepką błoną. Nie jest w stanie poczuć ich smaku.

– To dziwne, że spotkaliśmy się dopiero tutaj – zauważa.

– Ta... – przytakuje Mariusz. – Fakt, kiedy byłem w pierwszej klasie zawodówki, starzy wynieśli się za miasto, ale to przecież tylko parę kilometrów. No i potem już nigdzie stamtąd się nie ruszałem. Chyba że do roboty, rzecz jasna.

Tamten przez moment milczy, w skupieniu nad czymś się zastanawiając.

– Widziałeś jeszcze kogoś ze starej paczki? – pyta w końcu.

– Ostatnio? – zastanawia się Piotr. – Raczej nie. Czemu pytasz?

– Ja wpadłem w wakacje na Romka Klicha. Nie pamiętasz? Przecież bardzo się kumplowaliście.

– Pamiętam, pamiętam – odpowiada Piotr z pewnym ożywieniem. – Widywałem go jeszcze po studiach. Co u niego?

– Bida – krzywi się Mariusz. – Właśnie wywalili go wtedy z roboty. Był chyba portierem czy kimś takim. No i zdaje się, lubił sobie popić. Kto nie lubi, powiesz, ale z niczym nie należy przesadzać.

– Dalej mieszka na Nowowiejskiej?

– Dalej. Chyba on jeden z naszej starej paczki nigdy się stamtąd nie ruszył. Fajny gość, zawsze go lubiłem, szkoda, że mu nie wyszło.

Piotr w milczeniu kiwa głową. Przez chwilę usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział się z Romkiem, ale myśli znów spowija szara mgła. Cóż, drugie piwo na pusty żołądek. Nigdy nie był zbyt odporny na alkohol.

Romek Klich. Podwórko na Nowowiejskiej. Zaczyna kiełkować w nim jakiś niezidentyfikowany niepokój. Ma wrażenie, że gdzieś poza *tu i teraz* znajduje się coś, co koniecznie powinno zostać wyjaśnione. Przez moment próbuje iść tym tropem, ale inercja w końcu zwycięża; umysł na powrót zanurza się w niej z ulgą.

– No dobra. – Mariusz spogląda na zegarek. – Muszę lecieć. Chłopaki na pewno już się wkurwili dokumentnie. Fajnie było się spotkać. Do następnego razu, Pietrucha.

– Do następnego razu.

Piotr odprowadza kolegę zamglonym wzrokiem, po czym dopija piwo i sam też rusza w swoją drogę.

\* \* \*

Przebudzenie... Ten rytuał przejścia, krótki moment prawdy pomiędzy iluzoryczną rzeczywistością snu, a jeszcze bardziej iluzoryczną rzeczywistością jawy? Może jedyny właściwy moment, by przedostać się poza *tu i teraz*, odnaleźć to, co zostało zagubione?

Piotr rejestruje mimochodem te refleksje, spiesząc do brzęczącego na biurku telefonu.

– Yes? – mamrocze do słuchawki.

– Halo, Piotruś? – Dobiegają go swojsko brzmiące słowa. – Piotruś?

– Tak? – stęka zdezorientowany. – Piotr Jaskulski. Kto mówi?

– Nie poznajesz? – ciągnie ni to płaczliwy, ni to burkliwy kobiecy głos.

– Ciocia Magda...

– Ciocia Magda? – odruchowo powtarza surrealistyczny tekst. – Jego oniemiałym synapsom dopiero po dłuższej chwili udaje się nawiązać adekwatne połączenia. – A, ciocia Magda... – powtarza oszołomiony.

Skąd tamta, do ciężkiej cholery, zdobyła ten numer? – zastanawia się w myślach. Ach tak, sam go przecież przy załatwianiu jakiś spraw zostawił kuzynowi. No trudno.

– Przepraszam, jestem trochę zaspany – rzuca do słuchawki. – Co się stało, ciociu? – postanawia od razu przejść do meritum. Z pewnością musi być w tym wszystkim jakieś meritum, tamta nie dzwoniłaby przecież w celach towarzyskich, tudzież dla odnowienia więzi rodzinnych.

– Mam smutną wiadomość. – Kobieta teatralnie moduluje głos. – Ciocia Krysia od nas odeszła...

– Ciocia Krysia? – dziwi się Piotr.

– Tak – pochlipuje smętnie tamta. – Dziś w nocy. Wylew. Irenka mnie zawiadomiła i prosiła, żeby do ciebie zadzwonić. Pogrzeb jest we wtorek. Pomyśleliśmy, że będziesz pewnie chciał przyjechać.

– Hm... – mamrocze Piotr. – Bardzo mi przykro to słyszeć. Lubilem ciocię Krysę.

– Tak, tak. Przecież to twoja chrzestna. Zawsze była dla ciebie dobra. Oczywiście przyjedziesz?

Zapada chwila niezręcznego milczenia.

Piotr z niechęcią zbiera myśli. Cóż za niedogodna sytuacja! Absurdalna rozmowa! Najchętniej po prostu odłożyłby słuchawkę i odłączył telefon, ale mimo wszystko ma opory.

– Piotruś? – W głosie tamtej słycać narastające podejrzenie, podszyte jednak z trudem skrywaną satysfakcją. „A nie mówiłam? Oczywiście, że nie przyjedzie! Czarna owca!”

– Bardzo lubiłem ciocię Krysie – deklaruje Piotr niechętnie. – Ale do wtorku zostało bardzo niewiele czasu. Nie wiem, czy zdołam się wyrwać...

– Na pewno zdołasz, jeśli tylko zechcesz. Bilety też przecież teraz niedrogie. Zresztą co to dla ciebie, słyszałem, że świetnie ci się powodzi...

– No tak – mruczy Piotr. – Zobaczą, co się da zrobić. Gdybym nie dotarł, przekaz jednak wszystkim moje najszczerze kondolencje...

– Och, Piotruś, Piotruś. – Ciotka załamuje ręce po drugiej stronie telefonu. – Nie można tak nie mieć względów zupełnie dla nikogo. Twoja świętej pamięci mamusia pewnie się w grobie przewraca, wiedząc, że nie chcesz przyjechać na pogrzeb jej rodzonej siostry!

Piotr czuje narastającą złość. Przez moment zastanawia się, czy nie wykorzystać nadarzającego się pretekstu, warknąć coś w stylu „nie mieszaj do tego mojej matki” i po prostu się rozłączyć.

Ale złość nagle mija, tak szybko, jak się pojawiła. Na jej miejsce przychodzi niespodziewana refleksja.

Matka... Hm... Co rzeczywiście powiedziałyby jego matka? Przez moment usiłuje sobie wyobrazić tę scenę. Ale sylwetka matki nie może jakoś nabrać w jego wyobraźni konkretnych kształtów, roztapia się w nieokreśloności. Dla odmiany próbuje przywołać ducha ojca i też mu się to nie udaje. Dziwne, przecież od śmierci rodziców nie minęło znowu aż tak wiele czasu, a ma wrażenie, jakby, w pewnym sensie, w ogóle nigdy nie istnieli. Dlaczego tak zbledli w jego wspomnieniach? Czy to naturalny upływ czasu, czy też tak bardzo się już od nich oddalił? Może rzeczywiście jest potworem bez serca i pamięci, jak chcą tego krewni?

– Piotruś? – W głosie ciotki słychać narastającą satysfakcję. Rekin, który zwęszył krew. – Spotkałbyś się z rodziną, wszyscy chcieliby cię zobaczyć. Tyle lat już minęło, odkąd raczyłeś gdziekolwiek się pojawić. No i odwiedziłbyś groby rodziców – dodaje, jakby odgadując jego myśli. – Pewnie też dawno tam nie byłeś, prawda? Nie przyjeżdżasz na Wszystkich Świętych?

Rzeczywiście, kiedy ostatnio był na cmentarzu w Cedzynie? Za cholerę nie może sobie przypomnieć. I znów; próbuje przywołać w myślach zabłoconą, długą alejkę. Niby potrafi opisać to miejsce słowami, ale obrazy, które wyciąga z zakamarków pamięci są suche, pozbawione treści.

Dziwne.

– No to jak Piotrusiu, przyjedziesz do Kielc?

Wzdycha ciężko, starając się wymyślić jakieś w miarę gładkie zdanie, którym mógłby zakończyć rozmowę.

– Postaram się. Pozdrów wszystkich ode mnie. Do zobaczenia i dzięki za telefon, ciociu.

Szybko odkłada słuchawkę.

Przez chwilę zastanawia się, czy rzeczywiście się nie poświęcić i nie pojechać na te parę dni. To przecież tak niewiele. Jakoś to wytrzyma.

Hm...

Podchodzi do okna i wpatruje się w swoją obecną i chyba jedyną rzeczywistość, spowitą jakby symbolicznie szarą mgłą. Jaka była tamta stara, którą pozostawił za sobą? Czy rzeczywiście była tak zła, że gotów był od niej uciec na sam kraniec świata? A jeśli tak, to właściwie dlaczego?

*Top of the world.* Tak, w pewnym sensie nadal tak to odczuwa, choć wiele się wydarzyło od tamtych dni i nocy z Katarzyną u jego boku, pierwszych wspólnych dni i nocy w Londynie. Jego własny, prywatny *top*

*of the world*, który ma już chyba jednak za sobą. Czy kiedykolwiek istniał inny?

Wiele godzin później, gdy zasypia, powraca do niego tamta niepokojąca myśl o *tu i teraz*. Czy *tu i teraz* chroni go przed przemijaniem, czy wręcz przeciwnie, trzyma go zamkniętego pod niewidzialnym kloszem, nie pozwalając zbliżyć się do czegoś bardzo istotnego? A może jego obecna codzienność nie jest całym możliwym życiem? Może gdzieś tam, z boku, czai się inna rzeczywistość? Może, gdyby choć na krótkie mgnienie udało mu się zatrzymać... Właściwie co zatrzymać – czas, przemijanie, codzienność? Stać *na zewnątrz* chwili? Przestać ślizgać się po powierzchni życia i wreszcie wejść w *głąb*?

Bzdura, ziewa z wysiłkiem, tam nic nie ma. Nigdy nie było. Kiedyś przecież już szukałem i nic nie znalazłem. Szkoda czasu, to tylko złudzenia. Jest tylko *ta chwila*, jedna z wielu. Londyńska mgła za oknem, giełda bezustannie pikująca w dół, jutrzejsze spotkanie z analitykami i jutrzejsza nieobecność Katarzyny. I nic więcej.

Ale gdyby jednak dało się przebudzić w *jakieś głębsze* życie, myśli jeszcze ostatnim przebłyskiem świadomości, wreszcie wyraźnie zobaczyć rzeczy, które dotąd dostrzegane były tylko w przebłyskach, samym kątem oka. Niby wciąż będąc *tutaj*, w jakimś sensie znaleźć się jednak *tam*. Gdyby...

\* \* \*

– Witaj, Piotrze.

– Jednak wróciłaś?

– Przecież zawsze wracam.

Kochają się znowu: długo i mocno, niemal boleśnie. Jest w tym wszystkim jakaś podniecająca perwersja, z której każde na wpół wstydliwie

i na wpeł otwarcie czerpie satysfakcję.

Później długo leżą obok siebie ni to milcząc, ni to rozmawiając; wciąż coś tam odgrywają, ale pojawia się też i szczerść; szczerść dwóch bokserów po skończonej walce.

– I co teraz? – pyta Piotr.

– Nie wiem – wzdycha Katarzyna, wtulając się w jego bok. – To nie takie proste.

Piotr ze zdziwieniem stwierdza, że nie czuje złości, gniewu czy zniecierpliwienia. Tak nagle wyszlachetniał czy też coś w nim się po prostu wypaliło? Lecz z drugiej strony, jakim w końcu językiem ma rozmawiać o swych transakcjach życiowych dwoje prawdziwych profesjonalistów? Jakie powinno odczuwać emocje?

– Jesteś na mnie zły? – pyta kobieta.

– Tak – odpowiada Piotr, ze zdziwieniem słysząc pewne wahanie we własnym głosie.

– Hm – chrząka znacząco Katarzyna. – A czy nie jest trochę tak, że pożądasz mnie dokładnie taką, jaką jestem? Że gdybym była inna, szybko bym ci się znudziła? Czasem mam wrażenie, że potrzebujesz dreszczyku, rywalizacji, że chcesz wygrywać mnie po raz kolejny...

– Nie wiem – wzdycha Piotr zrezygnowany. – Z nikim nie rywalizowałem wtedy przez te wszystkie lata, gdy ciebie nie było. Nie sądziłem, że w ogóle jeszcze cię zobaczę, o wygrywaniu nie wspominając. Ale nie mogłem cię zapomnieć.

A może jednak rywalizowałem, dodaje w myślach. Z duchem Leszka, z twoimi nowymi, wymyślonymi przeze mnie kochankami.

Gdzieś za oknem wyje syrena ambulansu lub radiowozu. To przybliża się, to oddala, zmniejsza częstotliwość i głośność, odbija

zwielokrotnionym, fałszywym echem; nie sposób umiejscowić kierunku, z którego dobiega dźwięk.

Zresztą po chwili i tak z powrotem roztopia się w uniwersalnym, miejskim szumie.

– Uważasz, że jestem okropna? – W głosie Katarzyny słychać podniecającą mieszankę pokory i przewrotności.

Piotr długo się namyśla.

– Miałeś zaprotestować! – chichocze Katarzyna.

– Nie wiem – odpowiada Piotr. – Jeśli miałbym to analizować na chłodno, to jako człowiek jesteś chyba ok. Pamiętam, że na samym początku, po prostu lubiłem cię jako koleżankę. Tylko w momencie, gdy w grę wchodzi nasza relacja, dzieje się coś dziwnego. Czasem zastanawiam się, jaka jesteś z kimś innym?

Katarzyna nie przyłącza się do jego spekulacji. Nie wie, co powiedzieć, czy też nie chce tracić atutu, jakim jest spowijająca pytanie aura tajemniczości i niedopowiedzenia? Czy, chociaż teraz, gra uczciwie?

Czy on sam gra uczciwie? Choćby przed samym sobą?

– Czasem nachodzi mnie myśl – kontynuuje Piotr – że po prostu nigdy nie byłaś mi przeznaczona. Że sięgając po ciebie, postąpiłem niewłaściwie i dlatego muszę teraz ponieść zasłużoną karę...

Odwraca głowę i usiłuje odnaleźć w ciemności twarz Katarzyny. Kobieta marszczy czoło, poprzez mrok patrzy gdzieś w dal, poza chwilę, która znów ich połączyła.

– To rzeczywiście ciekawe – odzywa się po chwili – bo mnie z kolei przyszło teraz do głowy, że rzeczywiście schwytaleś mnie w jakąś niewidzialną klatkę. Że coś zmusza mnie, bym do ciebie powracała, czy tego chcę, czy nie.

– A nie chcesz?



– Nie wiem – mruczy bezradnie kobieta. – Czasem, zwłaszcza w relacji z tobą, też mam wrażenie, że zupełnie nie wiem, kim naprawdę jestem. Że staję się tym, kim... hm... – Katarzyna nie kończy kwestii.

Znów leżą obok siebie w milczeniu. Deszcz miarowo stuka za oknami.

– Czasem mam już dość tego Londynu – rzuca Piotr, ot tak, żeby coś powiedzieć.

– Wiesz co? – Oczy Katarzyny rozbłyskują w ciemność. – A może wyjedziemy gdzieś razem? Na wakacje lub nawet na dłużej. No wiesz...

– Ostatnio – odpowiada po chwili Piotr z wyraźnym wahaniem – otrzymałem pewną propozycję...

– Gdzie?

– Nowy Jork.

– Hm, może warto nad tym się zastanowić. Pomyśl, ty i ja na Manhattanie...

Przez chwilę pogrążają się we wspólnych planach – ni to dla żartów, ni to serio. Potem ogarnia ich kolejny przypływ pożądania. Tak jak poprzednim razem kochają się powoli, bez słowa i niemal boleśnie.

\* \* \*

Jest późny wieczór. Piotr znów wraca na piechotę do swego mieszkania w Bermondsey. Trzeba w końcu zażyć trochę ruchu, a poza tym jak zwykle musi bić się z myślami.

Wokół londyński grudzień, chłodny i nijaki. Piotr tęskni za polskim śniegiem i mrozami. Paradoksalnie ostatnie zimy, jakie spędził w kraju też nie były chyba specjalnie mroźne, więc w gruncie rzeczy tęskni chyba za mitycznymi zimami dzieciństwa. Jakie one były? Gdzieś głęboko kołaczą się mu jakieś niewyraźne myśli o sankach w dolinie ścieku Silnicy, zwanej na wyrost rzeczka, i zakazanej jeździe na łyżwach po chropowatej tafli

kieleckiego zalewu. A jeszcze wcześniej – lepienie bałwana na podwórku? I znów, jak to się zdarzyło już kilka razy, w banku pamięci niby znajdują się zapisy faktów, wydarzeń, incydentów, ale żadne obrazy i emocje nie chcą przyjść ich śladem.

Dlaczego tak bardzo oddalił się od własnych wspomnień? Czy świadomie je wymazał, usiłując rozpocząć nowe, ekscytujące życie bez zbędnych obciążeń? A może to po prostu zwykły, naturalny proces, którego wcześniej doświadcza każdy z nas; przeszłość wypala się, bo emocji starcza tylko na *tu i teraz*.

Piotr spogląda w zachmurzone niebo. Ach, gdyby zechciał spaść z nich choćby pojedynczy płatek!

Jest późno, ale ulice jeszcze nie opustoszały. Zaczyna mżyć. Piotr mija kolejnych anonimowych, otulonych płaszczami przechodniów. Jego wzrok nagle zatrzymuje się na twarzy przechodzącej kobiety. Długie czarne włosy, wystające kości policzkowe. Azjatka, chyba Japonka albo Koreanka. Całkiem ładna, jeśli ktoś akurat lubi ten typ urody.

Piotr zatrzymuje się i odprowadza kobietę wzrokiem. Nie, nigdy wcześniej nie widział jej na oczy, ale widok rozwianych, czarnych włosów porusza w nim jakąś znajomą nutę. Tamta przypomina mu kogoś? Kogo, na miły Bóg?

Idzie dalej, ale dziwny niepokój kołocze na dnie serca. Wraca do domu, rozbiera się, nalewa do szklaneczki whisky. Kładzie się na łóżku, usiłując zebrać myśli. Wkrótce trzeba będzie podjąć jakieś decyzje. Ale póki co jest już zmęczony myśleniem o nich.

Powieki opadają, znieczulony alkoholem umysł błąka się gdzieś na granicy snu i jawy.

Idą (on sam i Katarzyna?) pogrążoną we mgle ulicą. Czy to wciąż Londyn? Nagle Piotr zatrzymuje się i unosi głowę. Uderza go pustka tego

miejsca... lecz czy jest to rzeczywiście pustka tego miejsca, czy też pustka tkwiąca w nim samym? Odwraca się do Katarzyny, chcąc sprawdzić, czy i ona to dostrzegła. Kobieta kręci głową w uspokajającym geście i śmieje się zalotnie. Piotr przygląda się jej podejrzliwie, zaalarmowany jakąś niepokojącą sztucznością. Wyciąga dłoń, która przechodzi przez kobietę na wylot. Katarzyna okazuje się jedynie zawieszonym w powietrzu hologramem. Kobieta uśmiecha się przepaszająco i bezradnie, jakby chciała powiedzieć: „a czego właściwie się spodziewałeś?”, po czym rozpada się w nieokreśloność. Przez dłuższą chwilę Piotr bezskutecznie próbuje z powrotem złożyć ją do kupy, po czym wreszcie daje za wygraną. Przypomina sobie tamten stary, powracający koszmar, z nieobecną dziewczyną z okienka nr 6. Cóż, właściwie powinien już się chyba był przyzwycząć, że Katarzyna może być dla niego jedynie mirażem.

Wzdycha i jeszcze raz rozgląda się wokół. Logika podpowiada, że miejsce powinno być mu doskonale znane, że to fragment codziennej drogi z City do Bermondsey, ale otaczająca przestrzeń epatuje obcością, zupełnie jakby nagle zdecydowała się zrzucić uspokajającą maskę.

To nieprzyjemny... sen? A jeśli to nie sen, tylko rzeczywistość? Zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Chciałby się obudzić, ale jakoś nie potrafi. Zamiast tego biegnie więc widmowo przed siebie, potrącając inne, obojętne widma.

Tak tu szaro, tak ponuro! Wieczny, wieczny listopad. Chłód i zgniłe powietrze. Dlaczego to miejsce nie może doczekać się prawdziwej zimy?

Piotr tęskni za śniegiem i mroźnym, orzeźwiający powietrzem.

Nagle wydaje mu się, że, samym kątem oka, dostrzega pojedynczy biały płatek, wirujący w powietrzu. Znowu zatrzymuje się i odwraca głowę.

Płatek osiada na włosach mijającej go sylwetki, która również na moment staje w miejscu. To kobieta. W jakiś sposób odróżnia się od innych

widm. Piotr nie jest w stanie dokładnie dostrzec jej twarzy, jak to we śnie, ale wie, że tamta ma długie czarne włosy i wystające kości policzkowe. Azjatka, chyba Japonka – czy spotkał ją już kiedyś na jawie?

Kobieta nadal stoi zwrócona do niego profilem, lekko się uśmiecha. Białe płatki osiadają na jej włosach. Nie pasuje do tego szarego, powszedniego koszmaru, wydaje się taka... Ulotna i bajkowa?

Tamta rusza przed siebie. Tknięty impulsem Piotr idzie w ślad za nią, łamiąc reguły jednokierunkowego snu.

Kontury wokół falują na przemian, to schodząc się i rozchodząc, spływając i rozpluwając. Piotr traci orientację, ale z zaciśniętymi zębami dalej kroczy przed siebie.

I wtedy nagle kształty się wyostrzają.

Piotr stoi pośrodku zimowego lasu. Jest środek nocy, ale gruba warstwa białego puchu odbija światło gwiazd i księżyca, skrzy się subtelnie białymi kolorami.

Piotr zachłystuje się świeżym, mroźnym powietrzem. Wyciąga rękę i zgarnia puch z gałęzi. Przez moment wpatruje się w pojedynczy, wielki płatek śniegu, który roztapia się na jego dłoni. Widzi go wyraźnie, jest w stanie policzyć wszystkie ramiona!

Jest tutaj tak pięknie i czysto! Piotr czuje, że wcale nie ma ochoty wracać do mglistego, widmowego Londynu. Ani zresztą, nigdzie indziej.

Czy to w dalszym ciągu sen?

Prostuje się, głęboko oddychając i rozgląda wokół. Gdzie się podziała tajemnicza kobieta?

Nagle dostrzega jakiś ruch wśród śniegu. Spomiędzy dwóch zakopanych w śniegu jałowców wybiega niewielki, srebrzysty kształt. Lis? Lis!

Filigranowy, srebrzysty lisek siada na tylnych łapach i spogląda na Piotra z namysłem. Jest piękny, ma w sobie coś nieodparcie magicznego

i uwodzicielskiego.

Dlaczego akurat lis? – dziwi się Piotr.

*Ponieważ lisy są w stanie odnaleźć ścieżki niedosiężne dla człowieka – słyszy delikatny, kpiący (i zaskakująco kobiecy) głos wewnątrz swego umysłu.*

– Ja chyba śnię – wzdycha Piotr.

Lis taktownie nie komentuje.

Piotr siada na śniegu naprzeciwko. Wpatrują się w siebie bez słowa. Piotr czuje, jak jego umysł zaczyna się rozjaśniać. To przyjemne uczucie.

– Zdaje się, że zabłądziłem – stwierdza w końcu, cokolwiek niekonkretnie.

*Zdaje się, że tak – odpowiada lis rozumiejąco. – Wcześniej czy później przydarza się to każdemu. I rzadko komu udaje się odnaleźć drogę. Rzadko kto próbuje. Ludzie uwielbiają być zagubieni. Bycie niezagubionym wymaga znacznie więcej wysiłku... i niekiedy boli.*

Piotr uśmiecha się i wstaje. Po raz ostatni spogląda w tajemnicze, skrzące oczy lisa. Pomiędzy nimi przepływa niewypowiedziane. Piotr czuje żal, podświadomie zdając sobie sprawę, że nigdy nie zdoła powrócić do tej chwili, że nigdy nie zdoła jej zrozumieć. Że nawet nie będzie w stanie jej sobie przypomnieć.

A jednak w tym jednym momencie coś naprawdę się zmienia – Piotr czuje się lekki i swobodny. Wolny. Gdzieś w oddali wyraźnie widzi wyjście z labiryntu. Czy to tylko senne złudzenie, czy odbicie czegoś prawdziwego?

Po raz ostatni rozgląda się wokół, nabiera w płuca zapas mroźnego powietrza. Dobrze się tutaj czuje, ale wie, że powinien już ruszać w dalszą drogę. Otrzepuje śnieg i budzi się...

Piotr otwiera oczy, wciąż na granicy pomiędzy rzeczywistościami, niepewny, czy powrócił do mieszkania w Bermondsey czy w jakieś inne

miejsce. Czy można zejść głębiej? *Tak* – odpowiadają oczy srebrnego lisa. A więc...

Przebudzenie... Ten rytuał przejścia, krótki moment prawdy pomiędzy iluzoryczną rzeczywistością snu a w gruncie rzeczy niemniej iluzoryczną rzeczywistością jawy. Mgnienie, gdy rzeczy nie zdążyły jeszcze naciągnąć swych uspokajających masek.

Piotr budzi się.

## Pojedynek na ośnieżonym dachu

Piotr otworzył oczy i usiadł na łóżku, usiłując zidentyfikować otaczającą ciemność. W jego umyśle kłębiło się kilka możliwych wersji *tu i teraz* – po krótkim namyśle wybrał tę, która wydała mu się najwłaściwsza, choć niekoniecznie najatrakcyjniejsza.

Kątem oka dostrzegł wyłaniającą się z mroku sylwetkę.

– Katarzyna? – zapytał na poły z niepokojem, na poły z nadzieją.

– On ostrzegał, że możesz wrócić. – Usłyszał w odpowiedzi ponury, męski głos. – Cóż, sam się o to prosiłeś!

– Marek? – wykrztusił Piotr zaskoczony.

Nim zdążył powiedzieć coś jeszcze, dziewięćdziesiąt kilo żywego księgowego zważyło się wprost na niego. Poczuł, jak grube ręce Chudzika obejmują mu szyję.

– Grr... – charknął oniemiały.

– Tym razem nie pomogą ci te twoje śliskie pochlebstwa i włożenie żółtkom w dupę – wyszeptał główny księgowy KZDM, jeszcze mocniej zaciskając dłonie na krtani ofiary. Piotr poczuł, że oczy zaczynają wyłazić mu na wierzch.

Minęła dłuższa chwila, nim zdołał na tyle otrząsnąć się z szoku, by podjąć jakiegokolwiek działania ratunkowe. Najpierw bez efektu próbował oderwać dłonie tamtego od szyi, wreszcie z wysiłkiem podparł się nogą i niczym zapaśnik wypchnął Chudzika na zewnątrz. Obaj zwalili się ciężko

na podłogę. Piotr oswobodził się z uścisku, zerwał z podłogi i szybko odsunął, z ulgą zaczerpując powietrza.

Ja chyba wciąż śnię, jęknął w duchu.

Czy rzeczywiście udało mu się uciec z risiej wizji? Rzeczywistość, w której Chudzik próbował udusić go gołymi rękami, nie była chyba bardziej realna od tej, w której znów udawało mu się zaciągnąć Katarzynę do łóżka?

A może jednak, niestety, była?

Tymczasem jednak adwersarz nie zamierzał dawać mu czasu na zbędne deliberacje.

– Tym razem się nie wywiniesz – zawołał bojowo i biorąc rozpęd z drugiego krańca pokoju, natarł na niego po raz wtóry.

Znów nie docenił gwałtowności ataku. Chudzik działał jak w transie, no i rozpędzone dziewięćdziesiąt kilo też zrobiło swoje. Piotr mimowolnie zarejestrował uderzenie i brzęk tłuczonego szkła; mocno złapał napastnika za klapy marynarki w chwili, gdy przechylał się już przez barierkę balkonu.

Runęli obaj w dół; otoczyło ich zimno i wielkie, wirujące płatki. Piękne, pomyślał Piotr od niechcienia.

Lot zakończył się równie szybko, jak się zaczął; grzmotnęli w zaśnieżoną powierzchnię.

Zamroczony Piotr przez moment jeszcze obserwował białe fraktale opadające na jego twarz. Potem zamglony wzrok stopniowo z powrotem się wyostrzył.

Gdzieś z boku dobiegło ciche jęknięcie i stłumione przekleństwo. Trzeba się ruszyć, pomyślał niechętnie. Powoli podźwignął się do pozycji siedzącej; wszystko go bolało, ale kości chyba miał całe.

Znajdowali się na dachu niższej części budynku; na szczęście to właśnie na nią wychodził balkon pokoju 905. Spadli z wysokości jakiś trzech



metrów na w miarę gładką, pokrytą grubą już warstwą białego puchu powierzchni.

Ostrożnie wstał i niezgrabnie otrzepał się ze śniegu i z okruchów szkła. Chyba rzeczywiście nic sobie nie złamał, choć potłuczone kończyny bolały go dotkliwie. Odruchowo popatrzył w górę, gdzie przez wybitą szybę śnieg wiał do pokoju 905. Mieliśmy sporo szczęścia, pomyślał.

Odwrócił się i spojrzął na Chudzika, który również próbował się podźwignąć. Krew spływała tamtemu z przeciętego odłamkiem szkła policzka.

– Zupełnie ci odpierdoliło – stwierdził Piotr. – Co on z tobą zrobił?

Chudzik stanął w końcu na własnych nogach. Podniósł głowę. W jego oczach nadal czaiła się nienawiść.

– On mnie uwolnił – wycedził księgowy. – Od czterech lat patrzę, jak włączysz w dupę tym cholernym żółtkom i nic nie jestem w stanie z tym zrobić. Cały czas duszę w sobie złość. Ale dzisiaj...

Chudzik sprężył się do skoku, ale tym razem przecenił zarówno swoje siły, jak i stabilność podłoża. Lżejszy i zręczniejszy Piotr bez trudu odsunął się przed atakiem.

Dwaj kulejący menadżerowie zaczęli zataczać wokół siebie kręgi po śliskiej powierzchni. Dach znajdował się niemal dokładnie na wysokości ósmego piętra; w jednym z pokoi naprzeciwko paliło się światło. Piotr dostrzegł kątem oka zaintrygowaną, przyklejoną do szyby twarz.

No ładnie, pomyślał, zaraz ktoś wezwie policję. Już widzę te tytuły w lokalnej prasie: analityk kontra księgowy na ośnieżonym dachu: czyli sztuka wojny w biznesie po kielecku.

Nagle powróciło do niego wspomnienie czarnowłosej Japonki, uderzonej ręką pistoletu. Yuki, pomyślał, muszę wrócić, by pomóc Yuki. Nie ma czasu na zabawy.

– Może dasz już spokój – zapytał bez wielkiej nadziei w głosie. – Co teraz zrobisz? Zrzucisz mnie z dachu?

– A żebyś wiedział – wysapał z wysiłkiem Chudzik, odgradzając mu drogę od znajdujących się naprzeciwko okien.

Piotr szybko potoczył spojrzeniem wokół – z obu stron od krawędzi dzieliło go jakiejś dziesięć metrów, za plecami miał kolejne trzydzieści metrów dachu i kilka kominów, pomiędzy którymi na upartego można było bawić się w ciuciubabkę. Zaczął cofać się w ich stronę.

– Co ci z tego przyjdzie?

– Poczuję, że wreszcie żyję naprawdę – zawołał z entuzjazmem księgowy. – Kiedy ostatni raz doświadczyłeś czegoś takiego? Zatraciliśmy się w wyścigu szczurów, w codziennych intrygach. Żywi zombie. Ale mnie wreszcie uda się przerwać ten impas! Powiedz, nigdy nie miałeś ochoty na nic podobnego?

Piotr przez chwilę rozważał tę kwestię.

– Nie – odparł wreszcie – chyba nie.

– Nie chciałeś choćby się mnie pozbyć? W taki czy inny sposób?

– Nie. – Piotr wzruszył ramionami. – Po co miałbym się ciebie pozbywać? Jesteś świetnym księgowym. Sprawdzaleś się.

– Dzięki – mruknął Chudzik. – Doceniam, ale i tak nic ci to nie pomoże.

Księgowy postąpił dwa kroki w przód, dyrektor finansowy dwa kroki do tyłu. Chudzik krok w bok, i Piotr znowu krok w bok. Obaj znajdowali się teraz jakieś dwa metry od krawędzi dachu, który robił się w tym miejscu niebezpiecznie pochyły i oblodzony. Znowu powiał wiatr, bijąc w nich śniegiem. Było coraz zimniej.

Kurwa, mam już tego dosyć, zdecydował Piotr. Gdy Chudzik znowu na niego natarł, zamiast uciec pomiędzy kominy, przesunął się tylko lekko w bok i podciął tamtego nogą, jednocześnie wypychając na zewnątrz.

Ociężały księgowy zwałił się na dach i potoczył się ku krawędzi, rozpaczliwie próbując wytracić impet. W końcu zatrzymał się tuż przed samą rynną.

Piotr wciągnął powietrze i ostrożnie stąpając po oblodzonej powierzchni, stanął nad adwersarzem.

– Starczy ci już? – zapytał chłodno.

Dyszząc ciężko, rozplaszczony na dachu Chudzik ocenił swoją pozycję; niestety nie była zbyt korzystna. Jedno kopnięcie ze strony Piotra rozstrzygało ich wieloletnią rywalizację i kończyło wszelkie możliwe spory o kompetencje.

– Tak – wycharczał księgowy pragmatycznie.

Piotr wzruszył ramionami, po czym bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę okna. Od niechcienia obejrzał się przez ramię – za jego plecami Chudzik z zaciętą miną znów próbował wstać, najwyraźniej chcąc wykorzystać szansę do ostatniego, podstępного ataku. Ich spojrzenia spotkały się raz jeszcze – księgowy westchnął zrezygnowany i z powrotem oklapł.

Piotr spojrzał w stronę miasta ponad krawędzią dachu. Na pierwszym planie znajdowało się osiedle Bocianek, potem Sady. Widać było stąd wyraźnie zapalone światła w oknach dziesięciopiętrowych bloków przy Nowowiejskiej i Warszawskiej, choć ten, w którym mieszkał w dzieciństwie wraz z rodzicami, był akurat zasłonięty.

Koszmarne, pomyślał odruchowo. Zmarszczył brwi. Tak, bloki z wielkiej płyty na Sadach były oczywiście koszmarne, ale były też jego domem, ojczyzną jego dzieciństwa, przeklętą i ukochaną, miejscem nieskończonej ilości zabaw, pościgów i spotkań.

W tej chwili, patrząc na nie, nie odczuwał niczego. Niczego też nie pamiętał wyraźnie – wspomnienia z dzieciństwa spowite były na pozór

przeźroczystą, ale w istocie nieprzepuszczalną mgłą. Przedostawały się przez nią jedynie suche fakty, oczywistości, wszelkie emocje i wrażenia pozostawały po jej drugiej stronie. Powróciło do niego poczucie obcości, którego zakosztował w wizji czy też rzeczywistości podarowanej mu przez Kyubimoriego.

Spróbował sobie przypomnieć obraz ich własnego balkonu, widzianego z dołu, z podwórka, sylwetkę ojca palącego papierosa, matki rozwieszającej pranie.

I znów nic. Obcość. Pustka.

„Oddaję ci mój czas i przestrzeń... Oddaję ci cienie moich kroków...”

Co naprawdę oddał Kyubimoriemu? Czy jemu samemu nadal było to potrzebne?

Wciąż pamiętał wyraźnie każdą chwilę przeżytą w Londynie stworzonym przez Kyubimoriego. Lub może w Londynie istniejącym naprawdę? Może to Kielce, do których powrócił, były jedynie złudzeniem? Może dla niego nie istniały już żadne Kielce? Czy popełnił błąd, budząc się?

Wspomnienie magicznego lasu, śniegu i lisich śladów, odcisniętych na nieskażonej białej powierzchni. Tęsknota za wolnością. I gdzieś w oddali – wyjście z labiryntu.

– Yuki – powtórzył po raz kolejny, niczym zaklęcie, i podszedł do oświetlonego okna.

Po drugiej stronie mniej więcej czterdziestoletnia kobieta w okularach przypatrywała się całej scenie skonsternowana, ale i z wyraźną, chyba nawet nieco perwersyjną fascynacją. Kto wie, może sama chciałaby przeżyć coś podobnego wraz ze swoją rywalką, by zgodnie z teorią Chudzika poczuć, że żyje naprawdę? Panicznie odskoczyła w tył, gdy wspiął się na

balkon i stanął przed gładkimi, szklanymi drzwiami, identycznymi z tymi, które wybito nim pięć minut wcześniej.

Piotr energicznie zapukał w szybę. Kobieta stała jak zamurowana.

– Proszę otworzyć – powiedział spokojnie i z nieugiętą pewnością w głosie.

Kobieta zawahała się, jakby zaskoczona.

– Proszę otworzyć, bo bardzo tutaj zimno na zewnątrz – dodał, przypominając sobie zasłyszana od jakiegoś trenera NLP opinię, że ludzie o wiele pozytywniej reagują na prośby posiadające jakieś uzasadnienie, choćby było to uzasadnienie zupełnie absurdalne.

O dziwo, zadziałało. Kobieta drgnęła, po czym niezdecydowanie sięgnęła po klamkę.

– O, widzi pani, jak wieje? – powtórzył Piotr.

Klamka przekręciła się. Piotr pchnął mocno drzwi, rzucił szybkie „dziękuję”, minął kobietę i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Pokój 806, zakonotował odruchowo. Suma cyfr też dawała 14.

W minutę później na powrót stanął przed drzwiami pokoju 707. Przybliżył ucho – słyhać było dźwięki rozmowy czy też kłótni w języku japońskim. Burkliwe, agresywne męskie głosy; co się działo z Yuki?

Przez moment bez przekonania oceniał swoje szanse na wyważenie drzwi. Wreszcie westchnął i delikatnie zapukał.

17.

## *Yakuza*

Za drzwiami zapadła martwa cisza, potem męski głos wychrypiał coś nieprzyjemnie.

Szelesty.

Szczęk zamka.

Piotr ze zdziwieniem stwierdził, że nawet specjalnie się nie boi. Najwyraźniej risia wizja, a następnie pojedynek z Chudzikiem chwilowo wyczerpały cały jego zapas emocji.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Niemal od razu poczuł na karku zimny dotyk lufy pistoletu; pomimo ostrzegawczego syku właściciela broni spokojnie rozejrzał się po pomieszczeniu.

Yuki ciśnięto w sam róg pokoju, na podłogę. Miała skrępowane ręce i nogi, zakneblowane usta i zasłonięte oczy. Zaiste, *yakuza* musieli być bardzo zabobonni, skoro aż tak się jej bali. Chociaż z drugiej strony, po tym, co sam widział dzisiejszej nocy...

Dziewczyna niemrawo spróbowała poruszyć rękami. Spotkało się to z dezaprobatą mniej więcej czterdziestokilkuletniego mężczyzny w przepisowym czarnym garniturze, który siedział nad nią w fotelu, zapobiegawczo oparłszy nogi na jej plecach. W rękach trzymał pistolet. Japończyk warknął coś ostrzegawczo i Yuki na powrót znieruchomiła.

Tamten przeniósł wzrok na Piotra – na jego pobrużdżonym, steranym życiem, papierosami i sake obliczu malowało się zniecierpliwienie. Piotr

uznał, że to on musi być tu szefem.

Kątem oka widział również twarz tego, który przystawił mu broń do karku. Młody, może dwudziestoletni chłopak w skórzanej kurtce, o rozwichrzonej, ufarbowanej na rudo czuprynie, wyraźnie zdenerwowany i przestraszony. To on strzelał do Kyubimoriego i ogłuszył Yuki. Zapewne nieprzewidywalny, a więc mogący stanowić największe zagrożenie.

Oprócz doświadczonego *yakuza* i jego młodego czeladnika w pomieszczeniu znajdował się jeszcze trzeci mężczyzna. Siedział na kanapie naprzeciwko szefa, od którego oddzielał go niski stolik, nerwowo wykręcając ręce. Ten dla odmiany zupełnie nie pasował do konwencji. Z wyglądu pięćdziesiąt parę lat, szary garnitur, okulary i oblicze intelektualisty, na którym malowała się dezorientacja i zażenowanie. Skąd on się tu wziął, do cholery?

– *Konbanwa!* – rozpoczął Piotr. Młody *yakuza* syknął coś zdumiony i jeszcze mocniej przycisnął mu lufę do potylicy. Najwyraźniej repertuar jego możliwych reakcji był ograniczony do tego jednego gestu.

Cóż, należało się zatem skoncentrować na pozostałych.

– Nazywam się Piotr Jaskulski i jestem dyrektorem finansowym Nagity-KZDM Przyszedłem, aby rozwiązać nasze wspólne problemy – oznajmił po japońsku niezrażony Piotr. – Gdzie się podziała tradycyjna japońska gościnność? – dodał bardziej tonem rozczarowania i zaskoczenia niż reprimendy.

*Yakuza* w garniturze popatrzył na niego z względnym zainteresowaniem, po czym znów wyburczał coś niezrozumiale, aczkolwiek chyba nie do końca nieuprzejmie. Młodszy Japończyk z pewnym wahaniem zdjął lufę z karku Piotra i machnął nią zapraszająco w kierunku kanapy.

Trzeci z mężczyzn zerwał się z miejsca i uklonił się z kurtuazją.

– Jestem Hayao Takahashi – przedstawił się cichym głosem. Po polsku. Piotr spojrział na niego zdumiony.

– Profesor Hayao Takahashi – dodał tamten z dumą w głosie, wyciągając portfel, a z portfela wizytówkę. Pisało na niej, również po polsku, „Profesor Hayao Takahashi. Uniwersytet Tokijski. Dyrektor Instytutu Języków Słowiańskich”.

– Jest pan doskonale przygotowany – wybąkał Piotr, wygrzebując swoją wizytówkę. – Czemu zawdzięczam zaszczyt spotkania pana profesora?

– Spełniam tu jedynie rolę tłumacza – odrzekł Takahashi skromnie. – A to jest – z oficjalnym szacunkiem wskazał pilnującego Yuki mężczyznę – pan Toru oraz hm... Micku.

– Micku? – powtórzył Piotr, oglądając się na skośnookiego młodzieńca, który uśmiechnął się do niego wyzywająco. Skojarzył, że nawet zapożyczone słowa kończyły się zazwyczaj u Japończyków samogłoską. – Od Micka?

– Micku od Micka – potwierdził smutno profesor, przyglądając się wizytówce Piotra. – Ach, ta wszechobecna amerykanizacja – waszą młodzież też pewnie toczy ten rak, co? Ale usiądźmy, proszę, Jaskulski-san.

Piotr zajął miejsce na kanapie obok profesora. Takahashi podał tymczasem wizytówkę Piotra panu Toru, skrupulatnie tłumacząc jej treść. Pan Toru pokiwał głową i schował wizytówkę do kieszeni.

Ani on, ani Micku nie sprezentowali w rewanżu Piotrowi swoich wizytówek.

Zapadło krótkie milczenie. Pan Toru w dalszym ciągu przyglądał mu się spod oka. Piotr uśmiechnął się uprzejmie. *Yakuza* odwzajemnił się lekkim skrzywieniem i znowu coś wyburczał. Piotr zdołał wyłowić tylko nazwisko Kyubimoriego.



– Pan Toru pyta – przetłumaczył profesor – czy przysłał pana wiceprezes Kyubimori?

– Nie, i wyjaśnijmy to od razu: nie jestem ani przyjacielem, ani sojusznikiem Sho Kyubimoriego. On i ja zawsze byliśmy rywalami. Teraz zaś pan Kyubimori zabrał mi coś bardzo cennego i chciałbym to odzyskać...

Profesor grzecznie skinął głową i przetłumaczył jego słowa – na ile Piotr był w stanie nadążyć – w miarę dokładnie.

Pan Toru obojętnie pokiwał głową.

– Co takiego mu zabrał? – zapytał, tym razem dla odmiany całkiem zrozumiale.

– Moje miejsce – wyjaśnił Piotr, nawet nie mrugnawszy.

Dwaj starsi Japończycy w skupieniu przytaknęli albo rzeczywiście wiedząc, o co chodzi, albo po prostu nie chcąc się zdradzić ze swą ignorancją. Tylko biedny Micku dalej gapił się na niego skonfundowany, stukając bezmyślnie rękojeścią pistoletu w ścianę.

– A kim jest ta kobieta? – padło kolejne pytanie.

– Nazywa się Yuki Yamada. Wysłali ją przeciwnicy Kyubimoriego, aby go powstrzymała. Przeszkodziliście jej.

Pan Toru od niechcienia przeniósł wzrok na Yuki.

– Jest niebezpieczna – burknął. – Dysponuje takimi samymi mocami, co Kyubimori.

– Dlatego właśnie wysłano ją, by z nim walczyła. To logiczne, nieprawdaż?

– Hm... – Starszy *yakuza* pogrążył się w namyśle. Micku nadal wystukiwał pistoletem słyszany tylko przez siebie rytm.

– Był pan już w Japonii? – zagaił tymczasem profesor Takahashi tonem konwersacyjnym.

– Owszem – odparł Piotr. – Nawet kilka razy, ale raczej na krótko.

– Świetnie mówi pan po japońsku. – Tamten uraczył go standardowym komplementem.

– Nie tak, jak pan po polsku. Czy będzie wielkim nietaktem, jeśli spytam, co robi pan hm... w tym towarzystwie?

Profesor lekko zeszywniał i spojrzał na niego z ukosa, ale niemal natychmiast z powrotem się rozluźnił i westchnął z rezygnacją.

– Tak, słusznie się pan dziwi, Jaskulski-san – stwierdził, wyraźnie zażenowany. – Wiem, wiem, szanujący się profesor, znawca literatury słowiańskiej nie powinien występować w tak hm... pragmatycznej roli. Niestety, kiedy otrzymałem niecodzienną propozycję wyjazdu do waszego pięknego kraju w towarzystwie obecnych tu panów Toru i Micku, nie mogłem odmówić.

– Nie mógł pan?

– Nie mogłem – chrząknął profesor. – Muszę wyznać, iż jakiś czas temu już uległem, dość powszechnej zresztą wśród moich rodaków, słabości do hazardu. W końcu popadłem w pokaźne długi. Pewne osoby pomogły mi uniknąć kłopotów. Ja z kolei oczywiście nie mogłem odmówić, gdy w zamian od czasu do czasu proszono mnie o drobne przysługi. Takie jak i obecna, niespodziewana wycieczka w roli tłumacza i przewodnika do kraju, który i tak przecież znajduje się w zakresie moich profesjonalnych zainteresowań...

– Hm... – mruknął Piotr znacząco.

– Tak, tak, wiem, rola pokornego pomocnika panów Toru i Micku to nie to samo, co wyjazd na sympozjum do Warszawy czy też wizyta w Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej w Krakowie, gdzie byłem zresztą w zeszłym roku honorowym gościem. Cóż jednak zrobić, życie narzuca nam niekiedy

różnego rodzaju niewygodne obowiązki, a honor nakazuje pieczołowicie je wypełnić. Przyjmując je z pokorą, dowodzimy naszej prawdziwej wartości.

– Hm, istotnie – grzecznie potwierdził Piotr, nie odrywając wzroku od zamyślnego pana Toru. – Widzę, że dobrze zna pan nasz kraj?

– To mój piąty raz w Polsce – wyjął profesor nonszalancko. – Choć pierwszy w tym hm... interesującym mieście. Zawsze fascynowałem się waszą egzotyczną kulturą i starałem się ją propagować wśród moich rodaków. Nawet teraz, w drodze do Kielc, próbowałem wdrażać pana Toru i Micku w jej niuanse.

– Z jakim skutkiem?

– Niestety, z mizernym. Szczerze powiedziawszy, bardzo zraziła ich jakość waszych dróg. Korci by jakoś przeżyli, w końcu my, w Japonii, też jesteśmy do nich przyzwyczajeni, ale czemu wszystko wszędzie rozkopane? Zupełnie jakby przez lata nikt niczym się nie przejmował, a potem naraz wszyscy bez ładu i składu rzucili się do poprawiania, no i wyszło, jak wyszło. A tam gdzie nierozkopane – dziury. Ledwo kilka w miarę porządných odcinków drogi na całej trasie. Podróż była koszmarem, cały czas obaj przeklinali, obawiając się, że nie zdążymy na czas. Nie chcieli nawet słyszeć o Chopinie, Mickiewiczu i waszej pasjonującej historii.

– Zdradzili panu coś więcej na temat swej misji, profesorze?

– Niespecjalnie, a nawet gdyby, to jako lojalny towarzysz nie powinienem chyba tego panu opowiadać, Jaskulski-san. Z drugiej strony – zastanawiał się Takahashi – zdaje się, że znaleźli się w impasie. A ja wraz z nimi. Nie wydaje mi się, żeby sytuacja miała się sama rozwiązać, choć tak, rzecz jasna, byłoby najlepiej.

– Myślę, że nasza współpraca pomogłaby wyjść z tego impasu i osiągnąć rozwiązanie satysfakcjonujące dla wszystkich ...

– Dobrze by było – westchnął profesor – inaczej będę tu chyba z nimi siedział do Nowego Roku. Tamci nie mają żadnych konstruktywnych pomysłów. Rozważali możliwość hm... mniej lub bardziej drastycznego przesłuchania tej młodej damy, ale...

Pan Toru nagle ocknął się ze swego zamyślenia i burkliwie zainteresował się przyczynami ich gadatliwości. Profesor wyjaśnił ją względami grzeczności i konieczności wymiany doświadczeń kulturowych. *Yakuza* cierpko pokiwał głową.

– Ciężko go zrozumieć – zauważył Piotr.

– Tradycyjny gangsterski akcent z Kobe – wyjaśnił profesor. – Pan Toru jest przedstawicielem starej szkoły...

– Hm... – Piotr ukradkiem zerknął na dłonie *yakuzy*, co nie uszło uwagi gangstera. Znów coś wyburczał, rozprostowując przed sobą palce i uśmiechając się ponuro do Piotra.

– Pan Toru – przetłumaczył Takahashi – ma, jak widać, palce w komplecie, i wolałby, żeby po zakończeniu tej misji się to nie zmieniło.

– Tak, oczywiście – przytaknął gorliwie Piotr.

*Yakuza* rzucił jakąś uwagę w stronę Micku, który przesunął się bardziej ku środkowi pokoju, czujnie przenosząc spojrzenie od unieruchomionej Yuki ku Piotrowi i z powrotem. Jego szef wyjął telefon komórkowy i udał się na balkon, starannie zamykając za sobą drzwi, tak by nikt nie mógł usłyszeć rozmowy.

– Dzwoni do przełożonych? – zainteresował się Piotr.

– Na tym etapie chyba jeszcze woli zachować twarz. – Profesor wzruszył ramionami. – Może raczej chce poradzić się kogoś z przyjaciół?

– No i co z tym przesłuchaniem, profesorze?

– Bali się ją odkneblować. Kto wie, co mogłaby zrobić? Jakie niebezpieczne zaklęcia wypowiedzieć? A trudno przesłuchiwać kogoś, kto ma zamknięte usta.

– Można było dać jej kartkę i długopis...

– Faktycznie! – zreflektował się profesor. – Że też na to nie wpadłem! No ale myślę, że ta idea niekoniecznie przemówiłaby do moich towarzyszy. To tradycjoniści, w najlepszym znaczeniu tego słowa. W każdym razie pan Toru, bo Micku zdaje się być zanadto zapatrzony w zachodni styl życia... Tak... – Zamilkł na moment. – Chociaż z drugiej strony – zmarszczył czoła – niewykluczone, że ta kobieta umie również rzucać zaklęcia, używając znaków kanji... Tak, z takimi jak ona niczego nie można być pewnym...

– Kyubimori powiedział mi, że posiadacie jakieś amulety, które chronią przed jego magią?

– Pan Toru i Micku trzymają w kieszeni po jednym. Paciorki nawleczone na sznurek. Ponoć pochodzą z... – Tu profesor zawahał się, najwyraźniej niepewny, ile wolno mu powiedzieć. – Hm... Nie są jednak całkiem pewni ich skuteczności, no i z tego, co słyszałem, noszenie ich może spowodować skutki uboczne...

– Mówili jakie?

– Sami do końca nie wiedzą. Jednakże założyli je tylko na kilka chwil, gdy wpadli do tego pokoju i potem czuli się trochę nieswojo... Osobiście, mam pewną teorię, ale... Cóż, nikt nie pyta mnie o zdanie – westchnął z ubolewaniem profesor. – Szczerze powiedziawszy, cała ta akcja sprawiała na mnie od początku wrażenie przygotowanej naprędce i nieprzemyślanej...

Pan Toru skończył rozmawiać przez komórkę i z powrotem do nich dołączył. Sądząc z jego ponurej miny, rozmowa chyba wiele nie wyjaśniła.

– I co teraz? – Piotr zwrócił się w stronę *yakuzy*. – Utkwiliście w martwym punkcie. Co chcieliście zrobić z Kyubimorim?

Pan Toru spojrział na niego posepnie i rzucił kilka raczej niezrozumiałych przekleństw.

– Pan Toru sugeruje, że to nie pańska sprawa – stropił się profesor. – O ile mi jednak wiadomo, mieli go zabić jedynie w ostateczności. Całą drogę narzekali na to, że ich zadanie jest cokolwiek niejasne. Kazano im powstrzymać Kyubimoriego przed „jakimkolwiek działaniem” dzisiejszej nocy, obezwładnić go i przywieźć do Japonii.

– Ambitny plan – stwierdził Piotr. – I chyba rzeczywiście zanadto improwizowany. Zakładam jednak, iż ci, którzy panów wysłali, również w ostatniej chwili dowiedzieli się, iż Kyubimori planuje coś właśnie teraz...

Pan Toru znów się skrzywił, ale gestem powstrzymał Micku, który groźnie poruszył się w stronę Piotra.

– Panowie, noc ucieka, podsumujmy fakty. Kyubimoriemu udało się wymknąć. Nie macie żadnych szans na odnalezienie go, a tym bardziej powstrzymanie, cokolwiek zamierza uczynić. Tylko ja i ta dziewczyna jesteśmy w stanie tego dokonać. Może. Chciałbym w każdym bądź razie spróbować. Mam własne porachunki z prezesem Kyubimorim. Proponuję, żebyście oswobodzili Yuki i pozwolili nam działać. W naszym wspólnym interesie. Nie macie wyjścia.

– Czyżby? – Profesor Takahashi grzecznie przetłumaczył ripostę pana Toru. – Możemy was zmusić, żebyście pomogli nam odnaleźć Kyubimoriego. Mamy swoje sposoby.

– Nie sądzę. – Piotr z powątpiewaniem pokręcił głową. – Może i bylibyście w stanie przez jakiś czas bezskutecznie męczyć tę dziewczynę i zmuszać ją do odpowiadania na pytania, na które nie zna odpowiedzi, ale w niczym nie pomogłoby to doprowadzić do pomyślnego rozwiązania

problemu. A ja to już zupełnie inna historia. Nie sądzę, żeby ci, którzy was posłali, byli zadowoleni z wmieszania we wszystko dyrektora finansowego KZDM. Zamordowanie mnie to chyba też raczej kiepski pomysł. Przypuszczam, że zależy wam na zachowaniu dyskrecji. Na pewno zależy na tym waszym mocodawcom. Jeśli macie wątpliwości, proponuję do nich zadzwonić. Najlepiej od razu do tych na samej górze. Albo chociaż do ich sojuszników tu na miejscu, w KZDM. A może ja mam to zrobić? Ciekawi mnie, czy na przykład prezes Ozawa wie o waszej akcji? Myślę, że zaakceptowałby mój plan.

Z kamiennej twarzy starszego *yakuzy* nie dało się odczytać, czy blef poskutkował.

– Panowie – kontynuował Piotr niezrażony – czas ucieka. Z każdą sekundą Kyubimori jest coraz bliżej realizacji swych planów. Pozwólcie mi działać. Obiecuję, że we własnym interesie zrobię wszystko, by go unieszkodliwić. Ta dziewczyna jest mi jednak do tego niezbędna. A wy z kolei nie macie nic do stracenia. Jeśli nam się nie uda i tak nie pogorszy to waszej sytuacji. A jeśli zdołamy rozwiązać problem, wróćcie spokojnie do Tokio i przypiszcie sobie – całkiem zasadnie zresztą – całą zasługę.

– Skąd mamy wiedzieć, że nas nie okłamujesz, że ty i ta dziewczyna nie jesteście w zмовie z Kyubimorim? – charknął pan Toru ostro, ale jakby z rezygnacją.

– Oczywiście nie macie stuprocentowej pewności, ale analizując sytuację łatwo można dojść do wniosku, że moja wersja jest najbardziej prawdopodobna – odrzekł spokojnie Piotr. – Jeśli koniecznie chcecie, zadzwoncie do Tokio. Być może wasi mocodawcy będą na tyle zorientowani, by potwierdzić, że ludzie z wioski Oda, którzy przysłali tę dziewczynę, są największymi wrogami Kyubimoriego.

Przez kilka sekund Piotr i pan Toru mierzyli się wzrokiem. Piotr z pewnym zdziwieniem stwierdził, że jest o wiele mniej zdenerwowany niż podczas walki z Chudzikiem.

W końcu starszy *yakuza* westchnął i wyciągnął srebrną papierośnicę, następnie zaś złotą zapalniczkę. Oba przedmioty były z pewnością drogie, ale zupełnie do siebie nie pasowały.

– Jeśli rozwiążemy teraz tą dziewczynę, może zechcieć się na nas zemścić – zauważył *yakuza*, zaciągając się dymem. Wyciągnął papierośnicę w stronę profesora i Piotra. Piotr grzecznie postanowił nie odmawiać poczęstunku.

– Żaden problem – odparł, pozwalając panu Toru przypalić sobie papierosa. – Wy wyjdziecie, a ja ją za chwilę rozwiążę. Jeśli nam nie ufacie, możecie nas potem śledzić, choć radziłbym to robić z bezpiecznej odległości.

Delikatnie zaciągnął się dymem, starając się nie zakrztusić. Kurna, pomyślał, jak niby ma to kogokolwiek uspokajać?

Niespodziewany uśmiech rozjaśnił ponurą twarz pana Toru. Przechylił się przez stół i jowialnie poklepał Piotra po ramieniu, znów pomrukując w swym dialekcie z Kobe.

– Pan Toru chwali pańską zimną krew – wyjaśnił profesor Takahashi. – Chyba pana polubił.

– Jestem zaszczycony. – Piotr lekko się uklonił. – Czy mogę jeszcze o coś spytać?

– *Nani?* – wychrypiał pan Toru.

– Chodzi mi o te hm... amulety? Zabezpieczenia?

*Yakuza* zawahał się, po czym wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i szybko położył go na stole.



Tak jak powiedział Takahashi – niewielki czarny kamyk – paciorek z buddyjskiego różańca? – zawieszony na rzemyku.

– By zadziałał jako ochrona przed czarami... takich jak Kyubimori czy ta dziewczyna, należy powiesić go sobie na szyi lub owinąć wokół nadgarstka, tak aby dotykał gołej skóry – przetłumaczył profesor.

Piotr spojrział pytająco na pana Toru.

– *Dōzo*.

Powoli wyciągnął rękę i dotknął czarnego paciorka. Przez chwilę obracał nim w dłoniach.

Może sprawiła to wyobraźnia, a może jego zmysły tej dziwnej nocy zostały wyczulone na wszystko, co niezwykle, ale prawie natychmiast poczuł zmianę. Przypomniała mu się tamta scena w gabinecie Kyubimoriego, gdy ogarnęła go paralizująca pustka. Teraz wrażenie nie było tak dojmujące ani nieprzyjemne – poczuł raczej spływającą na niego falami...

Obojętność.

Delikatnie odłożył paciorek na stolik. Pan Toru chwycił go nonszalancko i z powrotem schował do kieszeni.

– No właśnie – skwitował, tym razem na tyle wyraźnie, że Piotr bez problemu był w stanie go zrozumieć. Miał zresztą dziwne wrażenie, że z każdą sekundą rozumienie japońskiego idzie mu coraz lepiej. – Nieprzyjemne uczucie. Mnisia magia. Nie jestem zbyt religijny ani zabobonny, ale to... – Pan Toru pokręcił bezradnie głową.

– Ponoć pochodzą ze słynnego różańca mnicha Reigo ze świątyni Daitoku-ji – pospieszył z wyjaśnieniami pan Takahashi – praktyka zen i innych nauk, legendarnego pogromcy *oni*, *tengu*, *tanuki* no i, rzecz jasna, *kitsune*...

– Hm... – mruknął Piotr po części sceptyczne, po części z zaciekawieniem.

– Istnieje wiele różnych wersji opowieści o Reigo – kontynuował pan Takahashi. – Wzajemnie zresztą często ze sobą sprzecznych. Wszystkie jednak podkreślają, iż Reigo osiągnął doskonałość dzięki wyrzeczeniu się spraw ziemskich, wszelkich namiętności i uczuć. Demony rozmaitego rodzaju czuły nabożny lęk przed mnichem. Podobno Reigo udało się zakląć w różańcu obraz własnej wewnętrznej pustki – swego *satori*. Wobec niej nie mogła się ostać żadna nieczysta moc, żadna iluzja. A demony, jak wiadomo, polegają przede wszystkim na kłamstwie i iluzji. Zwłaszcza *kitsune*. Czary nie działają na kogoś, kto, choćby i w tak ułomny sposób, za pomocą dotyku paciorków, znalazł się hm... w komunii ze świętą pustką Reigo. A gdyby udało nam się dotknąć nimi samego goblina, prawdopodobnie zostałby on unieszkodliwiony na dobre. Tak przynajmniej mówią legendy. Podobno za pomocą oryginalnego różańca Reigo spętał kiedyś złośliwego *tengu*, który zagnieździł się pod górą Hiei, po tym jak bezbożny Nobunaga zmasakrował jej słynnych mnichów...

– Dobra, dobra – przerwał pan Toru, zniecierpliwiony historycznymi dygresjami profesora. – Dlaczego w takim razie dla nas dotyk tych paciorków też jest nieprzyjemny? Czemu ja jestem w stanie ich dotykać tylko przez chwilę, hę? Przecież nie jestem *oni* ani *tengu*? Może i to nam wyjaśnisz, mądralo?

– Oczywiście. – Takahashi nadął się, urażony. – Jestem profesorem Uniwersytetu Tokijskiego – podkreślił z godnością – i moją rolą jest objaśnianie rzeczy. Dotyk paciorków dla demona pewnie byłby zabójczy, a dla ciebie, Toru-san, jest nieprzyjemny, ponieważ tak jak demon – choć oczywiście hm... w znacznie mniejszym stopniu i zaledwie w czysto ludzkim wymiarze – odległy jesteś od stanu *satori*, jaki osiągnął

świętobliwy Reigo. Wręcz przeciwnie, skoncentrowany na ziemskich pożądaniami, stajesz się...

– No, no – warknął pan Toru. Wyciągnął amulet z kieszeni i rzucił go w stronę Takahashiego. – To może ty go sobie zawieszisz, mądralo? Zobaczymy, jak bardzo sam, kurna, zbliżyłeś się do nirwany? Zwłaszcza poprzez hazard i molestowanie studentek?

Profesor poczerwieniał i zeszywniał z oburzenia, przy okazji lekko odsuwając się od wisiorka.

Piotr uznał, że należy się wtrącić i rozładować atmosferę.

– A co się stało z oryginałem? – zapytał szybko. – Z prawdziwym różańcem Reigo?

– O, co do tego też istnieje wiele niejasności – odrzekł gorliwie Takahashi, zadowolony, że może jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Niektóre wersje mówią, że Reigo zapieczętował nim wspomnianego *tengu* pod górą Hiei bądź też przewrotnego *kitsune* z prowincji Echigo... Inne, że mnich zabrał ze sobą różaniec do grobu. Jeszcze inne, że znajduje się w posiadaniu jakiejś sekty czy też stowarzyszenia. Tak czy inaczej, trudno byłoby go odnaleźć, gdyż jak wspomina legenda, dzięki swym niezwykłym właściwościom pozostaje niewidzialny dla przypadkowego obserwatora, dopóki się go nie ożywi specjalną sutrą...

– No dobra, profesorku, koniec wykładu. – Pan Toru sięgnął po amulet i z powrotem schował go do kieszeni. – No cóż, na ciebie też chyba już pora? – zwrócił się do Piotra. Wstał z miejsca, zapinając marynarkę. – Lepiej, żeby ci się udało. – Uśmiechnął się ni to złowieszczo, ni to melancholijnie, po czym skinął na Micku i obaj *yakuza* skierowali się ku drzwiom.

Jako ostatni wyszedł profesor Takahashi.

– Miło mi było pana poznać, Jaskulski-san. – Ukłonił się na pożegnanie.  
– Życzę panu powodzenia.

– Cała przyjemność po mojej stronie, profesorze. – Piotr odwzajemnił ukłon. – Też go sobie życzę.

Drzwi zamknęły się za Takahashim. Piotrowi dopiero teraz przyszło do głowy, by spojrzeć na zegarek – od chwili, gdy po raz pierwszy zapukał do drzwi pokoju Kyubimoriego, minęło raptem półtorej godziny.

Westchnął i wstał z miejsca, aby rozwiązać Yuki.

## Monochromatyczny fatalizm

Yuki niezgrabnie usiadła na podłodze, rozcierając ręce. Miała podbite oko i potężnego guza na czubku głowy. Wyglądała jeszcze smutniej niż zwykle. Przez dłuższą chwilę trwała w tej samej pozycji, w końcu spróbowała się podźwignąć na zdrętwiałych nogach; Piotr znów musiał ją podtrzymać. Pomógł jej się usadowić na kanapie obok siebie i czekał.

Japonka ukryła twarz w dłoniach; przez moment pomyślał nawet, że płacze, ale kiedy znowu ją odsłoniła oczy miała suche. Zawiesiła wzrok przed sobą, kontemplując ścianę naprzeciwko.

Piotr czekał cierpliwie.

Yuki trwała w letargu; trudno było ocenić, czy medytuje, oglądając oczyma swej duszy rzeczy niedosiężne dla śmiertelników, takich jak on sam, czy też po prostu załamała się i popadła w katatonię.

Kiedy zaczynał już tracić nadzieję, niespodziewanie ocknęła się, westchnęła i potoczyła roztargnionym spojrzeniem wokół.

– Dobrze się pani... Dobrze się czujesz? – zapytał z wahaniem.

Spojrzała na niego ponuro, po czym wzruszyła ramionami.

– Super – odrzekła. – A... ty?

Teraz przyszła jego kolej na wzruszenie ramionami.

– Trochę dziwnie. I... pusto? Czuję się, jakbym stał się obcy dla samego siebie. To trochę przerażające... ale z drugiej strony mam poczucie, że nie pozostało mi nic do stracenia. I dzięki temu mogę działać.

Yuki pokiwała głową.

– Witaj w klubie. I dzięki, że uwolniłeś mnie z rąk tych kretynów.

– Nie ma za co. Tak jak im powiedziałem, jesteś mi potrzebna.

I z jakiś względów ci ufam, dodał w myślach. Nie wiem dlaczego, ale ci ufam.

Przez moment przyglądała mu się z ukosa.

– A więc – powiedziała – zawarłeś pakt z Kyubimorim. Co mu oddałeś?

– Cienie swoich kroków. – Znowu wzruszył ramionami – To miejsce. Kielce.

– Twoje zakorzenienie. – Yuki pokiwała głową. – Domyślałam się, że tutaj chodzi o coś więcej, że nie jesteś jedynie przypadkowym przeciwnikiem, którego chce usunąć ze swej drogi. Zwłaszcza po tym, jak wspomniałeś o swych snach. Ale nie powiedziałam ci o tym. Mój błąd. Poza tym ja również powinnam była od razu dostrzec w tobie to, co dostrzegł Kyubimori. Drugi błąd.

– Szczerze powiedziawszy, propozycja Kyubimoriego nie była dla mnie specjalnym zaskoczeniem. Podświadomie musiałem się domyślać... Tak czy inaczej, chyba bym ją przyjął.

– Zatem – podsumowała Yuki – oddałeś Kyubimoriemu to, czego potrzebował. Co dał ci w zamian?

– Co dał mi w zamian? – Piotr powtórzył bezwiednie. – Dobre pytanie. Nie wiem. Drogę ucieczki od tego, przed czym zawsze próbowałem uciec. Uwolnienie. Plus oczywiście kobietę, której pożądałem od niepamiętnych czasów. Uznałem, że to dobry interes.

– No i? Dostałeś to, co chciałeś? – Yuki patrzyła na niego swoimi chłodnymi oczami. Nagle wydało mu się, że są jaśniejsze niż zazwyczaj u Japończyków. Cały czas odbijała się w nich jakaś odległa, śnieżna pustynia. Lub też może raczej baśniowy las skąpany w białych płatkach?

– W pewnym sensie. Nie mogę zarzucić Kyubimoriemu oszustwa. Jeśli nawet, to ja sam się oszukałem...

– W życiu nie może nas spotkać nic gorszego niż spełnienie naszych marzeń – westchnęła Yuki.

– Tak – przytaknął. – Znam to powiedzenie. I wolałbym się z nim nie zgodzić. Ale... – Potrząsnął głową. – Sam nie wiem. Z początku było całkiem niezłe. Ja i Katarzyna mieszkaliśmy w Londynie, żyjąc życiem, za którym zawsze skrycie tęskniłem...

– Nie wyszło tak, jak się spodziewałeś?

– Nie mogło. W zasadzie to dowód na to, że Kyubimori mnie nie oszukał, że jego iluzja była w jakimś sensie *prawdziwa*. Może mnie i Katarzynie nie dane było po prostu stworzyć własnego, małego stabilnego świata, takiego, za jakim konwencjonalnie tęskni większość ludzi? Może nasz związek z natury rzeczy mógł być jedynie niekończącą się grą, rozstaniem i powrotami?

– Czy nie na tym jednak właśnie polegała w takim razie twoja wizja szczęścia? – uśmiechnęła się Yuki, jakby czytając w jego myślach. – Czy nie takiej wiecznej pogoni właśnie pragnąłeś? Inne powiedzenie mówi, że każdy ostatecznie znajduje to, czego szuka. Czemu tam nie pozostałeś?

– Czy ostatecznie wszystko nie było tylko risią iluzją? – odrzekł Piotr wymijająco.

*Iluzje? A skąd pewność, że twoje obecne życie nie jest w większym stopniu iluzją? Iluzją, w którą tak nieudolnie zresztą dałeś się zaplątać. Pomyśl! Czyż całe nasze życie nie polega właśnie na tym, że co chwilę tworzymy i odrzucamy kolejne złudzenia?*

– Czyżby? – Yuki wychwyciła fałsz w jego głosie. – Czy nie próbujesz uciec przed odpowiedzialnością? W końcu to tylko ty ostatecznie decydujesz, co jest w twoim życiu prawdą, a co złudzeniem.

– Uważasz, że *tamto* trwałoby, gdybym nie zdecydował się tutaj powrócić? Że moje obecne, prawdziwe życie i wizja Kyubimoriego po prostu zamieniłyby się miejscami? Że to – zatoczył ręką wokół – stałoby się niewyraźnym wspomnieniem? Albo że rzeczywistość rozdwoiłaby się? Albo że nigdy bym się już nie przebudził? A może tkwiłbym w tym śnie, zamknięty w jakimś bezczasie, podczas gdy tu czas stałby w miejscu? – Snuł coraz bardziej fantastyczne teorie. – To wszystko absurd!

Yuki rozchyliła usta w wąskim, drapieźnym uśmiechu, godnym samego Kyubimoriego. Jej białe, jakby lekko spiczaste zęby lśniły niepokojąco, oczy rzucały niebezpieczne błyski.

– Kto wie, może tak właśnie by było. A może jeszcze całkiem inaczej. Albo też i tak i tak, bo sztuka Kyubimoriego kieruje się własną logiką, która ma się nijak do logiki, jaką zwykliśmy przypisywać naszej codzienności. Mówiłam ci już, dzisiaj jest noc podmiany, noc lisiej magii. Kto wie, co się wydarzy.

Zapadło milczenie. Piotr bez wielkiej nadziei zaczął po raz kolejny porządkować myśli.

– Czemu wróciłeś, Piotrze? – Yuki spoważniała.

– Bo czasem czułem, jakbym śnił, a chciałem się przebudzić. Bo zapomniałem, kim jestem i kim byłem i z jakichś powodów mnie to bolało. Bo... – Piotr przypomniał sobie mądre, otrzeźwiające spojrzenie srebrnego lisa na leśnej polanie (czy był tylko snem wewnątrz snu, czy też przybyszem z jakiegoś innego miejsca?) – bo czułem, że gdzieś tam jest coś więcej – po raz kolejny wzruszył ramionami – jakaś droga, którą mógłbym odnaleźć. Jakiś inny, lepszy ja. Bo coś mi podpowiada, że warto znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nie potrafię jeszcze zadać.

Yuki pokiwała głową, w jakiś sposób usatysfakcjonowana.



– A jeśli znów staniemy twarzą w twarz z Kyubimorim i ten zaproponuje ci taki sam pakt lub inny... Jeśli podaruje ci coś, co wyda ci się w danym momencie atrakcyjne, w zamian za, powiedzmy, pozbycie się mnie – zgodzisz się?

– Nie – odparł Piotr, nie do końca może przekonany co do siły kierujących nim motywów, ale jednak wierząc, że jego deklaracja ma znaczenie.

– A więc dobrze. – Yuki wstała z miejsca. – Chodźmy, straciliśmy sporo czasu. – Musimy dorwać go, zanim dokona *podmiany*.

– Podmiany?

– Oszuka to miejsce przy pomocy twego zakorzenienia. Podszyje się pod ciebie. To znaczy nie konkretnie pod ciebie, ale... Hm... trudno to wytłumaczyć. Wniknie w głąb duszy tego miejsca, utożsami się z nim i dzięki temu, zrozumie je i okiełzna. Stworzy iluzję, która będzie czymś więcej niż iluzją, nową tożsamość. Potem będzie mógł, z pomocą swej sztuki, pełniej wykorzystać jego energię. Mówiłam ci już, dzisiejszej nocy jego magia jest szczególnie silna.

– Wiesz, gdzie go szukać?

– Nie, ale ty będziesz wiedział.

\* \* \*

Po drodze zreferował nieco dokładniej przebieg ostatniego spotkania z Kyubimorim, a także to, co nastąpiło później, łącznie z incydem z Chudzikiem. Japonka nie wydawała się niczym zaskoczona, nie zadała mu też żadnych pytań, zwyczajnie wsłuchując się z uwagą w jego słowa i od czasu do czasu potakując.

– Przemówienie Kyubimoriego... – Gdy czekali na windę, na moment powrócił do tego, co wydarzyło się jeszcze wcześniej. Spojrzał z ukosa na

Japonkę, nie do końca pewien, czy również była świadkiem tamtej sceny.

– Tak – odparła Yuki domyślnie. – Słyszałam je.

Czy rzeczywiście była tam wtedy na sali, *wraz z nim*? Wydawało się to takie absurdalne! Wygodniej było pomyśleć, że Yuki po prostu go śledziła, a on sam, zaaferowany pogonią za Katarzyną, nie zauważył jej obecności. Przypomnił sobie jednak podejrzliwe spojrzenie Ozawy. I pytanie Kyubimoriego: „Co skrywasz w swym cieniu?” Hm... może lepiej było w ogóle się nad tym nie zastanawiać?

– Kyubimori uznał za stosowne pochwalić się swoimi planami dotyczącymi centrum Nagity przed całym miastem, a następnie zaprosił innych do współpracy – powiedział Piotr na głos. – Dlaczego? Nie powinien raczej starać się zachować wszystkiego dla siebie? Nie obawia się, że straci w jakiejś mierze kontrolę nad przedsięwzięciem?

– Słyszałeś jego przemówienie. Widziałeś, jaką fascynację potrafi wzbudzić w słuchaczach, bez względu na to, o czym akurat mówi – uśmiechnęła się Japonka ironicznie. Naprawdę wierzysz, że ktoś taki mógłby stracić kontrolę nad czymkolwiek? Władza Kyubimoriego jest wpisana w samą naturę projektu. A im więcej cudzych planów, ambicji, zamierzeń zagarnie i wplącze w swoją sieć, tym lepiej dla niego. Zogniskuje je tak, by w gruncie rzeczy służyły jego celom. Efekt ostateczny będzie dzięki temu jeszcze potężniejszy.

– Hm... Centrum Kyubimoriego kondensujące energię miasta? Budujące swą moc z ambicji kielczan? Brr... Ale jednak czy to trochę nie za bardzo fantastyczne?

Yuki nie odpowiedziała.

Drzwi windy rozsunęły się. Weszli do środka.

Kiedy stali w windzie, Piotr niespodziewanie przypomniał sobie *yūrei*. Jak to powiedziała wtedy Yuki? Bezbronna, wrażliwa dusza

wykorzystywana zarówno za życia, jak i po śmierci. Zagubiona – najpierw we własnej bezradności, potem we własnej krzywdzie, dopóki Yuki litościwie nie przebudziła jej z letargu. Czy przebudzenie musiało nadejść tak późno?

Czy on sam – na długo przedtem zanim na jego drodze pojawił się Sho Kyubimori i przywołane przez niego demony – również nie zapadł w piętrową iluzję, dziwny sen na jawie, niepokojące oderwanie od samego siebie? I jeśli tak, to czy w jego przypadku przebudzenie mogło nastąpić wcześniej?

Drzwi windy otworzyły się. W holu było już znacznie luźniej, choć wciąż pałętały się tutaj niedobitki uczestników bankietu. Yuki i Piotr przemknęli niczym duchy przez salę, omijając lekko podpitych mężczyzn w garniturach i ich nieco znudzone już towarzyszki w wieczorowych kreacjach.

– Piotr?

Kobiecy głos dopadł go, gdy niemal już zanurzał się w bezpiecznych czeluściach bocznego korytarza. Stał w miejscu, jak wryty.

*Ostatecznie znajdujemy dokładnie to, czego szukamy.*

Gdy się odwracał, spojrzenia jego i Yuki przypadkiem zetknęły się. Japonka studiowała go z pochmurną fascynacją, oczy dziewczyny odbijały całe jego zmieszanie i zaskoczenie.

Odwrócił się, nie do końca gotów na spotkanie z duchem (lub też to może on sam był duchem – wszystko już zaczynało mu się plątać).

Katarzyna podeszła szybkim krokiem. W jej ruchach dało się zauważyć nerwowość, niepewność malowała się na twarzy. Zazwyczaj doskonale kontrolowała emocje. Co wytrąciło ją z równowagi? Czy tego wieczoru również dała się zaczarować Kyubimoriemu? Jaki przeżyła sen lub

koszmar? Czy – w jakiś niewyobrażalny sposób – mogła dzielić z nim londyńską wizję?

Przez krótką chwilę stali niezdecydowanie naprzeciwko siebie. W końcu to Katarzyna odezwała się jako pierwsza.

– Cześć, widziałeś gdzieś Sho? – wypowiedziała te słowa lekkim tonem, jak zawsze, ale Piotr bez trudu dostrzegł czające się za nimi napięcie. Czujność, z jaką wpatrywała się w jego twarz, jakby starała się odczytać najdrobniejsze nawet potwierdzenie... tego, że coś jednak się wydarzyło.

– Nie – odparł ze spokojem, na jaki do tej pory nigdy nie mógł się zdobyć w jej obecności. – Coś się stało?

Katarzyna utraciła resztkę kontroli nad swoją mimiką, stojąc naprzeciwko niego coraz bardziej skonfundowana, nie będąc w stanie dobrać odpowiednich słów.

I tak jak w niej narastała panika, w nim narastał spokój. Co ostatecznie jeszcze mogło go wyprowadzić tej nocy z równowagi?

– Przydarzyło mi się coś dziwnego – wydukała wreszcie Katarzyna. – Czy... Czy moglibyśmy porozmawiać?

Tak, pomyślał, z pewnością. I w trakcie tej rozmowy to on miałby przewagę (czy nie o to przecież zawsze chodziło w ich relacjach: o wieczną grę, kto miał nad kim przewagę, kto na kim zrobił większe wrażenie, kto był dla kogo bardziej atrakcyjny?). Kto wie, może nawet znów wylądowaliby razem w łóżku? Może wszystko zaczęłoby się od początku, tym razem *naprawdę*? Jeśli nawet stracił swoje miejsce *tutaj*, może właśnie zyskiwał niespodziewaną szansę na powrót do *Londynu* z wizji? Czy też jakiegokolwiek innego Londynu? Albo przynajmniej do jakiejś tam *Warszawy*?

Błękitne oczy Katarzyny wpatrzone w niego z oczekiwaniem... Wciągające niczym labirynt. Niekończąca się spirala...

Lekko obrócił głowę, przypomniawszy sobie o Yuki. Stała kilka kroków za jego plecami, przy samych drzwiach, niepozorna niczym duch. Z jej oblicza można było odczytać obojętną rezygnację. Zapewne usiłowała stworzyć teraz jakiś plan awaryjny, który umożliwiłby jej odnalezienie Kyubimoriego bez jego pomocy. Przypuszczalnie byłoby to trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe – z całą pewnością był jej potrzebny. Dlaczego w takim razie nie interweniowała? Czy nie zależało jej na powodzeniu własnej misji? Czyżby aż do tego stopnia pochłonął ją własny fatalizm?

Jak to powiedziała dziesięć minut wcześniej? W gruncie rzeczy, to tylko on decyduje...

Nagle ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że rzeczywiście może dokonać wyboru. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważył?

– Wybacz. – Szybko odwrócił się do Katarzyny. – Mam teraz coś bardzo ważnego do załatwienia. Jutro porozmawiamy, dobrze? Jeśli spotkam Sho, przekażę, że go szukałaś.

Katarzyna spojrzała na niego jakby zaskoczona, ale w końcu tylko skinęła głową.

Obrócił się na pięcie i z powrotem ruszył ku przejściu. Niemal w namacalny sposób czuł, jak z każdym krokiem oddala się od labiryntu.

– Dzięki – mruknęła Yuki, gdy szli obok siebie korytarzem. – Myślałam, że z nią zostaniesz.

– Też tak myślałem. – Uśmiechnął się pod nosem.

Odebrali płaszcze z szatni i wyszli na zewnątrz. Śnieg wciąż padał, zaścielając ulice coraz grubszą warstwą. Piotr zapałzył się w górę, pozwalając, by kilka płatków osiadło mu na twarzy. Ich zimno przyniosło ulgę i otrzeźwienie. W sumie, pomyślał, mogłoby tak padać bez końca.

Westchnął i jeszcze raz zatoczył spojrzeniem wokół. Cały czas czuł dziwne rozdwojenie. Z jednej strony, nie stracił przecież swojej orientacji

w terenie, z drugiej, ten teoretycznie znajomy widok nadal wywoływał w nim poczucie obcości. Czy z wszystkimi miejscami będzie podobnie? I jeśli nawet, to co z tego właściwie wynikało? Czy rzeczywiście pozbył się czegoś, czego nie powinien był się pozbywać?

– Dlaczego to ma aż takie znaczenie? – wykrzyknął zirytowany. – To przecież tylko prowincjonalne miasto, jakich wiele! Mogłem być się wychować równie dobrze w Rzeszowie, Radomiu czy Sandomierzu. Przenieść do Warszawy, jak Katarzyna, albo do Poznania, jak Leszek! Czemu czuję się, jakbym tracił powoli...

– Samego siebie? Przecież wiesz...

Drgnął zdziwiony, słysząc cichy głos Japonki, choć przecież cały czas zdawał sobie sprawę, że tamta znajduje się tuż obok i go słucha. Obrócił się powoli. Yuki stała trzy kroki dalej. Śnieg posrebrzył jej włosy; wyglądała niczym postać z jakiejś orientalnej baśni.

– Przecież wiesz. Tu nie chodzi o to miasto na zewnątrz – zatoczyła ręką wokół – ale to wewnątrz ciebie. I nie o samo miasto, lecz o twoje miejsce w czasie i przestrzeni. O okruchy codzienności, które sprawiły, że jesteś tym, kim jesteś. Takim, jakiego widzą cię inni, ale również takim, jakiego na co dzień nie dostrzegają. I takim, jakim mógłbyś być. Oczywiście, w ciągu całego naszego życia nieświadomie i niedostrzegalnie, lecz bezustannie tracimy jakąś część siebie. Przez nasze zagonienie, nieuwagę, a często zwykłą głupotę ciągle zamykamy jakieś drzwi. Zawężamy gamę potencjalnych możliwości. Ty, dzięki Kyubimoriemu, przynajmniej jesteś w stanie wyraźnie *poczuć* własną stratę. I kto wie, może nawet, z moją pomocą, uda ci się coś odzyskać.

– Zrobię to. – Piotr skinął głową. – W pewnym sensie chyba powinienem być wdzięczny Sho. Dzięki niemu – i tobie – byłem w stanie uświadomić sobie kilka spraw. Poczuć niepokój, który powinienem czuć.

I zatęsknić za przebudzeniem – dodał w myślach.

– Cóż – mruknęła Yuki sarkastycznie – cieszę się, że dzięki mnie przynajmniej poczułeś niepokój. W rzeczy samej, często wzbudzam go w ludziach, ale przeważnie nie są mi za to bynajmniej wdzięczni...

Potrząsnęła głową, strącając z włosów drobinki bieli. Zagadkowa protagonistka tradycyjnej japońskiej opowieści o duchach, demonach, zdradzie i niezmiernych namiętnościach, dziwnym zrządzeniem losu osadzonej w mieście Marcina Borowicza i Andrzeja Radka.

Civitas Kielcensis Monogatari. CK Monogatari.

Jak zatytułowałyby ten obraz? Monochromatyczny fatalizm? Smutek w bieli i czerni?

– Czemu tu przyjechałaś? – zapytał, tknięty impulsem.

– Mówiłam ci już, na samym początku. Przysłali mnie tu ludzie, którzy...

– Nie pytam o ludzi, którzy cię przysłali. – Piotr wszedł jej w słowo – Czemu chcesz powstrzymać Kyubimoriego? I czy w ogóle chcesz go powstrzymać?

Yuki drgnęła i popatrzyła na niego zdziwiona. Aż tak bardzo zaskoczyło ją, że Piotra może obchodzić coś więcej niżli tylko własne zagubienie?

– Wybór działań, które w danym momencie możemy podjąć – odrzekła obojętnie – jest zawsze w taki czy inny sposób ograniczony przez różnego rodzaju okoliczności. W większości przypadków, jeśli staramy się żyć świadomie, pozostaje w miarę sensowny i na tyle szeroki, by zapewnić nam poczucie względnej wolności. Są też tacy jak Kyubimori, którzy są w stanie podążać niemal każdą możliwą ścieżką. Na drugim końcu skali – być może dla zachowania równowagi albo z jakiś innych przyczyn, albo w ogóle bez przyczyny – znajdują się tacy jak ja. Tak naprawdę, rzecz jasna, niezbyt mnie obchodzi, kto zwycięży w *keiretsu* Nagity ani też nawet, co stanie się

z wioską Oda. Daleka jestem od tego, by życzyć powodzenia ludziom, którzy mnie przysłali. Ale w tym momencie akurat nie mam wielkiego wyboru. Nie żeby ktokolwiek mnie do czegoś zmuszał. Po prostu nie jestem w stanie wymyślić niczego innego, co mogłabym zrobić...

– Hm...

– Ktoś mógłby zasugerować – uśmiechnęła się Yuki przekornie – że w podobnych sytuacjach zawsze pozostaje jeszcze tradycyjne japońskie seppuku. No cóż, ono również wymaga trochę większego zaangażowania i przekonania niż to, na które byłabym w stanie się zdobyć. Poza tym, nie cierpię tradycji.

– Cóż... – Piotr nie za bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Pewnie zastanawiasz się, czy warto powierzać swój los sojusznikowi o tak niepewnej motywacji? – westchnęła Yuki współczująco. – Chyba nie masz większego... no właśnie, wyboru. Obiecuję jednak, że cokolwiek wydarzy się pomiędzy mną, Kyubimorim i innymi siłami zamieszanymi w tę sprawę, postaram się, byś odzyskał to, co utraciłaś.

– Cóż, dzięki – mruknął Piotr.

Wsiadli do samochodu. Piotr włączył wycieraczki, ale uznał, że nie ma sensu tracić czas na odśnieżanie dachu ani maski.

– Gdzie teraz? – zapytał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Gdzie teraz? – odpowiedziała jak echo Japonka.

Zapadła chwila milczenia. Piotr wyłączył wycieraczki.

– Wczuj się w Kyubimoriego – dodała po chwili Yuki. – Wczuj się w siebie...

*Oddaję ci cienie mojego dzieciństwa...*

– Myślę, że zaczął od mojego domu. To znaczy od mieszkania moich rodziców. Domu mojego dzieciństwa.

– Czy miałeś kiedykolwiek inny?



Piotr na moment zagapił się w przestrzeń. Przed oczyma przewinęły mu się niewyraźne wspomnienia; pokój akademika, w którym mieszkał z kolegą przez trzy lata podczas studiów; nieco bardziej schludne wnętrze mieszkania wynajmowanego w Londynie wraz z kumplem, wreszcie jego obecny, w porównaniu do tamtych luksusowy wręcz apartament. Ale nawet on nie był domem. Jego duch prawdopodobnie do tej pory nawiedzał M-4 rodziców przy ul. Nowowiejskiej, podczas gdy wszędzie indziej to on sam był co najwyżej duchem.

– Tak... – Zdał sobie sprawę z pewnym zaskoczeniem. – Rzeczywiście, miałem tylko jeden dom.

– Dobry i jeden. Niektórym nawet i to nie było dane – westchnęła Yuki.  
– No dobra, myślę, że Kyubimori istotnie zaczął od niego. To daleko?

– Chyba już zauważyłaś, że tutaj nic nie jest daleko – uśmiechnął się krzywo Piotr.

– Obyś się nie mylił. – Japonka spojrzała na niego ironicznie. – A więc jedźmy.

## *Yuki No Monogatari*

Pięć minut później i dwa skrzyżowania dalej zatrzymali się na osiedlowym parkingu przed dziesięciopiętrowym blokiem, w którym Piotr spędził swe dzieciństwo. Przez chwilę czarny lexus kluczył pośród podłużnych bałwanów, w jakie zamieniły się samochody mieszkańców. Sporo ich przybyło od czasu, gdy Piotr był tu po raz ostatni. Wreszcie udało mu się wcisnąć auto koło śmietnika.

Spróbował przypomnieć sobie, jak to wszystko wyglądało, gdy był dzieckiem. Trochę syrenek, kilka małych i dużych fiatów? Jakiś trabant, jakiś wartburg i chyba nawet jeszcze jakaś archaiczna warszawa? Biała czy niebieska? Hm... Zdenerwowało go, że nie może sobie przypomnieć... A potem pojawiły się polonezy, wreszcie kontyngenty bezcłowe oraz używane auta sprowadzane z zachodu i parking coraz bardziej zaczął się zapełniać.

Nigdy jednak nie było na nim tak tłoczno jak teraz.

– Kurczę, to rzeczywiście blisko – przyznała Japonka, gdy zgasił silnik.

– Kielce to nie Tokio, już chyba zdążyłaś zauważyć. – Piotr wyszedł z lexusa i stanął naprzeciwko szarej płaszczyzny bloku.

Dalej go nie odmalowali, zakonotował odruchowo.

– Co czujesz?

– Nie wiem – zawahał się. – To miejsce wydaje mi się obce... ale jednocześnie znajome... Jakby...

– Jakby twój umysł nie mógł zdecydować, jaką rzeczywistość powinien postrzegać – dokończyła Yuki. – Myślę, że Kyubimori tutaj jest i właśnie próbuje ją zmienić. Chodźmy.

Piotr pobieżnie zlustrował wzrokiem rzędy samochodów – nigdzie nie było widać czarnego bmw Kyubimoriego, ale tamten mógł oczywiście dla niepoznaki zaparkować gdzieś dalej.

Śnieg przyjemnie chrzęścił pod stopami. Piotr zdał sobie sprawę, że od czasu, kiedy sprzedał mieszkanie synowi sąsiadów sześć lat wcześniej, ani razu nie pojawił się w pobliżu tego podwórka, chociaż raptem znajdowało się niecały kilometr od jego obecnego miejsca zamieszkania.

Wokół było prawie całkiem pusto. Na placu zabaw jakaś kobieta spacerowała z psem. Niewielki, bury kundel z rozpędu wpadł w zaspę i właśnie próbował się z niej wygramolić.

Piotrowi wydało się, że widział już kiedyś tą scenę. A może tylko bardzo podobną? Dziesięć, piętnaście lat temu? Jeszcze dawniej? Czy mogła to być ta sama kobieta z tym samym psem? Czy też dziesiątki kobiet i kundli zlały się w jeden archetypiczny obraz?

– Mam dziwne wrażenie... – nie dokończył, nie wiedząc, jak ubrać w słowa swój niepokój.

– O tak, z pewnością – skomentowała Yuki z tajemniczo-zdystansowanym uśmiechem, który zdążył już dobrze poznać. – Przygotuj się na wiele dziwnych wrażeń.

Odszukał wzrokiem dziesiąte piętro i okna dawnego mieszkania rodziców. W kuchni paliło się światło. Tak łatwo było sobie wyobrazić, że nadal krzątają się tam państwo Jaskulscy.

I tak trudno.

– Jaki to ma właściwie wszystko sens? – Zatrzymał się przed klatką schodową. – Co niby robi Kyubimori? Zapuka do drzwi Zawadzkich

i spyta, czy nie mógłby poodprawiać w ich mieszkaniu trochę czarów?

– Sporo już widziałeś dzisiejszej nocy. Powinieneś się domyślić, że Kyubimori nie będzie poruszał się do końca w tej samej przestrzeni co obecni mieszkańcy bloku. My zresztą również, jeśli chcemy pójść jego śladem.

– Czego w takim razie powinienem się spodziewać?

Japonka wzruszyła ramionami.

Nienaoliwione drzwi wiatrołapu zaskrzypiały. Piotr specjalnie się nie zdziwił stwierdzając, że uszkodzony jeszcze bodajże przed jego wyjazdem na studia domofon nadal nie został naprawiony.

Weszli do środka, otrzepując śnieg. Wciąż nie mógł się zdecydować, czy miejsce to jest dla niego całkiem obce, czy też wręcz przeciwnie – przesiąknięte setkami wspomnień.

Powoli pokonał pierwszy rząd schodów, napięty i uważny, jakby podświadomie oczekując tego, iż nagle skądś wyskoczy na niego z wrzaskiem Kyubimori.

Wszedł na parter i stanął naprzeciwko windy. Przy przycisku paliła się cyfra 7. Już miał go nacisnąć, ale Japonka złapała go za rękę. Spojrzał na nią pytająco.

– Nie windą – wyjaśniła. – Za szybko, za gwałtownie. W ten sposób wszystko przegapimy. Windy gubią to, co najistotniejsze. Upraszczają przestrzeń. Schody mają znaczenie symboliczne, można nimi odbyć prawdziwą wędrówkę.

– Tak? – mruknął Piotr sceptycznie. – Czy nam się przypadkiem nie spieszy?

– Jeśli pojedziesz windą, na pewno nie odnajdziesz Kyubimoriego. Tacy jak on unikają wind. A pośpiech, i owszem, jest wskazany, ale zwykły linearny pośpiech nic ci tu nie pomoże.

Piotr wzruszył ramionami i ruszył jako pierwszy.

– Uprzedzam, że to dziesiąte piętro.

– Albo nawet dalej. Ale o mnie się nie martw. Jestem przyzwyczajona.

Też zazwyczaj nie korzystam z wind.

– Hm... – Minął pierwszy załom schodów.

– Zaczekaj! Idziesz w złym kierunku...

– Co? Idę przecież na górę.

– Idź w stronę Kyubimoriego. W stronę siebie.

– Jasne.

\* \* \*

Błysk! Zatrzymał się w pół kroku. Cóż za dziwaczne wrażenie! Zaraz, zaraz...

Kim właściwie jestem, do ciężkiej cholery! Gdzie jestem? No i... *kiedy* jestem?

Mam na imię Piotrek, zdołał sobie w końcu przypomnieć. No tak, Piotrek. Kurna, no właśnie.

Wrażenie kompletnego zagubienia w rzeczywistości trwało zapewne tylko ułamek sekundy, ale w tym ułamku sekundy naprawdę kompletnie się zatracił. Rany! Stracił na moment przytomność? Uderzył się w głowę?

Stopniowo odzyskiwał *tu i teraz*. Wyciągnął rękę i dotknął pomalowanej niedawno (ale lekko już odrapanej) ściany. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu. Mam na imię Piotrek, powtórzył w duchu po raz kolejny, niczym mantrę. Skończyłem właśnie siedemnaście lat, chodzę do Sawickiej do trzeciej klasy, a to klatka bloku, w którym mieszkam razem z rodzicami...

Niepewnie podszedł do okna na półpiętrze. Szyba była niemiłosiernie pobrudzona i na dodatek pobazgrana, ale dało się wyjrzeć na zewnątrz.

Widok taki jak zawsze – światła choinek w oknach stojących naprzeciwko bloków (no fakt, zbliżały się przecież święta), a poniżej parking. Ich własny, czerwony polonez karo też stał tam, gdzie powinien, obok dwóch innych, niemalże identycznych polonezów. Podwórko było prawie puste, chodziła po nim tylko jakaś kobieta z małym pieskiem.

No dobra. OK. Wszystko się zgadzało. Co w takim razie się wydarzyło? Rodzice wysłali go na spóźnione zakupy do delikatesów (były otwarte dłużej niż inne spożywczaki). Zbiegał właśnie po schodach, gdy...

No właśnie? Stracił na moment przytomność? Urwał mu się film?

Ach tak! Przez moment wydawało mu się, że jest kimś zupełnie innym. Co to właściwie było, sen na jawie czy też wspomnienie snu?

Nazywam się Piotr Jaskulski, skończyłem właśnie 17 lat...

Ale czy aby na pewno?

\* \* \*

Zatrzymali się na trzecim piętrze i spojrzeli po sobie.

– Wyczuwasz coś? – zapytał Yuki.

– Nic. A ty?

– A powinienem? Z nas dwojga to ty znasz się na... hm... – Piotr zastanawiał się, jak uniknąć słowa magia – ...tych anomaliiach.

– Ale to w twoim życiu grzebie Kyubimori. Teraz, gdy wciąż jeszcze wszystko jest na rozdrożu, powinieneś go wyczuć.

Piotr wzruszył ramionami.

– No dobra – mruknęła Yuki. – Cofnijmy się do punktu wyjścia i spróbujmy jeszcze raz.

– Coś czuję, że nachodzimy się po tych schodach – skrzywił się, ale posłusznie zawrócił.

Przeszli odcinek pomiędzy pierwszym a trzecim piętrem jeszcze dwa razy; ku uldze Piotra w dalszym ciągu na nikogo się nie natknęli. W oczach mieszkańców bloku wyglądałoby na raczej niecodziennych intruzów. Banda wyrostków, kopających papierosy i przeklinających na półpiętrze, para pijaczków rozgrzewających się alkoholem – to były klimaty rozumiane i – z konieczności – w zasadzie akceptowane przez tubylców. Gdyby było inaczej, w końcu sprawiliby sobie przecież domofon, czyż nie?

Piotr przypomniał sobie, jak kiedyś, w czasach licealnych, zbiegał wraz z Romkiem Klichem po bliźniaczo podobnej klatce schodowej w sąsiednim bloku, gdzie tamten mieszkał. Nieoczekiwanie drogę zatarasowało im dwóch amatorów taniego wina. Siedzieli sobie na schodach przy butelce, zapomniawszy o całym bożym świecie. Piotr bezceremonialnie przeskoczył ponad skromną libacją, podczas gdy usiłujący powtórzyć jego manewr kumpel niezdarnie spadł w sam jej środek. Butelka przewróciła się, czerwony płyn ściekał po stopniach. Romek zatrzymał się i tknięty wyrzutami sumienia, zaczął przeproszać i bredzić coś o odkupywaniu alkoholu. Piotr nie podzielił ogólnoludzkiej solidarności i życzliwości kolegi (widać już wtedy miał w sobie zadatki na bezwzględnego, kierującego się kalkulacjami menadżera) i niemal na siłę odciągnął go od zakłopotanych intruzów.

Tak, to były zwyczajne, swojskie i zrozumiałe klimaty. Natomiast młoda Azjatka i facet w eleganckim płaszczu kręcący się w kółko po schodach wzbudziłiby zapewne znacznie większą konsternację i – być może – podejrzliwość.

– Chwila przerwy – zasugerowała Yuki po kolejnym, nieudanym w jej ocenie podejściu.

– Nie możemy po prostu wejść na dziesiąte piętro? – burknął zniecierpliwiony Piotr. – On przecież tak czy inaczej musi gdzieś tam być!

Japonka potrząsnęła w roztargnieniu głową.

– To nic nie da – wyjaśniła cierpliwie. – Przestrzeń ma swoje niuansy. Poza tym istotne jest, żebyś wszedł tam we właściwy sposób. Nawet najbardziej trywialne czynności powinno się wykonywać we właściwy sposób. Większość problemów w naszym życiu w gruncie rzeczy bierze się stąd, że tego nie robimy.

– Co znowu – jęknął Piotr. – Zen a sztuka wchodzenia po schodach? Chyba naprawdę mam już tego dosyć. We właściwy, to znaczy jaki?

– Sam musisz to odkryć – odrzekła enigmatycznie Yuki. – Usiądźmy. Muszę zebrać myśli. A ty musisz się uspokoić i skoncentrować. Pośpiech nic ci nie da. Ani panika. Przestań myśleć o Kyubimorim, a pomedytuj raczej nad tym, kim byłeś i kim się stałeś. No i jak jedno ma się do drugiego.

– Jasne – burknął Piotr. Zirytowany potoczył spojrzeniem wokół. Odczekał chwilę, w nadziei, że coś może jednak się wydarzyć.

Nic się nie wydarzyło.

– No dobra – westchnął z rezygnacją. – Spróbuję.

Usiedli obok siebie na półpiętrze. Japonka znów zrobiła się jakby nieobecna.

– Na co czekamy? – zapytał.

– Może Kyubimori uczyni jakiś gwałtowniejszy ruch, coś, co pozwoli mi go „namierzyć”. Hm... Mam wrażenie, że coś cię powstrzymuje, że tak naprawdę nie chcesz tu powrócić. Nie lubiłeś swojego dzieciństwa? Chyba nikt nie molestował cię ani nie bił?

– Nie – roześmiał się Piotr. – Po prawdzie, to nie przeżyłem chyba niczego choćby zbliżonego do traumy. Moje dzieciństwo było raczej spokojne. I nudne, jak się zastanowić. Tak w każdym razie oceniam to z obecnej perspektywy. Pamiętam też, że nie lubiłem specjalnie być



dzieckiem. Cały czas marzyłem o tym, kiedy wreszcie dorosnę i stanę się samodzielny.

– Większość dzieci o tym marzy. Ale kiedy już dorosną, tęsknią za utraconym dzieciństwem, krainą mitycznego szczęścia, której tak naprawdę nigdy nie było... Tobie nigdy się to nie zdarzyło?

– Może czasem, za pojedynczymi chwilami. Ale nigdy nie chciałem tam powrócić. Bycie dzieckiem jest frustrujące. Dziecko w jeszcze mniejszym stopniu może o sobie decydować niż dorosły. Ale ludzie, którym się nie powiodło lub którzy z jakiś względów nie są zadowoleni ze swego obecnego życia, lubią karmić się iluzją, że przynajmniej w dzieciństwie byli szczęśliwi.

– Hm... Mam rozumieć, że ty *jesteś* zadowolony ze swego obecnego życia? – Yuki spojrzała na niego spod oka.

– Niespecjalnie, ale też i nie tragizuję. Podejrzewam, że w gruncie rzeczy życie ze swej natury nie jest czymś, z czego można być w pełni zadowolonym. Nie tak, jak to sobie wyobrażamy w młodości. W każdym razie moje życie, bo czasem zdaje mi się też, że moi rodzice byli względnie szczęśliwi, chociaż żyli w cięższych czasach. Hm... Czasem zastanawiam się: dlaczego.

– Tęsknisz za nimi?

– Oczywiście. – Wzruszył ramionami. – A ty? Jakie było twoje dzieciństwo? I twoi rodzice?

Japonka zapatrzyła się gdzieś przed siebie. Był prawie pewien, że nie odpowie.

A jednak, ku jego zdziwieniu, krystaliczny głos rozpoczął po chwili swą opowieść.

– Urodziłam się w Tohoku, na północy Honsiu, w niewielkiej wiosce, gdzie od wieków kultywuje się pewne hm... niezwykle umiejętności. Jeśli

społeczeństwo japońskie uchodzi za tradycyjne, to mieszkańcy wioski Oda są tradycjonalistami do kwadratu. Rodziców nie znałam. Ojciec był... przybyszem z zewnątrz, który wdał się w przelotny i – prawdopodobnie – niezbyt szczery romans z córką jednego z przywódców klanu. Był hm... intruzem – myślę, że to najwłaściwsze słowo. Myślę, że chciał poznać tajemne techniki, będące w naszym posiadaniu. Podejrzewam też, że nigdy nie dowiedział się o moim istnieniu. Nie żeby mogło go to potencjalnie obchodzić.

Zgasło światło. Ani Piotr, ani Yuki nie uznali za stosowne podnieść się z miejsca, żeby zapalić je na nowo.

– Matka zmarła wkrótce po moich narodzinach – kontynuowała Japonka. – Oficjalna wersja głosi, że nie mogła znieść swej hańby. Moim zdaniem po prostu rozsądnie uznała, że w jej sytuacji śmierć jest, mimo wszystko, nieco lepszą ewentualnością niż życie. Nie popełniła samobójstwa, po prostu zwiędła jak piękny, ale niepraktyczny kwiat. Właściwiej byłoby, oczywiście, jednak popełnić samobójstwo, no ale czegoż można wymagać od takiego słabeusza?

Ja sama byłam jej w najlepszym razie obojętna. Bohaterka filmu lub książki pewnie opowiedziałyby ci w tym miejscu o jakiś pięknych, choć niewyraźnych wspomnieniach związanych z matką o ciepłe czy zapachu włosów; ja nie mam żadnych, sorry.

Ciekawie wygląda w półmroku, skonstatował od niechcienia Piotr. Ciemna sylwetka snująca baśniową opowieść...

– Zajął się mną po trosze rodzina wuja, po trosze cała wioska. Wuj Kiso i ciotka Ame, odchowali już własne dzieci i mieszkali sami w dużym domu na skraju lasu. Bez entuzjazmu, ale z należytą pieczołowitością wypełnili niewdzięczne zadanie zaopiekowania się niebezpiecznym bękartem. Myślę, że od początku nie przepadali specjalnie za moim

towarzystwem i kiedy tylko trochę podrosłam, zachęcali mnie, bym zajmowała się sama sobą. Dzieci wyczuwają takie rzeczy. Często więc byłam samotna, ale w końcu polubiłam tę samotność. Hm, to dość nietypowe. Japończycy mają do samotności raczej podejrzliwy stosunek. I niezbyt też umieją sobie z nią radzić. Wy chyba jesteście w tym znacznie lepsi. Sądząc po tobie, w każdym razie.

– Ja wiem, czy jestem człowiekiem szczególnie samotnym? – zastanawiał się Piotr. – Wszyscy po trochu tacy jesteśmy, w ten czy inny sposób. Chyba. Tak wiem, banał. Samotność jest banalna. Życie jest banalne. A my? Hm... Może nie uważamy samotności za coś szczególnie niezwykłego, ale też i rzadko przedstawiana jest jako szczyt marzeń. Jak naprawdę zbadać, czym różni się samotność polska od japońskiej? Tokijska od kieleckiej? Każdy pieczołowicie hołubi własną. Trudno mi też porównywać twoją sytuację z moją. Miałem generalnie szczęśliwe dzieciństwo, kochających rodziców, niezłych kumpli, uczynnych kolegów w szkole, znośną pierwszą miłość... A jednak jestem raczej samotny. Rozsądek podpowiada, że nie ma w tym żadnego fatum – ot, widać sam sobie wybrałem takie życie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie ma sensu zwalać winy na okoliczności. Ale, rozumiem, że czasem jest inaczej. Tak jak w twoim przypadku... I pewnie tak jest trudniej...

– Cóż... Nauczyłam się nie spoglądać z zazdrością, gdy inni odprawiali swe rodzinne rytuały, te prywatne i te publiczne. Gdy moje koleżanki, ubrane w nowe, piękne kimona, szły trzymane za ręce przez rodziców na festiwal *Shichi-Go-San*, gdy robiono im fotografie. Wiesz, nie mam chyba ani jednego zdjęcia jako dziecko – nikt jakoś o tym nie pomyślał. Z drugiej strony nie pamiętam też jakichś specjalnie traumatycznych przeżyć z tamtego okresu – nikt mnie nie bił, ani nie gwałcił, więc chyba trafiło mi się lepiej niż wielu innym sierotom. Sadzę, że miałam też więcej swobody

niż moi rówieśnicy. Tak długo, jak nie sprawiałam kłopotu i robiłam z grubsza to, co do mnie należało, wszyscy przeważnie z ulgą o mnie zapominali. Z czasem zaczęło mi to coraz bardziej odpowiadać. Tak naprawdę to w końcu przykro było mi tylko z powodu psów i kotów...

– Psów i kotów?

– Ani jedne, ani drugie nie lubiły mnie, chociaż rozpaczliwie próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić. Psy zawsze zaczynały ujadać, jak tylko znalazłam się w pobliżu, a koty spoglądały na mnie z podejrzliwością i trzymały się z daleka. Tak więc nawet domowe zwierzaki pozostawiły mnie samej sobie.

Jak już wspominałam, nie traktowano mnie źle, chociaż, jak zdałam sobie z tego sprawę później, ze względu na moje pochodzenie, od początku podchodzono do mnie z obawą, z nieufnością. W zasadzie trudno mieć o to do kogokolwiek pretensje.

Cały czas jednak szkolono mnie we wspomnianych już umiejętnościach z założeniem, iż gdy zajdzie taka potrzeba, pomimo statusu bękarta, z należytą pokorą wypełnię swoje powinności, próbując w ten sposób odkupić słabość mojej matki. I tu ze skruchą muszę wyznać, że ich zawiodłam. Rację mieli ci, którzy nigdy mi nie ufali. Przypuszczam, że musiałam odziedziczyć buntowniczy charakter i egoizm po ojcu. Od samego początku zwyczajnie nienawidziłam wioski i jej tradycji. Mierziło mnie zwłaszcza moje szkolenie. Szczerze powiedziawszy, nie cierpię całej tej, jakbyś to powiedział, magii.

– Nie? – grzecznie zdziwił się Piotr.

– Nie. Podejrzewam, że przez przekorę zawsze pociągało mnie wszystko to, co racjonalne, techniczne, nowoczesne. Nawet w Odzie dzieci muszą chodzić do państwowej szkoły; moimi ulubionymi przedmiotami były zawsze matematyka i fizyka. No i oczywiście rysunek. Chociaż z drugiej

strony, to właśnie z Ody wyniosłam zainteresowanie przestrzenią i różnymi jej niuansami. Tyle że zawsze pragnęłam je wykorzystać w hm... bardziej racjonalny sposób.

Kiedy skończyłam czternaście lat, uznałam, że mam już tego wszystkiego dosyć i zviałam z wioski. Na szczęście miałam gdzie. W Tokio mieszkała młodsza siostra mojej matki, Makoto. Trzy lata temu umarła na raka; bardzo mi jej brakuje. Też niepokorna dusza, pozwolono jej na trochę więcej, gdyż nie odziedziczyła żadnych ze zdolności mojej rodziny – w przeciwieństwie do mojej matki i do mnie. Została nauczycielką w liceum. O dziwo, starszyzna z Ody pozwoliła mi z nią zamieszkać. Może doszli do wniosku, że kontynuując szkolenie stałabym się zagrożeniem? Przypuszczam, że obserwowali z daleka moje poczynania. A ja nie używałam umiejętności, które wyniosłam z wioski. Hm, no dobra, powiedzmy, że nie nadużywałam. Chciałam być zwykłą nastolatką. I w jakimś sensie mi się to udało... chociaż nie do końca. Może wpłynęły na to doświadczenia dzieciństwa, a może taki już mam charakter, ale w dalszym ciągu byłam samotniczką. A nie jest łatwo być samotnikiem w Japonii. Zwłaszcza w liceum, z tymi wszystkimi grupami rówieśniczymi. Z presją, jaka wywierana jest na ciebie i z góry, i z dołu, i z boku. Coś się jednak zmieniło. Może nie byłam teraz pełnoprawnym członkiem żadnej grupy, ale nie byłam też i zupełnym pariasem; nauczyłam się egzystować gdzieś na obrzeżu. Sprawiać, by inni mnie tolerowali.

Skończyłam liceum, potem dostałam się na studia na architekturę. Ten czas wspominam najlepiej. Często mówi się, że studia to jedyny okres, gdy człowiek może być wolny. Przynajmniej w Japonii. Takie interludium pomiędzy wyścigiem, dwiema w sumie podobnymi formami sformalizowanego niewolnictwa, jakie stanowią szkoła i praca. Na studiach natomiast można pobyć trochę sobą, oczywiście też bez przesady. Nikt

jednak nie kontroluje cię tak pieczołowicie, jak wcześniej i potem. W każdym razie był to okres, gdy niemalże uwierzyłam w siebie. Znalazłam paru niemal przyjaciół, a w każdym razie dobrych kolegów, no i po raz pierwszy w życiu, pomijając bardzo wczesne dzieciństwo, miałam swoje własne marzenia. Chciałam zostać słynnym architektem i projektować wieżowce.

– Wieżowce? – zdziwił się Piotr. – Hm... osobliwe marzenie.

– No nie takie zwyczajne wieżowce. Zielone. Ekologiczne. Tarasy, ogrody, drzewa pośród szklanych fasad... Są już takie projekty koncepcyjne, ale na razie nie podjęto poważniejszych realizacji. Chciałam być jednym z prekursorów nowego trendu.

– Dziwna koncepcja...

– Ale sensowna. Chodzi o to, żeby w harmonijny sposób pogodzić cywilizację i naturę...

– Zgodnie z japońską tradycją... – domyślnie podpowiedział Piotr.

– Hm... – W głosie Yuki wyczuł ironię. – Może i w zgodzie z tradycją, ale na pewno wbrew współczesności. Byłeś w Tokio?

– Tak – odrzekł ostrożnie Piotr. – Bardzo nowoczesne miasto...

– Akurat. To zabawne, jak ludzie zachodu dają się zwieść własnym wyobrażeniom na temat Japonii, gdy wreszcie ją odwiedzają. Powiedziano im, że Japonia jest nowoczesna a jednocześnie pełna harmonii, no i posłusznie widzą wszędzie... harmonię i nowoczesność. A rzeczywistość? Druty elektryczne na zewnątrz budynków, wszechobecne słupy z betonu i bilbordy wykorzystujące ostatni skrawek przestrzeni. No i te betonowe klocki. Kilka niedobitków parków – zobaczymy na jak długo. Współczesna architektura japońska to zaprzeczenie tego, o czym mówię. Nawet Chińczycy powoli już uczą się sztuki umiaru i kompromisu, choć te ich nowe miasta są cokolwiek potworkowate, a to, co się teraz wyprawia

w Pekinie jest przerażające. Cóż, u nas taki los spotkał wcześniej Kyoto, ale nie wysnuliśmy właściwych wniosków. Singapur, Malezja, Korea, no i oczywiście Europa Zachodnia – tu mniej więcej idzie się we właściwym kierunku. Zwłaszcza Singapur ze swoją zielenią zasługuje na pochwałę. W porównaniu z Tokio to raj na ziemi. No ale to oczywiście jeszcze nie to, nie to.

– A jaki jest w takim razie twój ideał?

– Cóż, nie da się zatrzymać rozwoju cywilizacji, jak naiwnie chcieliby niektórzy. Nie wyburzymy naszych miast, to czysta utopia. Ale moglibyśmy je uczynić bardziej przyjaznymi i, no właśnie, naturalnymi. Nie ponura, betonowa dżungla, ale przestrzenie pełne światła i zieleni, wkomponowane w krajobraz. – Na twarzy Yuki pojawiło się coś, co niemal przypominało entuzjazm. – Na przykład odrzucona koncepcja Taekwondo Park w Muju, w Korei, w kształcie mostu rozpiętego nad doliną... Albo projekt wieżowca biura Hamzah & Yeang w Singapurze... Ach, chyba się zapędziłam – zreflektowała się Japonka – zaraz bym cię zanudziła... Poza tym, zdaje się, że odbiegłam od tematu. I zmieniłam konwencję.

– Nie, dlaczego – zaprotestował Piotr. – Nie mam oczywiście pojęcia, o czym mówisz, ale brzmi to całkiem interesująco. Musisz się na tym rzeczywiście znać...

– Cóż, chyba powinnam. Jestem w końcu architektem, nie? Przynajmniej, cholera, z wykształcenia. Lubię myśleć, że mam talent, że gdyby tylko okoliczności mi pozwoliły, byłabym naprawdę dobra. Jeśli w czymkolwiek miałabym szukać pocieszenia, to właśnie w tym.

Piotr przyłapał się na tym, iż znów niczym zahipnotyzowany wpatruje się w pogrążoną w półmroku twarz Japonki. Co sprawiało, że nagle stała się tak intrygującym obiektem do kontemplacji?

– Tak, tak, wiem, podobne dywagacje nie mają sensu – Yuki zinterpretowała jego spojrzenie jako wyraz dezaprobaty – ale trzeba w końcu w czymś znajdować pocieszenie. Przynajmniej czasami. Każdy ma jakąś słabość. Moją były marzenia o zostaniu wielkim architektem...

– Przecież wciąż możesz je zrealizować. Co stoi ci na przeszkodzie?

– Społeczeństwo? Moi szowinistyczni szefowie z Kansai Architecture, którzy uważają, że kobieta nadaje się tylko do parzenia kawy przełożonemu, ewentualnie obciążania mu fiuta w trakcie godzin pracy, a może nawet i po godzinach pracy? Ludzie z Ody, którzy wysłali mnie w tę misję, wiedząc, że nie będę w stanie im odmówić? Kyubimori, któremu muszę stawić czoło, chociaż nie jestem do tego wystarczająco przygotowana? Moja przeszłość, która nie pozwoli mi uwierzyć w siebie? Drzwi, które wciąż pozostają zamknięte?

– Jakież drzwi zawsze przecież pozostają otwarte – mruknął sucho Piotr.

– Mówiłam ci już: wybór działań, które w danym momencie możemy podjąć jest zawsze w taki czy inny sposób ograniczony. Są ludzie, przed którymi wciąż pojawiają się dziesiątki nowych możliwości, a inni nie potrafią znaleźć jednych jedynych drzwi, które pozwoliłyby im opuścić duszny ciemny pokój, gdzie kiedyś ich zamknięto, lub może to oni sami siebie zamknęli, tylko już o tym zapomnieli?

– Powiedziałaś też, iż sztuka, którą praktykujesz to... jak to ujęłaś? Sztuka odnajdywania właściwych dróg? Najkrótszych tras pomiędzy tym, co jest a tym, co chcielibyśmy, by było?

– Masz dobrą pamięć.

– Jestem analitykiem finansowym. Muszę mieć dobrą pamięć. No więc, czemu nie możesz odnaleźć właściwej drogi dla siebie? Otworzyć właściwych drzwi?



– To nie takie proste. *Akemasu-shimemasu*, jakiego nauczono mnie w Odzie jest raczej rozpoznawaniem i akceptowaniem tego, co istnieje. Wiesz dobrze, że nasze życie ma swoje ograniczenia. Nie wszystko możemy zmienić. Nie jesteśmy w stanie naprawić przeszłości, oderwać się od jej bagażu. Ty miałeś kochających rodziców i szczęśliwe, choć może i monotonne dzieciństwo. Czy jesteś w stanie zrozumieć kogoś, kto nigdy nawet nie poznał swoich rodziców? Zrozumieć całą jego pustkę?

– Nie jesteś pusta – stwierdził krótko Piotr. – To już raczej ja w porównaniu z tobą taki jestem.

– Dzięki. – Japonka chyba się uśmiechnęła w ciemności. – Doceniam twoją kurtuazję, ale wierz mi, jest całkiem zbyteczna. Nie mówię tego wszystkiego, żeby uzalać się nad sobą. Zapytałeś mnie o dzieciństwo, więc ci odpowiedziałam. Poza tym chyba nie chciałabym, żebyś odniósł mylne wrażenie, że możesz mi w pełni zaufać. Mam własne cele i własną desperację. Kto wie, jakie demony wyhodowałam? Nawet ja sama nie jestem w stanie przewidzieć, jak zachowam się w momencie próby. Wolę cię o tym lojalnie uprzedzić. Nie lubię zwodzić ludzi. Przynajmniej w tym różnię się od Sho Kyubimoriego.

– Dzięki za szczerość. Ale myślę, że mogę ci ufać. I że nie jesteś pusta – powtórzył. – Masz w sobie współczucie i zrozumienie dla innych.

– Czyżby?

Piotr wzruszył ramionami.

– Pamiętam dobrze tę scenę, gdy stałaś naprzeciwko *yūrei*. Współczułaś jej i chciałaś pomóc. Może się mylę, ale nie przypuszczam, by jakakolwiek desperacja zmieniłaby cię w pałającego nienawiścią upiora, tak jak ją.

– Hm.... Masz raczej mało entuzjastyczny styl dodawania otuchy. Może dzięki temu jednak jesteś nawet względnie przekonujący?

Piotr powtórnie wzruszył ramionami.

– Stwierdzam tylko, co widzę. A jestem raczej dobry w wyciąganiu wniosków. Nie jesteś taka jak *yūrei*.

– Ha! Też mi pociecha. – Yuki mimowolnie się uśmiechnęła. – Cóż, może po prostu w przeciwieństwie do niej nie łudzę się, że rozpacz i desperacja zdołają cokolwiek zmienić? To, co jest stracone, jest stracone na zawsze. Niczego nie da się ocalić. A mojego dzieciństwa to już z całą pewnością. W przeciwieństwie do twojego – westchnęła. – Przepraszam za to głędzenie. Kurczę, nadal nie wyczuwam Kyubimoriego. Zaczyna mnie już to niepokoić. Co on może kombinować?

\* \* \*

Nazywam się Piotr Jaskulski, skończyłem właśnie siedemnaście lat...

Ale czy aby na pewno?

Nazywam się Piotr Jaskulski, skończyłem niedawno trzydzieści pięć lat, jestem dyrektorem finansowym w...

Co za bzdura!

Zaraz, zaraz, spokojnie. Spróbujmy sobie przypomnieć...

Najbardziej niepokojące było chyba to, że kiedy próbował powrócić myślami do tamtej chwili, do punktu zero dezorientacji, wszystko na powrót stawało się takie *dokładne*. Takie *realne*. Im dłużej nad tym się zastanawiał, tym bardziej czuł się zagubiony. Jakby samo myślenie o tamtym dziwnym momencie sprawiało, że nabierał coraz wyraźniejszych kształtów, starając się zastąpić rzeczywistość.

*„...gdy w końcu dotarł na miejsce, dawno zapadł już zmrok. Teren przed bramą cmentarza w Cedzynie całkiem opustoszał...”*

*„...wysiętek fizyczny, podobnie jak prowadzenie samochodu, dawał złudne poczucie kontroli – jeśli nie nad rzeczywistością, to*

*przynajmniej nad własnym ciałem i umysłem, nad zmęczeniem i nudą, nad poczuciem, że w jego życiu nie ma już żadnych celów, a pozostały jedynie same środki i wystarczy jeden moment nieuwagi, jedna chwila nieopanowania, by sobie o tym przypomnieć, zrobić fałszywy krok i runąć w otchłań...*”

*„...w sumie chyba do swej samotności miał stosunek podobny jak do alkoholu – starał się kontemplować ją w sposób ostrożny i świadomy. Zazwyczaj się udawało.*

*Mimo to, cholera, czuł się tak jakoś ... samotnie...*”

*„...W takich chwilach mógłby przysiąc, że niemal czuje, jak walec przemijania powoli, lecz nieuchronnie, centymetr po centymetrze, rozjeżdża całe jego życie...”*

Zdezorientowany przystanął na półpiętrze. Cóż to wszystko mogło znaczyć? Tknięty przeczuciem postanowił wrócić do mieszkania rodziców, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku.

I ze zdumieniem stwierdził, że nie jest w stanie tego uczynić.

Dlaczego? Co tutaj się, do ciężkiej cholery, dzieje?

– *Spokojnie, Piotrze, nie panikuj.* – Dobiegł go nieoczekiwane rozbawiony głos. – *Wszystko pod kontrolą.*

Aha. Tylko ciekawe, kurna, czyją, pomyślał odruchowo, nim zdążył się porządnie przestraszyć.

## Dorotka

Na trzecim piętrze rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Piotr drgnął zaskoczony – już zdążył się przyzwyczaić, że nikt nie zakłóca ich monotonnej pielgrzymki. Złowił błysk oczu Yuki, gdy dziewczyna poruszyła się w ciemności.

Z góry dobiegł cichy głos kroków. Ktoś minął windę i stanął na wprost schodów.

Piotr zmrużył oczy, gdy światło znów się zapaliło. Spojrzał w górę.

Przy przełączniku stała mała dziewczynka. Piotr nie był, co prawda, specjalistą w tej dziedzinie, ale na oko dałby jej jakieś jedenaście, może dwanaście lat. Była ubrana w ciepłą fioletową puchową kurtkę i tegoż koloru wełnianą czapkę z pomponem. Twarz miała zwróconą w ich stronę.

Dziewczynka patrzyła na nich, a oni patrzyli na dziewczynkę. W sumie wyszło to trochę dziwnie. I on, i Yuki wydawali się równie zaskoczeni jej widokiem, co ona ich, choć przecież musieli zdawać sobie sprawę, że dwunastoletnie dziewczynki nie są aż taką rzadkością na klatkach schodowych kieleckich bloków. W przeciwieństwie do podejrzanie zachowujących się menadżerów w towarzystwie Azjatek.

Zaniepokojenie nie zniknęło z twarzy dziewczynki, ale niepewnie postąpiła krok w ich stronę. Szybko obejrzała się przez ramię, jakby pragnąc się upewnić, że drzwi do jej mieszkania wciąż znajdują się na swoim miejscu, i że w razie czego ma zabezpieczoną drogę odwrotu.

Piotr i Yuki nadal siedzieli obok siebie na stopniach. Dziewczynka lustrowała ich podejrzliwie. Przeniosła wzrok z Piotra na Yuki. Japonka uśmiechnęła się nieśmiało. Podejrzliwość na twarzy dziewczynki powoli zaczęła przeobrażać się w zaciekawienie. Zeszła kolejne dwa stopnie.

Nagle wyciągnęła przed siebie rękę, pokazując na Yuki.

– To jest Japonka! – stwierdziła oskarżycielsko.

Piotr westchnął i spojrzał z ukosa na swą towarzyszkę. Po krótkim namyśle uznał, że zaprzeczanie na nic się nie zda.

– Tak, zgadza się – potwierdził zrezygowany.

– Ha! Wiedziałam – wykrzyknęła dziewczynka z satysfakcją. – Wygląda zupełnie jak postać z anime. W sumie to jest nawet podobna do Re-I...

– Re-I? – zapytał, nie rozumiejąc, Piotr.

– Bohaterka *Ergo Proxy* – wyjaśniła dziewczynka. – Brat pozwolił mi oglądać razem z nim, chociaż dzieją się tam różne straszne rzeczy. Dziwny film, ale w sumie fajny. Hm... – Przez chwilę wpatrywała się w Japonkę z namaszczaniem. – Ma takie same długie włosy i nawet podobną twarz... Tyle że Re-I nosi długi czarny płaszcz, a nie kurtkę... Czy jesteś Re-I? – zapytała bez wielkiej nadziei w głosie.

Yuki spojrzała nierozumiejąco i uśmiechnęła się.

– Pyta się, czy jesteś Re-I – przetłumaczył Piotr.

– Re-I?

– Postać z jakiegoś japońskiego serialu animowanego.

– Bardzo mi to pochlebia, ale powiedz, że nie.

Piotr znów przetłumaczył. Dziewczynka mimo wszystko sprawiała wrażenie lekko zawiedzionej.

– My name's Yuki. – Japonka uśmiechnęła się jakby trochę cieplej niż zazwyczaj i wyciągnęła rękę.

Dziewczynka z pewnym wahaniem uścisnęła ją.

– My name... My name... is... Dorota.

Cóż, skonstatował Piotr, w dzisiejszych czasach nawet małe dziewczynki robią się kosmopolityczne.

– Czemu mówi po angielsku? – Dorotka zwróciła się do Piotra.

– Bo ja nie mówię dobrze po japońsku.

– Hm... Logiczne – zgodziła się dziewczynka. Przez moment znów kontemplowała Yuki. – Może i nie jest Re-I, ale jest bardzo ładna. Tak jak ona. No i tak samo smutna.

– Zauważyłem – przytaknął Piotr.

– Mógłbyś ją rozweselić... Albo może i nie – rozmyśliła się Dorotka – bo wtedy przestałaby wyglądać jak Re-I. Ze smutkiem jej do twarzy...

Piotr wzruszył ramionami. Dziewczynka spojrzała na niego badawczo.

– Ty też tutaj nie mieszkasz – stwierdziła z na nowo rozbudzoną podejrzliwością.

– Kiedyś mieszkałem. Dawno, dawno temu, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie.

– Możliwe – zgodziła się ostrożnie dziewczynka. – Rzeczywiście jesteś stary. Prawie tak stary jak mój tata... Masz dzieci?

– Nie.

– Dziwne – mruknęła Dorotka. – Mój tata ma dzieci.

– Domyśliłem się.

– A tak w ogóle – jego rozmówczyni spojrzała na niego z ukosa – to co tutaj robicie, skoro już tu nie mieszkasz?

Piotr uśmiechnął się pod nosem.

– Ścigamy risa.

– Risa? – zdziwiła się Dorotka. – Chyba lisa?

– Chyba – mruknął Piotr. Czemu właściwie prowadził tę zaskakującą rozmowę? Zazwyczaj nie miał cierpliwości do dzieci. Kątem oka złowił

spojrzenie Yuki, która przyglądała mu się, jak to Yuki, z tajemniczym uśmiechem.

– Dlaczego go ścigacie?

– Co?

– Dlaczego go ścigacie – powtórzyła Dorotka. – Tego lisa czy tam risa.

– Dlaczego? Hm. Chcę mu odebrać coś, co należy do mnie.

– Ukradł ci to? – spytała dziewczynka z zaciekawieniem.

– Nie, sam mu oddałem.

– I nagle zmieniłeś zdanie? – stwierdziła domyślnie Dorotka. – Myślałam, że tylko dzieci zmieniają zdanie w ten sposób. Tak jak Łukasz, kiedy oddał Mariuszowi swoje wieczne pióro za batona, a potem jak już zeżarł tego batona, zażądał go z powrotem... Dzieci często nie wiedzą, czego chcą – stwierdziła w zadumie.

– Dorośli, jak widać, też czasami nie wiedzą – mruknął Piotr samokrytycznie.

Dziewczynka pokiwała posępnie głową.

– To smutne – oznajmiła. – Muszę już iść. Koleżanka na mnie czeka, a i tak rodzice wypuścili mnie tylko na chwilę. Ale fajnie, że was spotkałam. Nie jesteście, co prawda, z *Ergo Proxy*, ale całkiem normalni też nie jesteście. Powodzenia z tym lisem, czy tam risem.

– Dzięki.

Dorotka skinęła głową i ostrożnie prześlizgnęła się pomiędzy Piotrem i Yuki, po czym energicznie zbiegła w dół, niemal od razu znikając im z oczu za załomem schodów. Przez chwilę w milczeniu wsłuchiwali się w oddalający się tupot kroków, a następnie dźwięk otwieranych i zatraskiwanych drzwi.

Potem znów zapadła cisza.

I zgasło światło.

- O czym rozmawialiście? – zainteresowała się Yuki.
- Nie wiem – odparł Piotr. – To było cokolwiek dziwne.
- Zupełnie jak u Murakamiego...
- U kogo?

– Japoński pisarz o światowej sławie. U was też był na pewno wydany. W jego utworach pełno jest takich właśnie dziwnych rozmów. Zresztą było tam nawet chyba coś bardzo podobnego. Bohater włóczy się po klatce schodowej ogromnego wieżowca i rozmawia z różnymi ludźmi, w tym z małą dziewczynką... Nie lubisz książek? Fakt, w twoim mieszkaniu nie ma ich zbyt wiele.

– W młodości sporo czytałem. Sam nie wiem, w którym momencie przestałem... – Piotr w zamyśleniu stanął przy oknie. Odnalazł wzrokiem Dorotkę, która właśnie witała się z koleżanką na środku placu zabaw.

Przez chwilę zastanawiał się, jak musiało wyglądać to zdarzenie z punktu widzenia dziewczynki. Czy on i Yuki stali się właśnie częścią jej dziecięcej mitologii? Rzeczywistość z punktu widzenia Dorotki musiała skrywać w sobie jeszcze tyle możliwości! Tyle przygód, tyle niezapowiedzianych atrakcji. Wszystko jeszcze mogło się wydarzyć!

Wyobraził sobie, że on sam znów ma, powiedzmy, dwanaście lat, czy tam ileś, i spotyka na swojej klatce schodowej dziwnych nieznajomych. Czy kiedykolwiek przydarzyło mu się coś podobnego?

I znów ta przekłeta mgła. Chociaż...

Światło znów się zapaliło.

\* \* \*

Tamten stał na półpiętrze. Był ubrany w elegancki garnitur i długi, ciemny płaszcz. Miał w sobie coś niepokojącego, ale również nieodparcie atrakcyjnego. Najdziwniejsza była jednak jego twarz. Piotrek na upartego



mógłby ją opisać znanymi sobie przymiotnikami: przystojna, drapieżna, inteligentna, lecz jednocześnie w jakiś sposób wymykała się próbom opisanania czy rozpoznania; wymykała się samej pamięci.

– Dlaczego – spytał. – Dlaczego...

– Dlaczego nie widzisz mnie wyraźniej? Ponieważ z miejsca, w którym się znajdujesz nie da się widzieć rzeczy wyraźniej.

– Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? – Piotrek zawahał się, nim zadał trzecie pytanie. – Kim jestem?

– No, no. – Tamten pokiwał głową, jakby z uznaniem. – Już w wieku lat siedemnastu potrafiłeś trzeźwo analizować sytuację. I nie bałeś się zadawać właściwych pytań – może nawet bardziej niż w wieku lat trzydziestu pięciu...

Piotrek stał w miejscu, jak zmrożony.

– Czy tamten... – przełknął ślinę – tamten Piotr jest... prawdziwy?

– A jeśli tak? Widzę, że nie jesteś zachwycony. Co widzisz w tym niepokojącego? Uważasz, że bycie dyrektorem finansowym dużego kieleckiego przedsiębiorstwa to aż tak odstręczająca wizja? Dla wielu twoich rówieśników byłby to szczyt marzeń. Czy nie tęskniłeś zawsze za czymś takim? Mieszkanie trzy razy większe niż to, z którego właśnie wyszedłeś – i to tylko dla jednej osoby! Lśniaca czarna bryka, jaką mogliby jeździć bohaterowie twoich ulubionych filmów.

Piotrek wbił oczy w podłogę, zacisnąwszy pięści.

– Ale – szepnął – ale nie tak to sobie wyobrażałem...

– Fakt. – Nieznajomy postąpił krok w jego stronę. – Jakoś to wszystko mało podniecające, prawda? Takie jakieś... nudne? Sądziłeś, że twoje życie będzie ekscytujące, pełne przygód?

\* \* \*

– Sądziłem, że moje życie będzie ekscytujące, pełne przygód...

– Słucham?

Piotr zamrugał powiekami.

– Co powiedziałem?

– Powiedziałeś: „sądziłem, że moje życie będzie ekscytujące, pełne przygód”.

Odwrócił się i spojrzał na swą towarzyszkę, przez moment zastanawiając się, kim jest i skąd właściwie się tutaj wzięła.

– A to ty... stwierdził w końcu mało przytomnie.

Yuki nie wyglądała na zaskoczoną.

– Tak, hm, to ja. Niestety. – Utkwiła w nim badawczy wzrok. – Co przed chwilą poczułeś?

– Przez krótkie mgnienie... Przez krótkie mgnienie wydawało mi się, że cofnąłem się w czasie. Że mam znowu siedemnaście lat i... Nie – potrząsnął głową. – To przecież bez sensu...

– Obawiam się, że to właśnie może mieć sens. Skoncentruj się i przypomnij sobie...

– Wydało mi się... Wydało mi się, że mam znowu siedemnaście lat i oglądam swoje obecne życie jak przez mgłę. Że patrzę na nie oczami tamtego Piotra Jaskulskiego, którego już dawno nie ma...

– Co czułeś?

– Chyba rozczarowanie.

– Dlaczego?

– Sądziłem, że moje przyszłe życie będzie ekscytujące, pełne przygód – powtórzył bezwiednie. – Gdy byłem nastolatkiem, wszystko wokół zdawało się monotonne, nudne. Z jakichś niewytłumaczalnych względów – myślę, że wielu ludzi tak ma – wierzyłem jednak, że przyszłość przyniesie nieoczekiwaną zmianę. Oczywiście nigdy nie doprecyzowałem sobie, na

czym właściwie miałyby ona polegać. Ale jednak zakładałem, że kiedyś wszystko się zmieni. Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. Nastolatki nie postrzegają życia jako ciągu przyczynowo-skutkowego, modyfikowanego przez przypadek i konkretne okoliczności. Marzą, śnią na jawie. Przyszłość to mglista sfera życzeniowych mitów, a nie logiczne przedłużenie ich obecnej codzienności. To zaskakujące, ale niektórzy nigdy z tego nie wyrastają. Nie uciekniemy od samych siebie – to pierwsza lekcja, jaką musimy pojąć, gdy dorastamy.

– A ty? Nie uciekłeś od siebie samego? Jak wiele zostało w tobie z tamtego nastolatka?

– Nie. Nigdzie nie uciekłem. Ale chyba stałem się sprawniejszy, bardziej efektywny, konsekwentny. Pozbyłem się złudzeń i kompleksów. Jestem teraz bardziej świadomy tego, kim jestem. Swoich ograniczeń, ale i możliwości.

– Och, jak to dumnie brzmi – wykrzywiła się Yuki – jak technicznie. „Pozbyłem się złudzeń i kompleksów”. A może czegoś jeszcze?

Nagle zmarszczyła brwi.

– Też coś teraz poczułam – stwierdziła. – Kyubimori tam jest. Właśnie zmienia... Pośpiesz się!

– Teraz to znowu mam się dla odmiany spieszyć? – zachnął się Piotr. – Myślałem, że mam, kurna, kontemplować.

I wtedy właśnie znów poczuł to wyraźnie.

\* \* \*

– Kim jestem? – Piotrek wyteńczył wzrok, próbując złapać zwodnicze, niebezpieczne, tęczowe źrenice nieznanego. Przebić się do prawdy lub oszustwa, która się za nimi skrywało.

– Wspomnieniem? Wspomnieniem wywołanym z niebytu przez niecodzienne okoliczności, których nikt nie był w stanie przewidzieć? Ale przecież w jakimś sensie jesteś też realny. Nie stanowisz iluzji, wyczarowanej przez kogoś obcego. Istniejesz, choć zapewne na innej płaszczyźnie rzeczywistości niż tamten, trzydziestopięcioletni dyrektor w markowym garniturze, smętnie przemierzający egzotycznym samochodem ulice miasta, które niegdyś było twoje.

– Ale przecież... To niemożliwe, żeby... Przecież dopiero co... – Piotrek w panice próbował odnaleźć właściwe słowa.

– W jednej chwili masz siedemnaście lat, głowę pewną marzeń o wspaniałej przyszłości, o tych różnych ścieżkach, którymi będziesz kroczył, o setkach możliwości, jakie się przed tobą rysują, jedna bardziej ekscytująca od drugiej, o wielkiej romantycznej miłości, niczym z książek czy filmów, a w kolejnej nagle odkrywasz, że jesteś samotnym, nudnym facetem w średnim wieku, rzadko unoszącym wzrok znad rzędu cyfr, w obawie przed tym, co mógłby tam zobaczyć?

– To jakaś...

– Magia? – zakpił nieznajomy. – Sądzisz, że tylko tobie się to przydarzyło? Zapewniam cię, że nie ma pod tym słońcem nic bardziej banalnego. To historia, jaka przytrafia się codziennie tysiącom ludzi na całym świecie. Ale jedna rzecz cię od nich odróżnia...

– Jaka? – zapytał odruchowo Piotr.

– To, że spotkałeś na swojej drodze mnie! – Nieznajomy wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

21.

## Kot

Piotr pędził po schodach, jakby chciał w ten sposób nadrobić nie tylko te pół godziny, jakie spędzili krążąc tam i z powrotem pomiędzy parterem i trzecim piętrem, ale i w jakiś sposób całe trzydzieści pięć lat swego życia. Tym razem czuł, że wreszcie jest na właściwej drodze, że gdzieś tam, za kolejnym załomem będzie czekał Kyubimori... i coś jeszcze. Na swoich plecach niemal czuł zdyszany oddech Yuki, która z trudem za nim nadążała.

\* \* \*

– To, że spotkałeś na swojej drodze mnie! – nieznajomy wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

Piotrek spojrzał na niego wyczekująco.

Tamten zmarszczył brwi. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca koncentracji.

– Coś się dzieje – wymamrotał jakby do siebie samego.

Piotrowi wydało się, że słyszy tupot czyichś kroków parę pięter niżej...

I wtedy nieznajomy nagle rozpląnął się w powietrzu.

\* \* \*

Niewyraźna sylwetka zmaterializowała się na siódmym piętrze, niemal dokładnie na wprost nich. Piotr stanął jak wryty, zziębnięta Yuki wpadła mu

na plecy.

– No nie – rozległ się poirytowany głos Kyubimoriego. – Doprawdy, ciężko się was pozbyć. – Nie spodobało ci się w Londynie, Piotrze?

– W sumie bardzo mi się podobało – odparł Piotr szczerze – ale w którymś momencie stwierdziłem, że czegoś jednak mi brakuje.

– Chudzik najwyraźniej też pokpił sprawę – kontynuowała zrezygnowanym tonem widmowa postać. – No i nawet na *yakuzę* nie można już liczyć... – Spojrzenie tamtego przesunęło się w stronę Yuki...

– Poczekaj – wydyszała zziębnięta dziewczyna. – Musimy...

– Nie ma na co czekać – oświadczyła zjawa i wykonała jakiś gest dłonią... Piotr skoczył do przodu... („stój”, zawołała Yuki, „on...”) i... przeszedł przez nią na wylot, wpadając na ścianę...

Szybko odwrócił się – zjawa zniknęła. Yuki rozglądała się wokół, zaniepokojona.

– No to dalej – wycedził przez zęby. – To jeszcze tylko trzy piętra.

– Uważaj! – Znów dobiegło go ostrzegawcze wołanie Yuki. Zignorował je i pobiegł dalej. Kolejny rząd schodów... i jeszcze następny. Coraz wyżej i coraz dalej. Poczł, że zaczyna się zatracać w tym biegu, ale nie potrafił przestać. Nie był w stanie się już zatrzymać. Znów zakręcił i jeszcze jeden... Czy nie powinien być już na miejscu? Ile właściwie pięter miała klatka schodowa? 5, 9, 15? 48?

– Stój!

Kto za nim wołał? Dlaczego? Zatrzymał się niezdecydowany, po czym wzruszył ramionami i znów zerwał do biegu. W ostatnim momencie ktoś szarpnął go za ramię. Obrócił się i spojrzał w oczy czarnowłosej kobiety. Znał ją? Wydało mu się, że...

– Piotrze?

– Piotrze? Czy tak właśnie miał na imię? Słowo to zabrzmiało tak... niecodziennie. Obco.

Gdzie jestem? Kim jestem?

– Poznajesz mnie?

– Nie wiem – wymamrotał zdezorientowany. Potoczył spojrzeniem wokół. Był na klatce schodowej jakiegoś bloku... Bloku, wieżowca, hotelu? Jak właściwie wyglądała ta klatka? Była wąska? Szeroka? Ile miała pięter? Co znajdowało się za oknem? Zmysły nie chciały dać jednoznacznej odpowiedzi na żadne z tych pytań, jakby nie mogąc zdecydować, którą rzeczywistość postrzegają.

Znam to uczucie, pomyślał. Coś podobnego przydarzyło się już wcześniej.

– Kyubimori wciągnął cię w pułapkę. Za bardzo się spieszyłeś.

– Co się właściwie stało? Gdzie jestem? – zapytał głos, który z pewnym wahaniem rozpoznał jako własny.

– Gdzie jestem?

Spróbował rozejrzeć się dokładniej, ale z jakiegoś powodu nadal nie był do końca pewien, co ogląda. Tak, był na klatce schodowej.... I co dalej? Była przestronna czy ciasna, zdemolowana czy lśniąca nowością? Jakiego koloru były ściany? Zielone, szare, czerwone? Gładkie czy pobazgrane napisami? W jakim języku? Po polsku, angielsku, japońsku?

– Zdaje się, że wszędzie i nigdzie – odpowiedział głos. Jego samego, tajemniczej nieznanym?

Spróbował wyjrzeć przez okno (matowa, toporna szyba osadzona w porzewiałej ramie czy też lśniąca nowością blok ze szkła i stali?). Zobaczył... Bloki? Wieżowce? Rząd kolorowych kamienic?

– Wykorzystał to, że bardziej niż kiedykolwiek przedtem jesteś w tym momencie *pomiędzy*... No i naprawdę wpakował cię w prawdziwe

*pomiędzy... – dokończyła tamta markotnie.*

– Pomiędzy?

– Pomiędzy wszystkimi klatkami schodowymi, jakie kiedykolwiek przemierzałeś? Pomiędzy miejscami, tymi, które miały dla ciebie szczególne znaczenia i tymi, o których na pozór zapomniałeś? Pomiędzy tymi wszystkimi Piotrami Jaskulskimi, którymi byłeś i którymi mogłeś się stać? Wytrącił cię z równowagi i twoja wola przestała porządkować przestrzeń...

– To absurd! – zachnął się. – Przecież zawsze jest jakieś *tu i teraz!*

– Pewnie, że absurd – przytaknęła kwaśno jego rozmówczyni. – Bez dyskusji. Tylko jak się z niego wydostać?

– Jeśli ja straciłem poczucie *tu i teraz*, to w takim razie *ty* odnajdź właściwą drogę! – zauważył trzeźwo.

– Ha! Tylko, że akurat pognałam za tobą i niechcący sama znalazłam się w środku twojej... dezorientacji. Nic tu nie zdziałam. To ty musisz nas stąd wydostać.

– A jeśli nie zdołam? – W panice próbował dokonać jakiejś selekcji pośród pojawiających się przed jego oczami obrazów.

– Cóż, żadna dezorientacja nie trwa wiecznie. W końcu pewnie się ockniemy. Gdy noc podmiany się skończy. Tylko że Kyubimori zdąży w międzyczasie zrobić swoje...

Kyubimori? – jęknął w duchu. – Znowu to nazwisko! Kim był Kyubimori?

Kim był on sam?

– Piotrze! – zawołał ktoś nad jego uchem. Uniósł wzrok. Tajemnicza czarnowłosa kobieta o azjatyckich rysach twarzy. Czemu śnił akurat o niej? Nigdy przecież specjalnie nie podniecały go Azjatki. Chociaż właściwie... Oglądał kiedyś taki film...



– Piotrze! Spróbuj znaleźć punkt zaczepienia, jakiś szczegół. Obojętnie jaki.

Punkt zaczepienia? Łatwo powiedzieć.

Spokojnie, spokojnie. Tak jak chce tamta, jakiś szczegół. Wspomnienie, choćby niewyraźne. Jakieś doznanie zmysłowe. Wzrok, słuch, dotyk, obojętne. Może...

Nagle poczuł, że coś ociera się mu o nogę. Spanikowany spojrzał w dół.

Nieduży szaro-biało-niebieski kot wpatrywał się w niego z powagą, przysiadłszy na tylnych łapkach.

– Kot – stwierdził Piotr. Z jakiś względów miał wrażenie, że wypowiada zaklęcie.

– Kot – przytaknęła z zadumą czarnowłosa kobieta, która miała na imię Yuki.

I nagle, jak za machnięciem czarodziejkiej różdżki, wszystko wróciło do normy.

Odnaleźli punkt zaczepienia.

Potoczył spojrzeniem wokół. Stali pomiędzy siódmym a ósmym piętrem; podczas swej iluzorycznej pogoni Piotr pokonał raptem kilka stopni.

– Hm... Zdaje się – stwierdziła Yuki – że otrzymaliśmy nieoczekiwaną pomoc z zewnątrz. Koty to tajemnicze stworzenia. Nawet tacy jak ja czy Kyubimori nie potrafimy ich przeniknąć.

Piotr przysiadł i ostrożnie pogładził kota po grzbiecie. Ciepły, zakonotował odruchowo. Ciepły i jedwabisty.

– Miau – przemówił kot.

– Nie sądziłam, że jesteś w stanie pogłaskać kota – skomentowała Japonka. – Nie wyobrażałam sobie, by właściciel tak sterylne mieszkania jak twoje mógłby choćby tolerować jakieś zwierzę.

– Jako dziecko bardzo lubiłem koty. – Podrapał zwierzątko pod brodą. – Spróbuj sama, to przyjemne.

Yuki poruszyła się niezdecydowanie. Kot spojrzał na nią z ukosa, nadstawiając głowę pod pieszczoty Piotra.

– Mówiłam ci już. Zwierzęta mnie nie lubią – wyjaśniła. – Zwłaszcza te mniejsze.

– Zastanawiałaś się, czemu?

Japonka wzruszyła ramionami.

– Może wyczuwają coś, co im się nie podoba? Ale ciekawe, czemu ten kot zjawił się tutaj akurat w tym momencie? I dostał się do środka hm... twojej dezorientacji. To zastanawiające... Chociaż podejrzewam, że zwierzęta przenikają swobodnie poprzez ludzkie iluzje, bo po prostu nie są w stanie ich dostrzec...

– No nie wiem... – skomentował Piotr przyziemnie. – Zapewne należy do któregoś z mieszkańców? Kot na klatce schodowej nie jest chyba niczym niezwykłym? Pamiętam, jak któregoś wieczora – dopadło go zdumiewająco wyraźne wspomnienie – miałem wtedy może ze dwanaście lat, podobny kotek wprosił się do naszego mieszkania. Otworzyłem drzwi, by wypuścić sąsiadkę, która zasiedziała się u mojej matki, a on czekał już po drugiej stronie. Nikt na klatce nie trzymał wtedy kota, nie mam pojęcia, jakim sposobem tamten zawędrował aż na dziesiąte piętro. Wszedł jak do siebie i od razu pobiegł do kuchni. Nakarmiłem go ciepłym mlekiem i chyba nawet przygotowałem posłanie... Bardzo chciałem go zatrzymać, ale rodzice się nie zgodzili. Kazali powiedzieć kotku „pa, pa” i wypuścili go na klatkę. No i tyle go widziałem. Próbowałem go zresztą odnaleźć następnego dnia, ale bezskutecznie. Był podobny do tego – szaro-biało-niebieski... Hm... to chyba niezbyt pospolite umaszczenie. I wielkość się zgadza – już nie kociak, ale jeszcze nie dorosły kot...

– Może to ten sam – szepnęła Yuki tajemniczo.

– Hm... – Piotr przeciągnął ręką wzdłuż delikatnego łebka zwierzęcia. – Czy jesteś tamtym kotem?

Zwierzę uniosło głowę i zmrużyło oczy.

– Powinieneś mieć kota – stwierdziła Yuki. – Do twarzy ci z nim. Kiedy go głaszczesz, odsłania się zupełnie nowa strona twojej osobowości. Serio.

– No, nie wiem. – Piotr powoli się wyprostował.

– Miau – zakomunikował kot, po czym wdrapał się kilka schodków i obejrzał znacząco.

– Chodźmy za nim – zakomenderowała Yuki.

\* \* \*

– No! – Tamten pojawił się na powrót przed oczami zdezorientowanego Piotrka niemal w tym samym miejscu, w którym zniknął zaledwie kilka sekund wcześniej. – Na czym to skończyliśmy? Aha – masz szczęście, że spotkałeś na swej drodze mnie!

– Spotkałem... ciebie? – powiedział Piotrek z namysłem, nadal bezskutecznie usiłując pochwycić wzrok tamtego. – Czy też może raczej ty spotkałeś mnie?

– No dobra – zaśmiał się mężczyzna. – Niech i tak będzie. Tak czy owak, twój dylemat jest zaskakująco prosty. Możesz na powrót rozwiązać się w nicości. Albo też wybrać jakąś inną przyszłość, skoro dziwnym zrządzeniem losu otrzymałeś taką szansę. Wybrać mnie.

– Wybrać... ciebie? – spytał z niedowierzaniem Piotrek.

Nieznajomy (Lecz czy aby na pewno nieznajomy? W tym momencie nie dało się już tego definitywnie rozstrzygnąć; tamten równie dobrze mógł być jakimś alter ego jego własnej osoby) postąpił w jego stronę płynnym ruchem drapieźnika.

– Tak. Tylko w ten sposób jesteś w stanie, w pewnym sensie, osiągnąć życia, o jakim zawsze marzyłeś. Spójrz na mnie. Podróże, przygody, magia – to właśnie moja codzienność. Wystarczy, że wyobrazisz sobie, że to właśnie ja jestem twoją przyszłością, a to wszystko stanie się też i twoim udziałem. Staniesz się częścią mnie, lecz ja stanę się też częścią ciebie. W pewnym sensie.

– W pewnym sensie – powtórzył zgryźliwie Piotrek i cofnął się o krok.

– Cóż – tamten rozłożył ręce – z braku laku dobre chyba i to? Jaki masz wybór?

– Pozostać... – zająknął się Piotr. – Pozostać...

– Wiernym sobie? Czy też pozostać wiernym tamtemu trzydziestopięcioletniemu biuraliście? Przez chwilę byłeś nim. Naprawdę chcesz, by to on stał się całą twoją przyszłością? Naprawdę nie chcesz od niego uciec? Bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Nie chcesz od niego uciec *bardziej*, niż obawiasz się mnie?

*„...W takich chwilach mógłby przysiąc, że niemal czuje, jak walec przemijania powoli, lecz nieuchronnie, centymetr po centymetrze, rozjeżdża całe jego życie...”*

– Tak – szepnął cicho Piotrek. – Uciec. Nie chcę, by to była moja przyszłość.

– A więc chodź do mnie. – Znajomy nieznajomy uśmiechnął się triumfalnie i wyciągnął rękę.

\* \* \*

Biegąc za kotem, Piotr doświadczył dziwnego, aczkolwiek przyjemnego uczucia: lekkości, która koła serce, nadawała rytm stopom, oczyszczała umysł.

Obcość i wspomnienia były w niego na przemian falami. Nieoczekiwanie zatracił poczucie tu i teraz; poczucie samego siebie. Lecz tym razem nie poddał się dezorientacji; przeszedł na jej drugą stronę. Nadal był Piotrem Jaskulskim, ale nie tym konkretnym Piotrem Jaskulskim, pochwyconym przez czas i przestrzeń w określonym momencie swego życia, tej dziwnej, najdłuższej w roku nocy. Na krótkie mgnienie stał się kimś więcej: jakimś pozaczasowym, archetypicznym Piotrem Jaskulskim, który tysiące razy przemierzał te schody.

Przed sobą widział podniesiony ogon szaro-biało-niebieskiego kota, za sobą słyszał przyspieszony oddech Yuki i biegł, biegł po schodach do góry, w stronę przeszłości, w stronę przyszłości, w stronę Kyubimoriego, w stronę samego siebie i Bóg raczy wiedzieć w stronę czego jeszcze.

\* \* \*

– A więc chodź do mnie. – Znajomy nieznajomy uśmiechnął się triumfalnie i wyciągnął rękę.

Piotrek zrobił krok w jego kierunku.

Wtem usłyszał dźwięk za swoimi plecami. Nieznajomy wyrzucił z siebie jakieś słowo w obcym języku. Przekleństwo?

– Miau! – zawołał ktoś natarczywie. Zza zasłony nieokreśloności, tuż przy samej podłodze wyłonił się niewielki, szaro-biało-niebieski kształt? Kot? Gdzieś już chyba kiedyś widział tego kota. A za kotem...

\* \* \*

Gdy tylko minęli dziewiąte piętro, Piotr zdał sobie sprawę, że są już prawie u celu. Kątem oka dostrzegł niewyraźne jarzenie na krańcach pola widzenia.

Kot przystanął na półpiętrze i obejrzał się niezdecydowanie.

Piotr ostrożnie stanął obok, mrużąc oczy i starając się wypatrzeć niewidzialne.

– Poczekaj. – Usłyszał za sobą urywany szept Yuki. – Czuję, że...

– Wiem – przerwał jej. – Ktoś tu jest, tylko nie widzę jeszcze wyraźnie...

Postąpił krok do przodu, po raz kolejny tej nocy wkraczając w przestrzeń niepewnych kształtów. Kim była ta niewyraźna postać, stojąca zaledwie pięć stopni wyżej?

Wyteżył wzrok... i spojrzął w swoje własne oczy...

Gdzieś z przodu, z wysokości dziesiątego piętra dobiegło go przekleństwo wypowiedziane w języku japońskim. Głosem Kyubimoriego.

Więc to byłem ja, pomyślał zdziwiony, w miarę jak postać przed nim nabierała ostrości, moja przeszłość.

– Ostatnia szansa! – zawołał głos Kyubimoriego, tym razem po polsku. Piotrowi wydało się, że kilka metrów za swoją młodszą wersją widzi kolejną postać, cień, pulsujący wśród niestabilnych konturów. – Za moment z powrotem wrócisz do niego!

O czym on, do diabła, mówi? – pomyślał, wspinając się na kolejny stopień. Jego młodszą wersję drgnęła, jakby chciała się cofnąć. Na jej twarzy dostrzegł wyraźne wahanie. Co widział, spoglądając na siebie samego prawie dwadzieścia lat później?

– Pospiesz się! – syknął Kyubimori.

Siedemnastoletni Piotrek cofnął się o krok przed swoim trzydziestopięcioletnim odpowiednikiem. Konsternacja na jego obliczu pogłębiła się. Nagle, jakby przypadkiem, jego wzrok przesunął się gdzieś dalej i na moment znieruchomiał. Na co patrzył? Co można było odczytać z jego oczu? Zdziwienie i...

– Dotknij go. – Z tyłu dobiegł szept Yuki.

Jak zahipnotyzowany przebył ostatnie trzy stopnie dzielące go od niego samego. Tamten nadal trwał w dziwnym zapatrzeniu. Piotr wyciągnął rękę, aby dotknąć ducha, wciąż nie potrafiąc rozszyfrować emocji, jakie przetaczały się po jego twarzy.

A potem, pod wpływem dotyku Piotra, duch w jednej chwili zniknął, zabierając ze sobą tajemnicę swego dziwnego zapatrzenia.

Ale zostawił za to coś innego.

*„... – Idziesz już? – zawołał Romek, niecierpliwie podbijając piłkę.*

*– Poczekaj, nie mogę znaleźć klucza...”*

*„... Było ciepłe letnie popołudnie. Winda znów się zepsuła. Zziajany maszerował po schodach, dźwigając siatkę z ziemniakami...”*

*„...Deszcze bębnił w okiennice. Powoli schodził w dół, z niechęcią myśląc o klasówce z chemii...”*

*„...Przyjechał z Krakowa na święta, student pierwszego roku ekonomii. Winda znów się zepsuła; szedł na piechotę po schodach, dźwigając ciężki plecak...”*

Piotr nabrał ze świstem powietrza. Ulga nie była może wszechogarniająca, ale czuł ją wyraźnie. Tak, z jakiegoś powodu *tak* było lepiej.

– Odzyskałem to miejsce – stwierdził krótko. – Jak sądzisz... – odwrócił się do Yuki – co...

– Doprawdy, jesteście bardzo upierdliwi – przerwał mu głos Kyubimoriego. – I niełatwo się was pozbyć.

– Musimy porozmawiać. – Yuki stanęła obok Piotra.

– A ty – sylwetka Kyubimoriego zaczęła gęstnieć i nabierać realności – jesteś naprawdę niezła, nic dziwnego, że cię tu przysłali.

– Nie dlatego mnie przysłali – szepnęła Yuki, tak cicho, że zapewne tamten nie zdołał tego usłyszeć.

– Tak czy inaczej, wybacz, ale nie mam zamiaru tracić czasu na dramatyczne dialogi ani tym bardziej magiczne pojedynki. Chcę po prostu dokończyć to, co zacząłem, nim zdołacie przeszkodzić mi do reszty...

– Naprawdę musimy porozmawiać – powtórzyła Yuki.

– Już powiedziałem, szkoda mi czasu – westchnął Kyubimori ironicznie.

– Poza tym, jaki sens jest rozmawiać z duchami?

– Z duchami? – nie zrozumiał Piotr. Kątem oka dostrzegł, jak kot jeży sierść na grzbiecie.

– Tak. Z duchami... które wywiał wiatr!

– *Matte!* – krzyknęła Yuki. – Zaczekaj!

Czy było to tylko złudzenie, czy Piotr dostrzegł rudą kite, zamiatającą powietrze?

Wir otoczył ich w ułamku sekundy i zagarnął w tył i do góry, w stronę wysokiego, przeszkłonego okna. Piotr zdążył zarejestrować jedynie brzęk tłuczonego szkła, a potem ze wszystkich stron otoczył go chłód.

Przyjemnie, pomyślał odruchowo, czując chłodne orzeźwienie, chyba na nowo polubię zimę.

W pierwszym momencie nie zdążył się nawet przestraszyć, zafascynowany nieoczekiwanym poczuciem swobody. Obok niego odłamki rozbitego okna spadały powoli w noc. Zawisł dwadzieścia pięć metrów nad ziemią, niemal naprzeciwko swojego dawnego okna. Światło w pokoju było zgaszone; przez ułamek sekundy wydawało mu się, że dostrzega własną twarz sprzed dwudziestu paru lat, twarz dziewięciolatka, dziesięciolatka,



wpatrzoną w mrok, wsłuchującą się w dźwięk odległego pociągu. Kolejny cień przeszłości czy tylko gra przeładowanej wyobraźni?

Nagle poczuł, że czyjaś dłoń ściska mu rękę. Yuki?

– Nie bój się. – Usłyszał śnieżny szept tuż przy uchu.

– Nie boję się – odparł ze zdziwieniem. Ta chwila, skonstatował w myślach, chciałbym, żeby...

Po drugiej stronie rozbitej szyby postać Kyubimoriego zaczęła znów ulegać metamorfozie. Przycupnięty przy ścianie kot prychnął ostrzegawczo, zjeżył sierść i odskoczył, gdy niewyraźny kształt przemknął obok.

– Ucieka! – krzyknął Piotr.

Otoczył ich kolejny wir, wir białych płatków i delikatnie poniósł w dół.

– Trzymaj się mnie – poleciała Yuki, mocno go obejmując. Biały wir powoli obrócił ich wokół osi; ponad rozwianymi na wietrze czarnymi włosami Yuki Piotr zobaczył swoje miasto; ten jego fragment, który oglądał zawsze z okien dziecięcego pokoju.

Kolejna wizja czy też to wszystko dzieje się naprawdę? – zadał sobie od niechcienia pytanie. A może lepiej było posłuchać rad Ozawy i nie rozstrzygać tego dylematu?

Okna sąsiednich bloków przesuwały się przed jego oczami. W niektórych z nich widać było zapalone choinki. Kiedy on sam ostatnio miał własną?

Gdzieś z dołu dobiegł krótki krzyk. Wykrzywił głowę; na środku podwórka, obok zaczątków wielkiego bałwana stały dwie drobne postacie. Jedna z nich wymachiwała ręką w ich stronę.

Cóż, pomyślał Piotr, jednak chyba znajdziemy trwałe miejsce w dziecięcej mitologii Dorotki.

– Pod nami! – Z zamyślenia wyrwał go szept Yuki.

Ostrożnie przesunął wzrok; dwie znajome męskie sylwetki zmierzały właśnie alejką wprost do klatki schodowej.

– Śledzili nas, a teraz widać stracili cierpliwość... – zinterpretowała dziewczyna.

Yuki i Piotr nadal opadali wraz ze śnieżycą; w tym momencie znajdowali się już gdzieś na wysokości trzeciego piętra. Gdzie był Kyubimori?

Pan Toru i Micku zatrzymali się przed wiatrołapem. Starszy *yakuza* dopalał w milczeniu papierosa, Micku czujnie rozglądał się wokół; na szczęście nie przyszło mu do głowy, żeby spojrzeć w górę.

Drzwi klatki schodowej otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich Kyubimori. Stanął jak wryty na widok *yakuza* i zaklął cicho pod nosem...

Nim tamci zareagowali, wiceprezes zanurkował pomiędzy oboma mężczyznami, tak szybko, że jego sylwetka niemal rozmyła się w powietrzu i pomknął w stronę parkingu, na przełaj przez ośnieżony trawnik. Micku pobiegł za nim z wrzaskiem, podczas gdy pan Toru z wyraźnym wahaniem wyrzucił niedopalonego jeszcze papierosa i wyciągnął zza pazuchy lśniący kształt...

– Co jeśli... – zaczął Piotr.

– Jeśli Kyubimori teraz zginie, nie odzyskasz tego, co straciłeś – szybko wyjaśniła Yuki. – To nie działa w ten sposób...

Spadli na pana Toru w momencie, gdy ten ze skonfundowaną miną mierzył rewolwerem gdzieś w przestrzeń, jakby do końca nie wiedząc, w co lub w kogo właściwie próbuje wycelować. Piotr zwałił się na *yakuzę*, zbijając go z nóg i przygniatając do ziemi, Yuki zgrabnie odskoczyła w bok, wykonując jednocześnie jakiś gest dłońmi...

Pan Toru z zaskoczenia nawet nie jęknął, wypuszczając broń. Piotr szybko się poderwał, złapał rewolwer i odrzucił daleko w śnieg. Obejrzał

się gwałtownie, by ocenić sytuację.

Yuki stała kilka metrów dalej, beznamytnie obserwując, jak mała śnieżycą targa kompletnie oniemiałym Micku. Kyubimoriego nie było w zasięgu wzroku.

– Do samochodu – zakomenderowała. – Zaraz tamci dojdą do siebie i z powrotem użyją amuletów...

Pobiegli alejką. Piotr spojrzał jeszcze szybko za siebie; pan Toru podnosił się właśnie z chodnika. Dezorientacja na jego obliczu płynnie ustępowała wkurwieniu.

Skęcili z alejki na parking; na samego skraju stał zaparkowany wielki czarny mercedes. Na tylnym siedzeniu Piotr w przelocie dostrzegł znudzoną twarz profesora Takahashiego.

– Gdzie Kyubimori? – Piotr gorączkowo rozglądał się wokół.

Jakby w odpowiedzi dobiegł ich warkot zapuszczanego silnika. Parking miał kształt litery „L”; pobiegli w miejsce, gdzie zakręcał, by następnie w odległości jakiś pięćdziesięciu metrów połączyć się z ulicą. W ostatniej chwili dostrzegli tył czarnego bmw znikający za rzędem zaśnieżonych aut.

– Gdzie on wcześniej stał? – zirytował się Piotr. – Specjalnie szukałem tego wozu, kiedy tu przyjechaliśmy!

Dopadli lexusa w momencie, gdy samochód Kyubimoriego wyjeżdżał już na ulicę, skręcając w lewo. Niemal natychmiast zniknął za sąsiednim blokiem.

– Gdzie teraz pojedzie? – Piotr przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Częściowo już pokrzyżowaliśmy jego plany. Musi spróbować rozegrać to teraz w jednym akcie, wybrać miejsce, które zaraz po domu twego dzieciństwa jest najbardziej kluczowe...

*Oddaję ci groby mych przodków...*

– Cmentarz – wyszeptał. – Cmentarz, gdzie pochowani zostali moi rodzice.

Yuki skinęła głową.

Wycieraczki z wysiłkiem strząsnęły z przedniej szyby grubą warstwę białego puchu. Na szczęście, choć śnieg padał gęsto, to przynajmniej był suchy i nie przymarzał. Samochód ruszył gwałtownie z miejsca, zarzucając tyłem.

## Czarny lexus, biały śnieg

– To równie blisko, jak wszystko do tej pory? – spytała Yuki, zapinając w pośpiechu pas.

– Akurat trochę dalej... – Piotr dodał gazu i trochę za ostro wszedł w zakręt przy wyjeździe z parkingu. Przez zaśnieżoną boczną szybę nie widział do końca, czy droga jest pusta. Na szczęście akurat była. – Jakies dziesięć kilometrów... – Skontrował kierownicą.

– Jadą za nami!

– Pan Toru i spółka? – Piotr spojrział w lusterko. Czarny mercedes właśnie wytaczał się z parkingu.

– Mimo wszystko, prowadź bezpiecznie – zaleciła pragmatycznie Yuki.  
– To nie film gangsterski.

– Jasne.

Piotr dodał gazu, potem odrobinę zwolnił. Znowu zakręt w lewo i dłuższa prosta. Gdzieś daleko z przodu, za skrzyżowaniem szybko oddalające się reflektory. Bmw Kyubimoriego?

Zacisnął zęby i znów mocniej wcisnął pedał. Czterdzieści metrów przed nim światła zmieniły się z zielonych na żółte...

– Zahamuj – zasugerowała Yuki.

Zacisnął zęby i jeszcze dodał gazu. Światła zmieniły się na czerwone. Wycieraczkę nie nadążały odgarniać śniegu.

Przemknęli przez skrzyżowanie z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, tuż przed maskami nadjeżdżających z boku pojazdów. Japonka syknęła.

– Jadę bezpiecznie – wyjaśnił Piotr. – Zimą w polskich warunkach po prostu lepiej jest nie hamować. Zwłaszcza samochodem z tylnym napędem...

Znów zerknął w lusterko; mercedes przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, omal nie zderzając się z jakąś furgonetką.

Tymczasem z przodu reflektory pojazdu Kyubimoriego zniknęły za kolejnym zakrętem.

Piotr znowu dodał gazu, ale ścigający ich mercedes nieubłaganie się przybliżał.

– To byłoby głupie, gdybyśmy teraz zginęli w wypadku samochodowym – zauważyła Japonka. – Nie wiem jak ty, ale ja muszę jeszcze wyjaśnić jedną sprawę.

– Zasadniczo masz rację – westchnął Piotr. – Z drugiej strony jednak nie powinniśmy chyba pozwolić się im dogonić. Są wkurzeni, kto wie, co przyjdzie im do głowy...

Na szczęście na kolejnym skrzyżowaniu paliło się zielone światło. Przemknęli, praktycznie nie zwalniając.

– Czemu jedziesz prosto? – zdziwiła się Yuki. – Kyubimori skręcił w prawo...

– Znam skrót – wyjaśnił lakonicznie Piotr. – Poza tym, nie dokończymy tego jak należy z *yakuzą* na karku...

– Właśnie nas doganiają – zauważyła Yuki beznamiętnie. Piotr znów zerknął w lusterko. Mercedes był już zaledwie jakieś dwadzieścia metrów za nimi. Za kierownicą widać było skoncentrowaną twarz pana Toru, obok,

na siedzeniu pasażera, rozochocony Micku pokrzykiwał coś w stronę skulonego na tylnej kanapie Takahashiego.

– Cóż, jeśli chodzi o takie pościgi, to jest na pewno bardziej doświadczony ode mnie – kalkulował Piotr. – Pytanie: jak poradzi sobie z ruchem prawostronnym i ze śniegiem?

W ostatniej chwili bez dawania kierunkowskazu skręcił w prawo. Znowż zarzuciło; ledwo zdołał opanować auto.

Tymczasem pan Toru bez żadnych trudności powtórzył jego manewr i tym razem znalazł się już niemal na ich ogonie.

– Jak widać – skomentowała Yuki – całkiem nieźle.

Piotrowi wydawało się, że widzi, jak na twarzy starszego *yakuzy* pojawia się ponury uśmiech. Micku wyciągnął zza pazuchy swój pistolet.

– A więc – mruknął Piotr – tylko dziura może jeszcze nas uratować...

– Dziura?

– Taa... koło apteki... – Z zaciśniętymi zębami Piotr wszedł w kolejny zakręt.

Micku odsunął szybę i wychylił się na zewnątrz.

– Mam nadzieję, że będzie strzelać w opony? – zatroskała się Yuki.

Piotr znowż dodał gazu, zwiększając dystans. Mercedes również natychmiast przyspieszył.

Znowż zatrzęsło, gdy lexus wjechał na serpentynę. Yuki wyjęczała coś po japońsku. Micku omal nie wypuścił pistoletu, gdy przyszła kolej na mercedesa. Piotr jeszcze bardziej przyspieszył.

– Jest apteka – zauważył. – To chyba...

Mercedes niemal od razu z powrotem wjechał im na ogon, ostentacyjnie sugerując przewagę niemieckiej motoryzacji nad japońską.

– Już! – Piotr nagle skręcił kierownicą, w ostatniej chwili wąskim łukiem omijając niewinne zagłębienie w nawierzchni, przykryte puszystą

bielą. Znow wpał w lekki poślizg. Kontrując kierownicą, dostrzegł, jak mercedesem zarzuca potężnie. Samochód wypadł z toru, wjechał na chodnik, okręcił się wokół własnej osi i wreszcie uderzył bokiem w śmietnik.

Skrecił w prawo, tracąc całą scenę z oczu.

– Chyba nic im się nie stało – relacjonowała tymczasem Yuki – ale na jakiś czas mamy ich z głowy. Dziura, powiedziałaś? Musiała być ogromna...

– Była. Przejeżdżałem tędy wczoraj. Miałem nadzieję, że służby miejskie nie zabezpieczyły jej od tego czasu i rzeczywiście, nie zawiedli mnie. Cóż, pan Toru nie mógł tego przewidzieć...

Kolejny zakręt, tym razem w lewo, w Sandomierską, i ostatnia prosta, aż do samej Cedzyny.

Jak dużą Kyubimori zyskał nad nimi przewagę? Pięć minut? Co był w stanie zdziałać w tym czasie? I w ogóle czy czas miał tutaj jakiegokolwiek znaczenie?

Yuki westchnęła i oklapła na fotelu, nieco się rozluźniwszy.

– Piotr Jaskulski. Dyrektor finansowy dużego przedsiębiorstwa i rozsądny analityk kalkujący każdy swój krok – mruknęła z przekąsem. – Zaprawiony w standardowych korporacyjnych walkach i intrygach, w razie potrzeby niewahający się też jednak posunąć do bardziej niekonwencjonalnych działań, jak choćby do walki wręcz ze swoim głównym konkurentem i próby zrzucenia go z dachu wieżowca...

– To Chudzik mnie chciał zrzucić – sprostował rzeczowo Piotr. – Ja tylko się broniłem...

– Ponadto włamywacz amator, kierowca rajdowy amator oraz łowca japońskich demonów... Też amator.



– Bez przesady – zachnął się Piotr. Przed nim znów zapaliło się czerwone światło. Tym razem przepisowo zatrzymał się przed skrzyżowaniem.

– ...w wolnych chwilach toczący konwersacje z *yakuzą*, małymi dziewczynkami i kotami. Innymi słowy szaleństwo i nieobliczalność co i rusz wydostające się spod cienkiej warstwy przyjętej roli społecznej. To u was powszechne?

– Nie wiem – mruknął Piotr. Przypomniał sobie oczy Chudzika, stojącego naprzeciwko niego na śliskiej powierzchni dachu centrum konferencyjnego. Była w nich nienawiść, ale była też... pasja? Gnając po śniegu z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę ulicami Kielc w pogoni za Kyubimorim, Piotr lepiej rozumiał księgowego. W tej jednej chwili Chudzik był naprawdę *sobą*. Być może Kyubimori wcale nie musiał odprawiać nad księgowym jakiś specjalnych czarów, być może stworzył mu jedynie dogodny pretekst...

Światła znów się zmieniły. Lexus ruszył z piskiem opon, wyprzedzając kolejne samochody. Na szczęście ruch był niewielki.

– Kraina demonów... – mruknęła Yuki.

– Słucham? – zdziwił się Piotr. – Sądziłem, że wszystkie demony, które spotkałem dziś na swej drodze, przybyły z kraju kwitnącej wiśni?

– Czyżby? – Kątem oka dostrzegł, że Yuki uśmiecha się drapieźnie. Błysk ciemnych, wyzywających oczu, lśnienie białych, ostrych zębów. Czemu po raz kolejny tak bardzo przypominała Kyubimoriego? Drażniący, ryzykownie przyjemny dreszcz spłynął mu po plecach.

Płynnie wyminęli miejski autobus. Piotr znów przyspieszył, aby wyprzedzić dwa wlokące się auta, nim droga znów zwęzi się do jednego pasa ruchu.

– Ale miałam na myśli co innego – dodała Japonka. – Wrażenie, które dopadło mnie w pociągu. Współpasażerowie wydali mi się demonami, udającymi zwykłych ludzi. Chodzi mi o to, że warstwa cywilizacji, kultury, zachowań społecznych jest tutaj bardzo cienka. A pod nią rozbuchana lawa nieobliczalności, która szuka tylko pretekstu, by wydostać się na zewnątrz...

– Cóż, jeśli chodzi o obliczalność i podporządkowanie ogólnym oczekiwaniom nikt raczej nie pobije typowych członków społeczeństwa japońskiego...

– Fakt – skrzywiła się Yuki. – Wiem coś o tym.

– Nie jesteś zatem szczęśliwą członkinią najwspanialszego narodu na świecie?

– Nie, nie jestem. Wielu Japończyków nie jest. Niektórzy radzą sobie z tym lepiej ode mnie. Znajdują jakąś drogę wyjścia, która pozwala na osiągnięcie własnych celów przy zachowaniu pewnej niezależności w świecie odwiecznych reguł i sakralnego niemal konformizmu. A inni radzą sobie z tym nieco gorzej, wybierając emigrację lub egzystując sobie po cichu gdzieś na marginesie społeczeństwa. Albo popełniając samobójstwo...

– Jedna rzecz, która mi się tutaj podoba – stwierdził Piotr – to to, że tak długo, jak robię mniej więcej to, co do mnie należy, nikogo aż tak bardzo nie obchodzi, jak żyję. Jaką wysokość ma trawa w moim ogródku i tak dalej. Z drugiej strony, japoński system też ma swoje zalety. Czyste chodniki, bezpieczne metro, usłudni funkcjonariusze służb publicznych, życzliwi przechodnie... Z czasem człowiek uczy się doceniać podobne subtelności. Kto wie, jaką cenę warto za to zapłacić? Ha! I czy nie można mieć naraz i wolności, i odrobiny cywilizacyjno-kulturowego komfortu życia?

– Mieszkałam kiedyś przez miesiąc w Danii i mam wrażenie, że tam osiągnęli i jedno i drugie. Mimo wszystko dostrzegam też więcej podobieństw między Danią a Japonią niż tym, co do tej pory zobaczyłam tutaj... chociaż oba te kraje powinny być dla mnie równie egzotyczne. I nie chodzi mi tylko o kulturę życia codziennego czy o sposób funkcjonowania społeczeństwa. Mam wrażenie, że tutaj wszędzie czai się jakiś... wielki, nie do końca pojmowalny i niekontrolowalny... chaos?

– Cóż, bez przesady, pooglądaj wiadomości, a przekonasz się, że są na świecie gorsze miejsca. I z pewnością bardziej chaotyczne.

– Jasne. Uganda, fawele w Rio de Janeiro, blokowiska w Ułan Bator. Nie o to mi chodzi. To miejsce jest pełne hm... chaosu, ale jednocześnie w jakiś sposób jednak cywilizowane. Posiadające pewną hm... infrastrukturę. Pełne rozbieganej energii, której ktoś taki jak Sho Kyubimori może łatwo nadać odpowiedni impuls...

Piotr przypomniał sobie Centrum Biznesu, Kyubimoriego z szelmowskim uśmiechem wpatrującego się w zahipnotyzowane oblicza swych słuchaczy...

*Ta ziemia, jeśli mogę się tak wyrazić, wręcz pulsuje energią! Energią wciąż na poły uśpioną, na poły dziką i nieujarzmioną, która jednak tylko czeka, by nadać jej właściwy kierunek!*

– Cóż, tak czy inaczej – odparł – jak sama powiedziałaś, Kyubimori to ktoś, kto nie przestrzega ogólnie przyjętych reguł. Trudno się więc dziwić, że wolał Polskę od kraju takiego jak Japonia.

– Nie do końca. Kyubimori żył w Japonii od... bardzo, bardzo dawna, z finezją realizując swe plany. Wbrew pozorom czasami najłatwiej jest właśnie łamać reguły tam, gdzie wszyscy pieczołowicie ich przestrzegają. Niemniej jednak, zwłaszcza ostatnio, Kyubimori narobił sobie potężnych wrogów. Nie potrafię powiedzieć, czy wyjechał dlatego, że grunt zaczynał

mu palić się pod nogami, czy też po prostu był ciekaw świata, albo znudzony Japonią, ale wiem, że teraz trudno byłoby mu bezpiecznie powrócić, gdyby nabrał takiego kaprysu.

– Wrogowie z *keiretsu* Nagity?

– Nie tylko i nawet nie przede wszystkim. Starszyzna z mojej wioski dysponuje potężnymi mocami. Obecnie, kiedy wiedzą dokładnie, z kim mają do czynienia, jeśli tylko działaliby wspólnie, bez problemu zapędziliby go w kozi róg. Już wcześniej radzono sobie skutecznie z takimi jak on. Wystarczy poczytać japońskie legendy. A Oda nigdy mu nie wybaczy ani kradzieży tajemnic, ani złamania reguł...

– Czemu więc dopiero teraz zdecydowali się na interwencję?

– Może dopiero teraz udało im się go odnaleźć? Albo przeczuwają, że stanie się coś ważnego, coś, co bezpośrednio wpłynie na ich losy? To tradycjoniści – raczej zignorowaliby problem, znajdujący się poza granicami Japonii, gdyby było inaczej.

– Tak czy owak, nawet jeśli to wygnanie, ciekawe, czemu wybrał właśnie Kielce...

– Właściwa proporcja wygody i wolności? – westchnęła Yuki. – Któż może wiedzieć, jakie środowisko jest odpowiednie dla... takich jak on.

– Tak. – Piotr zerknął na pogrążoną w cieniu twarz Yuki. – Któż może wiedzieć...

– Myślę też, że może tutaj chodzić o coś jeszcze...

– Tak?

Yuki nie odpowiedziała. Piotr zarejestrował, że dziewczyna odwraca się i spogląda gdzieś w tył.

– Tak? – powtórzył. – No co tam, jadą za nami pan Toru i spółka?

Znow milczenie. Napięta twarz Yuki wpatrzona w ciemność.

Piotr z powrotem przeniósł wzrok na drogę. Tuż przed nim z podwórka stojącego na poboczu domku wyjechał nieoświetlony maluch. Awaria czy oszczędzanie akumulatora? Piotr zmiął w ustach przekleństwo, zatrąbił i wyminął intruza łukiem, niemal znów wpadając poślizg.

Kątem oka dostrzegł, że Japonka nie zwróciła na cały incydent uwagi, wciąż pogrążona w koncentracji.

Wyjechali spomiędzy domów; daleko po lewej widać już było zamgloną łunę zniczy.

Yuki westchnęła.

– Wydawało mi się... – szepnęła niepewnie – wydawało mi się, że ktoś nas śledzi. Że... wyczuwam czyjąś obecność. Nie *yakuza*. Ktoś inny... Ktoś...

Szosa przed nimi nagle stała się szeroka i prosta. I pusta. Czarny lexus przyspieszył, majestatycznie sunąc po zaśnieżonym asfalcie. Zamyślona Yuki już się nie odezwała.

Trasa prowadziła w biel, w pustkę, w nieznanne. Piotr ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że jechał tą samą drogą nie dalej jak przedwczoraj. Czy rzeczywiście jednak była to ta sama droga? Teraz wydawało się to niewiarygodne.

Czy wciąż był to ten sam świat co wtedy? Ten przedwczorajszy skąpany był w deszczu i przewidywalnej szarości; teraz wszystko skrywała grubym całunem wszechobecna, niebezpieczna biel. Przycupnięte po obu stronach drogi drzewa, domy, na pozór pozostały te same, ale też stały się elementami nowego, nieprzewidywalnego świata.

Czy gdyby mógł, zamieniłby tę drogę na tamtą zwykłą, wczorajszą?

Samochód gładko wszedł w ostatni zakręt, w boczną uliczkę prowadzącą do cmentarza. Zwolnili, Piotr pamiętał, że nawierzchnia nawet i w normalnych warunkach pozostawiała wiele do życzenia.

Zatrzymali się na parkingu przed samą bramą. Piotr zgasił silnik i wyszedł z samochodu. Wzdrygnął się, gdy pchnięte przez niego drzwi zamknęły się z suchym trzaskiem; miał wrażenie, że mroźne powietrze poniosło ten dźwięk aż do samych Kielc.

Wokół nigdzie nie dostrzegł wozu Kyubimoriego. Czyżby się pomylili?  
– Gdzie on jest? – spytał zaniepokojony.

Yuki bez słowa wyciągnęła rękę przed siebie. Czarne bmw stało jakieś dwadzieścia metrów dalej, przycupnięte obok kontenera na śmieci. Czemu, do ciężkiej cholery, go nie zauważył?

Ruszyli w stronę wejścia na cmentarz. Jedna z furtek była uchylona. Nim weszli Piotr obrócił się i spojrzał za siebie. Biel, biel i jeszcze raz biel. I tylko dwie czarne, lśniące limuzyny przyczajone na pustym parkingu, łąpiące na siebie nawzajem spod oka.

Weszli przez furtkę.

## Piotra i Yuki dialogi cmentarne

Tam również królowała biel – może nawet bardziej niż na zewnątrz. Śnieg na moment przestał padać. Ten, który pokrył grubą warstwą chodnik, groby i drzewa odbijał światło, tak że zrobiło się całkiem jasno.

Długa, prosta alejka zdawała się prowadzić w nieskończoność.

– Czy... – rozpoczął z wahaniem Piotr – czy...

– Czy może się zdarzyć, że napotkasz duchy swoich rodziców? – dokończyła za niego Japonka. – Cóż, i tak, i nie. W sensie metafizycznym, czy też jak ktoś woli religijnym, raczej nie. Jesteś katolikiem? Na Internecie wyczytałam, że prawie wszyscy Polacy są katolikami?

– Co? Sam nie wiem. – Pytanie zbiło Piotra z tropu. – Od dawna się nad tym nie zastanawiałem. Moi rodzice chodzili do kościoła i ja też, nawet jeszcze po studiach. Byłem ochrzczony, bierzmowany, no i w ogóle...

– Hm... – Yuki spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Muszę stwierdzić, że nie pasujesz do stereotypu chrześcijanina w japońskiej popkulturze...

– To istnieje coś takiego jak stereotyp chrześcijanina w japońskiej popkulturze? – zdziwił się Piotr.

– I owszem. My, Japończycy, pomimo całego naszego nippocentryzmu lubimy czasami udawać, że jesteśmy kosmopolityczni. Fascynujemy się powierzchownie innymi kulturami – ich egzotyką...

– Ha! – uznał za stosowne pochwalić się Piotr – nam, Polakom, podobne nastawienie również nie jest obce...

– Nie jestem specjalną znawczynią popkultury – kontynuowała Yuki – ale chrześcijanin to dość popularna postać. Zazwyczaj na swój sposób sympatyczna; naiwna, ale zaangażowana. Jakby to ująć... no właśnie, wierząca. Czasem na przekór temu, co określamy zdrowym rozsądkiem. My, Japończycy, jesteśmy na wskroś pragmatyczni. Wierzymy we wszystko i w nic. Jak to ktoś napisał – zabobonni ateści. Nawet nasz buddyzm, pomijając paru praktyków zen, jest raczej czysto ceremonialny. Owszem mamy do niego szacunek – bo to przecież część tradycji – i tyle. W głębi duszy jesteśmy jednak praktyczni i niereligijni aż na do szpiku kości – i może dlatego też czasem lubimy poczytać książki albo pooglądać filmy o ludziach, którzy w temacie religii i metafizyki przejawiają więcej entuzjazmu.

– Cóż... – mruknął Piotr, usiłując wypatrzeć wokół... Co właściwie chciał wypatrzeć? Jakiś ruch, ciemny płaszcz powiewający na wietrze, odcisk buta, ślad zwierzęcych łap na śniegu? Rudą kite wystającą zza któregoś z nagrobków? – Cóż... – powtórzył. – Po mnie też spodziewałaś się większego entuzjazmu?

– Przynajmniej jakiejś spójnej deklaracji. Ze swoim nastawieniem mógłbyś chyba pod tym względem być typowym Japończykiem... To daleko?

– Jakieś trzysta metrów główną alejką i potem kolejne sto w lewo.

– Więc chodźmy...

Ruszyli powoli przed siebie, czujnie rozglądając się wokół.

– Sam nie wiem – podjął Piotr. – Kiedyś na pewno byłem przynajmniej w jakimś tam stopniu... wierzący. Jako dziecko i potem. Był nawet taki moment po śmierci rodziców, że znowu zacząłem poważniej... zastanawiać



się nad pewnymi sprawami. Ale trwało to może dwa czy trzy miesiące, potem wszystko wróciło do normy. Rzeczywistość, w jakiej żyję od lat – codzienność analityka finansowego, codzienność menadżera – nie nastraja zbyt metafizycznie. W końcu popada się w pewną rutynę. Robi się po prostu to, co jest konieczne, aby utrzymać się na powierzchni. Aż tyle i tylko tyle. Życie często nie daje pretekstu, by pomyśleć o czymś innym. Kurczę, czasami człowiek zapomina nawet pytać siebie samego o to, czy wciąż jeszcze żyje, a co dopiero o to, czy wciąż jeszcze w coś tam wierzy... Nie wiem... – może niektórzy ludzie nie są stworzeni do roztrząsania metafizycznych dylematów?

– Albo – szepnęła Japonka – uciekają w codzienność, bojąc się tego, na co mogliby natrafić przy ich roztrząsaniu...

– Albo – zgodził się Piotr. Przypomniwał sobie poprzedni wieczór. Wizyta na cmentarzu, pływalnia. Puste mieszkanie, kanapki i piwo. Notes z telefonami. – A może są tak pogrążeni kontemplowaniem własnej samotności, że na więcej metafizyki nie starcza im już energii?

– Dopóki nie znajdą się w sytuacji takiej, jak ty teraz.

– Zgadza się. A więc, Yuki? Co może na mnie czekać na końcu tej drogi? Czy Kyubimori jest w stanie przy pomocy swej magii rozstrzygnąć dla mnie to, co wydaje się nierozstrzygalne?

– Nie. – Yuki delikatnie się uśmiechnęła. Na jej twarzy po raz pierwszy dostrzegł... ciepło? Przez moment wpatrywał się w nią z pozornie obojętną, analityczną uwagą, starannie skrywając swoją fascynację, tak by nie spłoszyć tego uśmiechu.

Powoli odwróciła wzrok.

– Bez obaw – dodała. – Żadna magia nie jest w stanie rozstrzygnąć dylematów, które z samej swej natury muszą pozostać nierozstrzygnięte. Cokolwiek dzieje się z ludźmi po śmierci, jest to poza nami, poza tutaj

i teraz. Kyubimori nie będzie w stanie przywołać dusz twoich rodziców, gdziekolwiek się znajdują. Nie spotkasz ich samych: ani takich, jacy naprawdę byli, ani takich, jacy – być może – są teraz. Czujesz ulgę czy rozczarowanie?

Piotr nie odpowiedział. Nieobecny wzrokiem zapatrzył się w bok, ponad przyprószone śniegiem krzyże.

– Co więc robi Kyubimori? – spytał po dłuższej chwili.

– Do końca nie wiem. – Yuki wzruszyła ramionami. – Wezwie ich cienie, tak jak przywołał twój, wtedy na klatce schodowej? Stworzy jakąś wizję, by uprawdopodobnić swe nowe wcielenie? Coś, co wystarczy, aby przekonać to miejsce – to i inne miejsca związane z twoim życiem – że jest w pewnym sensie tobą? A w każdym razie posiada prawo do tego, co symbolicznie mu oddałeś?

Piotr skinął głową. Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu.

– Ale – dodała dziewczyna – w jakiś sposób jednak być może spotkasz swoich rodziców. W końcu zawsze przecież niesiesz ich ze sobą, prawda?

Piotr nigdy nie był zbyt dobry w odczytywaniu emocji innych, ale tym razem odniósł wrażenie, że gdzieś w tle, gdzieś poza zwykle spokojnym i chłodnym tonem głosu Yuki wyczuwa coś jeszcze. Jakiś... Żal? Tęsknotę?

– Nie wiem – odparł. – Moje życie tak bardzo różni się od ich życia. Czasami wydaje mi się, że zupełnie już o nich zapomniałem. Czuję już tak, zanim spotkałem Kyubimoriego, zanim zabrał moje dzieciństwo i zakorzenienie. Moje wspomnienia... Może tak naprawdę zresztą nie było zbyt wiele do zabrania? Może cwany ris tym razem zrobił kiepski interes?

– Nie sądzę – odparł srebrzysty głos Yuki. – Myślę, że to był bardzo dobry interes.

Skęcili i zanurzyli się w mroku bocznej alejki. Buty skrzypiały na śniegu. Choć rozglądali się uważnie wokół, nadal nie natrafili na ślady

czyjejkolwiek obecności.

Gdy ta noc już się skończy, będzie mi brakować tego głosu, pomyślał Piotr. Tego smutnego chłodu, obojętnej szczerości, lekkiej, zwiewnej beznadziei, monochromatycznego fatalizmu, niebezpiecznej zagadki, skrytej pod dźwięcznymi sylabami.

Daleko przed sobą Piotr widział już drzewo, w pobliżu którego znajdował się grób rodziców. Zmrużył oczy; powietrze dziwnie wibrowało, wzrok ześlizgiwał się z punktu, na którym chciał go skupić.

Zatrzymał się i odetchnął głęboko.

– Chyba wolałbym uniknąć konfrontacji z duchami moich rodziców – oznajmił, sucho i rzeczowo. – Nawet z duchami ich duchów. Nie chciałbym, by zobaczyli mnie teraz. Mnie i moje życie. Podejrzewam, że byliby raczej rozczarowani...

– Tego nie możesz wiedzieć. – Yuki również spoglądała przed siebie z napięciem. Jej postawa w jakiś sposób skojarzyła się Piotrowi z czujnością małego drapieznika; w jego wyobraźni na moment pojawił się obraz polarnego lisa, uważnie skradającego się przez śnieżną noc.

– Wyczuwasz go?

Yuki skinęła głową.

– Chodźmy – rzuciła krótko. – I tak nie zdołamy się właściwie przygotować. Nigdy nie jest się właściwie przygotowanym na to, co nas spotyka.

Znów ruszyli przed siebie.

– A tak à propos tego, o czym mówiliśmy wcześniej – zapytał jeszcze, tknięty nagłym impulsem. – Jak jest z tobą Yuki? Czy też jesteś zabobonną ateistką jak większość twoich rodaków? Czy jednak w coś wierzysz?

– Och – zaśmiała się leciutko. – Nie jestem ateistką. Brak mi wystarczającego zadufania. Nie jestem też wierząca, to byłoby zbyt

wymagające. Ja chcę tylko rozstrzygnąć jedną jedyną kwestię, odpowiedzieć sobie na jedno jedyne pytanie, którego nie potrafię nawet poprawnie sformułować. Niepoprawnie zresztą też nie potrafię. To wszystko...

Chyba wiem, pomyślał Piotr, chyba wiem, co...

Maszerowali szybkim krokiem, ramię przy ramieniu. Drzewo odsłoniło kolejny rząd grobów.

Nagły podmuch wiatru...

## *Dōngzhi*

Nagły podmuch wiatru uderza w nich z flanki. Siedmioletni Jacuś krzyczy radośnie, po czym ochoczo wykorzystuje moment nieuwagi młodszej siostry, by nasypać jej śniegu za kołnierz. Pięcioletnia Marysia piszczy rozdzierająco.

– Synku, jesteśmy na cmentarzu, zachowuj się! – karci chłopca Marta. – Chodź tutaj zaraz!

– No, malutka, nic się nie stało! – Anna Jaskulska pochyła się nad wnuczką i delikatnie wytrzepuje śnieg. Jej mąż przystaje obok, mrugając porozumiewawczo do Jacusia.

– Najpierw na grób ciotki czy twoich rodziców? – pyta od niechcienia żonę.

– Hm... – odpowiada tamta. – Nie wiem, czy... Piotruś, ile...

Nieco z boku stoi trzydziestoparoletni mężczyzna w ciemnym płaszczu. Z tajemniczym uśmiechem spogląda gdzieś *na zewnątrz*, jakby nieco się dystansując...

*(Kim jestem? Gdzie jestem? Kim jest tamten mężczyzna w ciemnym płaszczu? On wie, wyczuwa moją obecność, patrzy na mnie kpiąco...)*

– Synku – powtarza pani Anna – ile jeszcze zniczy ci zostało, bo nie wiem...

Mężczyzna powoli obraca się ku pozostałym. Przez krótki, prawie niedostrzegalny ułamek sekundy kontempluje całą tę rodzinną scenę, tak

jak malarz mógłby kontemplować świeżo ukończone płótno.

Pozostali zdają się nie dostrzegać jego dziwnego zachowania. Marta uśmiecha się ciepło do mężczyzny. Nie mówi ani słowa, ale w jej oczach widać ufność i oddanie; pewność, że tuż obok jest ktoś, kto nie zawiedzie, na kim może się wesprzeć.

Mężczyzna odwzajemnia uśmiech. Od niechcienia przenosi wzrok na starszą kobietę, wciąż pochyloną nad wnuczką.

– Piotrek, usnąłeś? – W głosie tamtej pojawia się zniecierpliwienie.

Zapytany leniwie zagląda do trzymanej przez siebie reklamówki.

– Zostało jeszcze pięć dużych i cała zgrzewka małych – odpowiada, powoli smakując słowa.

*(Co się stało? Kto jest prawdziwym Piotrem Jaskulskim? Ja? Czy tamten, wraz z żoną, dziećmi i rodzicami odwiedzający groby krewnych? Który z nas?)*

– A więc najpierw do cioci Krystyny, a potem do Markiewiczów – podsumowuje Andrzej Jaskulski. On również, na swój własny sposób, smakuje tę chwilę. Tylko ktoś bardzo uważny byłby w stanie rozszyfrować uczucia, jakie malują się na obliczu tego oszczędnego w słowach i gestach mężczyzny, gdy spogląda na syna i jego rodzinę.

*(Tak, ojciec jest z niego dumny. Czy kiedykolwiek na mnie patrzył w ten sposób? Gdy dostałem się za pierwszym razem na Akademię Ekonomiczną? Może wtedy. Ale czy...)*

Ruszają alejką; dzieci przodem, biegnąc i przekrzykując się pomimo delikatnych upomnień matki. Pani Anna bierze męża pod ręką i coś mu tam cicho klaruje. Mężczyzna w ciemnym płaszczu zamyka pochód. Jeszcze raz ogląda się wstecz; w jego oczach znów pojawia się kpina. Patrzy w przestrzeń, jakby dostrzegając pośród mroźnego powietrza rzeczy znajdujące się poza zasięgiem zwykłego ludzkiego wzroku.

*(– To ty... risie? Kim jesteś? Kim jestem ja? Który z nas jest prawdziwy?)*

*– Och, robisz się nudny... Piotrze. W każdej swojej wersji zadajesz dokładnie to samo pytanie. Zapytaj raczej, który z nas jest bardziej prawdopodobny? Przynajmniej w tej scenie? W oczach twoich rodziców? Który z nas jest bardziej przekonujący? Gdyby naprawdę udało się ich przywołać, jak sądzisz, w którym z nas rozpoznaliby swego syna? Czyje życie mogliby zaakceptować – twoje czy moje... – takie, jakie tutaj stworzyłem?*

*– Ale to przecież nie jest prawda, do kurwy nędzy!*

*– Och, Piotrze, ile razy muszę ci to tłumaczyć. Hm... Chyba nie powinienem już zresztą nazywać cię tym imieniem. W końcu teraz to ja jestem Piotrem Jaskulskim. No to na razie – wybaczone, ale jak zwykle nie mam czasu na rozmowy z duchami. Może innym razem?*

*– Zaczekaj, przecież... Przecież ja...)*

Mężczyzna w ciemnym płaszczu uśmiecha się jeszcze raz w przestrzeń, odwraca i szybko dogania pozostałych. Kładzie rękę na ramieniu żony i coś jej szepcze do ucha...

*(Tak... Ma rację. To on jest bardziej prawdopodobny. Może jest też bardziej prawdziwy? Moje życie... Czy w tej jednej chwili jestem w stanie znaleźć coś, co sprawi, że stanie się bardziej rzeczywiste? Bardziej dotykalne? Choćby tylko dla mnie samego?)*

Państwo Jaskulscy kierują się zgodną grupą w jedną z bocznych alejek. Jest piękny, jasny dzień. Kryształowe okrychy lśnią w słońcu. Jak co roku w Boże Narodzenie poświęcają nieco czasu tym, którym nie jest już dane nacieszyć się rodzinną atmosferą świąt.

*(Kolejna risia wizja? Tak jak Londyn. Czy może inaczej? Kolejna iluzja... czy też kolejna rzeczywistość?)*

Tamci zatrzymują się wreszcie przy grobie Markiewiczów.

– Zawsze mi ich żal – wzdycha pani Anna. – Byli taką piękną rodziną... Jak to się niektórym ludziom nie układa.

*(Tak, pamiętam... Agnieszka Markiewicz... zmarła lat 4. Wojciech Markiewicz zmarły lat 45. Kiedy ostatni raz byłem na ich grobach?)*

– Kto tu leży? – pyta mała Marysia empatycznie.

– Kuzynka twojego taty. – Pani Anna przyklęka obok wnuczki. – Urodziła się w tym samym dniu, co on... – Z nagłą czułością spogląda na mężczyznę w ciemnym płaszczu.

– I dlaczego umarła? – pyta Jacuś poważnie.

– Była bardzo chora... – z równą powagą odpowiada pani Anna.

– A na co? – Dziecko domaga się dalszych wyjaśnień.

*(Tak, ileż to razy słyszałem tę historię. Czy jeszcze pamiętam tamtą małą dziewczynkę, towarzyszkę moich pierwszych zabaw? A potem choroba i diagnoza, od której nie było odwołania; zmarła wkrótce po swoich... po naszych czwartych urodzinach. I oni; serdeczni przyjaciele rodziców Wojciech i Monika. On popadł w alkoholizm i depresję, ona rozwiodła się i wyjechała do Kanady; nigdy już o niej nie usłyszeliśmy, nie wysłała rodzicom nawet kartki na święta, zapewne chcąc odciąć się od wszystkiego, co przypominało jej tamtą traumę... Wojciecha pamiętam dobrze; przychodził żebrać u ojca o pieniądze na wódkę, gdy chodziłem jeszcze do liceum. W niczym nie przypominał już tamtego rezolutnego, przystojnego mężczyzny ze zdjęć. Brodaty, śmierdzący alkoholem, przygarbiony. Nie znosiłem go i nie wpuszczałem, gdy rodziców nie było w domu. No i wreszcie jego pogrzeb, gdy już studiowałem w Krakowie. Nie byłem na nim, trwała sesja, miałem akurat ważny egzamin, a rodzice nie nalegali. Może powinienem był wtedy przynajmniej...)*

– Tak więc to taka smutna historia. – Pan Andrzej kończy tymczasem opowiadać synowej szeptem wersję dla dorosłych. – Jak to powiedziała



Ania, niektórym ludziom zupełnie się jakoś nie układa...

Marta poważnie kiwa głową i bez słowa ściska dłoń męża.

*(Kim jest ta kobieta? Marta, pamiętam to imię. Czy to tamta nauczycielka, którą poznałem na imieninach Przemka, koleżanka jego żony? Robili mi potem wyrzuty, że nie chciałem do niej zadzwonić. Nie pamiętam już nawet, jak naprawdę wyglądała. Czy to właśnie ona? Jakimi prawami rządzi się ta scena? Czy Kyubimori utkał ją z czystej fantazji, czy też odtworzył wersję tego, co mogło być się zdarzyć?)*

Mężczyzna w ciemnym płaszczu przytula żonę, ale jego uwaga zostaje rozproszona; sponad jej ramienia znów wpatruje się w przestrzeń.

*(– Jeszcze tu jesteś, duchu? Naprawdę czas zniknąć...*

*Ma rację, moja świadomość powoli rozwiewa się, rozprasza, topnieje na słońcu, okruch po okruchu. Nie zdołałem już znaleźć nic, na czym mógłbym się oprzeć, nic dotykającego, co mógłbym przeciwstawić tej scenie. Ale zaraz, zaraz... Przecież nie byłem sam. Gdzie jest... Yuki!*

*– Wzywasz na pomoc tę dziewczynę? Yuki – tak ma na imię? Ładnie. Jest naprawdę niezła; musi taka być, skoro to ją przysłali z Ody. Skoro nie wybrali kogoś bardziej doświadczonego, starszego i z penisem pomiędzy nogami. W tej chwili nie ma to jednak znaczenia; już wystarczająco namieszała; nie pozwolę, by znów pokrzyżowała mi plany. Do środka tej sceny nie przedostanie się, choćby nie wiem, jak była dobra. Widzisz, duchu, tutaj mają prawo wstępu tylko ci, których dotyczy ona bezpośrednio. Jakby to ująć po prostu... rodzina. Wiesz, jaki dziś jest dzień?*

*– Tak. Noc zimowego przesilenia, noc twoich urodzin. Czas, gdy twoja moc jest najsilniejsza...*

*– O, widzę, że cię podszkolono. Pewnie znowu ta... Yuki? Tak, masz rację, ale nie tylko. W Chinach na przykład – nie wspominałem ci, że kiedyś, dawno temu, całkiem sporo podróżowałem po Chinach – to również*

*noc poprzedzająca festiwal Dōngzhi, czas gdy rodzina spotyka się na nowo... Czas powtórnych spotkań i zjednoczenia. To całkiem symboliczne, nieprawdaż?*

*– To nie jest twoja rodzina, risie. Ty nie masz rodziny!*

*– Nie?*

*– Obaj wiemy, że to tylko kłamstwo.)*

Mężczyzna w ciemnym płaszczu potrząsa bezradnie głową, jak ktoś komu brak jest już cierpliwości, by po raz tysięczny tłumaczyć to samo wyjątkowo upartemu i niepojętnemu dziecku.

– Coś nie tak kochanie? – pyta zaniepokojona Marta. Sprawia wrażenie kobiety, którą łatwo jest zaniepokoić.

– Ależ skąd. – Tamten uśmiecha się pod nosem. – Wszystko w najwyższym porządku. Teraz na grób Poniewierskich, mamó? – zwraca się do starszej pani Jaskulskiej.

– Tak – chrząka jego matka. – Jacuś, Marysia – znów nachyla się ku wnuczętom – pomódlcie się jeszcze za tych wszystkich, którzy nie mogą być w święta tak jak my razem...

*(Obraz powoli rozmazuje się i zanika. Mężczyzna w ciemnym płaszczu po raz ostatni spogląda kpiąco w moim kierunku. To koniec. Co się ze mną stanie, gdy zniknę z tej sceny? Czy to ona zastąpi rzeczywistość, czy też...)*

– Tato, mamó... – Mały Jacuś niespodziewanie przerywa paciorek i podbiega do rodziców. – Czy my zawsze będziemy razem?

*(Wszystko na moment zastyga w miejscu. Co się dzieje?)*

– Oczywiście. – Marta czule ściska synka.

– Nikt z nas nie umrze? – pyta z lękiem chłopiec.

– Nie, Jacusiu. – Jego matka, śladem tylu innych rodziców, składa obietnicę bez pokrycia.

– A tata nie wyjedzie i nas nie zostawi? – Chłopiec przenosi zalękniony wzrok na mężczyznę w ciemnym płaszczu. – Tak jak tata Kamila?

– Synku! – niepokoje się zdezorientowana Marta. – Skąd coś takiego nagle przyszło ci do głowy?

Mężczyzna w ciemnym płaszczu marszczy brwi, w jego oczach pojawia się błysk zdziwienia. Podejrzliwie rozgląda się wokół.

*(Obraz na nowo się wyostrza. Wszystko trwa w stanie zawieszenia. Co się dzieje? Czy to robota... Yuki? Czyżby jednak zdołała się przedrzeć?)*

– Tato? – powtarza z uporem chłopiec. – Nie zostawisz nas jak tata Kamila, prawda? Zawsze będziemy razem spędzać święta? Ty, mama, ja, Marysia, babcia i dziadek?

– No, odpowiedz, chłopcu – ponagla z irytacją Anna Jaskulska. Również Marta spogląda niepewnie w twarz męża.

– Tak? – Tamten odwraca roztargnione spojrzenie. – Ależ, oczywiście.

Już poza zasięgiem jego wzroku nagły podmuch wiatru strząsa z grobu Markiewiczów płatki śniegu. Biały puch zaczyna wirować, formując jakiś niewyraźny kształt...

*(To dziwne uczucie... Tak jak wtedy, w tamtym Londynie, gdy płatki śniegu wybudziły mnie z wizji. Coś się zaraz wydarzy...)*

– Ależ oczywiście. – Mężczyzna w ciemnym płaszczu spogląda na swą żonę, dzieci i rodziców. – Nigdy was nie opuszczę – recytuje przygotowane zawczasu zaklęcie. – Należę do was.

– Nie, nieprawda. – Zimowe powietrze przeszywa cichy, ale dźwięczny głos, mroźny i głęboki tak jak ono. – Należysz do mnie.

Mężczyzna drga, przez jego twarz przebiega grymas.

Na miejscu Jacusia stoi mała dziewczynka, mniej więcej w wieku chłopca. Ma długie ciemne włosy, bladą skórę, skośne oczy i wydatne kości policzkowe. Wygląda, jakby przybyła wprost z festiwalu *Shichi-Go-San*,

przerywając na moment wizytę w lokalnej świątyni, dokąd udała się wraz ze swymi rodzicami, bądź też zorganizowaną przez nich sesję fotograficzną. Jest ubrana w odświętne czerwone kimono w kwiatowe wzory, przepasane po raz pierwszy tradycyjnym pasem *obi*.

– Sam powiedziałeś – dodaje dziewczynka, tym razem znacznie ciszej, prawie szeptem – święto *Dōngzhi*. Czas rodzinnych spotkań. Teraz trzeba będzie ponieść konsekwencje własnej magii.

– Synku... – szepcze skonfundowana pani Jaskulska. – Kto to... Synku?  
– Na jej twarzy pojawia się niepewność.

– Czemu mnie opuściłeś? – pyta dziewczynka. Nie mówi po polsku, ale sens jej słów jest oczywisty.

Zdziwione i jakby zniesmaczone duchy rodziny Jaskulskich rozwiewają się w powietrzu.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu cofa się o krok. Jego twarzy nie dałoby się już pomylić z twarzą Piotra Jaskulskiego.

Scena pryska.

\* \* \*

*Wtedy wyszły dwie łasiczki;  
Miała każda z nich nożyczki.  
Pochwyciły ogon lisa,  
Co jak ruda chmura zwisał,  
I do pracy się zabrały...*

*Jesienne popołudnie. Pani Anna Jaskulska i jej siedmioletni synek, Piotruś, siedzą obok siebie na kanapie w niby-saloniku w ich M-4. Przed sobą mają rozłożoną ilustrowaną książeczkę z bajkami Jana Brzechwy. Chłopiec jak zahipnotyzowany wsłuchuje się w opowieść o szelmostwach*

*Lisa Witalisa. Choć sam przecież potrafi już całkiem sprawnie składać litery, woli, kiedy to matka mu czyta. Historie recytowane jej melodyjnym głosem wydają się o wiele bardziej interesujące; bajkowe i tajemnicze, a jednak w jakiś sposób... prawdziwe?*

*Lis uciekał, gdzie pieprz rośnie.  
Raz zatrzymał się przy sośnie  
I usłyszał zawstydzony,  
Jak się z niego śmiały wrony...*

*Piotruś lubi tę bajkę, chyba najbardziej ze wszystkich. Szczerze powiedziawszy, to trochę nawet jest mu żal Lisa Witalisa pomimo wszystkich jego nikczemnych występków.*

*Lis Witalis, ośmieszony,  
Wyszydzony, uciekł z lasu  
I już nikt od tego czasu  
Nie oglądał Witalisa...*

*Hm, ciekawe, co stało się z nim później, zastanawia się chłopiec, choć oczywiście zdaje sobie sprawę, że to tylko bajka. Mimo wszystko ciekawie byłoby spotkać takiego lisa... choć pewnie niebezpiecznie?*

*Matka przewraca strony książki i odnajduje kolejną bajkę. Chłopiec spogląda ponad jej ramieniem za okno. Przez moment obserwuje, jak wiatr targa rozwieszonym na balkonie praniem. Nieoczekiwanie doznaje dziwnego wrażenia; po raz pierwszy w życiu jest świadomy przepływającej właśnie chwili; niejasno zdaje sobie sprawę, że nigdy już nie powróci dokładnie w takim samym kształcie.*

\* \* \*

*Dziesięcioletni Piotrek idzie za ojcem wąską, zarośniętą ścieżką. Jest środek upalnego lata; poniżej koron otaczających rzekę drzew tworzą się głębokie, przytulne cienie.*

*Czas płynie powoli; leniwy i swobodny niczym nurt rzeki; niczym przyczajone pod korzeniami pstrągi. Jak tutaj ładnie, myśli chłopiec, dźwigając ciężki sadzyk. W środku pływają cztery karasie i dwa kielbie, których ojciec ma zamiar użyć na przynętę. Szczerze powiedziawszy, Piotrkowi trochę ich żal; może wypuścić je na wolność, kiedy ojciec nie będzie patrzył?*

*Na chwilę oddalają się od nurtu i kierują w stronę starorzecza. Andrzej Jaskulski podchodzi do brzegu i uważnie lustruje szmaragdową toń. Nagle uśmiecha się i przywołuje syna, jednocześnie przykładając palec do ust. Piotrek odstawia sadzyk i podchodzi. Ojciec obejmuje go ramieniem i pokazuje mu coś ręką. Piotrek wstrzymuje oddech; pośród lilii i nenufarów dostrzega potężnego szczupaka przyczajonego tuż pod powierzchnią.*

*Nagle chłopiec doznaje déjà vu... A może to nie déjà vu, tylko coś wręcz odwrotnego? Może intuicja podpowiada mu ukryte znaczenie tej sceny, może przeczuwa, że chwila ta jeszcze nieraz wróci do niego w przyszłości?*

*\* \* \**

*Jest wigilia; ostatnie przygotowania do kolacji. Lekko znudzony, osiemnastoletni Piotrek rozkłada talerze zgodnie z instrukcjami matki. Raczej nie przepada za tego typu zajęciami i pewnie wołałby się zaszyć w swoim pokoju, ale tym razem nie da rady...*

*Dzwonek do drzwi. Piotrek spogląda pytająco na ojca, mocującego się z choinką.*

*– To pewnie Wojtek – wzdycha pan Andrzej. – Przyszedł trochę za wcześnie. Wpuść go, Piotruś.*

*Piotrek wydyma wargi i patrzy gdzieś w bok.*

*– Piotrek!*

*Niechętnie idzie do przedpokoju. Ma już dość wizyt zapijanzonego i śmierdzącego krewnego, bez krzty finezji zebrzącego o pieniądze oraz alkohol. Czemu rodzice tolerują go z taką cierpliwością?*

*Powoli otwiera drzwi intruzowi... i zastyga ze zdziwienia.*

*Wujek Wojtek jest dziś ubrany w elegancki garnitur; uczesany i starannie ogolony rozsiewa wokół siebie miły zapach wody kolońskiej. W jednej ręce trzyma bukiet kwiatów, a w drugiej sporą torbę – czyżby prezenty?*

*– Dzień dobry – zaczyna nieśmiało tamten. – Czy...*

*– Proszę bardzo. – Piotrek niespodziewanie dla siebie samego uśmiecha się i otwiera szerzej drzwi. – Wejź, wujku, wszyscy na ciebie czekamy.*

\* \* \*

Przez chwilę Piotr stał nieruchomo z zaciśniętymi kurczowo powiekami, usiłując dojść do ładu przynajmniej sam ze sobą. I w pewnym stopniu nawet mu się to udało. Wspomnienia, uczucia, miejsca – wszystko to, co zabrał mu Kyubimori – co on sam oddał risowi – powoli do niego wracało. Świat wydawał się taki sam jak przedtem, nim zaczęła się ta dziwna noc. Lecz... nie do końca. Instynktownie wyczuwał, że coś jest teraz *inaczej*, choć nie potrafił jeszcze stwierdzić, na czym właściwie polega różnica.

Westchnął, otworzył powieki, znów je zamknął i jeszcze raz otworzył, jakby wciąż nie do końca pewien, co jest risią iluzją, a co – taką czy inną – rzeczywistością.

Znów otaczała go noc i pusty, ośnieżony cmentarz. Dwie postacie stały naprzeciwko siebie pośrodku alejki, w odległości może trzech metrów od Piotra.

Pewność siebie znikła z twarzy Kyubimoriego. Wiatr rozwiewał połami ciemnego płaszcza. Ma prawie taki sam płaszcz jak mój, skostatował Piotr odruchowo. W ogóle w jakiś ulotny sposób Japończyk wciąż wydawał się trochę podobny do niego samego, jakby tamten rzeczywiście posiadał szczególne kwalifikacje do stawania się alter ego Piotra Jaskulskiego.

Młoda kobieta w puchowej kurtce nie spuszczała wzroku z Kyubimoriego. Jej wargi drgały, próbując wypowiedzieć jakieś słowa.

– Yuki... – szepnął Piotr, niedosłyszalnie nawet dla siebie samego.

Jakiś cień przemknął przez twarz Kyubimoriego, ale zaraz potem wiceprezes znów przywołał spokój na swoje oblicze. Wykonał krótki gest dłonią i – nim płuca stojącej naprzeciwko niego kobiety zdołały zaczerpnąć powietrze do krzyku – zniknął. Po prostu rozwiął się w powietrzu.

Krzyk uwiązał Yuki w krtani. Żrenice zawisły w punkcie, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się twarz Kyubimoriego. Ręce i nogi zeszywniały. I tak zastygła w bezruchu niczym dalekowschodni bałwan.

W chwili gdy Piotr był już niemal pewien, iż skutkiem jakiejś dziwacznej japońskiej magii dziewczyna na zawsze przemieniła się w lodową rzeźbę, Japonka wypuściła z głośnym westchnieniem powietrze, sflaczała, zapadła się w sobie i w końcu opadła na kolana.

Podszedł do niej i w milczeniu usiadł obok, na zimnej płycie czyjegoś grobowca.

– Po prostu znowu uciekł – szepnęła Yuki, wpatrując się gdzieś przed siebie. – Nie uznał mnie nawet na tyle ważną, by ze mną walczyć. Nie poświęcił mi jednego słowa.

– Kyubimori jest twoim ojcem – bardziej stwierdził niż zapytał Piotr. – Intruzem, który wdał się w romans z twoją matką, by osiąść tajemną wiedzę wioski Oda...

– Cóż, cud, że nie domyśliłeś się wcześniej... analityku.



– Owszem. Tym razem się nie popisałem. Wiesz... Nawet jesteś do niego podobna. W taki zwyczajny sposób. Oboje byliście chyba dla mnie zbyt egzotyczni, zbyt niezwykli, bym zdołał to dostrzec.

Yuki wzruszyła ramionami.

– Jak się czujesz? – Powoli podniosła się z klęczek.

– Ja? – uniósł brwi Piotr. – Dziwnie, rzecz jasna. Ale chyba dziwnie tak jak teraz jest lepiej niż dziwnie tak jak przedtem. Zdaje się, że odzyskałem to, co zabrał mi Kyubimori.

– To dobrze. Cieszę się. Mam nadzieję, że pomimo tych wszystkich traumatycznych przygód, przez które musiałeś przejść dzisiejszej nocy dzięki mnie i mojemu ojcu, teraz wszystko jakoś się dla ciebie ułoży. Wróci do normy.

Piotr popatrzył w mrok, ponad ośnieżone krzyże.

– Nie wiem, czy chcę, by wszystko wróciło do normy.

Powoli podszedł do grobu rodziców. Wyciągnął rękę i zgarnął śnieg, odsłaniając napisy.

– Odeszli tego samego dnia – zauważyła Yuki, stając obok niego. – Wypadek samochodowy?

– Nie. Ojciec zmarł we śnie. Matka po przebudzeniu zdążyła jeszcze wezwać pogotowie, ale potem jej serce widać nie wytrzymało. Lekarz, przybywszy na miejsce, stwierdził dwa zawały. Dziwna historia, ale prawdziwa.

– I piękna – skomentowała Yuki. – Musieli być bardzo ze sobą szczęśliwi. I bardzo życzliwi.

– Na swój sposób pewnie byli. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, dopóki jeszcze żyli. Nie zauważa się takich rzeczy, gdy ma się je obok siebie na co dzień. Ta scena... Scena, którą wyczarował Kyubimori. Nie byłem w stanie nic zrobić. Czuję się taki odległy od tego wszystkiego, co

oni stworzyli swoim życiem. Taki *na zewnątrz*. On to zrozumiał i wykorzystał. Kurczę, trafił w sedno. Trudno go nie podziwiać. Gdyby nie ty, nie wiem, jak by się to skończyło...

– Nie daj się zwieść wizjom Kyubimoriego. To ty jesteś prawdziwym synem swoich rodziców, nie tamten mężczyzna w ciemnym płaszczu. To twoje życie jest prawdziwe, nie jego. Twoje życie i to, co możesz z nim zrobić. Oni by to wiedzieli. Niesiesz ich ze sobą, chcesz tego czy nie. To, co stworzyli. Ich wartości, ich marzenia, ich przyszłość. Nawet jeśli czasem masz poczucie, że jest inaczej. Nawet jeśli zdaje ci się, że bardzo się oddaliłeś od ich świata... ten świat wciąż istnieje. Czeka, skryty gdzieś tuż pod powierzchnią, na odpowiedni moment, by powrócić, byś znów mógł uczynić go częścią swego życia... Znam cię jedynie od kilku, co prawda, dość intensywnych godzin, a twoich rodziców – ich wspomnienie – widziałam jedynie przez mgnienie w scenie wyreżyserowanej przez Kyubimoriego – ale nie wiesz nawet, jak bardzo ci zazdroszczę. Tego, co oni ci pozostawili. Twojej przeszłości, twojego zakorzenienia, twojego dzieciństwa. Twoich wspomnień.

– Tak – odparł Piotr. Z namysłem kontemplował imiona swoich rodziców, wyryte na marmurze.

Jeszcze tu wrócę, obiecał w myślach. Dokończymy tę rozmowę.

– Cóż – dodała Yuki smutno. – Trudno o większy banał. I o bardziej prawdziwy. Nie da się uciec od własnych rodziców. Niestety. Choć im niekiedy udaje się uciec od nas.

– Jak sądzisz, gdzie jest teraz Kyubimori? – Obrócił się ku dziewczynie.  
– Nie sądzę, żeby po prostu się poddał. Z pewnością wykona jeszcze jakiś ruch.

Japonka zastanawiała się przez chwilę.

– Przypuszczam, że podążył na wzgórze. To, na którym miało być zbudowane nowe centrum Nagity. Nie zdołał przejąć twojego *zakorzenia*, ale w jakimś sensie z nim się *utożsamił*. Spróbuje *oswoić* moc tamtego miejsca, dopóki ta noc, jego noc, jeszcze się nie skończyła. Lepsze to niż nic. I tak nie ma już wiele do stracenia.

– A ty spróbujesz pewnie go powstrzymać?

Yuki wzruszyła ramionami.

– Tak czy owak, moim przeznaczeniem jest, jak się zdaje, ścigać go aż do samego końca. W każdym razie w dalszym ciągu nie przychodzi mi do głowy nic innego. Pewne rzeczy muszą zostać zamknięte; nie mogę po prostu teraz odejść. Ci z Ody dobrze o tym wiedzą. Chcąc nie chcąc, wypełnię misję, którą mi powierzyli.

– Przysłali cię właśnie dlatego, że jesteś jego córką?

– Najwyraźniej pragnęli, bym zmyła hańbę mej matki. A może nie chcieli wysłać nikogo spośród siebie w podróż, która wydała im się nieczysta i niebezpieczna?

– Dziwne, że pozostawili wszystko w twoich rękach. Skąd mieli pewność, że spełnisz ich oczekiwania? Że po prostu nie przyłączysz się do swego ojca? Sama powiedziałaś, że wioska Oda niezbyt cię obchodzi. Że nie masz powodu, aby życzyć powodzenia tym, którzy cię przysłali. Być wobec nich lojalna.

– Nie mam też powodu, by być lojalna względem niego. Chociaż oczywiście człowiek roi sobie różne rzeczy. Kiedy leciałam samolotem, do głowy przychodziły mi najprzeróżniejsze scenariusze. Wyobrażałam sobie, że zanim się ujawnię, stoczę z Kyubimorim imponujący pojedynek. Że on sam okaże się inny, niż mi opowiadano. Że przynajmniej okaże mi szacunek, jeśli będę w stanie zmierzyć się z nim jak równy z równym. O tak, zastanawiałam się, czy spróbuje mnie przeciągnąć na swoją stronę.

Jakie złoży mi propozycje. Ale ludzie z Ody byli mądrzejsi. Przewidzieli, że po prostu mnie zignoruje. Cóż, nie pozwolę mu na to. Będzie musiał walczyć ze mną na serio; i przynajmniej tak uznać moje istnienie. Tak, tak, wiem, to głupie, ale jak już ci mówiłam, od początku nie miałam specjalnego wyboru. A więc, żegnaj, Piotrze Jaskulski. Cieszę się, że przynajmniej tobie w jakiś sposób okazałam się pomocna. I przepraszam – za siebie i za niego.

– Zaczekaj – odparł szybko Piotr. – Idę z tobą.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale... Czemu? Odzyskałeś już przecież to, co utraciłeś. Reszta cię nie dotyczy.

– I owszem, dotyczy. W końcu Kyubimori chce przejąć kontrolę nad moją firmą. I moim miastem. Poza tym chciałbym nadal ci towarzyszyć. Kto wie, może będę miał okazję zwrócić ci przysługę.

– Nie boisz się, że gdy przyjdzie co do czego, zdradzę cię i oddam w ręce mego ojca? – spytała ze smutnym uśmiechem.

– Zaryzykuję, by zobaczyć, jak to wszystko się skończy.

– A więc jedźmy.

## Krzyk pustki

Gdy byli mniej więcej w połowie drogi, dobiegł ich dźwięk zapuszczanego silnika. Kyubimori może i był w stanie zniknąć i pojawiać się w sposób magiczny, ale jak widać, na dłuższe dystanse nadal musiał przemieszczać się środkami bardziej konwencjonalnymi.

W milczeniu dotarli do samochodu i ruszyli z powrotem w stronę miasta. Piotr siedział za kierownicą, skoncentrowany na wyborze właściwej trasy, Yuki zaś dalej nie odzywała się; zatopiona we własnych myślach, dalekowschodnia rzeźba z lodu.

Jaką drogę wybrał Kyubimori? Na ile dobrze znał Kielce? Zamiast wjeżdżać do centrum Piotr postanowił skręcić przed samym miastem w prawo i dotrzeć na miejsce opłotkami, od drugiej strony.

Decyzja nie okazała się do końca trafiona. Gdy tylko osiedlowa ulica zmieniła się w gruntową, zagrzebali się w śniegu.

Wyszli z samochodu i spojrzeli przed siebie. Droga wspinała się dalej na wzgórze, ku rzędowi domostw.

– Sorry, chyba nie przejedziemy – mruknął Piotr. – Dalej trzeba będzie pójść na piechotę.

Yuki wzruszyła ramionami.

– To już niedaleko, prawda?

– Musimy wejść na wzgórze i skręcić w lewo, jest tam chyba taka ścieżka przez łąkę. Centrum konferencyjne, gdzie dzisiaj byliśmy, znajduje

się jakieś dwa kilometry na północny zachód. Miejsce, którego szukamy jest dokładnie pośrodku. Mówiłem ci, że tutaj wszystko leży blisko siebie.

Japonka skinęła głową i ruszyła jako pierwsza. Chmury rozstały się, odsłaniając gwiazdy i księżyc. Gdzieś spośród domostw dobiegło szczekanie psa.

Szli powoli, co i rusz zapadając się w śnieg. Piotr wciąż miał na sobie galowe, czarne półbuty, Japonka trochę wygodniejsze, ale też bynajmniej nieadekwatne do sytuacji adidasy.

Sho i Yuki, zastanawiał się Piotr. Tacy podobni i tacy różni. Czemu nie domyślił się wcześniej? Oczywiście dla przeciętnego Europejczyka wszyscy Japończycy wydawali się, w pewnym sensie, tacy sami, ale on pracował już z nimi na tyle długo, że powinien był dostrzec więcej. Tak, Yuki miała w sobie identyczny rodzaj atrakcyjności co Kyubimori, tylko że w niej był on jakiś uśpiony, zimowy. Ale jej oczy czasami rzucały te same błyski, jej uśmiech potrafił być tak samo ironiczny, zwierzęcy, drapieżny. Bez wątplenia tkwił w niej równie niebezpieczny potencjał. Czy mogła stać się taka jak Sho?

Dotarli na szczyt wzgórza, na niewielkie rozwidlenie. Na wprost droga ciągnęła się dalej, mijała pagórek i opadała ku „wichrowym wzgórzom”, jak ochrzczono największe w Kielcach skupisko ogródków działkowych. Po prawej znajdowała się asfaltowa droga, wokół której stało kilkanaście posesji. Kilkaset metrów dalej łączyła się z szosą prowadzącą na Masłów.

– Fajne miejsce do mieszkania – zauważyła Yuki, wpatrując się w oświetlone światła jednego z domów. – Widok na wiele mil w obie strony. Chociaż trochę tu wietrznie...

– Wiem, byłem tu już kiedyś. Tam dalej – wskazał palcem kierunek – znajdowała się wolna działka. Drogo, ale w granicach moich możliwości.

W końcu uznałem jednak, że nie chce mi się budować domu. Przy trybie życia, jaki prowadzę mieszkanie jest znacznie wygodniejsze.

– Hm... – mruknęła Yuki. – Ja wychowałam się w domu. I chociaż trudno by mi było nazwać go „domem rodzinnym”, przywiązałam się do swojej samotnej izdebki na poddaszu. Jej okna wychodziły na las i góry; lubiałam przez nie spoglądać... Tam... – zauważyła od niechcienia.

Przy płocie najbliższej posesji stał przyczajony, ciemny kształt. Bmw Kyubimoriego.

– A więc nie myliłaś się – westchnął Piotr. – Za to ja niepotrzebnie władowałem się w te opłotki. Powinienem był tu przyjechać tak jak on, od strony szosy na Masłów – pokazał na wschód. – Nie pomyślałem o tym.

– To już nie ma żadnego znaczenia.

Po ich lewej stronie stała kapliczka, przesłaniając wejście na polną ścieżkę.

– Można nią dojść aż do ulicy Radomskiej i centrum handlowego. Jak już wspominałem, gdzieś w połowie drogi leży grunt, który wybrał Kyubimori.

Yuki zatrzymała się na chwilę obok kapliczki.

– Gdybyśmy się znajdowali w Japonii – stwierdziła – w tym miejscu też postawiono by coś podobnego. Poświęcone jakiemuś bóstwu shinto, rzecz jasna. Pewne miejsca sugerują określone formy, niezależnie od tego na terytorium jakiej kultury akurat się znalazły.

Minęli pozostałości niewielkiego sadu i wyszli na otwartą przestrzeń.

I znów (który to już raz tej dziwnej nocy?) Piotr odniósł wrażenie, że znalazł się w zupełnie innym świecie. Jakże złudna jest nasza koncepcja miejsca, pomyślał, wiara w stabilność i niezmiennność przestrzeni, w której rozgrywa się nasz życiowy dramat lub też raczej, w większości przypadków, nasz życiowy *reality show*. Wiara w jej *statyczność*. Czemu

nie zauważył tego wcześniej? Czy musi się pojawić ktoś taki jak Sho Kyubimori, by swoimi iluzjami wyrwać nas z naszych własnych? A przecież w tym wszystkim, choć czają się pułapki, jest też niespodziewana szansa...

Biel dominowała tutaj bardziej nawet niż na cmentarzu. Z grzbietu wzgórza widok otwierał się na wiele, wiele kilometrów; łatwo było spostrzec, że cały świat znalazł się pod jej absolutnym panowaniem. Domy, pola, lasy, drzewa i drogi – wszystko to zdawało się tylko drobnym dodatkiem, pobocznym motywem, podkreślającym prawdziwą esencję scenerii. Piotr poczuł żal, że nie może pozostać już tak na zawsze, że śnieg w końcu stopnieje, na nowo uwalniając całą codzienną monotonię.

Że czas nie może się zatrzymać. Choćby tylko w pewnym sensie.

Coraz bardziej zapadali się w śniegu. W oddali zamajaczył czubek Centrum Biznesu – widać było najwyższe kondygnacje kompleksu, łącznie z dachem, gdzie wcześniej Piotr stoczył swój absurdalny pojedynek z Chudzikiem.

Ścieżka prowadziła na zachód, nieco poniżej właściwego wierzchołka wzgórza. Z lewej strony teren szybko opadał, odsłaniając widok na prawie całe miasto oraz lasy, wsie i pola, otaczające Kielce od wschodu. Po prawej znajdowały się łąki i niewielkie zagajniki, zza których od czasu do czasu prześwitywały pasma Gór Świętokrzyskich – pobliska Radostowa i – nieco dalej w tle – Łysogóry.

Yuki na moment przystanąła, kontemplując widok.

– Naprawdę pięknie – szepnęła. – Może rzeczywiście powinieneś być zbudować tutaj dom...

– Ale nie dlatego Kyubimori wybrał to miejsce, prawda?

– Nie. – Potrząsnęła głową, strząsając z niej kilka białych płatków. – Nie dlatego.



Ruszyli dalej. Piotr zapatrzył się w drzewa po prawej. Przyprószone bielą sosny kusiły, przyciągały go ku sobie. Nagle dostrzegł ścieżynkę ukrytą pomiędzy drzewami; niczym zahipnotyzowany zboczył w jej stronę. Kto wie, co znajdowało się za zagajnikiem? Dokąd mogła zaprowadzić go ta droga? Do kieleckich działek? Góry Radostowej, a potem czarnym szlakiem do Świętej Katarzyny, na Łysicę i Święty Krzyż. A może jeszcze dalej?

Coraz głębiej zapadał się w śniegu; czuł, jak myśli stają się coraz bardziej senne, ciało coraz bardziej rozluźnione. Jakąś wciąż trzeźwą częścią świadomości zdał sobie sprawę, że będzie tak szedł dopóki starczy mu sił w nogach, a potem położy się i uśnie, otulony miękkim puchem. Czy myśl ta nie powinna go choć trochę zaniepokoić?

Odgarnął ręką zagradzającą drogę gałąź, zdjął rękawiczki i wyrzucił je, nie chcąc, by cokolwiek oddzielało go od pieśczoły chłodu. I tak jak wtedy, w tamtym śnie – nie śnie...

*...Piotr stoi pośrodku zimowego lasu. Jest środek nocy, ale gruba warstwa białego puchu odbija światło gwiazd i księżyca, skrzy się subtelnymi białymi kolorami.*

*Piotr zachłystuje się świeżym, mroźnym powietrzem. Wyciąga rękę i zgrania puch z gałęzi. Przez moment wpatruje się w pojedynczy, wielki płatek śniegu, który roztapia się na jego dłoni. Widzi go wyraźnie, jest w stanie policzyć wszystkie jego ramiona!*

*Jest tutaj tak pięknie i czysto!*

*Nagle jakiś kształt wynurza się spośród drzew – małe srebrzyste zwierzątko podbiega i...*

Auu! – wrzasnął Piotr z bólu. Szybko odwrócił głowę i z niejakim zdumieniem spostrzegł, że jego lewa dłoń znajduje się pomiędzy zębami

zagadkowej, dalekowschodniej kobiety o oczach głębokich jak toń jeziora Biwa. Zęby były śnieżnobiałe i piękne. I nadspodziewanie ostre.

– Co jest? – Piotr potrząsnął głową, strzepując z siebie resztki dziwnego transu. Znajdował się wśród drzew i chaszczki, jakieś trzydzieści metrów od ścieżki, którą szli jeszcze przed chwilą.

– Sorry. – Yuki wypuściła jego rękę. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. Próbowałam cię szczytać, ale dopiero to pomogło.

Piotr zapatrzył się w zaczerwieniony wierzch dłoni, gdzie wciąż były odcisnięte ślady zębów Japonki.

– Kolejny trick twojego ojca? – zapytał, pocierając zaczerwienione miejsce.

– Uhu. – Yuki obejrzała się przez ramię. – Ale chyba już ostatni. Raczej wiedział, że coś takiego nas nie powstrzyma; pewnie chciał po prostu zyskać parę minut?

Dobrnęli z powrotem do ścieżki.

– To jeszcze najwyżej jakieś pięćdziesiąt metrów – stwierdził Piotr. – Za tym zadrzewionym pagórkem...

Zmrużył oczy, usiłując dostrzec coś pośród otaczających pagórek drzew. Znow, podobnie jak na cmentarzu, żadnego ruchu, dźwięku, niczego. A jednak czuł, że Kyubimori jest w pobliżu...

Na moment zapatrzył się w dół, na setki zapalonych świateł. Potem przeniósł wzrok ku wzniesieniu Telegrafu i dumnie wieńczącej go wieży telewizyjnej. I jeszcze dalej, na okalający Telegraf las – Bukówkę, na śnieżne pola Mójczy i wreszcie kolejne pasmo lasów, tym razem dłuższe, głębsze ciągnące się aż po zamglony horyzont...

Niekiedy dopada nas dziwne wrażenie, że gdzieś z boku, na samej granicy pola widzenia, przestrzeń przestaje odgrywać wyuczoną na pamięć rolę. Lub może to nasz umysł na moment zapomina zaklinać ją

w oswojone, bezpieczne kształty? I wtedy samym kątem oka przez krótkie mgnienie oglądamy obrazy jakiegoś zupełnie innego miejsca, nieznanego i dziwnie znajomego jednocześnie... dopóki wszystko znów nie wróci do normy.

Tym razem było inaczej. Zaintrygowany jakimś drobnym szczegółem na samym krańcu wizji (nieco innym odcieniem bieli, nietypowym kształtem drzewa, niewłaściwą wysokością odległego wzgórza?), Piotr od niechcenia przekręcił głowę...

I nagle stwierdził, że ogląda miejsce, którego nie widział nigdy przedtem.

W pierwszej chwili pomyślał po prostu, że to ta noc wydobyła z podkieleckich krajobrazów tony, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Że to tylko gra księżycowego światła, ciemności i bieli sprawiła, że wszystko wydało mu się całkiem obce...

Ale nie – to było *inne* miejsce. Inna dolina, inne, nieco wyższe wzgórza zalesione innymi drzewami. I żadnego miasta – jedynie dwa czy trzy rzędy strzelistych, drewnianych chatek, subtelnych i dyskretnych, tak różnych od nieotynkowanych sześciątów dominujących na kieleckich przedmieściach...

Tak, to było inne miejsce. A jednak... w jakimś sensie bardzo podobne, choć podobieństwo to nie polegało na prostym, dosłownym odwzorowaniu form i kształtów, lecz na czymś o wiele głębszym, bardziej zagadkowym... Jakby oba miejsca ożywiała ta sama podskórna energia, jakby miały podobną... duszę.

Yuki wydała cichy okrzyk. Odwrócił się; twarz Japonki była jeszcze bardziej blada niż zwykle.

– Oda... – szepnęła prawie niedosłyszalnie.

A potem obraz obcego miejsca zaczął – powoli i płynnie – ustępować ośnieżonym kieleckim krajobrazom, których miejsce zajął przedtem tak bezczelnie. Wreszcie zniknął... lecz nie do końca. Teraz, kiedy już się znało prawdę, wystarczyło zmrużyć oczy i szybko spojrzeć samym kątem oka, by znów odnaleźć jego zapowiedź na krańcach wizji, gdzieś w tle.

– Oda – powtórzyła Yuki nieco głośniejszym głosem. – Powinnam była się domyślić...

– No właśnie – dobiegł ich ironiczny, ale jakby zmęczony męski głos. – Oda. Od tego wszystko się zaczęło.

Wiceprezes stał kilkanaście metrów dalej, na samym czubku wzgórza. Lodowaty wiatr rozwiewał połami jego płaszcz, ale on zdawał się tym zupełnie nie przejmować. Powoli ruszył w ich stronę. Szedł z zaskakującym wdziękiem, niemal się nie zapadając. Piotr podejrzliwie usiłował wypatrzeć, jakie dokładnie ślady tamten zostawia na śniegu, ale było zbyt ciemno.

Kyubimori zatrzymał się w odległości może trzech metrów. Przez chwilę przyglądał im się taksująco. Yuki zmrużyła oczy; wyglądała jak mały drapieżnik, szykujący się do skoku.

– Oj, Piotrze, Piotrze – powiedział tymczasem Japończyk z wyrzutem. – Sprawiałeś wrażenie takiej solidnej firmy, a tutaj, proszę, zupełnie nieprzewidywalny. Źle ci było w Londynie? Co właściwie w ten sposób osiągnąłeś?

– Wtrąciłeś mnie w błędne koło – odparł spokojnie Piotr. – Zamknąłeś w bezsensownej pogoni za mirażem Katarzyny...

– Cóż, wydawało mi się, że to właśnie pogoń za mirażem Katarzyny nadawała twemu życiu sens? Bo przecież nie kolejne rzędy cyferek na kolejnych kartkach papieru? Wybacz, dałem ci tylko to, czego pragnąłeś. Ja

naprawdę daję ludziom tylko to, czego sami pragną. Miej pretensje do siebie samego.

– Trochę mam – przytaknął pokornie Piotr. – I właściwie to chciałbym ci podziękować. Gdyby nie ty, pewnie dalej błąkałbym się po tym labiryncie, nawet nie zdając sobie sprawy, że to robię. Ty unaoczniliś mi jego istnienie, dzięki czemu, paradoksalnie, mogłem w końcu się wyrwać. Z pomocą Yuki, rzecz jasna.

– Tak – warknął Kyubimori. – Nie musisz mi przypominać, jaką odegrała rolę ta dziewczyna. Nie doceniłem cię. – Spojrzał z ukosa na Yuki. – Ale o tym za chwilę. A ty, Piotrze, czemu uznałeś za stosowne zmieniać życiową filozofię akurat tej nocy? Naprawdę nie spodziewałem się po tobie takich nagłych ekstrawagancji! Cholera, nie mogłeś zdecydować się wcześniej, jakim człowiekiem właściwie jesteś?

– Przepraszam. Cóż, zdaje się, że tym razem przechytryłeś sam siebie...

Kyubimori skrzywił się i potrząsnął głową. Znów przeniósł wzrok na Yuki.

– Kolejna ironia losu – westchnął z utrapieniem. – Nieoczekiwany efekt uboczny mojego flirtu ze sztukami Ody. Doprawdy, jeśli nawet nie ma na tym świecie sprawiedliwości, to chyba jednak istnieje coś w rodzaju karmy. Niestety. Gdybym wtedy wiedział, czym to się skończy, chyba dałbym sobie spokój z tym całym *akemasu-shimemasu*. Nigdy bym tego wszystkiego nie *otwierał*, gdybym wiedział, jak trudno będzie *zamknąć*.

– Kielce i Oda są ze sobą powiązane, prawda? – spytała chłodno Yuki. – Mają podobną duszę. Dlatego wybrałeś to miejsce.

– Tak, również dlatego. I z powodu dzikich, pierwotnych energii, jakie tutaj przepływają. Z powodu całej tej mocy, którą – być może – wciąż jeszcze jestem w stanie ukierunkować w odpowiedni sposób...

– W odpowiedni sposób? – wtrącił Piotr. – Chcesz zdobyć władzę nad duszami mieszkańców miasta? Wykorzystać ich, by...

– Daj sobie spokój – przerwał mu tamten. – Przestań na mnie patrzeć przez pryzmat swoich kulturowych uprzedzeń, bo mi to uwłacza. Jestem japońskim hm... risem, a nie jakimś antychrystem, spragnionym władzy i kasy politykiem czy też... mniejsza zresztą o to kim. Przyznaję, że to, co mówiłem o Kielcach było prawdą. To miasto, w ogóle cały wasz kraj, to fascynujące miejsce. Tyle wspaniałej wolności... i tyle koszmarne go chaosu, będącego jej konsekwencją. Tyle możliwości i swobody w podejmowaniu wyborów, w kształtowaniu własnego losu – i tyle kiepskich, bezsensownych decyzji, zmarnowanych szans, straconych życiorysów. Przeciętny Japończyk byłby zachwycony drobnym ułamkiem tej wolności... i byłby go w stanie wykorzystać o wiele lepiej niż wy całość. Spójrz! – zwrócił się do Yuki – Mieszkańcy tego kraju mogliby stanowić doskonały przykład tego, że nadmierny indywidualizm i łamanie reguł nie dość, że burzy społeczną harmonię, to jeszcze na dodatek wcale bynajmniej nie stanowi recepty na osiągnięcie osobistego szczęścia. Nie są, tak jak nasi rodacy, na każdym kroku spętani przeróżnymi konwencjami i ograniczeniami, a jednak wcale nie czują się przez to bardziej wolni i szczęśliwi. Jakby w zastępstwie społeczeństwa sami pieczołowicie budowali dla siebie klatki – z własnych pragnień, kompleksów, lęków i ambicji. Z własnej samotności...

– Z samotności? – powtórzyła Yuki.

– Tak. Nie zauważyłaś, jak bardzo są samotni i zagubieni? Energia, samotność i zagubienie – doskonała kombinacja z punktu widzenia moich celów. Łatwo jest sprawić, by zachowywali się zgodnie z twoimi planami, trzeba tylko odkryć, na czym dokładnie polega ich zagubienie... I wtedy można skierować ich energię w pożądanym kierunku.

– Tak jak w przypadku moim... czy Chudzika – pokiwał głową Piotr.

– Ty byłeś nieco trudniejszy do rozszyfrowania – westchnął Kyubimori.

– I koniec końców, jak już zauważyliśmy, okazałeś się nieobliczalny. Nieobliczalny analityk – ha! Kryje się w tym pewien paradoks. Wracając jednak do twojego pytania, Piotrze, jak już wspomniałem przed chwilą, rzeczywiście, na swój sposób, byłem zafascynowany tym miejscem i miałem tutaj ochotę trochę hm... poeksperymentować, choćby z czystej ciekawości, ale na dłuższą metę, po cóż mi całe to prowincjonalne miasto? A wasze dusze to już w szczególności – sądzisz, że są warte aż tyle? Szybko bym się znudził i ruszył w dalszą drogę...

– Niezbyt się przejmując tym, co po sobie zostawisz – zauważył Piotr.

Kyubimori wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żeby udało mi się wyrządzić wam więcej szkód, niż sami sobie wyrządzacie. Ale sytuację zmienił fakt, że Odę i Kielce łączy szczególne *podobieństwo*. Że ich energie są w zdumiewający sposób zgodne. Chciałem więc skondensować drzemiącą tu moc i z pomocą *nazoraeru*...

– *Nazoraeru*? – Piotr zmarszczył brwi.

– Dokonać imitacji. Wykorzystywać podobieństwo – wyjaśniła Yuki. – W magiczny sposób stworzyć...

– Substytut – dokończył Kyubimori. – Jeden z popularnych starych japońskich rytuałów. Pisze o tym nawet Lafcadio Hearn w „Kwaidanie”. W tym przypadku substytut Ody. Dzięki temu mógłbym zdobyć przewagę nad tymi obłudnymi świętojebliwymi strażnikami tradycji, przestrzeni i czego tam jeszcze. Wreszcie dotarłoby do nich, że te wszystkie lata prześladowań, jakie mi zafundowali były grubą przesadą. I to za co? Za kilka niewinnych sztuczek, jakimi ich oszołomiłem? Tych parę tajemnic,

które im wykradłem – w końcu nie im pierwszym ani ostatnim! Mogli po prostu docenić mój kunszt i pogodzić się z tym, że ich przechytryłem.

– A więc tak jak podejrzewałam – skomentowała Yuki – to oni zmusili cię do emigracji. Boli cię, że zapędzili cię w kozi róg?

– Hm... Chyba rzeczywiście jestem nieco do nich uprzedzony – przyznał Kyubimori. – Ale czy uprzedzenia są takie złe? Dobrze jest czasem skierować swoją pasję *przeciwko* komuś. I dać pofolgować złości... Ty też za nimi nie przepadasz, prawda? Nie możesz ich lubić, jeśli w twoich żyłach rzeczywiście płynie moja krew. Tacy jak oni i tacy jak... my zawsze będziemy śmiertelnymi wrogami. Nienawidzą nas, ponieważ stanowimy ucieleśnienie tego wszystkiego, co od wieków próbują unicestwić.

Yuki lekko drgnęła. Jej twarz nadal była spokojna, ale w oczach przez krótką chwilę można było dostrzec całą burzę uczuć.

– Owszem – odparła w końcu. – Nie lubię ich.

– Dobrze – ocenił Kyubimori. – To oczywiście upraszcza sprawę. Do świtu jeszcze daleko, ratujmy więc, co się da. Pomyślmy. Obawiam się, Piotrze, że będziemy musieli powtórzyć naszą transakcję. Z tobą mimo wszystko będzie najprościej. Już zdążyłem się do ciebie hm... dostroić.

– Naprawdę? – zainteresował się Piotr. – Czy przypadkiem nie jest ci potrzebna moja zgoda?

– Przekonamy cię na powrót. Ty go przekonasz. – Kyubimori zwrócił się do Yuki. – Przynajmniej tak zrewanżujesz się mi za cały ten bajzel, jakiego narobiłaś.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Nie – westchnął zrezygnowany Kyubimori. – Naprawdę nie mam czasu na przekomarzenia. Ok, pokazałaś, na co cię stać. Nie doceniłem cię i za to zapłaciłem. Ale bądźmy poważni. Nie masz żadnego powodu, by



w dalszym ciągu krzyżować moje plany. Niby dlaczego? Z lojalności dla Ody? Takich jak ja czy ty tacy jak oni nie są w stanie nauczyć lojalności.

– Nie. – Pokręciła głową Yuki, jakby ze smutkiem. – Nie są.

– Czemu tu przyjechałaś? – W uśmiechu Kyubimoriego znów pojawiła się ironia. – Niech zgadnę – wszystkie inne drogi zatrzaśnięto ci tuż przed nosem? Nie miałaś wyboru? Ale teraz już masz. Mogę cię nauczyć, jak oszukiwać los.

– Nie po to przyjechałam.

Przez chwilę dwójka Japończyków spoglądała na siebie w milczeniu.

– Jesteś dorosła – odezwał się pierwszy Kyubimori. – Nie będziesz mnie chyba epatować jakimiś bezsensownymi sentymentalnymi lamentami?

– Nie – zgodziła się dziewczyna. – Chyba rzeczywiście raczej nie będę.

– Świetnie. Oboje jesteśmy tym, czym jesteśmy. Nie dam ci tego, czego nie mogę dać. Jestem już zbyt stary, zbyt leniwy i zbyt potężny, by udawać wyrzuty sumienia czy uczucia, które są mi obce. Nie muszę tego robić. Nie chce mi się. Doświadczyłem i widziałem więcej niż którekolwiek z was mogłoby sobie wyobrazić. Jeśli ci się poszczęści i przeżyjesz wystarczająco długo, by stać się taka jak ja, zrozumiesz, że na pewnym etapie nie jesteśmy już w stanie przejmować się na poważnie niczym innym niż samymi sobą. Naszą własną mocą, naszym sprytem i naszą rozrywką.

– Hm. Zastanawiam się właśnie, czy rzeczywiście chciałabym żyć na tyle długo, by stać się taka jak ty.

– Możesz mnie nienawidzić, jednak pamiętaj, że nienawidzisz mnie tylko za moją szczerość. Ale posłuchaj, coś jednak mogę ci dać, choć niekoniecznie to, o czym marzą samotne dziewczynki, dorastające w Odzie. Ty mi teraz pomożesz, a ja nauczę cię części tego, co sam potrafię – może nawet całkiem sporej części? Nauczę cię prawdziwego *akemasu-shimemasu*, przy którym nauki wyniesione z Ody wydadzą ci się tabliczką

mnożenia. Nauczę cię, jak kluczyć i omijać sidła, jak omamiać siatką złudzeń tych, których nienawidzisz i którymi pogardzasz równie mocno jak ja...

– Doprawdy? Cóż za ekscytująca perspektywa.

– Dobrze wiesz, że nie masz innego wyjścia jak tylko przyjąć moją propozycję. Noc mija; skończymy już te przekomarzania. Hm... – Kyubimori spojrział w bok i zmarszczył brwi. – Nasi przyjaciele z *yakuzy*. Można było się spodziewać. Pewnie przyczepili jakąś elektroniczną pluskwę do twojego lub mojego samochodu.

– Spodziewaliśmy się – potwierdziła sucho Yuki.

– Cóż, nie ma to już znaczenia. Te ich śmieszne amulety nie mogą ich przecież uchronić przed złudzeniami, które uznali już za własne. Na każdego znajdzie się sposób. Właśnie zboczyli na północ. Trasa bardzo niewygodna, ale kto wie za dwa dni, jak dopisze im szczęście, dotrą może do Świętej Katarzyny. Chyba, że wcześniej zjedzą ich wilki. Są tu jakieś wilki, Piotrze? Albo chociaż wrony? Mniejsza z tym; drugi raz z reguły nie dają się zaskoczyć. A już na pewno nie takim jak oni. I takim jak wy również nie. A więc, Yuki?

– Jaka pewność siebie – powiedziała Yuki z niechętnym podziwem. – Jaki magiczny egotyzm. Doprawdy, obawiam się, że nawet gdybym żyła tysiąc lat, nie byłabym w stanie się tego nauczyć.

– Więc? – powtórzył zniecierpliwiony Kyubimori. – Tak czy inaczej, nie masz wyboru.

Yuki powoli postąpiła w jego stronę. Wyciągnęła dłoń. Wiceprezes z pobłażliwym uśmiechem złapał ją w swoją i uścisnął.

I skamieniał.

– *Okimasu* – szepnęła Yuki. – Krzyku pustki, przebudź się!

Przez chwilę dwójka Japończyków tkwiła w bezruchu niczym posągi.

– No proszę. – Yuki lekko drgnęła. – Jednak udało mi się ciebie zaskoczyć po raz kolejny.

Piotr dostrzegł buddyjski różaniec oplatający dłonie obojga Japończyków. Czarne paciorki błyszcząły w świetle księżyca.

– Mogłem się spodziewać – odparł Kyubimori, jakby z wysiłkiem – że w końcu go zdobędą, nigdy jednak nie pomyślałbym, że powierzą akurat tobie. Co za lekkomyślność!

– Czyżby? – uśmiechnęła się smutno Yuki.

– Wiesz, co to jest, prawda? – spytał Kyubimori z zaskakującą łagodnością.

– Jasne. Pustka, o którą roztrzaskają się twoja magia i twoje iluzje. Ostateczna broń przeciwko takim jak ty.

– Czy rzeczywiście jedynie przeciwko takim jak ja? Przecież też *to* czujesz...

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– O tę pustkę roztrzaska się życie każdego człowieka, jeśli tylko zbyt długo będzie trzymał ją w dłoni. Rozwieją się wszystkie nasze iluzje – czyż nie tworzymy naszego życia, przekuwając je w prawdę? Jeśli oczywiście staramy się przeżyć je w pełni samodzielnie i świadomie, a nie jedynie wypełniając nakazy innych? Nasze sny, marzenia, tęsknoty utkane są z tego samego materiału.

– Może rozwieje się po prostu to, co powinno się rozwiąć.

– Jeśli nawet, to jak sądzisz, ile zostanie z twojej własnej egzystencji? Przecież też *to* teraz czujesz. Ten chłód, mrozący ci dłoń, drażący drogę do twego serca i umysłu. Jak długo wytrzymasz?

– Kto wie, może nieco dłużej niż ty? – odrzekła Yuki sarkastycznie. – Ale masz rację, nie ma we mnie wystarczająco dużo *treści*, bym mogła mu

się przeciwstawić. Moje życie było zbyt iluzoryczne, w czym nie mała i twoja zasługa... ojciec.

Kyubimori skrzywił się nieznacznie na dźwięk słowa „ojciec”.

– Zdejmij ze mnie ten różaniec. Zdejmij go z siebie. Każ mu z powrotem zasnąć. Wyrzuć go. Co chcesz w ten sposób osiągnąć?

Piotr jak zahipnotyzowany pochłaniał całą scenę. Dwie ciemne sylwetki na tle białego śniegu, połączone ulotnym, ale nierozzerwalnym węzłem. Czarne paciorki skrzyły się chłodnym blaskiem.

Dostrzegł też, że blada twarz Yuki stała się jeszcze bledsza. Z oblicza Kyubimoriego również znikła niemal cała już pewność siebie. Splecione różańcem ręce obojga dygotały – z bólu, z zimna, ze strachu? Widać było, że mówienie sprawia im coraz większy wysiłek. Czego naprawdę w tej chwili doświadczali?

– Jeszcze nie skończyłam – oznajmiła Yuki. Teraz jej głos również drżał.

– To jeszcze nie wszystko. Powierzyli mi słowa, którymi mogę cię zapieczętować przy pomocy tego drobiazgu...

– Nie bądź głupia! – syknął Kyubimori. – Zapieczętujesz też samą siebie. Wiesz, że płynie w tobie moja krew, że...

– Sz... – Yuki przyłożyła palec lewej ręki do ust. – Spójrz, jednak zdołałam rozbudzić w tobie choć jedno uczucie. Strach.

– Blefujesz! – wycedził Kyubimori. – Nie zrobisz tego! Czemu miałabyś wykonywać samobójczą misję? Kurwa, nie ma przecież w tobie nic z *kamikaze*! Okazałabyś się jedynie bezwolną posłanniczką Ody!

– Nic nie rozumiesz. Tak wiele przeżyłeś i tyle widziałeś, a nadal nic nie rozumiesz. – Yuki potrząsnęła głową nieznacznym, zmęczonym ruchem i przymknęła oczy...

– Yuki! – Nieoczekiwanie dla siebie samego Piotr usłyszał własny głos.  
– Yuki!

Tamci dwoje odwrócili głowy, na moment wyrwani z pochłaniającego ich transu, zadziwieni, że ktoś jeszcze dzieli z nimi ten zimny sen.

– Nie rób tego – powiedział Piotr spokojnie. – To nie ma sensu. On nie jest tego wart. Możemy zakończyć to w inny sposób.

Krótki grymas (czyżby ulga?) przemknął po twarzy Kyubimoriego. Oczy Yuki rozszerzyły się, z samej ich głębi jakieś pytanie leniwie podryfowało ku powierzchni...

– *Shimemasu!* Święty różańcu Reigo, Krzyku Pustki, pieczętuj!  
*Shimemasu! Shimemasu! Shimemasu!*

Piotr odruchowo odwrócił się, słysząc donośny, rozkazujący głos tuż za swoimi plecami. Zdążył zarejestrować wysoką, męską sylwetkę, nim, tknięty przecuciem, znów szybko przeniósł wzrok w miejsce, gdzie stali Yuki i Kyubimori.

Za późno; przez mgnienie zdawało mu się, że dostrzega jakąś dziwną poświatę w punkcie, w którym znajdował się różaniec Reigo. I potem nic; pustka.

## Sato Mizuno

Odwrócił się ponownie, tym razem powoli, kątem oka wciąż wpatrzony w *tamto* miejsce, jakby mając nadzieję, że dostrzeże coś na obrzeżach wizji: pukiel czarnych włosów, skrawek ciemnego płaszcza, powiewający na wietrze, błysk chłodnych oczu, machnięcie rudej kity, cokolwiek. Na próżno. Sho Kyubimori i Yuki Yamada zniknęli bez śladu.

Nowo przybyły niezdarnie brnął przez śnieg. Był szczelnie opatulony futrem, spod którego wystawało coś na kształt szat kapłana shinto. Na głowie miał nierówno założoną uszatą czapkę. W innych okolicznościach można by zapewne uznać, że wygląda komicznie. Stanowił chodzące zaprzeczenie drapieżnego wdzięku i elegancji Kyubimoriego, ale z niego również emanowała moc. Był nieco młodszy od Piotra, mógł mieć jakieś trzydzieści lat. Coś w jego twarzy sprawiło, że od razu zapalał do niego antypatią.

– Jesteś z Ody? – zapytał Piotr po japońsku.

Tamten popatrzył na niego wzrokiem kogoś, kto właśnie napotkał gadającego psa.

– Jestem Sato Mizuno – oznajmił wyniośle. – A kimkolwiek jesteś ty, znalazłeś się w niewłaściwym miejscu. Czy to Kyubimori cię tu zwabił? Tacy jak on często zwodzą naiwnych...

– Chyba nie, choć mogłoby się tak wydawać na pierwszy rzut oka – odrzekł Piotr, ważąc słowa. – W sumie, Kyubimori niechcący pomógł mi

wydostać się z pułapki, którą sam dla siebie stworzyłem.

– Cóż więc robisz w tym miejscu? – Tamten przystanął, uważnie taksując go wzrokiem.

– Towarzyszyłem Yuki. Pomogła mi odzyskać to, co beztróska oddałem Kyubimoriemu, więc ja chciałem z kolei pomóc jej, gdy zajdzie taka potrzeba. Albo przynajmniej towarzyszyć w drodze.

– Jej droga dobiegła właśnie kresu – sucho oświadczył Japończyk. – A ty możesz wracać do swego życia, na nowo ciesząc się codziennymi mrzonkami i marnościami. I lepiej będzie, jeśli szybko zapomnisz o tym, co tutaj widziałeś.

Sato minął go w odległości jakiś trzech kroków i ostrożnie zaczął okrążyć miejsce, w którym zniknęli Yuki i Kyubimori, mamrocząc coś pod nosem do siebie samego.

– Od początku zamierzaliście pozbyć się obojga w ten sposób – stwierdził Piotr, dziwiąc się sprawności własnej japońszczyzny. – To oczywiste, że nie ufaliście Yuki. Ale ona chyba coś przeczuwała...

Japończyk znowu na niego spojrzał, tym razem ze zniecierpliwieniem.

Piotr zmrużył oczy. Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Arogancja, skostatował Piotr, arogancja i niezachwiana wiara w słuszność własnych racji. Chyba zaczynam rozumieć, czemu Sho tak nie cierpiał ludzi z Ody.

W oczach Sato czaiła się moc i zimna, niewypowiedziana groźba, ale to właśnie on pierwszy odwrócił głowę.

– Zbyt dużo wiesz – mruknął prawie niedosłyszalnie Japończyk. – Tym gorzej dla ciebie.

Wysłannik Ody z namaszczaniem zaczął zadeptywać ślady pozostawione przez Yuki i Kyubimoriego.

– Nawet ślady na śniegu – Piotr powoli ruszył w jego stronę – nawet tyle nie może po nich zostać, co?

– Wiesz już zapewne, kim naprawdę był Sho Kyubimori i czego się dopuścił. Tacy jak on nie powinni w ogóle istnieć.

– A Yuki? Była też jedną z was. Zrobiła wszystko, by powstrzymać swego ojca.

– Nigdy nie była jedną z nas. – Złość wykrzywiła oblicze Sato. – Wcześniej czy później by zawiódła, stała się taka jak on. Była z jego krwi.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek mogła się stać taka jak on. Jeśli tak uważasz, to znaczy, że znałeś ją o wiele mniej niż ja, choć spędziłem z nią zaledwie kilka godzin. Ale cóż, zapewne też nigdy nie stałaby się taka jak ty.

– Tak czy inaczej – wyduł wargi wysłannik Ody – na coś w końcu się przydała. Można uznać, iż w pewnym sensie odkupiła swą hańbę. Nie zamierzam jednak o tym z tobą dyskutować.

– To zabawne – uśmiechnął się Piotr. – W jakikolwiek sposób chciał się mną posłużyć Kyubimori, przynajmniej nie uznawał mnie za niegodnego rozmowy. Ale masz rację, jest zimno i pora dość późna, nie ma sensu, żebyśmy rozmawiali o sprawach nieistotnych. Czy jesteś w stanie uwolnić Yuki? Ona przecież nadal gdzieś tu jest, prawda?

Sato dokonał jeszcze ostatniego niezdarnego przytupu i poprawił czapkę, która zsunęła mu się na czoło.

– Po tych wszystkich latach wreszcie udało mi się zmyć hańbę naszego rodu i nie pozwolę, by cokolwiek to zaprzepaściło. Dopilnuję, by po Kyubimorim i jego córce nie został nawet pojedynczy ślad na śniegu. Nawet jedno nieodpowiednie wspomnienie w ludzkiej pamięci.

– Łatwiej jest zatrzeć ślady na śniegu niż w ludzkiej pamięci – zauważył Piotr.



– Mylisz się. Kiedy trzeba, ludzka pamięć potrafi być wystarczająco posłuszna i zdyscyplinowana.

– Nie zawsze.

– Nie zawsze. – Sato wyprostował się i spojrzał na niego przeciągle. – Czasem trzeba uciec się do bardziej radykalnych środków. Nie miałem tego w planach, ale nie pozostawiasz mi wyboru.

Wysłannik Ody wyciągnął rękę w rytualnym, wystudiowanym geście. Piotr zmrużył oczy i oszacował odległość dzielącą go od Japończyka.

Cóż, pomyślał, cokolwiek mnie teraz czeka, nie powinno być chyba gorsze od zapasów z dziewięćdziesięcioma kilogramami żywego księgowego na oblodzonym dachu.

Oboje z Sato byli tak zajęci sobą, że dopiero w ostatnim momencie dotarło do nich narastające skrzypienie kroków.

– *Yā!* – rozległ się chrapliwy głos. – Kurwa, co za pierdolone wertepy!

Ciemna sylwetka pana Toru wyłoniła się pomiędzy drzew po prawej stronie ścieżki. Brnąc przez śnieg w przybrudzonym garniturze i rozdartym, lekkim płaszczu, nie budził już takiego respektu, co wcześniej. Idący za nimi Micku radził sobie znacznie lepiej i chyba nawet sprawiał wrażenie lekko rozbawionego. Posapujący profesor Takahashi zamykał pochód.

– *Yā!* – powtórzył pan Toru, stając niemal dokładnie pomiędzy Piotrem a Sato. – Kurwa, co za pogoda! Mądrała zapewniał, że będzie plus dziesięć stopni i żadnego śniegu!

– Bo miało być – usprawiedliwił się profesor. – Sprawdziłem przedwczoraj w Internecie...

– Taa... w Internecie – *Yakuza* pokręcił z niesmakiem głową. – Różne rzeczy robiłem w życiu, ale nigdy jeszcze nie wykonywałem tak beznadziejnego zadania. Kurna, już wolałbym znowu zbierać kasę z salonów pachinko. – Sięgnął po papierosa. – Jesteś z Ody, prawda?

Młodszy Japończyk skinął głową.

– Zgaduję, że już po wszystkim, he? – Pan Toru wyciągnął zapalniczkę. Profesor Takahashi, który właśnie w ślad za nim wygramolił się na ścieżkę, potknął się o wystający korzeń i ratując się przed upadkiem, w ostatniej chwili złapał *yakuza* za płaszcz. Pan Toru wypuścił zapalniczkę z ręki; wyjątkowo pechowo poszybowała w zaspę, niknąc w śniegu. *Yakuza* spojrział ponuro na Takahashiego, który odruchowo cofnął się, niemal znów się przewracając.

Pan Toru w końcu jednak tylko westchnął i pstryknął palcami; papieros poszybował śladem zapalniczki.

– Więc? – Na powrót odwrócił się ku Sato.

– Owszem – odparł tamten. – Mizuno Sato z rodu Oda. Nie przydaliście się na wiele.

Pan Toru wzruszył ramionami.

– Cóż, to nie nasza specjalność. Tak czy inaczej, sprawa zamknięta.

– Pozostał jeszcze on. – Sato wskazał na Piotra.

– Co z nim? – zdziwił się pan Toru. – Myślałem, że jest przeciwnikiem Kyubimoriego? Towarzyszył waszej wysłanniczce?

– Widział zbyt wiele. Może wszystko zniweczyć.

– To dyrektor z Nagity – zauważył *yakuza*. – Cudzoziemiec. Fakt, mnie też wkurwił, ale ludzi takich jak on nie można po prostu...

– Nie obchodzi mnie, kim on jest – przerwał wysłannik Ody. – Nie pozwolę mu teraz ot tak odejść.

Przez chwilę pan Toru i Sato mierzyli się wzrokiem. Piotr przeniósł ciężar na prawą nogę. Od wysłannika Ody dzieliło go jakieś pięć metrów. Gdyby tamten zagapił się wystarczająco długo, może zdążyłby dobiec. Pytanie: co potem?

Pan Toru znów westchnął i wyciągnął kolejnego papierosa.

– Masz ogień, mądralo? – zwrócił się do Takahashiego. Profesor drżącymi rękami zaczął przeszukiwać kieszenie.

Starszy *yakuza* zerknął przelotnie na Piotra.

– Dobra – oznajmił melancholijnie. – My się nim zajmiemy.

Piotr przypomniał sobie o Micku dopiero, gdy dostrzegł szybki ruch obok swojego ramienia. Coś twardego uderzyło go w tył głowy; przed oczami rozsypały się fantazyjne śniegowe gwiazdy.

Zanurkował prosto w biel.

## *Prime Time*

Piętnastoletni Piotr Jaskulski idzie wraz z rodzicami wąską alejką. Jest Wszystkich Świętych; na starym kieleckim cmentarzu panuje tłok. Powoli zaczyna się zmierzchać, wokół palą się tysiące zniczy. Robi się coraz zimniej.

Matka i ojciec wymieniają szeptem jakieś uwagi; Piotr wysforowuje się do przodu, chcąc pierwszy dotrzeć na grób babci.

Coś wisi w powietrzu; jakaś specjalna atmosfera, odświętny niepokój, cień czegoś, czego nie sposób określić słowami. W każdym razie nie takimi, jakie znajdują się w słowniku nastolatka. Nawet chmury złocą się w jakiś szczególny sposób w blasku wątego, zachodzącego słońca.

Piotr wreszcie staje nad grobem babci, która zmarła zaledwie pół roku wcześniej. Ogląda się na rodziców, ale zapodziali się gdzieś po drodze. A! Stoją na skraju alejki i rozmawiają z napotkanymi właśnie znajomymi.

Odwraca głowę i lustruje nagrobek. Nie był specjalnie zżyty z babcią – przez ostatnie dziesięć lat życia tamta zbyt zajęta była swoimi chorobami, by zwracać większą uwagę na wnuka.

Ale jednak jej odejście zrobiło na nim wrażenie.

Przez chwilę myśli o śmierci, a w każdym razie o swoim, póki co raczej ograniczonym doświadczeniu śmierci. O tamtej chwili, gdy czekał na ojca na ponurym szpitalnym korytarzu. Przypomina sobie twarz Andrzeja Jaskulskiego, pogrążoną w uczuciach, których on sam nie potrafił do końca

zrozumieć (i o które nigdy by aż do przesady lakonicznego i skrytego ojca nie podejrzewał). Taką mroczną i hm... głęboką, tak inną niż ta, którą tamten pokazywał im na co dzień. Piotr zastanawia się, czy jemu samemu też będzie kiedyś dane przeżyć podobną chwilę. Po raz kolejny ogląda się w stronę rodziców. Wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, żeby któreś z nich miało kiedykolwiek odejść, choć na zdrowy rozum jest to oczywiście nieuniknione. W tym momencie jest to jednak kwestia przyszłości tak odległej, tak hipotetycznej, iż, doprawdy, trudno się nad tym na serio zastanawiać.

Hm... Przyszłość. W tym roku zdał do liceum; z perspektywy pierwszej klasy nawet matura wydaje się czymś bardzo odległym. Ale przecież w końcu kiedyś przyszłość będzie musiała nadejść.

Jak będzie wyglądało jego życie za dziesięć lat? Z pewnością skończy już studia; ciekawe, kim się stanie. W tej chwili trudno wyobrazić sobie wystarczająco ekscytujące zajęcie. No cóż, może pewnego dnia po prostu w jakiś sposób dowie się, że właśnie *to* chce robić w życiu? Przynajmniej chciałby mieć taką nadzieję.

Za dziesięć lat będzie dwudziestopięcioletnim mężczyzną. Najlepszy czas. *Prime Time*, zupełnie jak w piosence Alan Parsons Project. Hm... Do tego czasu pozna już pewnie mnóstwo kobiet i ożeni się z tą odpowiednią... Jaka ona będzie? Hm... znając jego gust w każdym razie raczej na pewno będzie blondynką...

Ha! Gdyby można było przenieść się w przyszłość, przeskakując ponad całym tym dojrzewaniem, kujoństwem, egzaminami, stresami, pierwszym seksem i cholera wie, czym jeszcze. Kurczę, bycie nastolatkiem jest takie frustrujące! W sumie to chciałby już dorosnąć i stać się tym dwudziestopięcioletnim Piotrem Jaskulskim, jakim wierzy, że będzie. *Prime Time. Yes!*

Ciekawe też, gdzie będzie mieszkał? Zdecydowanie nie w Kielcach. Przeniesie się do Warszawy czy do Krakowa? A może w ogóle jeszcze gdzieś dalej? Tak czy inaczej, chciałby dużo podróżować po świecie.

Piotr wzdycha i jeszcze raz ogląda się na rodziców. Dalej gadają ze znajomymi. Zniecierpliwiony wyrusza na małą przechadzkę. *Prime time* – jak to właściwie szło? Cicho nuci pod nosem angielskie słowa piosenki:

*Well even the longest night won't last forever  
But too many hopes and dreams won't see the light  
And all of the plans I make won't come together*

*Something in the air  
Maybe for the only time in my life  
Something in the air  
Turning me around and guiding me right*

*And it's a prime time, maybe the stars were right  
I had a premonition, it's gonna be my turn tonight  
Gonna be my turn tonight*

*Well even the brightest star won't shine forever  
But all of the hands I play are working out right  
And every move I make feels like a winner...*

Mija kolejne, coraz bardziej zapuszczone alejki. Jest też tutaj o wiele luźniej. W tej części są już przeważnie tylko rzadko odwiedzane, stare groby.

Wreszcie zatrzymuje się prawie na samym końcu cmentarza. Ma już zawracać, gdy jego oczy wychwytyją nieduży cień, przemykający wzdłuż chropowatego muru. Pies? Ktoś wpuścił psa na cmentarz?

Zwierzę, jakby zdając sobie sprawę, że jest obserwowane, nagle zatrzymuje się i przysiadła na tylnych łapach. Unosi głowę i spogląda na Piotra.

Chłopakowi aż szczęka opada z niedowierzania.

– Lis! – szepcze sam do siebie, przecierając oczy ze zdumienia.

Nigdy jeszcze nie widział lisa na żywo, ale nie ma żadnych wątpliwości. Lis, jak z obrazka, jak z telewizji. Prawdziwy rudy lis z lasu...

Szybko rozgląda się wokół, sprawdzając, czy ktoś jeszcze oprócz niego widzi intruza, czy on sam przypadkiem nie uległ halucynacji. Niestety, kwestia jest nieweryfikowalna; najbliżsi ludzie są jakieś trzydzieści metrów dalej i zasłania ich rząd grobów.

A lis nadal stoi tam, gdzie stał i bezczelnie gapi się wprost na niego. Nawet jakby się uśmiecha... Czy lis może się uśmiechać? Nie, to pewnie tylko złudzenie, taka nieświadoma, jak by to powiedziała pani od polskiego, antropomorfizacja.

Jak tu trafił? Tuż za murem znajdują się ogródki działkowe, a tam pewnie kuropatwy i kto wie, może jakieś inne drobne zwierzęta? Na co właściwie polują lisy? No ale jeśli nawet, to jak dostał się na cmentarz – przez wyrwę w murze? I po co tu w ogóle włąził?

Piotr i lis taksują się wzrokiem. I wtedy dzieje się coś jeszcze dziwniejszego; chłopak widzi siebie samego w źrenicach lisa...

Patrzy jeszcze głębiej... i zbyt późno zdaje sobie sprawę, że wpadł w pułapkę; granice czasu i przestrzeni rozmywają się.

Piotr ogląda swoje własne odbicie w szelmowskich źrenicach lisa. Lecz... czy aby na pewno? Co widzi lis? Piętnastoletniego chłopaka stojącego z wybałuszonymi oczami czy kogoś – trochę (lub całkiem) innego?

W oczach lisa widać nieco starszego Piotra, stojącego na klatce schodowej bloku, w którym mieszka. Tamten wpatruje się przed siebie w jakąś tajemniczą sylwetkę, która rysuje się niewyraźnie w powietrzu. Na jego twarzy pojawia się zaskoczenie i... zachwyt?

W oczach lisa widać o wiele, wiele starszego Piotra, siedzącego nad jakimiś papierami. Tamten z zamyśleniem unosi głowę. Ma na sobie szary garnitur, seledynową koszulę i stonowany, fioletowy krawat. Kiedy mruży oczy, w ich kąciakach pojawiają się drobne zmarszczki.

W oczach lisa odbija się obraz trzydziestoparoletniego mężczyzny w ciemnym płaszczu, powracającego z samotnej wyprawy na cmentarz. Potem ten sam mężczyzna sączy piwo, przeglądając notatnik z umarłymi numerami telefonów.

W oczach lisa odbija się... przyszłość? Jej cień? Wizja, która może, ale – miejmy nadzieję – nie musi się spełnić?

A jeśli jest dokładnie na odwrót? Jeśli lis ogląda przeszłość – piętnastoletniego Piotra, odwiedzającego wraz z rodzicami groby krewnych? Świat, który już od dawna nie istnieje?

Piętnastoletni Piotr przeżywa wizję na jawie – niepokojący obraz samego siebie z przyszłości. Czy też to raczej tamten mężczyzna w ciemnym płaszczu śni sen o sobie samym sprzed lat – i o lisie, którego oczywiście nigdy tak naprawdę nie spotkał? Kto znajduje się wewnątrz czyjego snu?

A lis dalej siedzi z wysuniętym kpiąco językiem, od niechcienia zamiata kitą ziemię. W jego oczach przewijają się kolejne sceny: hotelowy pokój, groźni skośnoocy mężczyźni, wymachujący bronią, długie ciemne korytarze...

Sceny robią się coraz bardziej nieprawdopodobne, coraz bardziej odległe od życia Piotra, od punktu, który wyznaczono mu w czasie



i przestrzeni.

Oto kolejna: dwie postacie stojące do magicznego pojedynku: upiorna, mglista sylwetka i zagadkowa, egzotyczna królowa śniegu otulona wirem białych płatków; skośnooka i czarnowłosa. Jej oczy emanują czystym, nieskażonym smutkiem, niczym odległe gwiazdy. Patrząc na nią, piętnastoletni Piotr szybko mógłby zmienić swoje zdanie co do przewagi blondynek. Ale oczywiście nawet on, choć jest nieco rozmarzonym nastolatkiem, zdaje sobie sprawę, że takie kobiety nie istnieją naprawdę.

Szeroka dolina, otulona zielonymi górami. Rząd drewnianych, tradycyjnych domów. Jakaś droga... Buddyjska świątynia? Nie, shintoistyczna; widział taką kiedyś na zdjęciu...

I znowu Kielce; chyba. Ośnieżony dach wysokiego budynku. Zapalone światła w oknach na pobliskich osiedlach. Twarz zwalistego mężczyzny, wykrzywiona wściekłością.

Piotr coraz głębiej zapada się pod powierzchnię oczu lisa, zostaje wchłonięty w jego surrealistyczny świat. A lis jeszcze szerzej wystawia szorstki, różowy język, ciesząc się, że oto znów udało mu się przechytryć czas i przestrzeń – choćby miała to być jedynie sztuka dla sztuki.

Kto śni o lisie? Piętnastoletni Piotr czy tamten mężczyzna w garniturze ze zmarszczkami wokół oczu? A może to lis śni o nich obu?

Kolejne sceny wirują wokół, mieszając się ze sobą. Ludzie, miejsca, budynki, drzewa przemykają wokół w obłądnym korowodzie. Piotr gubi się, do reszty tracąc orientację.

I wtedy nagle wszystko nieruchomieje; źrenice lisa zamarzają, wbite martwo w jeden punkt.

Piotr unosi się nad nieskończoną białą pustynią. Wokół żadnego ruchu ani dźwięku, jedynie śnieg i lód. Jedynie zimna pustka. Czy takie miejsca rzeczywiście istnieją?

I nagle – jeden jedyny kształt, nieśmiało wyłaniający się z tła odwiecznej monotonii.

Przez krótkie mgnienie Piotr dostrzega innego lisa. Ten jest srebrnobiały i znacznie mniejszy, delikatniejszy, filigranowy. Jest piękny – jego futerko błyszczy w polarnym słońcu. Stoi samotnie w samym centrum chłodu i pustki, bez skargi zapadając w odrętwienie.

Piotr czuje nienazwaną emocję, która ściska mu serce. Pragnie biec do przodu, na ratunek zagubionemu lisowi, ale nie jest w stanie choćby obrócić głowy. W końcu on sam jest przecież tylko wirtualnym punktem na skraju cudzej wizji.

Kto znajduje się wewnątrz czyjego snu?

A potem nie ma już ani snu, ani śniącego, ani nawet żadnego lisa – rudego czy też srebrnego – jedynie biel, od której zaczęło się wszystko...

## Przebudzenie z *yakuzą*

Przebudzenie nastąpiło nagle; Piotr ostrożnie otworzył oczy, nie wiedząc, czego ma się spodziewać.

Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrował był potworny ból głowy.

Drugą, Micku chrapiący na jego sofie.

Żył i co ciekawe, znajdował się we własnym mieszkaniu. Z wysiłkiem podniósł się z fotela. Micku, jeśli to on go tu usadowił, przejawiał zaskakującą troskliwość – fotel został rozłożony tak, by leżało się na nim w miarę wygodnie.

Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Niebo było jasne i błękitne, słońce skutecznie roztopiało pozostały po nocy śnieg. Termometr wskazywał lekko plusową temperaturę.

Micku poruszył się na sofie i coś wymamrotał. Dopiero teraz na dywanie obok tamtego Piotr dostrzegł dwie puste butelki piwa marki Beck i jedną na wpół rozlaną. Szybko spojrzął na wiszący na ścianie zegar – dochodziła jedenasta.

Młody Japończyk otworzył oczy, przeciągnął się i głośno ziewnął. Ni to się uśmiechnął, ni to skrzywił do Piotra, po czym burknął coś w przestrzeń.

Piotr zdał sobie sprawę, że od już od dłuższego czasu słyszy w tle dźwięk lejącej się wody; teraz ktoś zakręcił kurek. Drzwi łazienki otwarły się i pojawił się w nich profesor Takahashi w szlafroku Piotra, wycierając mokre włosy ręcznikiem.

Na widok gospodarza jakby się zmieszał.

– O! Mam nadzieję, że pana nie obudziłem, Jaskulski-san.

– Nie – odrzekł Piotr. – Sam się obudziłem.

– Przepraszam, że pożyczyłem pański szlafrok, ale zapomniałem własnego. Sam pan rozumie, ten wyjazd nastąpił tak nagle i niespodziewanie – usprawiedliwiał się profesor.

– Nic nie szkodzi. – Piotr pogłaskał się ręką po potylicy. Guz był mniejszy, niż się spodziewał.

– Hm – chrząknął z zakłopotaniem Takahashi. – Micku przepraszam pana za tamto. Niestety, nie było innego wyjścia.

Młodszy *yakuza* wyszczerzył radośnie zęby i uniósł kciuk w górę.

– Nie do końca orientuję się w całej tej sprawie – kontynuował profesor – ale Sato-san sprawiał wrażenie bardzo stanowczego. Trzeba go było jakoś udobruchać. A tak, powrócił do Ody z poczuciem dobrze spełnionej misji i pan Toru również zrobi wkrótce to samo, nikomu się nie narażając i nie stwarzając niepotrzebnych komplikacji. Pan zarobił jedynie guza. Wszyscy są zadowoleni.

– Niekoniecznie – mruknął Piotr.

Takahashi zniknął za drzwiami pokoiku gościnnego. Z sypialni wyszedł natomiast pan Toru, już odświeżony i uczesany.

– *Yā!* – warknął dobrodusznie.

– *Ohayō* – odparł grzecznie Piotr.

Stary i młody *yakuza* wymienili między sobą kilka chrapliwych uwag. Micku jeszcze raz ziewnął, wstał, po czym zniknął za drzwiami łazienki. Piotr i pan Toru usiedli naprzeciwko siebie w fotelach. Przez dłuższą chwilę milczeli.

Profesor Takahashi dołączył do nich, w pośpiechu zapinając marynarkę.

– Może napilibyśmy się kawy? – zasugerował, spoglądając wymownie na Piotra.

– Słusznie – podchwycił pan Toru. – Ale to ty ją zrobisz, mądralo. Widzisz przecież, że facet dopiero się obudził. Pozwólmy mu dojść do siebie.

Profesor mruknął coś pod nosem w formie protestu, ale posłusznie ruszył w stronę aneksu kuchennego.

Starszy *yakuza* westchnął, po czym sięgnął za pazuchę.

– *Dōzo*. – Wyciągnął w stronę Piotra srebrną papierośnicę. Piotr wyjął papierosa i podziękował skinieniem głowy. *Yakuza* sięgnął odruchowo do drugiej kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki; jego ręka zatrzymał się w połowie drogi, gdy najwyraźniej przypomniał sobie, że ją zgubił.

– Nie znalazła się? – zapytał Piotr.

– Nie – westchnął pan Toru. – Rozgrzebaliśmy całą zaspę, a tu nic! Jakby zapadła się pod ziemię, jakby jakiś... *kitsune* nakrył ją swoim ogonem. No cóż, tak to już w życiu bywa, że jeśli coś zgubimy, trudno jest to z powrotem odnaleźć.

– To prawda – przytaknął Piotr. – Bardzo trudno.

– Pewnie uważasz, że to śmieszne, że przejmuję się zwykłą zapalniczką?

– Nie, nie uważam. Ludzie przejmują się różnymi rzeczami z sobie tylko znanych powodów. Kim jestem, żeby ich oceniać?

*Yakuza* pokiwał od niechcienia głową.

– Ta zapalniczka należała do Yoshio, mojego *oyabuna*. Trzydzieści lat temu, gdy zaczynałem, przygarnął mnie i nauczył wszystkiego, co sam umiał. Zginął w walce na noże – sam przeciwko pięciu. Mógł uciec, ale to nie byłoby w jego stylu. Stare, dobre czasy, kiedy honor i odwaga znaczyły więcej niż chciwość... No i prawdziwi *yakuza* używali noży, nie rewolwerów. Rewolweru może użyć każdy głupi, a do noża trzeba mieć

charakter. Ale ciebie to nie obchodzi, prawda? Jak większość ludzi zachodu uważasz nas za zwykłych bandytów?

– Wybacz, Toru-san, ale specjalnie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie mam też pojęcia, czym różni się zwykły bandyta od niezwykłego.

– Ha! – Pan Toru lekko się uśmiechnął. – Dobrze! Tak, pewnie jesteśmy bandytami, ale nic nie jest takie proste, jak mogłoby ci się zdawać. Weź takiego Micku. Nie lubisz go, prawda? Sądzisz, że jest gówniarzem bez wyobraźni, że dla niego to wszystko tylko głupia zabawa?

– Ktoś, kto ciągle celuje w nas pistoletem, ewentualnie wali kolbą w potylicę, ma chyba niewielkie szanse na wzbudzenie naszej odruchowej sympatii?

– Micku rzeczywiście jest trochę narwany, ale tamto akurat zrobił dla twojego dobra. Był na tyle przekonywający, że usatysfakcjonowało to tego skurwiela Sato. To porządny chłopak. I miał ciężkie życie. Micku jest *burakumin*. Wiesz, co to oznacza, prawda?

Piotr skinął głową.

– Jakie szanse miałby chłopak taki jak Micku, żeby dostać się do odpowiedniej szkoły, a potem na dobry uniwersytet? Ukończyć studia i zostać normalnym, szanowanym biznesmenem czy prawnikiem? Ożenić się ze zwyczajną dziewczyną z dobrej rodziny? Hę? Jedynie w *Yamaguchi-gumi* nie jest kimś gorszym. Jest po prostu jednym z nas.

– Rozumiem – odparł Piotr. – Przykro mi z powodu Micku. Nie żywię do niego żalu, jeśli o to chodzi.

Zza uchylonych drzwi łazienki dobiegł charakterystyczny plusk oddawanego moczu. Przez moment Piotr próbował wzbudzić w sobie współczucie dla młodego *yakuza*.

Tak więc Micku wybrał po prostu ścieżkę, jaka w jego przypadku wszystkim zainteresowanym stronom – wliczając w to zapewne również

bardziej tradycyjnych i praworządnych członków społeczeństwa japońskiego – musiała się wydawać najbardziej oczywistym rozwiązaniem. Dzięki temu stał się członkiem grupy, która go zaakceptowała. Piotr pomyślał o Yuki, o tym, jak na przekór wszystkiemu starała się pozostać sobą. Lub przynajmniej próbowała odkryć, co to właściwie oznacza.

– Myślisz, że tacy jak profesorki są od nas lepsi? – kontynuował pan Toru. – Gdyby tak było w istocie, gdyby nie ulegali swym słabościom do hazardu i seksu, to my nie mielibyśmy nic do roboty...

– Myślę – zauważył Piotr – że gdyby tacy jak profesor Takahashi sami nie ulegali swoim słabościom, tobyście ich do tego odpowiednio zachęcili. Zawsze znalazłby się jakiś sposób.

*Yakuza* spojrział na Piotra spod oka. Ten ani drgnął.

– He, he. – Pan Toru niespodziewanie rozluźnił się i poklepał go po ramieniu. – Pewnie masz rację. Cóż, jesteśmy jacy jesteśmy, a z czegoś żyć trzeba. Ech...

– Jest kawa. – Profesor na powrót pojawił się w salonie, niosąc tacę z czterema filiżankami i cukierniczką. – Proszę. – Ostrożnie położył ją na stoliku i nieco sztywno usiadł na skraju sofy. W żaden sposób nie skomentował rozmowy, którą niewątpliwie musiał przecież słyszeć. Micku również wyszedł w końcu z łazienki i rozwalił się z drugiej strony sofy, obok Takahashiego.

Cała trójka Japończyków jak na komendę sięgnęła po kawę. Piotr poszedł w ich ślady. Przez chwilę wszyscy z namaszczeniem siorbali gorący napój.

– Masz szczęście, że zjawiliśmy się w odpowiednim momencie – podjął pan Toru. – Co się stało z tamtą dziewczyną?

– Podeszła Kyubimoriego i spętała go różańcem Reigo, a wtedy Sato wykorzystał sytuację i zapieczętował ich oboje.

– Różaniec Reigo! – wykrzyknął Takahashi nabożnie. – A więc legenda, którą opowiedziałem okazała się prawdą! – Profesor zrobił dumną minę, jakby było to głównie jego zasługą. Chciał jeszcze coś dodać, ale *yakuza* uciszył go niecierpliwym gestem ręki.

– Trochę jej szkoda – skomentował pan Toru. – Była niebezpieczna, ale miała charakter. Lubię ludzi z charakterem. – Mrugnął porozumiewawczo do Piotra.

– Nie zasługiwała na to, co ją spotkało.

– Pewnie nie. I do tego miała całkiem zgrabny tyłek, co? – uśmiechnął się pan Toru ironicznie. – Ale co się stało, to się stało – znów spoważniał – na pewne rzeczy nic nie poradzimy. To, co się zdarza, się zdarza. My tylko możemy się dostosować. Iść dalej w niewiadomym kierunku. To tylko nam pozostaje, prawda?

– Chciałbym wierzyć, że nie tylko – odparł Piotr.

– Hm... – Pan Toru odstawił pustą filiżankę i spojrzął na zegarek. – Czas na nas. Micku, oddaj kluczyki.

Młodszy *yakuza* skrzywił się ironicznie, ale posłusznie sięgnął do kieszeni.

– Samochód jest w garażu – wyjaśnił usłużnie profesor Takahashi.

Japończycy jak na komendę wstali z miejsca i ruszyli do holu. Piotr spoglądał na nich przez chwilę, zafascynowany surrealizmem całej sytuacji.

– No to w drogę! – warknął pan Toru. – *Sayōnara!* – rzucił nieco teatralnie i wyszedł. Za nim ruszył Micku, po raz ostatni wyszczerzając zęby i znów pokazując Piotrowi kciuk skierowany ku górze.

Profesor Hayao Takahashi opuścił mieszkanie jako ostatni.

– Bardzo miło było mi pana poznać, Jaskulski-san. – Ukłonił się w progu. – Mam nadzieję, że kolejny raz spotkamy się w bardziej przyjaznych i hm... intelektualnych okolicznościach.



Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem. Piotr ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że czuje coś w rodzaju pustki.

Po raz pierwszy od wielu godzin został zupełnie sam. W pobliżu nie było żadnego Japończyka.

Postanowił udać się do KZDM.

## Powrót do KZDM

Piotr wziął szybki prysznic. Zjadł dwa tosty na śniadanie i popił je kolejną, jeszcze mocniejszą kawą. Przebrał się w świeżą koszulę i garnitur. Wyszedł z mieszkania i zjechał windą na dół.

Zgodnie z obietnicą lexus znajdował się w hali garażowej. Jakimś cudem Micku zaparkował go dokładnie na miejscu Piotra. Pewnie zresztą wcale nie cudem – poszczególne stanowiska były oznakowane numerami odpowiednich mieszkań. Micku może i był archetypicznym młodocianym japońskim renegatem, ale przecież nie znaczyło to, że mógłby postawić samochód na niewłaściwym miejscu. Pewne reguły zawsze obowiązują.

Piotr zasiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Miarowe brzęczenie silnika na moment znów nadało rzeczom właściwy rytm. Przymknął oczy; tak łatwo było wyobrazić sobie, że siedzenie obok nie jest puste.

Otworzył powieki i zerknął w bok, samym kątem oka. Nic nie zobaczył; cóż nigdy nie był specjalnie podatny na przywidzenia. Wszelakiego rodzaju omamy zawsze omijały go z daleka, nawet wtedy, gdy sam się o nie prosił.

Pomijając wczorajszą noc.

Wyjechał z hali i włączył radio; grał jakiś *Feel* czy coś w tym guście. Szybko odszukał trójkę; niestety nadawali właśnie debatę z politykami. Przełączył na odtwarzacz, załadowany jego autorską składanką. Przez

chwilę znów słuchał „Waiting for the Miracle”. Potem przerzucił na kolejny utwór. I jeszcze kolejny.

Nie, nie miał dziś jakoś cierpliwości do Cohena. Z tą muzyką zawsze było u niego dziwnie – potrafił zafiksować się na jakimś utworze, płycie czy wykonawcy nawet przez kilka miesięcy, a potem nagle mu przechodziło.

Pomyślał, że tym razem chętnie posłuchałby czegoś zupełnie nowego. Czegoś lekkiego i magicznego, jak... śnieg. Czegoś, co zawierałoby w sobie obietnicę.

Sam nie zauważył, kiedy dojechał do biura. Jak zwykle zaparkował lexusa obok służbowej toyoty Chudzika. Hm... ciekawe, jak tamten zapamiętał to, co się wydarzyło? Co robi teraz? Będzie udawał, że nic się nie stało?

Miejsce po bmw Kyubimoriego ziało metafizyczną pustką. Co ciekawe, nikt nie zaparkował również w jego bezpośrednim sąsiedztwie, jakby groziło to jakąś klątwą.

Piotr nieuchwytnie skinął głową w odpowiedzi na grzeczne przywitanie dziennego portiera i szybko wbiegł po stopniach na górę, zamiast wejść po nich z godnością i bez pośpiechu, jak przystało dyrektorowi finansowemu. Czy podświadomie chciał w ten sposób przywołać tamten moment na klatce schodowej, gdy ścigał Kyubimoriego?

Prawie niezadyszany otworzył drzwi swego sekretariatu.

– Dzień dobry – przywitała go pani Sylwia. – Pan prezes Ozawa prosił, żeby jeśli tylko się pan pojawi...

– Tak, wiem. – Piotr rzucił na wolne krzesło płaszcz i teczkę. – Proszę go zawiadomić, że już idę.

Dwie minuty później stanął przed drzwiami gabinetu prezesa.

Dziwny heksagram pod tabliczką z nazwiskiem Ozawy zniknął.

Piotr zapukał i wszedł do środka.

Wewnątrz również wszystko wróciło do normy – to znaczy do czasów sprzed przybycia Kyubimoriego. Biurka sekretarek znów ustawione były obok siebie, posążki strażników się zdematerializowały.

Sekretarka polska uśmiechnęła się na jego widok niepewnie, sekretarka japońska przywitała go poważnym ukłonem i gestem kazała poczekać, po czym zniknęła za drzwiami gabinetu pryncypała.

Kilka sekund później wyłoniła się ponownie i kolejnym ukłonem zaprosiła Piotra dalej. Odwzajemnił ukłon i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Starszy Japończyk przypatrywał mu się uważnie znad swego pretensjonalnego biurka. Przez krótką chwilę Piotr zastanawiał się, czy to groźne, przenikliwe spojrzenie rzeczywiście mogło należeć do dobrodusznego prezesa. Często, pomyślał, wydaje nam się, że znamy już kogoś na pamięć, przewidujemy wszystkie jego rutynowe gesty, słowa, reakcje. Ale, tak samo jak w przypadku otaczającej nas przestrzeni, to tylko maska. Interfejs, przy pomocy którego oswajamy nieznaną. Wystarczy jedynie spojrzeć odrobinę uważniej, by dostrzec, że nic nie jest tym, czym wydawało się do tej pory. Dlaczego tak mało ludzi *patrzy*?

Ozawa wskazał mu szorstkim, nietypowym dla siebie gestem miejsce naprzeciwko. Piotr zasiadł w fotelu, ani przez moment nie odrywając wzroku od twarzy prezesa. Zapadło długie milczenie, w powietrzu przepływało coś, czego nie potrafił nazwać.

Wreszcie prezes uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– To była długa noc, prawda, Piotru-kun? Zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Rzeczy, które, być może, nie powinny były się przydarzyć. A już ty z pewnością nie powinienesz być ich świadkiem. Oczywiście, wina spoczywa na... na tym, którego nazwiska nie będziemy już wymieniać.

Czy gdybym nieoczekiwanie cofnął się w czasie, ot choćby zaledwie do przedwczoraj, zastanawiał się Piotr, i na nowo stanął przed takimi samymi wyborami... Czy wszystko potoczyłoby się identycznie? Czy wpadłbym w te same pułapki? Odnalazł te same drogi wyjścia?

Czy wolałby, by to wszystko po prostu się nie zdarzyło? By na jego drodze nigdy nie stanął Sho Kyubimori?

– Na szczęście – kontynuował Ozawa – wszystko skończyło się hm... względnie właściwie. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, problem rozwiązany, w taki... czy inny sposób. Cieszę się – w głosie prezesa pojawił się wyraźnie cieplejszy ton – że ty również chyba wyszedłeś bez szwanku. Piotru-kun?

Piotr skinął głową.

– Odzyskałem to... co mi zabrano. Co, nieopatrznie, sam oddałem. Myślę, że nawet odzyskałem o wiele więcej.

Ozawa spojrzał na niego z wyraźnym zainteresowaniem, ale nie skomentował.

– Piotru-kun, widziałeś rzeczy, które nie powinny nigdy hm... rozpraszać osób hm... – Ozawa z pewnym wysiłkiem szukał właściwych słów – nieupoważnionych...

– Czy jestem osobą nieupoważnioną? – zapytał cicho Piotr.

Ozawa znów przez moment przyglądał mu się z uwagą.

– Piotru-kun, czy możemy liczyć na twoją całkowitą dyskrecję? Żle byłoby, gdyby cokolwiek z tego, co stało się dzisiejszej nocy przedostało się na zewnątrz. Nawet w postaci fantastycznych plotek. Pamiętasz historię, jaką ci wczoraj opowiedziałem? Wystarczyłoby – Ozawa ściszył głos – żeby jakiegokolwiek pogłoski dotarły do hm... Goro. Mnóstwo niepotrzebnych komplikacji.

– Nic takiego nie stanie się za moja przyczyną – zapewnił Piotr.

Ozawa milczał przez kolejną chwilę.

– Więc dobrze. – Znow uśmiechnął się, tym razem znacznie szerzej. – Wiem, że jesteś człowiekiem dyskretnym i godnym zaufania. Nie raz zapewniałem o tym centralę. Ale musiałem zadać ci to pytanie. Jak długo pracujemy razem, Piotru-kun?

– Cztery lata.

– Cztery lata – pokiwał w zadumie głową Ozawa. – Nieistotna kropla w morzu wieczności, a jednak... kawał czasu. I zrobiliśmy w tym czasie wspólnie sporo dobrego. Nie chciałbym być patetyczny, ale dobrego dla wszystkich. Dla mnie i dla ciebie. Dla Takagumiego, dla pani Nagiko i pani Milenki. Dla każdego pracownika Nagity-KZDM. Dla tego miasta. W jakiejś tam części dla Polski i Japonii.

– Choć zapewne nie dla fabryki Kaisei w Meksyku – ośmielił się wtrącić Piotr.

– Cóż – Ozawa poweselał – chyba masz rację, Piotru-kun. Dla nich pewnie nie. Nie sposób uszczęśliwić wszystkich... Chociaż z drugiej strony, jeśli dobrze się zastanowić, może dzięki konkurencji z naszej strony, wejdą na drogę samodoskonalenia? Może jeszcze kiedyś nam podziękują?

Tym razem Piotr nie skomentował.

– Ale wracając do rzeczy, Piotru-kun. Muszę wyznać coś, co być może cię zaskoczy. Wtedy w centrum konferencyjnym... gdy ten, o którym nie będziemy już rozmawiać, przemawiał do najznamienitszych przedstawicieli waszego... naszego miasta. Poczulem wtedy dumę. Bo wiele ze słów, które padły – choć ten, który je wypowiadał, użył ich, by mamić i zwodzić na manowce – było jednak prawdziwych. Zgodzisz się ze mną, Piotru-kun?

Piotr zastanawiał się przez moment, zdając sobie sprawę, jak wiele będzie zależeć od tego, co powie.

– Myślę o planach tego, o którym nie będziemy już rozmawiać – odrzekł, spełniając wymogi konwencji. – To wielkie europejskie centrum Nagity... Sprzeciwiłem się mu od samego początku, uważając, że zniweczy nasze przedsięwzięcie rozbudowy fabryki. Nie widziałem w tym sensu. Teraz jednak, gdy wiem o wiele więcej, zaczynam na nowo się zastanawiać. Tamten posiadał pewną wiedzę, stworzył wizję, oczywiście wyłącznie po to, aby zrealizować własne plany. Na szczęście został powstrzymany. Zadaję sobie jednak pytanie, czy wiele z tego, o czym mówił, w gruncie rzeczy nie można by zrealizować z pożytkiem dla wszystkich? Uważam, że warto na nowo rozważyć ideę Europejskiego Centrum Nagity. Rzecz jasna nie w taki sposób, w jaki pierwotnie chciano to zrobić i raczej nie na tą skalę. Na pewno też nie kosztem rozbudowy i modernizacji fabryki. Gdyby jednak wspólnie się nad tym zastanowić...

– Też o tym myślałem – odparł z powagą Ozawa. – Myślę, że gdy już wszystko się uspokoi, wrócimy do tego tematu. To jednak kwestia przyszłości. A teraz mam dla ciebie konkretną propozycję, Piotru-kun... – Prezes zrobił lekką pauzę.

Piotr zmrużył oczy, jak zwykle nie wiedząc, czego ma się spodziewać.

– To jeszcze nie oficjalna decyzja – oznajmił uroczyście Ozawa – ale rozmawiałem już z centralą i sądzę, że jeśli wyrazisz zgodę, wszystko zostanie zaakceptowane. Piotru-kun, chcemy ci powierzyć stanowisko wiceprezesa.

W pierwszej chwili Piotr pomyślał, że się przesłyszał. Jego zaskoczenie nie uszło uwagi Ozawy, bo ten uśmiechnął się jowialnie i dodał.

– Parę lat temu byłoby to jeszcze nie do wyobrażenia, co? Ale czasy się zmieniają i japońskie koncerny, choć niektórym może się to wydawać niewiarygodne, również. Powoli, lecz nieubłaganie. Ty zresztą stanowisz przypadek szczególny.

Zapłata za milczenie? – zastanawiał się Piotr. – Czy też raczej...

– Niezależnie od bieżącej sytuacji, która zapewne pomoże przekonać opornych w centrali do twojej osoby – Ozawa jakby znów telepatycznie odgadł jego myśli – uważam, że to najlepsza możliwa kandydatura. Dobrze rozumiesz zarówno potrzeby naszej centrali, jak i tego miasta. Pomożesz nam odnaleźć właściwy konsensus, kiedy będzie to konieczne. Poza tym – a sądzę, że wyrażę tu zdanie nie tylko swoje, ale i pozostałych członków zarządu – wolimy, żebyś dołączył do nas ty, a nie kolejny protegowany tej czy innej frakcji w *keiretsu*. Po ostatniej nominacji centrali podchodzimy do jej decyzji personalnych z pewną rezerwą. Cóż – Ozawa rozłożył bezradnie ręce – w innej sytuacji dalibyśmy ci czas do namysłu, sam jednak rozumiesz...

– W porządku – odparł krótko Piotr. – Zgadzam się.

– A więc dobrze. – Ozawa z satysfakcją pokiwał głową. – Wyglądasz na zmęczonego, Piotru-kun. Jedź z powrotem do domu i się prześpij. My zajmiemy się resztą.

– Tak zrobię. Muszę jednak wcześniej załatwić kilka spraw. Czy mogę mieć prośbę, Ozawa-san? – dodał tknięty nagłym impulsem.

– Tak, Piotru-kun?

– Chciałbym... przejąć gabinet... hm... gabinet na zaadaptowanym poddaszu? Chyba że są już względem niego inne plany?

Prezes spojrział na niego z zaskoczeniem, w końcu jednak tylko wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął.

– Nie – powiedział. – Nie ma względem niego innych planów. I raczej nie będzie. Pewnie w końcu zamknęlibyśmy go po prostu na cztery spusty. My, Japończycy, jesteśmy, niestety, raczej przesądni. Ale dobrze – sięgnął od niechcienia do szuflady biurka i podał Piotrowi klucz. – Proszę.



– Dziękuję. – Piotr wstał i głęboko się uklonił, nie pokazując po sobie zdziwienia. – Dziękuję za wszystko, Ozawa-san.

– Ja także dziękuję. – Prezes także wstał i odwzajemnił ukłon, przepisowy, płytszy o pół tonu, ale równie staranny. – To były ciężkie tygodnie, ale na szczęście wszystko nadspodziewanie dobrze się skończyło. Wypocznij, Piotru-kun.

Piotr zamknął za sobą drzwi, pożegnał się ceremonialnie z panią Nagiko i panią Milenką, po czym znów znalazł się na korytarzu. Z namysłem spojrzał na klucz. Czemu właściwie o niego poprosił?

Komórka piknęła esemesem. Schował klucz do kieszeni spodni i sięgnął po aparat. Wiadomość była od pani Sylwii: „Chudzik przyszedł i czeka już od 10 minut. Jakiś nieswój”.

No cóż, pomyślał, chowając komórkę, mam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez ekscesów.

Szybko zszedł na dół i energicznie otworzył drzwi do własnego sekretariatu, przygotowany na konfrontację z księgowym, jakkolwiek miałyby przybrać postać.

Chudzik siedział na fotelu naprzeciwko pani Sylwii. Rzeczywiście zachowywał się dziwnie. Na widok Piotra poderwał się niezgrabnie z miejsca i wykonał niezdecydowany gest ręką – trudno było ocenić, czy zamierzał uderzyć nią Piotra, czy też po prostu podać mu ją na przywitanie. Piotr zmierzył księgowego wzrokiem w sposób, w jaki mógłby to zrobić na przykład pan Toru. Chudzik cofnął się o pół kroku i wyraźnie oklapł.

Piotr gestem zaprosił księgowego do swego gabinetu, a gdy już się tam obaj znaleźli, starannie zamknął drzwi, nie bacząc na wyraźnie rozczarowaną minę pani Sylwii.

W milczeniu zasiedli naprzeciwko siebie; Piotr coraz bardziej spokojny i pewny siebie, Chudzik coraz bardziej zmieszany.

– Czy... – wybąkał wreszcie księgowy, najwyraźniej nie mogąc znieść przedłużającej się ciszy. – Czy... – urwał i odwrócił wzrok. – Nudny był ten wczorajszy bankiet, prawda?

Piotr w głosie tamtego usłyszał drobną nutę nadziei.

– Nie – odrzekł chłodno. – Nie nazwałbym go nudnym. Ani już zwłaszcza tego, co nastąpiło później.

– Czy... – zaczął znowu mamrotać Chudzik. – Czy...

– Czy pamiętam, jak najpierw usiłowałeś mnie udusić, a potem zrzucić z dachu? – zakpił Piotr. – I owszem. Czyżbyś ty usiłował oddalić od siebie to wspomnienie, zamiast się nim rozkoszować? Nie chcesz znowu poczuć, że żyjesz?

Chudzik z wysiłkiem zbierał myśli.

– Nie wiem, jak to się stało – wybąkał nieprzekonująco. – Kyubimori mnie omamił...

– Czy po prostu obiecał bezkarność? – sprostował Piotr. – Obawiam się, że nie możesz już na niego liczyć. Postawiłeś na niewłaściwego konia.

– Usiłowałem z nim się skontaktować – wyrwało się księgowemu – ale...

– Raczej ci się to nie uda – wyjaśnił Piotr uprzejmie. – Kyubimori jest paseé. Już tu nie wróci. I na twoim miejscu nie pytałbym o niego Ozawę ani żadnego z Japończyków. Nie wymawiałbym nawet jego nazwiska.

Księgowy wbił wzrok w podłogę. Kiedy po chwili znów go podniósł, w jego oczach była już tylko rezygnacja.

– A więc Kyubimori przegrał, a twoje akcje poszły w górę, co?

– Nawet gdyby wygrał, nie sądzę, żebyś wiele na tym skorzystał – zauważył analitycznie Piotr. – Byłeś dla niego chyba raczej doraźnym i mało uniwersalnym narzędziem.

Chudzik oklapł do reszty.

– Co zamierzasz teraz z tym zrobić? – zapytał ponuro. – Nie sądzę, żebyś cokolwiek był w stanie mi udowodnić.

Piotr uniósł brwi.

– Dobra, dobra – dodał pojednawczo księgowy. – Czy pozwolisz mi złożyć wymówienie i odejść samemu? Usatysfakcjonuje cię to rozwiązanie?

Piotr zastanawiał się przez chwilę.

– Nie musisz odchodzić – oznajmił, gdy zafrasowanie na twarzy Chudzika sięgnęło już zenitu.

– Co? – Tamten wybałuszył oczy.

– W pewnym stopniu powiedziałaś prawdę. Kyubimori rzeczywiście cię zwiódł, choć chyba nie musiał wkładać w to szczególnego wysiłku. Podejrzewam jednak, że wielu innych pracowników KZDM... wielu innych ludzi zachowałoby się podobnie. Nie jesteś od nich gorszy. Ani też zresztą lepszy, co prawda. Zawsze jednak sprawdzałeś się jako główny księgowy. Znasz firmę od podszewki. Na swój sposób jesteś względem niej lojalny. Nie ma sensu się ciebie pozbywać.

– A ty? – zdziwił się Chudzik. – Przecież mnie nie cierpisz!

– Ja wiem, czy cię nie cierpię? – Piotr wzruszył ramionami. – Mam ważniejsze problemy na głowie, niż się nad tym zastanawiać. A jeśli nawet – tak trudno jest ci uwierzyć, że menadżer może się kierować czymś innym niżli osobiste sympatie i antypatie? Pomyśl nad tym w wolnej chwili.

– Tak. Jasne. – Ulga i niezrozumienie walczyły ze sobą na obliczu Chudzika. – Dzięki. Już nie będę ci sprawiał więcej problemów, obiecuję.

Piotr spojrzał na księgowego przeciągle.

– To ja już pójdę. – Chudzik poderwał się z miejsca. – Nie będę ci przeszkadzał. Pewnie jesteś zajęty.

– Marku? – zagadnął Piotr, gdy tamten był już w drzwiach. Księgowy odwrócił się, wyraźnie zaniepokojony.

– Tak, Piotrze?

– Jeśli przypadkiem znajdziemy się jeszcze kiedyś razem na jakimś dachu... albo choćby na szczycie schodów... Nie będziesz próbował mnie rzucić, prawda?

– Nie, no coś ty. – Chudzik zarechotał nerwowo. – W życiu.

Drzwi zamknęły się za księgowym. Piotr przez moment siedział nieruchomo na fotelu, po czym westchnął i sięgnął do kieszeni.

– Cóż, zobaczymy – szepnął, spoglądając na klucz.

## Witaj i żegnaj

Już w przedśionku Piotr zdał sobie sprawę, jak bardzo wszystko się tutaj pozmieniało. Mógł się zresztą tego spodziewać, zważywszy, że to Ozawa wręczył mu klucze. Skoro zrobił to niemal bez oporu raczej nie zakładał, że Piotr będzie jeszcze w stanie natrafić na coś niepokojącego.

Rolety były odsunięte i światło, jak zawsze, zalewało biuro Kyubimoriego. Na pierwszy rzut oka nic nie zniknęło, ale eklektyczny nieład ustąpił miejsca sterylneemu porządkowi; ci, którzy przeszukiwali gabinet, wywiązali się ze swego zadania z typowo japońską skrupulatnością. Tylko bardzo uważny obserwator mógłby dostrzec zniknięcie tego czy innego segregatora, lekko przesuniętą rzeźbę czy też poruszoną ziemię w doniczce.

Piotr podszedł do jednej z szaf i otworzył ją. Była całkiem pusta, ale ktoś mógł zaręczyć, że nie była taka już przedtem? Wzruszył ramionami i z powrotem ją zamknął.

Spojrzał w róg gabinetu. Oczywiście, żadnego tajemniczego skrzywienia. Trzykrotnie obszedł miejsce, gdzie w pewnym sensie jeszcze wczoraj znajdował się trójwymiarowy plan Kyubimoriego. Doszedł do wniosku, że właściwie na tym etapie byłby już w stanie bez większych przeszkód przekonać samego siebie, że wszystko mu się jedynie przyśniło.

Wrócił na środek pomieszczenia i uważnie rozejrzał się wokół. A jednak, choć gabinet najwyraźniej odarto ze wszystkich cudów (a może

po prostu on nie był w stanie ich teraz dostrzec?), nadal stanowił intrygujące miejsce. W samej aranżacji przestrzeni, doborze rzeźb, sposobie uformowania bonsai pozostało coś z buntowniczej, przekornej duszy Kyubimoriego.

Chyba rzeczywiście się tutaj przeniosę, zdecydował Piotr. Muszę tylko doczytać, jak się zajmować tymi nieszczęsnymi bonsai i bambusami.

Przez chwilę analizował własną decyzję. Czy po prostu (jak zapewne sądził Ozawa) chciał przejąć gabinet Kyubimoriego jako swoiste trofeum, podkreślające jego nowy status? Czy też raczej podświadomie czuł, że skrywa on drzwi, które pozostały zamknięte; melodię, która nie została wysłuchana do końca; przypowieść zen, której nie zdołał zrozumieć?

Brzęczenie telefonu wyrwało go z zamyślenia. Przez mgnienie zawahał się, po czym podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Czy... Czy jest pan prezes Kyubimori? – Usłyszał zdezorientowany głos.

Potrzebował całych pięciu sekund, nim zdołał go zidentyfikować. Ach tak! Dzienny portier. Oczywiście, nikt nie poinformował go o zmianach.

– Pan prezes Kyubimori jest niedostępny – powiedział do słuchawki. – Z tej strony Piotr Jaskulski. Coś się stało?

– Pan Kyubimori ma gościa – wyjaśnił tamten. – Podobno umówionego...

– Kto to taki?

Piotr uniósł brwi, usłyszawszy odpowiedź.

– Niech wejdzie na górę – wydał polecenie portierowi. – Czekam w gabinecie prezesa Kyubimoriego.

Podszedł do kuchennego kącika Kyubimoriego i włączył wodę w czajniku elektrycznym. Odnalazł cukier, który wyglądał jak cukier,

i herbatę, która wyglądała jak herbata. Nasypał ją do dwóch filiżanek, mając nadzieję, że to rzeczywiście tylko sencha o egzotycznym aromacie. Któż w końcu może wiedzieć, co risy trzymają w swych kredensach?

Woda właśnie się zagotowała, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał, zalewając filiżanki wrzątkiem.

Zmieniła żakiet na czerwony; tym razem miała włosy rozpuszczone. W porównaniu z dniem wczorajszym wyglądała nieco bardziej... frywolnie?

– Rozgość się, proszę. – Postawił filiżanki na tacy. – Postaram się zastąpić Sho w roli gospodarza... przynajmniej w kwestii parzenia herbaty.

– Dzięki – odparła swobodnym, niezmiśzanym tonem. Z wdziękiem usiadła dokładnie pośrodku półkolistej sofy. Piotr przystawił sobie krzesło i zajął miejsce dokładnie po przeciwnej stronie stolika. Przez jakiś czas wpatrywali się w siebie taksująco.

– Więc... – zagadnęła w końcu Katarzyna – Sho coś wypadło? Byliśmy umówieni na spotkanie...

Piotr krótką chwilę ważył odpowiedź.

– Nie chcę cię wprowadzać w błąd, a nie mogę zdradzić wszystkiego. Uważam jednak, że powinnaś usłyszeć jakieś wyjaśnienia. Sam z pewnością pragnąłbym je usłyszeć na twoim miejscu. Powiedzmy, że... miała miejsce drobna przepychanka korporacyjna pomiędzy Japończykami. Zaangażowane zostało samo Tokio. Możesz uznać, że Kyubimori został odwołany i już tu nie powróci. Wszelkie plany inwestycyjne, które promował, zostaną wstrzymane. Obawiam się, że w najbliższym czasie ani ty, ani twój bank nie ubijecie z nami żadnego interesu. W perspektywie średnio- i długoterminowej... kto wie. Tak to wygląda w skrócie.

– Interesujące – uśmiechnęła się Katarzyna. – Wolałabym jednak też usłyszeć wersję samego Sho...

– W tym momencie to raczej niemożliwe. Musisz zadowolić się moją.

– A jeśli – w oczach kobiety pojawił się niebezpieczny błysk – nią się nie zadowolę?

– Teoretycznie możesz, oczywiście, pójść do prezesa albo któregoś z pozostałych Japończyków. Licz się jednak z tym, że jeżeli wymienisz nazwisko Kyubimoriego, rozmowa bardzo szybko się skończy i nikt już nie umówi się z tobą na kolejną. Możesz też podpytywać Polaków, ale nie będą zorientowani.

– Albo przeprowadzić rozeznanie poza granicami kraju. Mam odpowiednie kontakty...

– Nie w tym przypadku. – Potrząsnął głową Piotr.

– Czemu mi to wszystko mówisz? – W jej głosie wyczuł podejrzliwość.  
– Chcesz mnie zniechęcić?

– Mógłbym ci nic nie mówić albo w ogóle się z tobą nie spotykać – westchnął Piotr – i pozwolić, żeby portier na dole po prostu odprawił cię z kwitkiem. Ale jak już zaznaczyłem wcześniej, uważam, że należy ci się jakieś wyjaśnienie.

– Hm... – Katarzyna się zastanawiała. – Drobną przepychanką korporacyjną pomiędzy Japończykami... A jaki ty miałeś w tym udział, skoro tak świetnie jesteś zorientowany?

– Pewien miałem. Nieopatrznie oddałem coś Kyubimoriemu, a potem próbowałem to odzyskać, przy okazji częściowo wchodząc w sojusz z ludźmi, którzy pragnęli się go pozbyć. Nie da się ukryć, że Sho i ja byliśmy w tym rozdaniu przeciwnikami.

– Mam nadzieję, że to nie przeze mnie? – Spojrzała na niego badawczo.  
– Wczoraj odniosłam wrażenie, że jesteś o mnie zazdrosny. Że dla ciebie tamta historia sprzed lat wcale się nie skończyła.

Piotr sięgnął od niechcienia po filiżankę.



– Co pamiętasz z ostatniej nocy? Czy przydarzyło ci się coś dziwnego?  
Wczoraj po bankiecie?

Katarzyna zawahała się.

– Nie wiem. Wypiliśmy w barze kilka kieliszków. Potem na moment jakbym... – Potrząsnęła głową. – Jakbym zatraciła poczucie czasu. Nie potrafię tego dokładnie opisać. A potem stwierdziłam, że znów znajduję się w sali bankietowej. Ruszyłam na poszukiwanie Sho, a trafiłam na ciebie... Potem po prostu wróciłam taksówką...

– Czy kiedy mnie spotkałaś, byłem sam?

– Nie wiem, chyba tak. Nie zauważyłam. Czemu pytasz?

– Nieważne. Ale – odpowiadając na twoje pytanie – skłamałbym, gdybym powiedział, że twoja osoba nie miała znaczenia w rozgrywce pomiędzy mną i Kyubimorim... na samym początku. Jednak potem rzeczy poszły ostatecznie w zupełnie innym kierunku. Bardzo wiele się wydarzyło. Zakończenie tej historii już nie miało nic wspólnego z tobą. Cóż – wzruszył bezradnie ramionami – wiem, że to brzmi raczej enigmatycznie. Tak czy owak, już po wszystkim. Mam nadzieję, że osoba Kyubimoriego nie miała dla ciebie aż takiego znaczenia.

– Och, nie bój się, nie odejdę ze złamanym sercem – skrzywiła się Katarzyna. – Zmył się, nawet nie uznając za stosowne się ze mną pożegnać, no to trudno. Nawet gdyby nasza relacja wyszła poza sprawy czysto zawodowe, wątpię, czy wyniknęłoby z tego coś więcej niż tylko przelotna afera. Ale było w nim coś... intrygującego. Coś, czego brakowało mężczyznom, których do tej pory znałam. Bez urazy, Piotrze.

– Bez urazy. – Piotr uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Myślę, że wiem, o co ci chodzi.

– Sądzisz, że dałam się złapać na światowy blichtr i egzotykę? – Wydeła wargi. – Ale wyobraź sobie, że ty sam nagle spotykasz kobietę taką jak

Sho...

– Cóż. – Popatrzył przez okno na topniejący śnieg. – Chyba potrafię to sobie wyobrazić. Ale źle mnie zrozumiałaś. Tak, było w nim coś intrygującego. Coś, co wyrywało człowieka z codziennej monotonii – czy się tego chce czy nie. Byliśmy przeciwnikami, ale cieszę się, że go poznałem...

– Tak czy owak, jak sam zauważyłeś, już po wszystkim – westchnęła Katarzyna.

– Obawiam się, że tak. – Rozłożył bezradnie ramiona. – Przykro mi, że straciłaś niepotrzebnie czas.

– Ryzyko zawodowe. – Katarzyna rozluźniła się i sięgnęła z rezygnacją po herbatę. – Trochę szkoda, ale bez przesady. Będą inne deale. I inni faceci. Nie jestem aż taką romantyczką. Szczerze powiedziawszy, chyba w ogóle nią nie jestem. Hm... – Upiła kolejny łyk. – Sho robił o wiele lepszą...

– Domyślam się – zgodził się Piotr z pokorą. – Ale to dopiero moje początki.

Przez chwilę pili w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach.

– Będę musiała się zbierać – oznajmiła kobieta.

– Wiem. Ja też zaraz ruszam w swoją drogę. Przedtem chciałbym cię jednak o coś spytać...

– Tak? – Katarzyna zmrużyła oczy.

– Czy spotkałaś jeszcze kiedyś Leszka? Po tym jak losy naszej trójki ostatecznie się rozeszły?

– Jednak nie obyło się bez powrotu do przeszłości, co? – mruknęła zdziwiona. – Jakie to ma teraz znaczenie? Dla mnie, dla ciebie, dla kogokolwiek?

– Żadnego – ot tak pytam z ciekawości. Nigdy już później nawet z nim nie rozmawiałem przez telefon. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

– Raz spotkaliśmy się przypadkiem na lotnisku. Jakieś trzy lata temu. Jego firma wysłała go po coś tam do Hamburga. Ma żonę i dwoje dzieci. Co nie przeszkadza mu romansować w każdej delegacji. Jak się potem przypadkiem wydało, po którejś konferencji zaliczył nawet jedną z moich znajomych. Czy też ona zaliczyła jego, zależy jak na to patrzeć. Świat jest mały, w każdym bądź razie. Mnie też zresztą usiłował podrywać w hali odlotów, pomiędzy pokazywaniem zdjęcia dzieci a wycieczką po kolejnego drinka. Już dawno jednak przestali mnie interesować tacy faceci jak on. Skąd w ogóle ci przyszedł do głowy?

– *Akemasu-shimemasu* – odparł tajemniczo Piotr. – Ale masz rację, to już bez znaczenia.

Kobieta dopiła herbatę i wstała z miejsca.

– Muszę lecieć.

– Ja też, jak już mówiłem, mam jeszcze coś do załatwienia.

Uścisnęli sobie ręce. Rzeczowo, ale uprzejmie.

– Mimo wszystko miło było znowu się spotkać – podsumowała Katarzyna.

– Przykro mi, jeśli w czymkolwiek pokrzyżowałem ci plany. Powodzenia.

Gdy odchodziła, spróbował jeszcze raz spojrzeć na nią oczami mężczyzny, który kiedyś wciąż śnił ten sam sen. Ale nie udało mu się to; tamten był dla niego w tej chwili już równie nieosiągalny, co blondynka z okienka numer 6. Oczywiście jako byty czysto abstrakcyjne oboje nie byli w stanie powiedzieć sobie choćby kilku słów na pożegnanie. Czy byłoby lepiej, gdyby potrafili znaleźć w swym rozstaniu jakiś morał? Jakieś *akemasu-shimemasu*? Ale na to było już za późno; nie zrobili tego kiedyś,

a teraz już ich nie było. Katarzyna Konecka i Piotr Jaskulski rzecz jasna nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, mogli co najwyżej wymienić kilka rzeczowych uwag.

Przez chwilę z pozbawioną żalu nostalgią myślał o tamtych dwojgu. Sho Kyubimori z ironią skomentowałby pewnie, że tak czy inaczej, od początku, tak jak wszystko wokół, byli iluzją. On sam jednak chyba wolałby wierzyć, że kiedyś oboje istnieli naprawdę. Ale jeszcze bardziej chciałby wierzyć w to, że nawet w jego życiu mogłoby pojawić się coś trwalszego.

A więc, zdał sobie sprawę, nie będzie już więcej snów o okienku nr 6. Czyżby z jego monotonnej, analitycznej egzystencji miała zniknąć i ta oniryczna namiastka romantyzmu? Lub może zastąpi ją coś innego; wizja czarnych włosów rozwianych na wietrze, na tle śnieżycy i dalekich świateł choinek?

Staął w przedsionku i po raz ostatni ogarnął wzrokiem gabinet Kyubimoriego.

*Nienawidzą nas, ponieważ stanowimy ucieleśnienie wszystkiego, co od wieków próbują unicestwić.*

Czy on sam również mógłby stać się częścią tego systemu? Czy to o takich jak on mówił Sho?

Piotr uśmiechnął się szeroko do siebie samego. Wcale nie jestem nieobliczalny, pomyślał. To tylko wy wszyscy okazaliście się marnymi analitykami, nie potrafiliście mnie właściwie *obliczyć*, wziąć pod uwagę wszystkich stałych i zmiennych. A to przecież wcale nie jest takie trudne, prawda, Yuki?

Odruchowo spojrzął na zegarek, tak jakby jego wskazania mogły mu w czymkolwiek pomóc. Ale ten prosty, automatyczny gest przyniósł otuchę.

– Już chyba czas – wypowiedział na głos słowa zaklęcia.

\* \* \*

Poczucie lojalności kazało mu zajrzeć po drodze do Ozawy. Po prostu stanął w drzwiach, bez słowa wpatrując się w siedzącego za biurkiem prezesa. Żaden z nich nie wypowiedział ani słowa, a jednak komunikacja przepływała pomiędzy nimi z intensywnością większą niż podczas którejkolwiek z narad. Czy to była właśnie ta telepatia, o którą zawsze podejrzewał Japończyków?

Wreszcie Ozawa westchnął i poprawił oprawki okularów.

– Wiedziałem, że to nie skończy się tak łatwo i bezboleśnie – stwierdził z rezygnacją.

– Nie wycofuję się z ustaleń, które zawarliśmy wcześniej – odparł Piotr.

– Ale wydaje mi się, że można znaleźć bardziej satysfakcjonujące zakończenie.

– Tradycyjne japońskie *monogatari* z natury są smutne i mają odpowiednio tragiczne zakończenia – skomentował prezes.

– I są przez to zbyt schematyczne. Opowieści nie powinny się kończyć przewidywalnie. Właściwe zakończenie zazwyczaj wyłamuje się poza schematy.

Ozawa przez chwilę przetrawiał tę myśl.

– Wierzysz, Piotru-kun, że będziesz w stanie je zmienić?

– Sato Mizuno w to wierzył. W przeciwnym razie nie uznałby za konieczne pozbywać się mnie, nieprawdaż?

Ozawa pokiwał głową.

– W rzeczy samej, jest w tym pewna logika.

– Biorę za wszystko odpowiedzialność – zadeklarował Piotr. – I zapewniam, że nie dopuszczę, żeby dobro wspólne ucierpiało w wyniku

moich działań.

– Ha! Nie jesteś w stanie wszystkiego kontrolować!

– Nie muszę.

Ozawa jeszcze raz westchnął.

– Mimo wszystko.... powodzenia, Piotru-kun. Jeśli coś pójdzie nie tak...

– O niczym pan nie wiedział, panie prezesie.

\* \* \*

Zabrał płaszcz z gabinetu, pożegnał się z panią Sylwią, po czym zszedł na dół.

Ku swemu zaskoczeniu na miejscu portiera znowu zobaczył Romka Klicha.

– Myślałem, że przychodzisz dopiero na 16.00?

Romek rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu.

– Trochę mnie przesunęli – wyjaśnił. – Wkrótce po tym, jak ty wyszedłeś, pojawił się Takasugi z trzema obcymi, podejrzenie wyglądającymi żółtkami i kazali mi zmywać się do domu. Jak w jakimś azjatyckim filmie klasy B. Chyba było jakieś zamieszanie. Zresztą nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Piotr pokiwał od niechcienia głową. Zamyślił się na moment.

– Ile już lat się znamy? – zapytał nieoczekiwanie.

– Dwadzieścia... chyba osiem – odparł Romek po chwili namysłu. – Co ci się tak nagle zebrało, Pietrucha?

– Nic. Wybacz, że zapytam banalnie, ale... zastanawiasz się czasem nad swoim życiem?

– Może i czasem tak – zaśmiał się Romek. – Ale co z tego? Mogę się zastanawiać, ile wlezie i nic, kurwa. A ty co, kryzys wieku średniego? Za

wcześniej na to. Jeszcze na niego nie zasłużyłeś. Ożeń się, zrób se dziecko i dopiero wtedy wpadaj w kryzys.

– Czy gdybyś mógł przeżyć wszystko jeszcze raz – kontynuował niezrażony Piotr. – Czy... Czy był jakiś szczególny moment, do którego chciałbyś wrócić. Zmienić swoją przeszłość..

– Może i chciałbym coś zmienić, ale czy znalazłbym jakiś konkretny moment? Wątpię. – Romek filozoficznie wzruszył ramionami. – Nawet teraz chyba nie wiedziałbym, co było naprawdę ważne, jak należało postąpić. Kiedy dokładnie wszystko się spierdoliło. Myślę, że tak naprawdę po prostu bezustannie się pierdoli, że tak powiem, na bieżąco. Czas płynie, odpowiadając banalnie na twoje banalne pytanie. Czas płynie i nic, kurwa mać, nie może go powstrzymać.

Piotr uśmiechnął się lekko pod nosem.

– Trzymaj się. Muszę wpaść kiedyś do ciebie wieczorem, jak nikogo już nie będzie, to sobie dłużej pogadamy.

– Co żeś się nagle zrobił taki sentymentalny? Ale dobra, dobra, zapraszam. Ile w końcu można oglądać tą głupią telewizję...

– A więc... do następnego razu.

– Nara, Piotrze.

## Zatrzymać chwilę

To dziwne, pomyślał Piotr, stojąc przed grobem rodziców, tak rzadko tu zawsze przychodzę, a teraz, proszę, już trzeci raz w ciągu zaledwie 48 godzin.

Lecz znów – czy na pewno było to to samo miejsce? Przez chwilę próbował sobie przypomnieć przedwczorajszy wieczór i swoją samotną wizytę na cmentarzu, potem po raz kolejny odtworzył w myślach zdarzenia poprzedniej nocy.

Czy tamte dwa światy miały ze sobą cokolwiek wspólnego? A chwila obecna? Do którego z nich należała? W jakim stopniu to on sam dokonywał wyboru? A może tak naprawdę wybór nie był potrzebny; może, cytując Ozawę, granice były bardziej płynne, niż się to wydawało?

Wokół śnieg stopniał już prawie wszędzie; jego resztki pozostały już tylko na samotnym świerku i marmurowej powierzchni grobu.

Trzeba się pośpieszyć, pomyślał Piotr, wkrótce nie pozostanie po nim nawet wspomnienie.

– Tamta wizja, stworzona przez Kyubimoriego – powiedział cicho. – Mężczyzna w ciemnym płaszczu i jego rodzina... Czy rzeczywiście bardziej bylibyście dumni z niego niż ze mnie?

*Nawet jeśli zdaje ci się, że bardzo się oddaliłeś od ich świata... ten świat wciąż istnieje. Czeka, skryty gdzieś tuż pod powierzchnią, na odpowiedni moment, by powrócić, byś znów mógł uczynić go częścią swego życia...*



– Cóż – dodał, po raz ostatni spoglądając na grób – to jeszcze nie koniec, obiecuję. Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu z cmentarza, cicho nucąc pod nosem słowa piosenki:

*And it's a prime time, maybe the stars were right  
I had a premonition, it's gonna be my turn tonight  
Gonna be my turn tonight.*

\* \* \*

Gdy dotarł do celu, powoli zaczęło się już zmierzchać. Potoczył spojrzeniem wokół: okolica nie budziła już żadnych skojarzeń z niepokojącymi, obcymi przestrzeniami, ale nie stała się przez to wcale mniej niezwykła. Jego dom; jedyne takie miasto na świecie.

Wbrew obawom nie miał problemu z odnalezieniem właściwego miejsca; niewielka wysepka białego, czystego śniegu wyróżniała się spośród morza mokrego błota.

Stanął na samym skraju, zastanawiając się, jakie słowa, jakie gesty powinien uczynić. Ale to Sato Mizuno i jemu podobni byli specjalistami od nazywania rzeczy, które równie dobrze mogły pozostać nienazwane; zrozumiał, że on sam wcale tego nie potrzebuje.

Ostrożnie sięgnął ręką przed siebie, jakby pragnął dotknąć serca śniegu...

I tak jak wtedy, pod drzwiami gabinetu Kyubimoriego, poczuł zniechęcenie.

Co ty tu robisz? – zdawał się mówić jakiś suchy głos. Przecież nic tak naprawdę się nie wydarzyło. To było tylko wspomnienie dziecięcego koszmaru. Złudzenie.

– Nie – odparł, zniecierpliwiony. – Yuki Yamada nie jest złudzeniem.

I wtedy uderzył w niego chłód – o wiele mocniej niż podczas konfrontacji z yūrei w gabinecie Kyubimoriego.

Co tu robisz? – szeptał. Uciekaj, póki jeszcze jesteś w stanie zachować swoje złudzenia!

*O tę pustkę roztrzaska się życie każdego człowieka, jeśli tylko zbyt długo będzie trzymał ją w swej dłoni. Rozwiej ją wszystkie nasze iluzje – czyż nie tworzymy naszego życia, przekuwając je w prawdę? Jeśli oczywiście staramy się przeżyć je w pełni samodzielnie i świadomie, a nie jedynie wypełniając nakazy innych. Nasze sny, marzenia, tęsknoty utkane są z tego samego materiału.*

Chłód otoczył go ze wszystkich stron, przeniknął do wnętrza. Ta twoja śmieszna kariera, pretensjonalne auto i to wielkie mieszkanie, równie puste, co twoje serce, syczał. Zmarnotrawiłeś swoje życie, a teraz jest już za późno! Przemijanie, przemijanie, przemijanie!

– Nie – odrzekł z wysiłkiem. – Jestem czymś więcej niż dyrektorem finansowym KZDM, niż właścicielem pustego mieszkania. Po prostu czekałem na właściwą chwilę, w gruncie rzeczy cały czas pozostając sobą. A ta chwila właśnie nadeszła. Wiem, kim jestem.

Na przekór bólowi i strachowi sięgnął jeszcze głębiej, ku samemu jądro chłodu. Zimno i pustka zdawały się nie do zniesienia, ale nie cofnął się. Był jak skała, która nie da się przesunąć ze swego miejsca byle podmuchowi wiatru, jak drzewo, stojące w porywach lodowatego, zimowego sztormu – na pozór bezlistne, martwe, a jednak sięgające korzeniami głęboko w ziemię, czekające na swój czas.

W końcu dosięgnął centrum pustki i mocno szarpnął je ku sobie.

Chłód zniknął. Paciorki z rozerwanego różańca rozsypały się po śniegu.

Wydawało się, że dwójka Japończyków po prostu cały czas stała obok niego, dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widział ich po raz ostatni. Spoglądając na ich blade, nieruchome twarze, można było pomyśleć, że zamienili się w posągi. Ale nie – brwi Sho jakby lekko drgnęły, kolor pojawił się na policzkach Yuki. Nagle oboje odżyli, puścili swe dłonie i bez sił klapnęli na ziemię.

Piotr usiadł obok nich i cierpliwie czekał.

Kyubimori jako pierwszy doszedł do siebie.

– Cóż – stwierdził pewnym siebie głosem – zdaje się, że jestem twoim dłużnikiem, choć, jak zgaduję, zostałem uratowany niejako przy okazji...

– Niemniej jednak – powiedział z naciskiem Piotr – jesteś moim dłużnikiem.

– Już dobra, dobra – westchnął tamten. – Jestem honorowym, japońskim risem. Przegrałem, to przegrałem. Nie wrócę już do KZDM i dam sobie spokój z *keiretsu* Nagity. Z Odą też... na razie.

– Coś łatwo ci przyszło to zaakceptować, Sho – zauważył Piotr podejrzliwie.

– Akceptuję fakty. Poza tym, my, risy, nie jesteśmy zajadłe ani zapamiętałe. W końcu to wszystko tylko gra, zabawa, prawda? Będą jeszcze inne miejsca i inne deale, inne bitwy. Inne fortele i sztuczki.

Piotr skinął głową.

– Co teraz zrobisz?

– Nie wiem. – Były wiceprezes wzruszył ramionami. – Może po prostu powłóczę się trochę po okolicy, na moment powracając do dawnego, prostego życia? Podobają mi się te wzgórza i doliny, myślę, że to dobre miejsce, by trochę pomedytować i hm... wrócić do korzeni. Przyda mi się też chyba trochę hm... samotności. A potem? Cóż, właśnie przypomniało mi się, że dawno już nie byłem w Chinach. A przecież to niemal moja druga

ojczyzna. Wiesz, w środkowym Syczuanie, niedaleko góry Emei, jest takie prężnie rozwijające się miasto, nabrzmiące energią i chaosem... Może tam spróbuję szczęścia? A ty, Piotrze?

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanę nowym wiceprezesem. Zaanektowałem też twój gabinet, ale przez noc wyczyścili go z wszelkiej magii. Tak przy okazji – jak często trzeba podlewać bonsai i bambusy?

Kyubimori wypuścił powietrze.

– Powinny mieć raczej wilgotno, zresztą zorientujesz się.

Yuki uniosła głowę. Policzki, po raz pierwszy odkąd Piotr ją poznał, miała mocno zaczerwienione.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Piotr.

Zdołała tylko leciutko się uśmiechnąć, ale to w zupełności wystarczyło.

– Chyba czas już na mnie – stwierdził Kyubimori. – Nie cofnę przeszłości – obrócił się ku córce. – Przykro mi jednak, że między nami potoczyło się, jak się potoczyło. Pozwól więc, że na sam koniec dam ci dobrą radę: musisz się nauczyć traktować wszystko mniej poważnie. Po prostu tak jak ja, z wdziękiem tańcz swój taniec drapieżnika, unikając zbędnych komplikacji, unikając klatek, w które chcą cię schwytać inni, i tych, które zbudowałaś ty sama. Naucz się z radością odkrywać nowe ścieżki tam, gdzie zwykli śmiertelnicy zrezygnowani kończą swą drogę. Lecz przede wszystkim naucz się stąpać z lekkością...

Dziewczyna popatrzyła na niego spode łba.

– Pieprz się.

Kyubimori westchnął i pokiwał głową.

– Gdybyś jednak chciała poznać parę fajnych sztuczek, jestem do dyspozycji. Na pewno będziesz w stanie mnie odnaleźć. No to na razie. Yuki. Piotrze...

– Na razie. – Piotr nie spoglądał za odchodzącym; wkrótce kroki Kyubimoriego ucichły pomiędzy drzewami.

Przez chwilę Piotr i Yuki patrzyli na siebie w milczeniu.

– Jestem cholernie zmęczona – oznajmiła dziewczyna.

– Wracajmy do domu. – Wziął ją za rękę. Jak zwykle była przyjemnie chłodna.

Potem, już w samochodzie, coś nagle przyszło mu do głowy.

– Wiesz – stwierdził. – Ciągle myślę o planach Kyubimoriego. O tej chwili, gdy roztaczał je przed wszystkimi w centrum konferencyjnym. Wspólnie z Ozawą doszliśmy do wniosku, że sama idea Europejskiego Centrum Nagity nie była taka zła. Może kiedyś przyjdzie nam ją zrealizować – w tym samym niezwykłym miejscu, które wybrał Kyubimori – ale w sposób, który będzie służył zupełnie innym celom. Myślę, że przyda się wtedy architekt, który będzie w stanie wszystko umiejętnie zrealizować. Yuki?

Dziewczyna drzemała na siedzeniu pasażera.

Przebudziła się, gdy zatrzymał samochód. Rozejrzała się wokół i spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Daj mi tylko pięć minut – wyjaśnił – zaraz pojedziemy do mojego mieszkania i będziesz mogła wyspać się do woli.

Wyszedł z samochodu i stanął naprzeciwko dawnego bloku swoich rodziców. Od niechcienia zahaczył wzrokiem okna mieszkania na dziesiątym piętrze, po czym wszedł do klatki schodowej.

Poszukiwania nie trwały długo. Przy zsybie pomiędzy czwartym a piątym piętrem znalazł wymizerowanego szaro-biało-niebieskiego kotka, który odruchowo schował się przed nim za załomem ściany.

Piotr przyklęknął i wystawił rękę. Cierpliwie czekał.

Po chwili kotek wychylił głowę zza muru, po czym ostrożnie do niego podszedł. Piotr zastanawiał się, czy to na pewno ten sam kot, którego spotkał poprzedniej nocy. Dzisiaj zwierzątko nie sprawiało już zbyt magicznego wrażenia, było po prostu głodne i zabiedzone.

– Przepraszam, że się spóźniłem – szepnął Piotr. – Ale oto jestem.

Kot otarł pyszczek o jego rękę, po czym uniósł głowę.

– Miau? – zapytał.

– Chodźmy – zakomenderował Piotr. Kot bez protestu pozwolił wziąć się na ręce i pogłaskać. – Czas na zasłużony odpoczynek. Czuję, że wszyscy będziemy spać przynajmniej ze dwie doby.

\* \* \*

*Piotr wychodzi na zewnątrz, wciąż trzymając kota na rękach. Zniecierpliwiona czekaniem w samochodzie Yuki powoli idzie im naprzeciw, uśmiechając się nieśmiało i jakby z obawą.*

*Kot zadziera głowę i spogląda podejrzliwie na mężczyznę.*

*– Wiem... – wzdycha Piotr. – Ale będziecie musieli się polubić. Daj jej szansę.*

*Podchodzi do dziewczyny. Zapadł już zmrok, ale czuje się już, że odtąd dnia będzie przybywać.*

*Yuki nieoczekiwanie poważnieje; jej oczy znów zasnute są tajemniczą, zimną mgiełką.*

*Piotr spogląda na Yuki i nagle ze zdumieniem dostrzega to, co dotąd w jakiś niewiarygodny sposób umykało jego uwadze. Dopada go ostatnia już reminiscencja; poprzednia noc, klatka schodowa i jego siedemnastoletnia wersja, trwająca w niespodziewanym zapatrzeniu. Teraz wreszcie rozumie, co zobaczył tamten i dlaczego w ostatnim momencie nie posłuchał rozkazu Kyubimoriego.*

*Kot ziewa, mocno już zniecierpliwiony, ale nadal pełen nieuzasadnionej  
pobłażliwości dla swych nowych opiekunów.*

*I wtedy wreszcie Piotrowi udaje się poczuć smak przepływającej chwili;  
zatrzymać ją w biegu.*

# O Autorze

## **Artur Laisen**

Urodzony... niestety już jakiś czas temu, w mieście względnie prowincjonalnym, do którego i tak w końcu zawsze fatalistycznie powraca z najdalszych nawet wojaży. W poprzednim, beztroskim wcieleniu autor kilku opowiadań i laureat jednego z konkursów poetyckich. Obecnie proza-iczny, pragmatyczny i zapracowany właściciel drobnego przedsiębiorstwa, mąż swojej żony i ojciec swoich dzieci. Ostatnio również laureat konkursu na opowiadanie Wydawnictwa Paperback (tekst Księdza Marka trzy spotkania z demonem, opublikowany w antologii Science Fiction po polsku, Paperback 2012). Prywatnie pasjonat fotografii, podróży dalekowschodnich, kultury chińskiej i japońskiej oraz także kuchni, ze względów praktycznych starający się aktywnie łączyć swe pasje.



Podobnie jak i wielu innych autorów Genius Creations, miłośnik fantastyki od zawsze, wychowany na Lemie i Zajdlu. Po przejściu smugi cienia koneser dobrej literatury w ogóle, o eklektycznym guście. Lista wszystkich jego literackich fascynacji byłaby zbyt długa, by zamieszczać ją w tym miejscu, ostatnio jednak na topie są zwłaszcza Haruki Murakami, Richard Morgan, Yasutaka Tsutsui, Jose Carlos Somoza, Miyuki Miyabe oraz Aleksander Kościów.



Wyznawca zasady, iż najpierw warto coś przeczytać, a dopiero potem, ewentualnie, jeśli naprawdę nie ma już żadnego innego wyjścia, napisać. Niestety, wbrew tym zasadom aktualnie pracuje nad kontynuacją Studni Zagubionych Aniołów, po czym planuje zasiać do pisania kolejnych pięciu powieści i dwóch zbiorów opowiadań.

## **Malajski Excalibur – Daniel Nogal**

Kuala Lumpur, nieodległa przyszłość. Trwa zimna wojna pomiędzy globalnymi potęgami, czyli Chinami i światem arabskim, stolica Malezji stanowi zaś jedną z głównych aren konfliktu. Owain Llewelyn, specjalista od zdobywania trudno dostępnych informacji, otrzymuje nietypowe zadanie: ma odnaleźć Taming Sari, legendarny malajski artefakt. Przyjmując zlecenie, wplątuje się w grę, w której chodzi już jednak o coś więcej, znacznie więcej, niż tylko o zdobycie pamiątkowego ostrza.



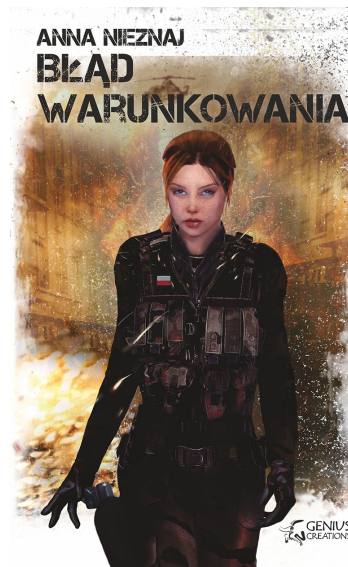
Na planszy pojawiają się kolejni gracze: chiński i kuwejski wywiad, nigeryjskie i hinduskie gangi, triada oraz tajne stowarzyszenie, które od dawna nie powinno istnieć. Giną ludzie, odżywiają uśpione konflikty, w wieloetnicznym malezyjskim kotle zaczyna wrzeć. A to przecież dopiero początek.

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/malajski-excalibur-daniel-nogal/>

## **Błąd warunkowania – Anna Nieznaj**

Jest koniec XXI wieku, układ sił na świecie zmienił się radykalnie. Jednak najlepszym narzędziem prowadzenia wojny pozostaje nauka: zbroi globalne potęgi, buduje prywatne imperia, dostarcza narzędzi szaleńcom.

Gdy Czarne Koty – genetycznie zmodyfikowani agenci unijnego wywiadu – próbują sprostać roli, do jakiej ich zaprojektowano, pewien niedoszły naukowiec o duszy awanturnika wpada w niebezpieczne towarzystwo. Ich losy zaczynają się splatać.



*"Bardzo lubię taką „fantastykę bliskiego zasięgu”, gdzie świat i bohaterowie są jeszcze na tyle podobni do tego, co znamy, że można ich bez większego trudu zrozumieć, a jednocześnie jest w tym wszystkim fantastyczny element inności, który każe czytelnikowi mówić: Wow, sam bym na to wpadł! Tym elementem są tu przede wszystkim ludzie-koty, pomysł na pozór może nieszczerólnie oryginalny, ale zrealizowany tak, że byłam pod sporym wrażeniem. A jest w książce jeszcze więcej: są elementy cyberpunku, akcja i skomplikowane uczucia, jest nawet wątek kryminalny, a także Europa przyszłości ze zmienionym i nader ciekawym układem sił politycznych. Nie jestem pewna, czy chciałabym w niej żyć, ale wiem, że bardzo chętnie przeczytam drugi tom tej historii."*

**Anna Kańtoch**

(autorka bestsellerów, czterokrotna zdobywczyni Nagrody im. Janusza A. Zajdla)

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/blad-warunkowania-anna-nieznaj/>

**Chór zapomnianych głosów – Remigiusz Mróz**

Okręt badawczy „Accipiter” przemierza bezkres kosmicznej próżni, a jego załoga pogrążona jest w głębokiej kriostazie. Nieliczni świadomi są dramatu, który rozgrywa się na pokładzie.

Astrochemik Håkon Lindberg budzi się przedwcześnie z kriogenicznego snu i widzi, jak ginie jeden z ostatnich członków załogi. Prócz niego rzeź przetrwał tylko nawigator, Dija Udin Alhassan.

Czy to on jest odpowiedzialny za fiasko misji? A może stoi za tym jakaś niewypowiedziana siła? Obca cywilizacja? Nieokreślony byt? Ludzkość podróżuje między gwiazdami, odkrywa miriady światów, ale nigdy nie napotkała żadnych oznak życia.

Chór zapomnianych głosów to SF z tempem właściwym powieściom sensacyjnym, intrygą iście kryminalną i klimatem rodem z horrorów. Zakończenie powinno zaskoczyć nawet najbardziej przewidującego czytelnika.

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/chor-zapomnianych-glosow-remigiusz-mroz/>

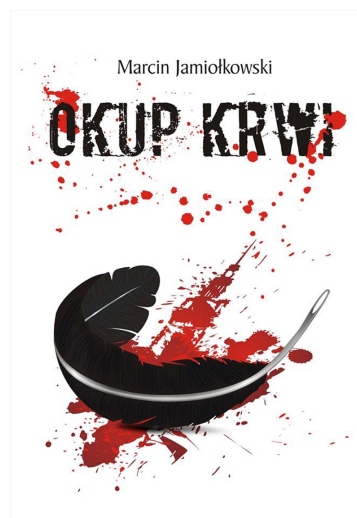


## **Okup krwi – Marcin Jamiółkowski**

Herbert wiezie spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed

ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.



Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

*"Przeczytałem wiele debiutów i „Okup krwi” wpisuje się do grupy tych pozytywnych. Nie frustruje, nie przyczynia się do zachowań autodestrukcyjnych i stanowi przyjemną lekturę wyróżniającą się miejscem akcji – Warszawą."* GameExe

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiolkowski/>

## Ród – Emil Strzeszewski

Książka, która zwala z nóg niczym apateja!

Gdzieś w naszej lub nie naszej rzeczywistości istnieje Miasto, które z pozoru tętni życiem. Bezimienni bohaterowie zmagają się z codziennością skrywającą całkowity rozkład społeczeństwa i moralności. Zdegenerowane miasto jednak upomina się o każdego z nich i zmusza do dokonania najistotniejszych wyborów.



Wolna wola zdaje się być jednak iluzją, a jedynym ratunkiem jest wyciszenie, ucieczka w stan beznamietnej konsumpcji rzeczywistości. Ale czy takie życie warte jest kontynuowania? Być czy trwać?

*„To wspaniale, że nareszcie doczekaliśmy się na kogoś takiego, jak Strzeszewski. Świetne pióro, odważne i oryginalne pomysły, punkowa zadziorność - "Ród" to brawurowa i bezwzględna literatura.” - Paweł Majka, autor bestsellerowego „Metro 2033: Dzielnica obiecana” i „Pokój światów”*

*„Romans z "Rodem" Emila rozpoczął się banalnie - od uwiedzenia. Zostałem uwiedziony. I chociaż wydawałoby się, że za stary jestem na miłość od pierwszego wejrzenia, to jednak dałem się zauroczyć tej historii od pierwszych akapitów.” - Marcin Jamiołkowski, autor „Okupu krwi”*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/rod-emil-strzeszewski/>

**Kotku, jestem w ogniu – Dawid Kain**

Życie w świecie opanowanym przez książkoholików nie jest łatwe, ale Edward Egan, mieszkaniec Postmoderny i nieuleczalny utracjusz, stara się skupiać na jego jasnych stronach. Dostarczając czytelniczym narkomanom dobrej jakości teksty, pisane przez przyjaciela, szalonego Zampano, jest w stanie zarobić tyle, by starczyło na używki, kobiety i oczywiście kolejne lektury.



Jednak pewnego dnia wszystko się zmienia. Edward budzi się w jakimś zimnym, obcym miejscu, daleko od domu, imprez i przyjaciół. Nie pamięta, jak tam trafił. Na dodatek pewien natręt namawia go do szukania rzekomo najważniejszego dzieła literackiego w historii, zwanego Raportem. Czy pojedyncza książka jest w stanie odpowiedzieć na każde z kluczowych dla naszej egzystencji pytań? Gdzie ją znaleźć i czy w ogóle warto?

Powieść o czytaniu, do czytania. Zupełnie inna niż wszystkie.

*"(...) sprytna, zabawna, precyzyjnie skonstruowana z imponującą mnogością elementów, z pazurem, niejednoznaczna... Czego chcieć więcej?"*  
- Marek Grzywacz (redaktor Niedobre Literki)

*"Przyznam, że od czasów lektury Jaskini filozofów Jose Carlosa Somozy nie czytałem chyba dzieła tak sprytnie igrającego z konwencjami i dotykającego samej natury tworzenia."* - Krzysztof Maciejewski (redaktor Papierowe Myśli)

*"(...) wielka literacka zabawa z czytelnikami, a zarazem uniwersum, z którego wcale nie chce się wychodzić."* - Milena Buszkiewicz (redaktor

Booklips)

"*Równie wciągająca, choć wymagającego skupienia, opowieść o literaturze.*" - Robert Ziębiński (redaktor Dzika Banda)

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/kotku-jestem-w-ogniu-dawid-kain/>

## **Pokój światów – Paweł Majka**

I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler





Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

*Brawurowa powieść Pawła Majki to fantastyka przygodowa na najwyższym poziomie, która zachwyca dynamiką wydarzeń, spójnością opisywanego świata i rozmiarem kreacji. Od czasów H.G. Wellsa wojna światów nie została nakreślona z takim rozmachem!*

*"Pokojem światów" Paweł Majka udowadnia, że znakomicie rozumie popkulturę. Wie, co ludzie chcieliby czytać. Co ważniejsze - wie, jak o tym pisać. Jego książka to rozrywka dla tych, którzy potrafią docenić zgrabną historię, doskonały język, a także poczucie humoru. Jednej rzeczy brak "Pokojowi światów" - na szczęście. Brak jest bowiem banalności. - **Emil Strzeszewski** (autor bestsellerowej Ektenii)*

*Świetna i wciągająca lektura na długi wieczór. - **Maciej Frączyk** (autor bestsellerowych: Zeznań Niekrytego Krytyka i Nie przejdziemy do historii)*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>